DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XX.

LWÓW,

Nakład i druk E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XX.

I. Żywoty świętych, legendy, podania o cudownych miejscach w Polsce i rozmaite historye święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej.

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki.

VI. Różności:

VII. Zdania moralne, obyczajowe i przypowieści polskie.

Tom XX. Nr. 1.

1. Stycznia 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wit Stwosz,

który chwalebną pracą rąk swoich zjednał sobie wiekopomną sławę.

I.

Czy jest kto pomiędzy nami, coby nie lubił słuchać opowiadania o dawnych czasach? Jestem pewny że nie. Chętnie rozpamiętywują sobie starzy szczęśliwsze lata swojej młodości, chętnie i młodzieniec słucha, kiedy mu prawią, co robili jego ojcowie, dziadowie i pradziadowie. Sądzę więc bracia kochani, że z ochotą posłuchacie co wam tutaj zamierzyłem opowiedzieć z dziejów naszych pradziadów a więc z dziejów dawnej Polski, z owych czasów, kiedy była jeszcze wielką, potężną i sławną, a jej mieszkańcy a nasi pradziadowie zamożni, szczęśliwi, szanowani, nie tak jak my dzisiaj.

W ciągu tysiącletniego swego istnienia nigdy Polska tak szczęśliwą nie była, jak za panowania królów Jagiellonów. Pierwszy z nich, Władysław Jagiełło, wielki książę litewski, skoro został królem polskim, cały swój kraj Litwę, wraz

z innemi krajami, które do niej należały, przyłączył do Polski. Po nim panowali synowie jego i wnuki, aż na ostatnim prawnuku wygasła rodzina Jagiellonów. Ci Jagiellonowie panowali w Polsce przez lat blisko dwieście i byli wszyscy bardzo zacnymi królami. Nie napadali oni cudzych krajów i wojowali tylko dla obrony swoich albo sąsiada granic, po największej części tylko z poganami, z Turkami, którzy coraz bardziej rośli w potęgę; a za to że Polska tych Turków gromiła i wstrzymywała, nazwano ją zasłoną, murem chrześcijaństwa. Za tych królów wzmogła się Polska szczególnie przez połączenie z Litwą. U północnych granic Polski i Litwy mieli siedziby swoje rycerze niemieccy, zwani Krzyżakami, którzy nieobliczone szkody wyrządzali tak Polsce jak Litwie. Owóż gdy się Polska i Litwa wzięły za ręce, nie trudno im było pobić i poskromić Krzyżaków. Odtąd Polska miała wolne granice od morza do morza; a przez to handel podniósł się niezmiernie i ożywił w całym kraju. Szkuty ładowne zbożem i drzewem płynęły do jednego morza, a drugiem morzem przeróżne z dalekich krajów towary przychodziły do Polski. Cały kraj wzbogacił się szybko i przyznać trzeba, że nietylko panowie szlachta dobrze się mieli, ale i mieszczanie a nawet i chłopi. Co do chłopów, tym dla tego dobrze się działo, ponieważ nie płacili podatków, a wydatki mieli mniejsze, bo wtedy wódki, która dziś cały zarobek wieśniaka pochłania, jeszcze prawie nie znano i dopiero ją, z początku jako lekarstwo, upowszechniać zaczynano. Mieszczanie daleko więcej niż dziś trudnili się rzemiosłami i lepsze wyrabiali towary, z których sprzedaży zbogacali się szybko. Wprawdzie zarzucają owym czasom, że mieszczanie nie mogli wychodzić na urzędników, bo szlachta wszystkie krajowe urzędy zagarniała dla siebie, ale złe to było na owe czasy dobrem, ponieważ mieszczanin wiedząc że stopniem nie może wznieść się nad braci, starał się być pierwszym w mieście jako najlepszy rzemieślnik — ponieważ syn, przychodząc do zagospodarowanego przez ojca warsztatu, miał się o czem dorabiać majątku, nie tak jak dziś, co syn wstydzi się ojcowskiego rzemiosła, i byle się wyuczył

czytać i pisać, kieruje się koniecznie na urzędnika, lub wyszedłszy na szlachcica i pana, marnuje krwawo zapracowaną ojcowską fortunę, zamiast jej przysporzyć. Ztąd dziś tak często słychać o bankructwach, o przymusowych sprzedażach, czego za dawnych czasów nie znano. Ztąd dziś między mieszczanami powszechna prawie bieda, podczas gdy dawniej byli pomiędzy nimi tacy bogacze jak Wierzynek w Krakowie, co u siebie królów i cesarzów przyjmował, jak we Lwowie Bernatowicz, co królom pieniędzy pożyczał, lub Makuch garncarz, co fundował kościół OO. Karmelitów na Halickiem przedmieściu. Do tego dobrego bytu mieszczan przyczyniały się też w znacznej części i szkoły, z których wychodzili ludzie sławni na cały świat z nauki i mądrości, bo też w owe czasy nawet po wsiach bardzo dobre utrzymywano szkoły.

Pomiędzy mieszczanami polskimi było za dawnych czasów wielu Niemców, co ztąd pochodziło, że wówczas gdy miasta polskie powstawały, nie było u nas jeszcze zdolnych rzemieślników, dla tego królowie polscy osadzali w nich Niemców. Aby ich przywiązać do nowej ojczyzny, nadawali im wielkie wolności i rozliczne łaski świadczyli, co taki skutek miało, że już dzieci owych przybyszów mówiły doskonale po polsku, a wnukowie byli duszą i sercem Polakami. Niemcy, jako są z natury porządni i pracowici, tak tu, mając zupełną wolność działania i sposobność zarobku, byli jeszcze skrzętniejszymi. Miasta były otoczone murami dla obrony od nieprzyjaciela, a tych murów sami mieszczanie strzegli i bronili. Wewnątrz miasta daleko były schludniejsze niż dziś. Nie mówię tu o wspaniałych mieszkaniach wielkich panów, którzy często miewali w miastach pałace, a nie mówią dla tego, ponieważ na te budowle miasta nie nakładały; ale popatrzmy na kościoły w owych czasach stawiane, na starożytne ratusze, których zaledwie kilka w naszym kraju ocalało, i powiedzmy sobie szczerze, czy to wszystko może iść w porównanie z dzisiejszemi naszemi budowlami. Nawet domy mieszczan były bardzo ozdobne. Wiele z tych ozdób pod wpływem wieków i rozli-

cznych przygód zatarło się bez śladu, gdzie niegdzie jednak zdarza się jeszcze widzieć oddrzwia misternie wyrzeźbione, odłam kamienia w kwiaty wyrzezany, a z tego wnosić można, jakie to niegdyś całe gmachy być musiały, jacy to byli u nas murarze i cieśle, rzeźbiarze i kamieniarze, podczas gdy inne z dawnych czasów przechowane pamiątki świadczą, że i wszystkich innych — zawsze dobrych rzemieślników nie brakowało w Polsce.

Pomiędzy miastami polskiemi słynął szczególnie Kraków, stolica królów, tak pod względem ozdobności, jakoteż zamożności mieszkańców. Godne uwagi, że obok skrzętności i pracowitości mieszkańcy Krakowa odznaczali się zawsze szczególniejszą pobożnością. W czasach gdy się nasze opowiadanie zaczyna, to jest za panowania króla Kazimierza Jagiellończyka, mieszkańcy Krakowa mieli też przed oczyma wiele żywych przykładów najczystszej bogobojności, bo kilku świętych mężów, których dzisiaj czcimy jako naszych patronów, żyło właśnie wówczas i mieszkało w Krakowie, jakoto: Jan Kanty, profesor akademii, Świętosław, Kazimierzyk, Michał Gedroic, Szymon z Lipnicy, księża, a nawet jeden z synów tego króla, o którym mówimy, królewicz Kazimierz, został świętym. Otóż w Krakowie i właśnie w owych czasach żył Wit Stwosz, snycerz, którego życie każdemu rzemieślnikowi polskiemu powinno być znane.

II.

Dotąd jeszcze pokazują w Krakowie miejsce, gdzie stał niegdyś dom Wita Stwosza, według zwyczajów owego czasu przyozdobiony w przecudne staroświeckie rzeźby. Wchodząc do izby, ujrzałeś tam najprzód po prawej ręce kropielnicę z wodą święconą, nad drzwiami wizerunek Najświętszej Panny, do której z dawien dawna Polacy zawsze szczególniejsze mieli nabożeństwo, oddrzwia pięknie wyrzeźbione snycerską robotą, okno, jakto niegdyś było w zwyczaju, z drobniuchnych szyb kolorowych, a z okna widok na mury łamiące się w łuki, dziergane w koronki. Sprzęty w izbie: stół z orzecha, skrzynie

cedrowe, ławy jaworowe cudnie wyrzeźbione nakształt tych, które po dziś dzień można jeszcze widzieć w niektórych kościołach. Dodajmy do tego staroświecki komin, sklepienie pięknie malowane i złocone, a będziemy mieli prawdziwy obraz świetlicy w pomieszkaniu zamożnego rzemieślnika przed kilku set laty.

Ale świetlica pusta w tej chwili, bo gospodarz siedzi z czeladzią przy robocie, a gospodyni na drugiej stronie domu uczy dziatwę pacierza i bogobojności, lub krząta się koło gospodarstwa. Dziwnie bo też to za dawnych czasów byli ludzie stateczni, a pilni, a gorliwi w wypełnianiu swoich obowiązków. Szczególnie słynął z tego Wit Stwosz, i dlatego zjednał sobie zarówno serca wszystkich, jak i niepospolity szacunek i sławę, zwłaszcza ponieważ wcześnie zabrał się do poczciwej pracy, do ozdoby kościołów. Już od dzieciństwa okazywał pochopność w tych rzeczach i zapewne pilnie uczyć się musiał, skoro w czasach późniejszych tak bardzo zasłynął ze swoich dzieł. Było w Krakowie wielu zdatnych majstrów, od których mógł się uczyć — wyuczył się też nietylko rzeźbiarstwa tak w drzewie jak w kamieniu i marmurze, ale oraz rysunku, malarstwa i złotnictwa. Gdy już doszedł do doskonałości w rzemiośle, przyjmował wiele obstalunków nawet dla króla Kazimierza Jagiellończyka i do miast węgierskich, a celował głównie w wyrabianiu ołtarzów, posągów świętych i krucyfiksów z drzewa z wielką sztuką rzezanych, tak wielkicą jak małych. Te z jego robót, które dotąd ocalały, wzniecają największe podziwienie znawców i uchodzą za arcydzieła; inne zaginęły.

W owych czasach rzemieślnicy stanowili cechy, każdy cech miał swego starszego i podstarszego, a u starszego cechmistrza przechowywano w kunsztownych skrzyniach pamiątkowe puhary, wielce sztucznie wyrabiane, któremi pijała starszyzna podczas uroczystości cechowych. Zdarzało się też, że kiedy starszyzna chciała uczcić którego z młodszych braci, udawała się do niego w gościnę z cechowemi puharami. Nieraz tego

zaszczytu doznał Wit Stwosz, ale oprócz starszyzny cechowej często przyjmował u siebie i innych znakomitych gości, co zwabieni opowieściami o jego życiu cnotliwem i osobliwszej w robocie na chwałę Boską zręczności, przychodzili obejrzeć jego warsztat, podziwiać jego usilność, wytrwałość pracowitość. Tak np. często zaglądał do niego kanonik krakowski Długosz, mąż wielce świątobliwy i uczony, który był oraz nauczycielem dzieci królewskich. Stwosz chętnie pokazywał każdemu co robił, pytał świetlejszych o radę, korzystał z uwag.

Po wielu pracach pomniejszych zabrał się do największego i najpiękniejszego swego dzieła, zaczął rzeźbić wielki ołtarz do kościoła Panny Maryi w Krakowie. Nad tym ołtarzem, chociaż mu uczniowie pomagali, pracował lat dwanaście, ale też zrobił arcydzieło, któremu równego nadaremnobyś szukał w całym świecie. Ołtarz ten, który do dziś dnia widzieć można w tymże kościele, jest ołbrzymiej wielkości, ze skrzydłami zamykającemi się nakształt drzwi szafy i przedstawia ważniejsze chwile z życia NMPanny. Obraz środkowy, największy, przedstawia zaśnięcie NPanny. Jest tam kilkanaście najcudniejszych figur, naturalnej wielkości, prześlicznie z drzewa wyrzeźbionych, a potem malowanych i złoconych Wszystko w tym ołtarzu jest tak wzniosłe, że kto go ujrzy, mimowolnie kolana zginają się pod nim. Kiedy Stwosz dokonał tego dzieła, całe miasto zbiegło się do kościoła i podziwiano mistrza, którego Bóg swoją natchnął łaską, że tajemnice Boskie dłutem w drzewie tak uwidocznić zdołał. W nagrodę uwolniono go na zawsze od wszelkich podatków i danin prócz zapłaty, a mówią że ów kanonik Długosz przyrzekł mu wyrobić szlachectwo i swój herb nadać Jakoż byłby to uczynił niezawodnie, ponieważ był bardzo bliskim osoby królewskiej, ale Stworz nie przyjął tego zaszczytu, co jeżeli prawda, bardzo chlubnie o nim świadczy, a dziś pewnie nie wielu znalazłoby się takich, coby porzucili sposobność wyniesienia się nad stan, w którym się zrodzili. Stwosz jednak tego nie potrzebował; już on zdolnością i zręcznością przewyższał znacznie wszystkich braci

rzemieślników; a jeszcze na pięć lat przed ukończeniem owego sławnego ołtarza został obrany starszym cechmistrzem; bardziej zaś nad wszystkie zaszczyty i godności cenił sobie widoczną łaskę Bożą, która na niego spłynęła w zaraniu żywota i otwierała mu serca ludzkie a kierowała jego ręką gdy położył dłuto na martwem drzewie albo kamiennej bryle, aby z nich urobić postać świętą, pobudzającą do modlitwy. (D. c. n.)

Nowy rok.

Nowy rok bracia moi!... Starym obyczajem
Zwykliśmy dłoń w braterskiej wyciągnąć miłości,
I lepszej, świętszej jakiejś czekając przyszłości,
Życzyć jej sobie nawzajem.
Dobry stary obyczaj, lecz ziemi mej ludu,
Zkąd ten anioł nadziei w piersi twoje wchodzi,
Jaki głos ci objawił wielką chwilę cudu,
W której o wszystko dobre kusić ci się godzi?
Chrystus to dziś za ciebie pierwszy okup złożył,
I Syn Człowieczy przyjął krwawy chrzest ofiary,
A duch całej ludzkości tchnieniem łaski ożył,
Na nowe życie człowiek przerodził się stary;
I ziemskiej swej niewoli strącając okowy,
Wyrzekł w obliczu nieba: Poczynam rok nowy!
Niech więc od onej chwili plemię odkupione,
Prawdziwą drogą szczęścia umie iść do celu,
Niechaj w poczciwej pracy, w serdecznem weselu —
Przeciw pokusom złego znajduje obronę,
A miłość bratnia jako posłannica Boża
Słodkim uściskiem swoim krzepi mu nadzieję;
Gdy zaś wędrowiec który wyjdzie na rozdroża,
Niech mu z błękitu niebios wiara się zaśmieje,
A krzyż jako drogoskaz stojący w oddali,
Od zgubnego w manowcach obłędu ocali.

J. M.

Zwyczaje i obyczaje w Holandyi.

Nie masz nic wznioślejszego jak widok ścisku w kościele w Holandyi i pobożności, którą zarówno możni jak ubożsi okazują. W żadnym kraju nie zachowują tak wiernie przepisów religii chrześcijańskiej, nigdzie tak dobrze jak tam nie znają pisma świętego. Rodzice starają się, aby ich dzieci gruntownie przyswoiły sobie naukę wiary i jest tam zwyczaj, że młodzież nie prędzej jak w 18. roku życia przystępuje do sakramentu bierzmowania, a potem dopiero do sakramentu ołtarza. Zresztą Holender nawet przy największem zatrudnieniu znajdzie czas zawsze i do modlitwy i do czytania biblii, i jest równie pobożnym w domu jak w kościele.

Z pobożnością ręka w rękę idzie miłość ojczyzny. Różnica wyznania nie bywa nigdy powodem sprzeczek lub niezgody, nie przeszkadza kochać się po bratersku, jakoż wszyscy żyją zgodnie i wspomagają się wzajemnie.

Holendrzy kochają się szczególnie w ochędostwie. Zamiatanie i szurowanie nigdy się u nich nie kończy. Sienie, schody, ganki myją w każdym domu prawie nieustannie. Podobnież czyszczą ciągle wszystkie naczynia cynowe i mosiężne, co zresztą jest konieczną potrzebą, ponieważ z powodu nadzwyczajnej w tym kraju wilgoci, wszelki metal bardzo prędko okrywa się śniedzią.

Naród ten pod każdym względem na największe zasługuje podziwienie i żaden inny nie może z nim iść w porównanie. W walce z potężnymi mocarzami świata, którzy ich chcieli ujarzmić, Holendrzy zamiast upaść, wzbogacili się — jeszcze straszniejszą walkę staczać muszą nieustannie z morzem, które im grozi zatopieniem; ale kto był w Holandyi, kto się przypatrzył potężnym tamom i upustom na brzegach morskich, siedzibom, ogrodom i całemu gospodarstwu Holendrów, ich zadziwiającej cierpliwości, wytrwałości, pr cowitości, przyzna, że kraj ten zginąć nie może. A zkądże Holender bierze

materyał na budowę tam i upustów? Zkądże ma potrzebne do tego ogromnej wielkości bryły kamienne? Zkąd ma drzewo na pale, na których spoczywają tamy i upusty, skoro w jego ubogim kraju nie ma ani kamienia ani lasów? Oto przywozi to wszystko zdaleka, bo z zamorza, z Norwegii, a tylko w części z sąsiednich Niemiec.

Kobiety holenderskie byłyby piękne, gdyby nie to że mają pospolicie brzydkie ręce, niezgrabne nogi, szkaradne zęby; to jednak nie przeszkadza im być cnotliwemi i pobożnemi. Każdą zdobi tkliwość niewieścia, żadnej nie braknie tych przymiotów, które każda żona i gospodyni posiadać powinna: zamiłowania w porządku i ochędostwie, przyzwoitości we wszystkiem co czynią. Mężczyżni pomimo częstych niebezpieczeństw, są zawsze dobrej myśli. Holender z lekkiem sercem wsiada na okręt, choć często na długie lata opuszcza żonę i dzieci, i zasypia na okręcie równie spokojnie, jak my w naszych domach na łóżku. Jest to siła przyzwyczajenia. Nad wodą się urodził, z wody żyje, ona mu daje chleb powszedni, to też żyć bez niej nie może. Gdy w jakim kraju nie widać wody, dziwi się że tam ludzie mieszkają.

W roku 1421 zdarzyło się w Holandyi, że pewnej nocy bałwany morskie z niesłychaną gwałtownością wdarły się na ląd i zatopiły 72 zamożnych wsi i miasteczek; 100.000 ludzi poniosło śmierć w falach morskich. Teraz jest w tem miejscu jezioro mające przeszło 2 mile rozległości. I dziś jeszcze zdarza się nieraz, że morze zerwie tamę nadbrzeżną, wedrze się na ląd i straszne zrządza spustoszenia. Czyż nie byłoby lepiej, aby Holendrzy porzucili swój kraj nieszczęśliwy, zamiast go bronić z takim trudem przed wściekłością bałwanów? O! kto ma serce tak szlachetne, że zdoła pojąć, jakiej Holender doznaje radości, gdy na uratowanym kawałku ziemi zasadzi ogródek, ten mu nigdy doradzać nie będzie, aby swoją ziemię rodzinną wydał wrogiemu żywiołowi na pastwę.

Nie słusznie pomawiają niektórzy Holendrów, że są ociężali i powolni. Wielkie ich czyny bohaterskie w przeszłości, pełne niebezpieczeństw podróże morskie, olbrzymie budowle

nadbrzeżne, głębokie dzieła ich uczonych, wielkie zbiory obrazów, malowanych przez ich sławnych malarzy, wreszcie kwitnące u nich ogrodnictwo i gospodarstwo wiejskie, wszystko to dowodzi nie powolności lub ociężałości, ale żelaznej siły i wytrwałości. Są tam wprawdzie milionowi panowie, którzy myślą tylko o wygodzie, o upiększeniu swoich domów, u których niczem jest zapłacić w zimie 30 złr. za funt winogron, albo 50 złr. za sto wiśni koło Bożego Narodzenia, ale i my czynilibyśmy to samo, gdybyśmy jak oni posiadali beczułki z owemi dukatami holenderskiemi, które niestety znamy zaledwie z widzenia. Holendrowi te dukaty nie spadły z nieba, zdobył je w pocie czoła przez handel w najodleglejszych krajach północy i południa, albo wygrzebał z mułu i wody.

W miastach nadmorskich, lub niedaleko morza położonych, jak np. w Rotterdamie, prawie cała ludność trudni się handlem i żeglarstwem Na widok takiego miasta każdemu mimowoli musi przyjść na myśl, że gdyby nie wytrwałość ludzka, byłoby w tem miejscu bagnisko, żabom i gadom za mieszkanie służące. Dalej od morza kraj cały wygląda jak jeden wielki ogród. Miasta, wsie, zamki, bujne łąki z tysiącami pasących się krów, rozległe jeziora, a na nich wyspy wielką trzciną zarosłe i milionom ptaków wodnych za mieszkanie służące, wszystko to mija szybko przed oczyma podróżnego.

W każdym domu największe panuje ochędostwo. Chociaż domy są zbudowane na palach, nigdzie nawet w piwnicy nie dostrzeżesz śladu wilgoci; nigdzie też myszy ani szczurów ani pajęczyny nie ma. W kuchni czystość jakby w aptece, a naczynia miedziane i cynowe połyskują jak złote lub srebrne.

Zbliżając się do wsi, widzimy po obu stronach drogi, rozległe błonia, mnóstwo rowów do spuszczania wody służących i liczne młyny. Domy we wsi stoją szeregiem jak w mieście i są zbudowane z małych cegiełek, nie pobielone z wierzchu, z dachami pomalowanemi na czerwono lub niebiesko. O czystości wewnątrz mówić nie będę, bo sobie ją zapewne wyobrażacie. Wieśniacy mało trudnią się uprawą zboża, lecz za to hodują sławne bydło i prowadzą na wielki rozmiar gospodarstwo

mleczne, wysełając masło i ser do odległych krajów. Drzew jest mało i te mają poobcinane gałęzie, a to z powodu iż ziemia grząska nie utrzymałaby wielkiego drzewa z rozłożystemi gałęziami. Drzewa te często bywają od dołu polakierowane, dla ochrony od robactwa.

Miasto, w którem mieszka król, nazywa się Haga, jest bardzo wspaniałe i pełne pałaców. Wsie pobliskie dostarczają ogrodowin. Ziemia składa się tam z drobnego piasku, zmięszanego z czarną ziemią, ale jest bardzo starannie uprawiana. Ogrodnikom idzie głównie o to, aby dostarczać jarzyn jak najwcześniej i w jak największych rozmiarach. To też jedno gronko pożyczek bywa tam wielkości ręki męzkiej, agrest jak śliwki; sałata, groch, kapusta, nieznanych u nas rozmiarów, ananasy, melony, nie pospolicie piękne i wielkie; wszędzie zaś bawi oko nadzwyczajna rozmaitość kwitnących róż, goździków, georginii karłowatych, myrtów itd.

Najwięcej słynie z ogrodnictwa miasto Harlem, to też zbliżając się do tego miasta, już z daleka czuć można woń przecudną, rozchodzącą się w powietrzu, a wszędzie widać mnóstwo kwiatów, najwięcej tulipanów i hyacyntów. Są one dwa i trzy razy większe jak u nas i w daleko piękniejszych kolorach. To też mieszkańcy Harlemu znaczne mają zyski z ogrodnictwa, po całym świecie bowiem rozsyłają nasiona i cebulki, z których rozmnażają się hyacynty. Niesłychany odbyt na harlemskie cebulki hyacyntowe trwa już od niepamiętnych czasów. Niegdyś bywały wypadki, że za jedną cebulkę płacono pięć do dziesięciu tysięcy złotych. Raz się zdarzyło, że jakiś wielbiciel hyacyntów harlemskich dał za jedną cebulkę 4 korce pszenicy, 8 korcy żyta, 4 tłuste woły, 8 prosiąt 12 owiec, 2 oxefty wina, 4 beczki piwa, 2 beczki masła, 1000 funtów sera, skrzynię z odzieżą i kubek srebrny. Dziś jeszcze wielcy panowie płacą i po 100 zł. za jedną cebulkę.

W Harlemie należy i to do osobliwliwości, że jak tylko kto cokolwiek prędzej jedzie ulicą, domy się trzęsą, co ztąd pochodzi, iż są zbudowane na bagnie. Z tego też powodu stawiają tam czasem domy pochyło, a nie prosto, co u nas

jest rzeczą niesłychaną, dla tego też nieświadomy mógłby myśleć, że domowi takiemu zagraża obalenie, gdy tymczasem jest tak umyślnie postawiony.

Wspomniałem już, że Holendrzy celują w hodowli bydła. Cała rzecz na tem polega, że dają bydłu to co mu się należy, to jest dobrą paszę i utrzymują w stajniach jak największą czystość. Ale zkądże wziąść dobrej paszy w tym zapadłym, bagnistym kraju? Oto jak sobie postępują Holendrzy. Najprzód kopią rowy naokoło pola na łąkę przeznaczonego, potem uprawiają je bardzo tłustym nawozem, zasiewają najpożywniejszemi trawami i troskliwie pielą wszelkie zielsko. Płotów ani drzew, których cień mógłby przeszkadzać wzrostowi roślin, nie ma na żadnej łące. Jednak aby bydło miało o co się trzeć, wbijają tu i ówdzie kilka palów. Dalej starają się aby bydło miało czystą wodę i donoszą ją pilnie na łąki, jeżeli tego potrzeba. Kretowiny i gnój bydlęcy rozkopują starannie a w jesieni znowu nawożą mierzwę na łąkę. Stajnie bydlęce są tak urządzone jak końskie. Aby się krowy nie walały ogonami, wiążą im je w górę na ruchomym powrozie. Gnój wymiatają starannie i codzień posypują stajnię suchym piaskiem. Na noc podścielają bydłu nieco słomy, którą rano sprzątają i suszą. Tak jak u nas po dworach konie, tak tam u każdego chłopa bydło codziennie myją, czeszą, szczotkują, wietrzą, a paszę dają zawsze o jednej i tej samej godzinie. (Dok. nast.)

Osiedlanie się ludzi.

Życie towarzyskie pszczół i mrówek, jaskółek i bocianów, sarn, kóz dzikich i bobrów, zasługuje na naszą uwagę; pożycie wspólne w wielkie stada połączonych zwierząt, jak owiec, bydła i dzikich koni, a w królestwie powietrznem przeloty w licznej gromadzie żurawi, dzikich gęsi pod przewodnictwem jednego przodownika, chętnie pod rozwagę bierzemy, i opowiadanie szczególnych w tym względzie spostrzeżeń, niemało

nas zajmuje. Zbadanie przeto osiedlania się i urządzenia towarzyskiego między obdarzonemi rozumem istotami, jak ludzie, wiele zapewne miałoby dla nas powabu; udajmy się więc na przegląd do osad i siedzib panów ziemi, dla poznania ich zamieszkań i właściwego im sposobu życia.

Przy rozważaniu osiedlania się ludzi najbardziej uderza nas, ich rozmaity tryb życia, wybór pokarmów i praca, budowa i urządzenie ich zamieszkań, ich zwyczaje i obyczaje.

W gorących okolicach, gdzie dzikie drzewa gotowego dostarczają pożywienia w owocach, stawiają sobie rodziny schronienia na gałęziach drzew ze trzciny, pokrywają je wielkiemi liściami i łodygami i mieszkają w pewnym rodzaju gniazd, jak małpy i ptaki.

Z pomiędzy wielu drzew raczących człowieka wybornym pokarmem, zasługują tu na wspomnienie drzewa chlebowe i krowie. Pierwsze udaje się szczególnie na wyspach Oceanu wschodniego między zwrotnikami; trzy takie drzewa wyżywią jednego człowieka, są zaś 40 do 50 stóp wysokie, a 4 stopy grube. Z jego gałęzi jak świeczniki rozłożonych, wyrastają na półtory stopy długie liście a na stopę szerokie. Osobliwą zaletą tego drzewa jest jego okrągły owoć wielkości głowy dziecięcia 3 do 4 funtów ważący; skorupa pełna brodawek pokrytych wełnistą przędzą. Jak tylko owoc zaczyna dojrzewać, zrywają go i wyłuskują, wnętrze jego stanowi jak śnieg biała mączysta masa. Ta obwinięta w liście i między rozpalonemi kamieniami upieczona, ma smak chleba pszenicznego. Drzewo krowie w środkowej Ameryce, pospolicie nad pochyłemi skałami rosnące, z trudnością swoje grube i twarde korzenie zapuszcza w swoim kamiennym gruncie. Przez kilka miesięcy w roku orzeźwiający deszcz nie zwilża jego zeschłych liści, a całe drzewo wydaje się zupełnie prawie bez siły żywotnej; ale z nacięcia zrobionego w pniu tego na pozór martwego drzewa, wynika obfity strumień płynu mającego smak mleka krowiego.

W zimnych okolicach, na wzór borsuka, lisa, myszy itp. kopią ludzie doły i kryją się w nie z całym zapasem żywności,

albo dają się zasypać śniegiem na sążeń wysoko, jak zając w legowisku, i całkiem prawie w grube futra zaszyci, przy lampie tranem nalanej, a sadzą wszystko pokrywającej, grzeją się w mroźnej a uporczywej zimie.

Pomiędzy temi dwoma ostatecznościami, gorącem i zimnem, w umiarkowanych a rozległych naszej ziemi strefach, stawiali sobie ludzie mieszkania na stałym gruncie w zupełnej swobodzie, ale i tu jak wielka ukazuje się rozmaitość w samem zakładaniu, materyale, zewnętrznej formie i wewnętrznem urządzeniu, między wędrowczego pasterza namiotem, któren ze spojonej kory drzewnej, z pilśni, sukna lub płótna na żerdziach jest rozpięty, a chatą z surowych pni skleconą; między lepianką a z kamienia lub cegieł wystawionym domem; między obywatelskiemi budowlami, a pałacami i zamkami książąt i królów. Jednakże pod względem sztuki i przepychu wszelkie i najwspanialsze budowle nie dorównywają marmurowym świątyniom, śmiało ku niebiosom wzniesionym kopułom na gmachach czci Boskiej poświęconych.

Tu znowu chaty i zabudowania gospodarskie zdaleka od siebie między rozległemi niwami postawione, a przeznaczone dla jednej wyłącznie rodziny; tam znowu na szczytach osamotnionych gór, jak orle gniazda wznoszą się zamki rycerskie i książęce, a jako przeciwieństwo do owych odosobnionych zamieszkań dają się widzieć po dolinach, nad rzekami, kilkanaście, kilkadziesiąt lub sta chat lub domów obok siebie prawie stawianych, które stanowią wioski i wsie, a tysiące okazałych kamienic, tworzą miasto, a szczególne zakłady, klasztory, szkoły, domy robocze, i koszary obejmują, jak w ulu pszczół, sta i tysięce mieszkańców pod jednym dachem, pod jednym zamkiem bramy wchodowej.

Gdzie rzadko albo nigdy deszcz nie pada, tam pokrycia domów robią zwykle płaskie i szerokie, a dla przewiewu powietrza są otwory w ścianach umieszczone z zamykającemi się zaporami, gdzie zaś za wiele deszczu, a w jednej nocy śnieg na stopę wysoko spadnie, gdzie grad i śnieżne zawieje do mieszkań szturmują, tam dachy w cienki klin stawiają, dla

szybszego odpływu wód i zsunięcia się gradu i śniegu, a otwory do przewiewu powietrza opatrują okiennicami i szklannemi szybami dla powstrzymania natarczywości wiatru i burzy i zachowania w piecach potrzebnego ciepła.

Ludzie jako panowie ziemi wszędzie mogą przebywać, i wśród żaru słonecznego pod równikiem i wśród przejmującego wszystko skostnieniem mrozu w obu podbiegunowych okolicach, w dolinach i parowach, na wyżynach i szczytach gór, na krawędziach pustyń, nad rzekami i morzami; na podobieństwo więc jaskółek o prostem gnieździe, lub pszczół z ich komórkami, jednostajnych mieszkań mieć nie mogą, ale należy im się do miejsca stósować, swoje osiedlenie się odpowiednio do zewnętrznych potrzeb urządzać, a jak te nieskończenie są rozmaite, i zwiększają się lub pomniejszają, tak i ludzie swoje zajęcia domowe do nich zastosowywać są znagleni.

Różności.

Izby chorych Starać się trzeba o świeżo w nich zawsze powietrze. Izby świeżo tynkowane lub bielone są niezdrowe; trzeba je wprzód dobrze przewietrzyć, aż się pozbędą zaduchu. Ktoby od pobytu lub spania w nich ucierpiał, niech używa często ciepłego klejkowatego napoju, zaprawionego octem do małego kwasku i niech się miernie ciepło zachowa.

Popiół. Zbierać go należy troskliwie w domowem gospodarstwie, szczególniej na wsi, bo oprócz użycia na ług do prania, posłużyć może jako dobry nawóz, osobliwie gdy się go przysypie do innych gatunków nawozu. Zoliny nawet po robocie ługu bardzo dzielnym są nawozem. Troszka popiołu w szmatce zawiązana i w wodzie gotującej się a twardej zanurzona, czyni tę wodę miękką i zdolną do gotowania wszelkiego warzywa.

Mleko zażywane zaraz po wydojeniu, wzmacnia przychodzących do zdrowia; lekarstwem jest także na suchoty, a w tym razie mleko klaczy i kozy lepsze jeszcze od krowiego.

Czosnek. Ukąszeniem od żmiji zadaną ranę naparzyć naprzód przez kwadrans ciepłem mlekiem, a potem wcierać w nią sok z czosnku lub cebuli. Czosnek w potrawach jest bardzo zdrowy, byle nie zbyt używany. Chcąc aby go nie było słychać

z ust po użyciu, żuć trzeba przez chwilę korzonek lub nać pietruszki, a ta uśmierzy niemiłą woń czosnku.

Czad czyli swąd pochodzi z pieców świeżo podlepionych i wtedy jest najmniej szkodliwym po pierwszem ich ogrzaniu. Nie jest także niebezpieczny, jeźli przyczyną jego są nieczystości i kurz na wierzchu pieca zgromadzony, który przed każdą zimą same ochędostwo omiatać każe. Lecz szkodliwym jest swąd wtedy, gdy powstaje z pieców opalanych torfem, węglem kamiennym lub czemkolwiek przepalonych; a najszkodliwszym, jeźli go rozszerzy piec wcześnie zatkany. Wtenczas utworzony wewnątrz pieca kwas węglowy, rozchodzi się po izbie i jak smutne nauczyły doświadczenia, zwłaszcza uspione osoby, o ciężką niemoc lub nagłą śmierć przyprawić może; wtedy należy odświeżyć powietrze w mieszkaniu przez otworzenie drzwi i okien i postawienie na piecu i w jego okolicy na ziemi naczyń ze śniegiem lub wodą, do której kwas węglowy znaczne mając powinowactwo, łączyć się z nią będzie i wkrótce ten szkodliwy rodzaj powietrza z izby wyciągnie. Ten środek przyczyni się jeszcze do prędszego ostudzenia pieców rozpalonych. Nieznośny także i szkodliwy swąd wydaje piec rozpalony, gdy na jego wierzchu znajduje się jaka tłustość rozlana; wtedy należy zasypać plamę grubą warstwą suchego piasku, który tłustość wciągnie w siebie i zapobieży rozchodzeniu się nieprzyjemnego swędu.

Utrzymywanie naczyń do masła. Ługiem z popiołu przesianego, lub odwarem pokrzywy, ż e g a w k ą zwanej, czyszczą się wszelkie używane do zbierania masła naczynia, po każdem ich użyciu. Szczególnie tłuczka lub maślnica, zaraz po odlaniu maślanki i wyjęciu masła, ze wszystkiemi do niej należącemi częściami, troskliwie się wymywa, słomą wewnątrz i zewnątrz szoruje i wsparta na czem, stawia się otworem do dołu ażeby ociekła i wyschła. Słowem nigdy maślnicy użyć nie należy, dopóki jak najskrzętniej oczyszczona nie będzie. Bez tej ścisłości ochędostwa tworzy się zwolna na wewnętrznych bokach naczynia sól kwaśna, bardzo nabiałom szkodliwa.

Przypowieści polskie.

Z a m o j s k i arcybiskup lwowski mawiał: Zbieram pieniądze, ale jak mi żal dać sześć groszy na próżno, tak wszystkiego zbioru nie żałuję na pożytek ojczyzny, lub dobro kościoła.

Ż ó ł k i e w s k i hetman, zawsze sobie we wszystkich przygodach tę piosnkę nucił: Dobrego szczęścia każdy dopomoże, ale w złym razie tylko Ty sam Boże!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 2.

11. Stycznia 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wit Stwosz,

który chwalebną pracą rąk swoich zjednał sobie wiekopomną sławę.

III.

Przecież Stwosz choć w całem mieście, ba w kraju całym szanowany, kochany i sławiony, choć miał pokój domowy i z prac swoich dochód jakiegoby mu niejeden pozazdrościł nie czuł się szczęśliwym i smutek wewnętrzny serce jego ogarnął. Różnił się on tem od ludzi zwyczajnych, którzy, gdy im się zacznie lepiej powodzić, zaraz się pychą uwodzą i głowę zadzierają do góry; on przeciwnie zwiesił głowę smutno, zamiast ją zadrzeć. Zaczął więc badać serce swoje, ale serce nie powiedziało, czego mu niedostaje, tylko tłukło się w piersiach i nie chciało się uspokoić. I cóż było tego przyczyną? Oto, że jak sercu w piersiach, tak Stwoszowi zaczynało być ciasno w ojczyźnie. Tu już nie mógł doznać większej chwały nad tę, którą miał, a tą już się nasycił; czuł zaś w sobie siłę wielką do pracy, czuł że jeszcze wiele

i pięknych rzeczy zrobić może. Nie był chciwym zarobku, którego w domu mógł mieć podostatkiem, ale pragnął większego rozgłosu dla swoich dzieł, pragnął sławy szerokiej w całym świecie.

Z rozmaitych dalekich krajów przybywali do Krakowa kupcy z towarami i po towary, a było pomiędzy nimi wielu Niemców. Stwosz, który jeszcze był nie wyjrzał po za granice rodzinnego kraju, miał często sposobność stykać się i rozmawiać z nimi. Dziwne rzeczy rozpowiadali mu o wspaniałych miastach niemieckich i tamtejszych kościołach, o sławnych mistrzach co gmachy boże zdobili. Chciwie słuchał ich opowiadania Stwosz, a po każdej takiej rozmowie stawał się jeszcze smętniejszym i bardziej niespokojnym. Dla czegożby i on nie mógł tego dokazać co tamci majstrowie? Korciło go pokazać Niemcom co Polak umie.

— Niech obaczą, a potem powiedzą kto lepszy i tęższy, myślał sobie. Czyż to za darmo spotkała mię taka chwała w ojczyźnie, że mię tu mają za najpierwszego? Czy na nią nie zasłużyłem? A przecież tam w tych Niemczech nie półbogi jeno ludzie mieszkają, tacy jak my i tak jak my dłutem rzezają posągi z drzewa tylko, albo z kamienia... Ej... kto wie? mówił głos wewnętrzny; może się tam wstydem okryję? Może mię jeszcze wyśmieją? Nie, nie, to co oni, to i my potrafimy, nie święci garnki lepią.

Niepewność losu pomiędzy obcymi, w nieznanym kraju, wstrzymała go na chwilę w powzięciu stanowczego postanowienia, ale nie zdołała wybić mu całkiem z głowy myśli co się tam rakiem wszczepiła.

Przeczucie mówiło: Na co się włóczyć po świecie? masz w ojczyźnie wszystko czego człowiekowi do szczęścia potrzeba. Nie ciskaj o ziemię, nie depcz tego szczęścia abyś kiedyś nie żałował!...

A żona? a dzieci? także to mało dbasz o nie, że je chcesz porzucić?

Myśl o żonie i dzieciach, zakłopotała go.

— Prawda, nie podobna ich zostawić samym sobie: tak... lecz można im nadać opiekuna.

Wita tę myśl jakby z nieba zesłaną. Zdaje mu się, że już wszystko przewidział i obmyślał. Odetchnął więc, ale ciężko, ale boleśnie. Czuje że jest na złej drodze, lecz cóż począć kiedy serce nie chce umilknąć.

Zamiar wyjazdu do Niemiec, nie opuszcza już Stwosza ani na chwilę. Nim tylko zajęty, o podróży marzy przy pracy i przy nocnym spoczynku, nawet wtedy gdy dziecię tuli do łona.

IV.

Jest w Niemczech miasto Norymberga, które już za czasów Wita Stwosza dziwnie było piękne i ozdobne. Właśnie pod tę porę wzniesiono tam wspaniały kościół ku czci św. Sebalda i postanowiono wystawić odpowiedni nagrobek do przyjęcia zwłok tego świętego. Zarząd kościelny zasłyszawszy o Wicie Stwoszu, wezwał go do Norymbergi, aby dał abrys na wspomniony grobowiec. W samą porę otrzymał Stwosz to wezwanie. Pomiędzy bracią cechową byli tacy co zachęcali do drogi, byli i tacy, co odradzali. On jednak nie namyślał się długo i postanowił wybrać się w podróż niezwłocznie. Jakoż ustanowiwszy dla żony i dzieci opiekuna i wystarawszy się o listy zaletne od znakomitszych osób, pojechał. Nie tak miłe jak się spodziewał, wrażenie zrobiła na nim Norymberga. Na nic jednak nie zważając, poszedł prosto na ratusz, przedstawił się panu burmistrzowi, bo niegdyś w każdem mieście niemieckiem burmistrz miał prawie nieograniczoną władzę, oddał listy zaletne, które przywiózł z sobą z Polski i oświadczył swoją chęć do pracy.

Dalejże potem rozglądać się po mieście. Bardzo mu się tu podobało. Miasto schludne, piękne, kamienice ozdobne, kościoły pełne rzeźb i obrazów najcelniejszych mistrzów. Ale ludzie... ludzie niestety nie tacy byli, jak ci, których zostawił w mieście rodzinnem. Ach bo też to ludność krakowska od wieków słynęła z osobliwszej uprzejmości i dobroci serca.

Stwosz chciał się zaznajomić z majstrami, chodził więc od jednego do drugiego, oglądał ich roboty. I cóż znalazł: oto byli tu biegli w robocie, a nawet sławni w całym świecie mistrze, byli tacy, nad których dziełami zdumiewał się; ale serca nie było nigdzie, nikt nie wyciągnął do niego ręki przyjaźnej, nikt go nie powitał jak brata. Co gorsza, wszyscy udawali jakby nic zgoła nie wiedzieli o tem, że został tu umyślnie wezwany. Widocznie gniewało ich że obcy przybysz przychodzi pomiędzy nimi pracować, w czem przebijała się widocznie i zazdrość i chciwość. Ktoś zapytał go niewcześnie zkąd weźmie czeladź do pomocy, czem nareszcie oburzony do żywego Stwosz odpowiedział hardo:

— Nie poczekacie długo moi panowie majstrowie, a wszystkich was na czeladź zabiorę.

Odpowiedź ta zrobiła mu w Norymberdze wielu nieprzyjaciół, Stwosz jednak nie zważał na nich, lecz zabrał się do pracy, do owego grobowca św. Sebalda. Nie łatwe to było zadanie. Chciał się popisać nietylko dla sławy, ale oraz aby upokorzyć Niemców, którym nie mogło pomieścić się w głowach, aby taki, co się nie w ich cechu wyzwalał, mógł im dorównać Po niejakim czasie, wyrozumiawszy czego od niego wymagano i rozpatrzywszy się należycie co i jak można było zrobić, przedłożył żądany rysunek. Niemcy potracili głowy, zdumieli się na widok tego dzieła. Dalejże teraz kłaniać się mu, winszować, a zapraszać aby się na zawsze osiedlił w Norymberdze. Co się tam działo w ich sercach, ile było fałszu i obłudy w tych niespodziewanych oświadczeniach, o tem mówić nie będziemy. Wit Stwosz może się domyślał czem pachnie ta nagła zmiana, bo ani chwili dłużej nie chciał zatrzymać się w Norymberdze i niebawem zaczął się wybierać z powrotem do Krakowa.

V.

Cudnie rysują się na błękicie niebios dumne mury starego Krakowa, smukłe wieże licznych jego świątyń, mnogie a mocne baszty i floryańska brama. Zaledwo wejdziesz w miasto,

aliści staje przed tobą jak olbrzym Maryacki kościół z najwyższą w całej Polsce wieżą, a dalej, dalej na skale ujrzysz stary zamek królewski, u stóp którego święta nasza Wisła toczy poważnie nurty swoje srebrne. Po ulicach lud się uwija rzeski, czerstwy, wesoły, a dziwnie serdeczny, krzesze ognia podkówką, brzęczy kółeczkami u pasa, pyszni się karazyą ciecioć jakoś kółeczkami srebrnemi wyszywaną i pawiem piórkiem u czapki czerwonej. Ówdzie mieszczka w bogatej aksamitnej jupce, sobolami podszytej, w czepcu z dyamentami, sunie ulicą poważnie, tam mieszczanin krakowski w bogatym stroju, dumnie wąsa pokręca i spieszy ku sukiennicom, tu znowu szlachcic jakiś w dworskiej barwie na dzielnym rumaku sadzi ku zamkowi, pewno dworzanin królewski.

Stwosz zaledwo wjechał w miasto, zatrzymują go znajomi, witają z dalekiej drogi, ale on się im wyrywa, spieszy do żony i dzieci. Żona ujrzała go zdaleka, wybiega co żywo na przeciw, dzieci za nią. Dopieroż to witanie nad wszystkie witania. Ona sobie a dzieci sobie. Ojciec uradowany, bo wszyscy żywi i wszyscy zdrowi, bierze jedno po drugiem w objęcia i przyciska do łona. Weszli do izby — wszystko tak samo jak było przed rokiem. Teraz zaczęły się dopiero wylania serdeczne i ciche zwierzenia — aż oto przychodzą zniecierpliwieni już sąsiedzi powitać przyjaciela, wypytują troskliwie o zdrowie, o przygody. Ileż to serca, ile poczciwości w tem wszystkiem. Bogdaj to w domu! bogdaj to między swymi! A gdy już pierwsza zaspokojona ciekawość i pierwszym serca popędom zadość uczynione, zaczyna się gawędka o rzeczach publicznych, co słychać w mieście? w kraju? Pierwsza nowina, że stary król umarł, i teraz syn jego zasiada na tronie; jakim będzie? czy ojcu dorówna, czy go może przewyższy, któż to wie? I kanonik Długosz poszedł już na wieczny spoczynek, z miasta też nie jeden ze starych znajomych przeniósł się do wieczności. Smutny obrót wzięła rozmowa, domowi i goście pozwieszali głowy i zadumali się. Tak to zawsze na świecie, nie ma szczęścia do któregoby się nie przymieszała choć jedna gorzka kropla.

W całym Krakowie wiedziano już jak się Wit wsławił w Norymberdze, mówiono o nim w zamku królewskim i na dworach panów. Właśnie pod porę zamyślano postawić w katedrze krakowskiej wspaniały nagrobek zmarłemu niedawno królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi; któżby tej pracy lepiej jak Stwosz podołał? Podjął się chętnie tego zadania, boć stawiać nagrobek potężnemu królowi to nie lada zaszczyt. Po krótkiem na łonie rodziny wypoczynku, wyrwał się z objęć ukochanej żony i rozkosznej dziatwy, do nowej pracy i z martwej bryły marmuru wyciosał posąg królewski na sarkofagu ozdobionym najcudniejszą rzeźbą. Dokonawszy tego dzieła, które wznieciło podziw całego kraju i do dziś dnia podziwiane jest przez znawców i nieznawców, uczuł w sercu to zadowolenie, które daje poczciwa praca, należycie oceniona przez tych co mają prawo wydać sąd o niej. Teraz już przycichło serce jego, co niegdyś tak niespokojnie tłukło się w piersi, i zapragnął tego najmilszego ze wszystkich szczęścia, które daje dom i rodzina. Ożywiła się ozdobna w jego domu świetlica, bo często zdarzył się gość i szybko wieczorne płynęły godziny na miłej gawędzie. Zasmakowawszy w słodyczach domowego pożycia, dziękował Bogu że mu pozwolił wrócić szczęśliwie na łono rodziny i postanowił już nigdy jej nie porzucić.

Ale szczęście człowieka, to bańka mydlana co się rozpryśnie za lada powiewem, to blask pruchna, co gaśnie przy najlżejszem światełku. Czemże są wszystkie układy nasze w obec wyroków przeznaczenia, w obec woli Bożej co nami kieruje? Szczęście Stwosza nie długo trwało i zagasło na zawsze... umarła mu żona, dzieci jedno po drugiem pomarły i został mu tylko syn jedyny, który już podrastał i nie potrzebował jego opieki. W sercu Stwosza zamieszkała boleść nie wszystkim znana, która się już nigdy nie miała zagoić.

(Dok. nast.)

Trzej Królowie.

Od wschodu słońca jadą królowie,
Złote korony mają na głowie,
Złote korony, płaszcze z purpury;
Siwe wielbłądy wiozą ich dary,
A przez nieznanych krain obszary
Cudowna gwiazda wiedzie ich z góry.
— Gdzie też Syn Boży obrał mieszkanie?
Czy na Syonie, czy na Libanie,
Zbudował pałac swojej osobie?
A w tym pałacu jakie tam łoże?
Jakie zasłony wiszą z szkarłatu?
Może nas straże nie puszczą? może
Olśni nas straszny blask majestatu? —
Tak sobie mówią i uzdą złotą,
Naglą garbate pustyń wielbłądy;
Z gorącej wiary żywą tęsknotą
Przebrnęli rzeki, przebyli lądy,
Ale daremnie czujny wzrok silą,
Nie widać stropów Pańskiego gmachu;
Serca im w piersiach drżą od przestrachu,
Czy ich obłędne drogi nie mylą?
Lecz nie, na jasnym niebios przestworze
Cudowna gwiazda błyszczy przed niemi.
W dali różowe płoną gdzieś zorze,
Srebrzysty księżyc przyświeca ziemi.
A na tej ziemi jakiś nieznany,
Jakiś weselny powiew radości;
Śpiewają wody, gaje i łany,
Drżąc tajemniczem tętnem miłości.
Więc trzej królowie z słodkiem wzruszeniem
Czegoś się cieszą wespół z przyrodą;
Za przewodnicy jasnym promieniem
Siwe wielbłądy same ich wiodą,
Wiodą ich górą, wiodą doliną,
Jak wiatry wieją, strumienie płyną.
Ale o dziwy! cudowna gwiazda
Nagle na jasnem stanęła niebie.
Stójcie mocarze! skończona jazda,
Zdziwione oczy zwróćcie przed siebie;

W tej oto szopce, w tym nędznym żłobie
Dzieciątko Boże na sianku leży;
Marya je wdzięcznie garnie ku sobie,
Cisną się w koło tłumy pasterzy.
Cisną się, biegną — w świętym zachwycie
Nikt ziemskiej doli trosk nie pamięta
Patrzcie królowie! Niebieskie Dziecię
Wyciąga ku nim Boskie rączęta;
A te prostaczki w siwych sukmanach,
Te ogorzałe biedne pastuszki,
Pierwsi doń spieszą i na kolanach
Całują śliczne panięcia nóżki.
Potem z wiernego serca szczodroty
Każdy w ofierze składa co może:
Ptaszki, jagniątka, i dar sieroty
Kwiat, co samotne zdobił rozdroże.
Lecz z tej radości, z tego wesela,
Jeszczeby uczcić chcieli to Panię,
Nuż więc piosenki, nuże kapela,
Niechaj je wdzięczne ucieszy granie!
I płyną tony slodką hosanną
Anielskie głosy do choru dźwięczą.
Siwy dziad Józef z Najświętszą Panną
Jak dwie schylone lilie klęczą,
A trzej królowie z świętą pokorą,
Niosą kadzidło, mirrę i złoto.
Boża Dziecina rączyną skorą
Przygarnia wszystko z wdzięczną ochotą,
I wraz wspaniałe królewskie datki
Miesza z wieśniaków chudobą biedną:
Kadzidło razem z leśnemi kwiatki,
Złoto i snopy kłosów za jedno.
A potem zwolna oczki promienne
Jak dwa modrzaczki ślicznie przymyka;
Marya kołysze nieboźę senne,
Cichnie radośna grajków muzyka,
I wkrótce jedna tylko multanka
Jak rozkwilone ptaszę przygrywa,
A rozbudzone echo poranka
Taką się zdaje pieśnią odzywa:
Króle, pastuszki! wszyscy co społem
Bogu się w szczerej korzycie wierze,

z nachylonem pokornie czołem
Niesiecie dary wasze w ofierze!
Pomnijcie, że On w jednej ma cenie
Wszystko czem swoje opatrzył dzieci;
Nad najcudniejszych blasków kamienie
Nieraz tak kwiatek wdzięczniej Mu świeci.
I ten jedynie przed Bożym tronem,
Złoży najdroższych skarbów ofiarę,
Który Mu w sercu da nieskończonem
Najżywszą miłość, najczystszą wiarę.

I. M.

Zwyczaje i obyczaje w Holandyi.

Wzorem czystości holenderskiej jest wielka, piękna wieś Broek, gdzie często na stare lata osiadają bogaci kupcy, dla wypoczynku w tem miłem ustroniu. Prawie wszystkie domy są drewniane, zbudowane na piętro, z dachami pokrytemi dachówką. Nie są wielkie ale ozdobne i żywemi kolorami pomalowane a często odświeżane. Okna są wielkie, jasne, ozdobione śnieżnej białości firankami. Przed każdym domem jest ogródek. Ulice są tak wązkie, że wozem nie przejedzie, ledwie dwóch lub trzech ludzi może iść razem; aby nikt konno nie jeździł, ulice są zastawione, koń, krowa, owca nie śmie pokazać się na ulicy. Bruk jest zrobiony z wązkich cegieł na czerwono i niebiesko wypalonych, poukładanych w najrozmaitsze wzory, przez co ulice wydają się jakby wysłane tureckiemi kobiercami. Na bruku nie widać nigdy śladu błota, mieszkańcy bowiem myją go ciągle i posypują kwiatami lub piaskiem. Podróżni muszą stawać w karczmie znajdującej się za wsią. Nie tylko wszelkie drewniane naczynie w domach, ale nawet parkany, nawet pale na łąkach, o które się bydło trze, są pomalowane i pięknie powyrzynane.

Każdy dom ma dwoje drzwi, jedne od tyłu, któremi się codziennie wchodzi i wychodzi, drugie z przodu i te otwierają się tylko w razie chrzcin, wesel i pogrzebów. Drzwi przodowe

są ozdobione rzeźbą i wyzłacane. Nad niemi są umieszczone figurki malowane i złocone, przedstawiające czem się trudni lub trudnił właściciel domu. Ogródki przed domami są zadziwiająco piękne. Korony drzew poobcinane a pnie od spodu pomalowane białą farbą olejną. Z krzewów porobione są bramy ozdobne, a obok z bukszpanu powycinane najrozmaitsze zwierzęta. W środku ogródka zrobiona jest szczególniejsza ozdoba, przedstawiająca siedzącego na beczce Holendra lub Turka palącego fajkę lub niezmiernej wielkości kosz kwiatów trzymającego, z pośrodka których wygląda figurka w postaci ogrodnika, pomalowana na biało, z pozłacanemi rękami i nogami. Ścieszki wysypane są kolorowym piaskiem, pomieszanym z paciorkami szklannemi, kolorowemi kamyczkami i muszelkami. Gdy się kto obcy we wsi pokaże, wszyscy mieszkańcy chowają się jak ślimaki do swoich domków i zamykają drzwi na klucz. Zdarzyło się raz że jakaś bogata pani przyjechała do Broek — chociaż widziano że ma na nogach jedwabne trzewiki, wysłano za nią dziewkę z mokrą ścierką, aby zaraz myła każde miejsce gdzie stąpi Jest tam bardzo dobrze urządzony dom sierót. Nadzwyczajna czystość jakiej tam przestrzegają, wywiera zadziwiający wpływ na zdrowie biednych dzieci. W każdej izbie, na każdym ganku leży rozpostarte płótno, zawsze jak śnieg białe Wygodnie i wspaniale jest urządzony każdy dom. Sienie są pięknie malowane, drzwi ozdobne. W kuchni znajduje się wielki zapas naczyń miedzianych i cynowych, lśniących połyskiem i naczyń stołowych srebrnych. Izby są wysłane przepysznemi kobiercami. Stajnie, w których bydło nie stoi od maja do listopada, bo przez cały ten czas zostaje na łące, odznaczają się zadziwiającą czystością, widne, pięknie pomalowane i wymyte, zaopatrzone w wygodne do siedzenia sprzęty. Wreszcie jest jeszcze opodal zbudowana z wielkim kosztem altana na wodzie, przyozdobiona wewnątrz przecudnemi rzeźbami i źwierciadłami, która do niczego nie służy, tylko na to aby tam parę razy do roku godzinkę posiedzieć. W około altany pływają łabędzie, ale blaszane, żywych zaś nie trzymają dla tego, aby nie psuły brzegów. Jakim sposobem Holendrzy

przychodzą do bogactw, które im pozwalają na takie zbytki i wygódki, na to nie trudno odpowiedzieć: oto pracowitością, oszczędnością i umiarkowaniem. Prowadzą też rozległy handel: wszystko co z ich kraju pochodzi, wszystko co się holenderskiem nazywać może, uchodzi w świecie za najlepsze, jak np. krowy holenderskie, masło i ser, śledzie i łososie, dachówki, płótno i papier, deski i sukno, fajki i tytoń, srebro i złoto, osobliwie dukaty, młyny i wszelkie budowle wodne, szczególnie zaś słynną jest w świecie holenderska uczciwość, wierność i waleczność. Mieszkańcy Broeku dorobili się głównie majątku na handlu zbożem i drzewem.

Niedaleko ztąd leży miasto Saardam sławne z wielkiego mnóstwa fabryk, które się tam znajdują. Pokazują tutaj mały domek, w którym (1697) mieszkał Piotr Wielki car moskiewski, gdy przebrany za czeladnika ciesielskiego pracował w tutejszych warsztatach dla wyuczenia się budowy okrętów. Saardam doświadczyło kilkakrotnie zalewów od morza. Jest w Holandyi jeszcze wiele innych miast bardzo pięknych i bogatych. Z tych najgłówniejsze nazywa się Amsterdam, zbudowane nad morzem i poprzecinane mnóstwem kanałów, które tworzą 10 wysp, a te połączone są 190 mostami. *St. Kr.*

Z nauki zdrowia.

Zagorzenie i uderzenie od piorunu.

Z a g o r z e n i e. Zagorzenie jest to zaduszenie pochodzące z wyziewów, które napełniając powietrze zamknięte, tak go psują, iż w niem równie jak w wodzie oddychać nie można, a przez to człowiek jest uduszony.

Te szkodliwe wyziewy okazują się w kopalniach, w grotach i sklepach podziemnych, w piwnicach długo zawartych, lub gdzie wino, piwo i miód burzą się i robią. Nigdy nieostrożnie, i bez niesienia przed sobą ognia wchodzić w nie nie należy; jeżeli ogień gaśnie, cofać się zaraz potrzeba. —

Psuje się powietrze w izbach wielu ludźmi napełnionych; toż gdzie wiele świec i lamp się pali; wiele ziół mocno pachnących i kwiatów wonnych zostawionych w nocy w izbie spiących, co wielu pozbawiło życia. Najpospolitszy zaś przypadek śmierci jest z węgli rozżarżonych, zatkanych i z pieców przepalonych.

Sposoby ratowania są: jeżeli zaduszenie nie odbiera zupełnie zmysłów, lecz sprawia tylko zemdlenie, zawrót głowy, i mocne osłabienie, dosyć jest wynieść chorego na świeże powietrze, omywać twarz, a jeżeli potrzeba i całe ciało zimną wodą, z trochą octu zmieszaną; dać wąchać mocne spirytusy i pić wodę z octem. Lecz chociaż chory utracił zupełnie zmysły i nie okazuje znaku życia, to i wtedy ten sam prawie ratunek służy, co utonionemu, (o czem już obszernie pisaliśmy w poprzednim tomie „Dzwonka“ na str. 281.) tylko z różnicą, iż zaniosłszy chorego na świeże powietrze, lub w izbie, gdzie okna są otwarte, rozebrawszy i położywszy na krzyże z podniesioną nieco głową, oblewać go należy zimną wodą. Dalej służy kąpiel kroplista, jak dla utonionych, wpuszczanie do płuc powietrza, pobudzanie do kichania, rozcieranie twarzy, skroni, piersi, dołka serca, brzucha, krzyżów, stawianie baniek na pępek i dołek, łechtanie gardła, enemy z tytoniu i inne drażniące sposoby, nakoniec użycie machiny elektrycznej, lub galwanicznej kto może. Jeżeli te sposoby nie skutkują, to należy wsadzić ratowanego w kąpiel ciepłą, albo w popiół lub piasek zagrzany, i wtedy wpuszczać powietrze w płuca jak utonionym, i często powtarzać. Gdy zaś chory poleży godzinę w kąpieli lub w ciepłym popiele, znowu cały ratunek wyżej wymieniony powtórzyć.

W każdym przypadku uduszenia, gdy chory daje znak życia, t. j. gdy się piersi rozprzestrzeniają, czkawka czasem następuje, nos zaczyna puszczać powietrze, z ust wychodzi gęsta i pienista flegma, nie należy przestawać starań, ale je zwolnić i powoli rozcierać, ogrzewać, nakoniec powtarzać te wszystkie działania, lecz zwolna, póki nie wróci do zupełnego życia. Wszelki zaś ratunek w tej chwili gwałtowny, zgasić może iskierkę powracającego życia. To zaś, jeżeli zupełnie

wraca zagorzałemu, wtedy zwykle następuje ściskanie szczęk, które wstrzymać można, rozcierając olejkiem kamforowym. Jeżli jest skłonność do womit, pomagać łechtaniem gardła, piciem letniej wody, lub daniem na womity. Należy obwinąć ciało w chusty suche ogrzane, rozcierać ciało chustami, gorzałką skrapianemi, wlać w usta wody z octem, lub wina parę łyżek. Nakoniec, jeżeli jest gwałtowne bicie serca, uspokoić je przykładaniem na dołek chust maczanych w winie wolno zagrzanem, lub nóg moczeniem.

Uderzenie od piorunu. Rażonego piorunem podobnie ratować należy, jak pozbawionego zmysłów z zagorzenia, t. j. na świeżem powietrzu oblewać wodą zimną całe ciało, osobliwie dołek serca, głowę okładać wodą z octem, rozcierać szczotkami, suknem lub kuczbają maczanemi w wodzie; szczególniej grzbiet, ręce, uda i pięty, łechtać nos, wpuszczać w płuca powietrze, użyć kąpieli kroplistej, poczem kąpieli letniej przez godzinę, po której położyć w pościel dobrze ogrzaną. Często udaje się następny sposób: wykopać dół, a raczej rów w ziemi na pół łokcia głęboki, położyć w nim chorego nago, cokolwiek na prawą stronę obróconego, z głową podniesioną, przysypać go ziemią lekko aż do szyi, wysoko na ćwierć łokcia; tak ma poleżeć przynajmniej godzinę; przez ten czas skrapiać twarz ciągle zimną wodą i wpuszczać w płuca powietrze, wzbudzać kichanie jak u utonionych. Gdy to nieskutecznem się okaże, nie należy zaprzestawać starań do kilku godzin, t. j. rozcierania, ogrzewania; należy dawać lekarstwo domowe z tytoniu, wpuszczać znowu powietrze w płuca itd. Ale prawie nigdy krwi puszczać nie należy, chyba gdyby rzadkim przypadkiem okazało się gwałtowne jej bicie do głowy, za poradą lekarza trochę upuścić jej można.

Gdy uderzony od piorunu wraca do życia, wtedy rozcierać rażonego wódką kamforową, okładać chustami maczanemi w winie, na głowę kłaść chusty maczane w wodzie zimnej z połową octu. A jeżeli później (co się często dzieje) powstaje zawrot głowy, szum w uszach, mówienie od rzeczy i konwulsye, należy moczyć nogi w wodzie letniej z solą i

i gorczycą i okładać znowu głowę wodą zimną z octem; wreszcie wezwać lekarza.

Temi sposobami ratuje się **powieszonego**, lub **dziecię przyduszone**. W obu razach, jeżeli szyja i twarz jest nabrzmiała, oczy wyszły na wierzch, wargi są sine, żyły na skroniach i na szyi mocno nabrzmiałe, należy krwi trochę z szyi lub z nogi upuścić, lub pijawki na szyi lub za uszami postawić. Dziecięciu po jednej pijawce za każdem uchem. Wreszcie służą sposoby wszystkie do zbudzenia oddechu i krwi biegu przy utonionych opisane. Ostrzega się jednak, iż w tych razach dawanie do wąchania rzeczy mocnych i tęgo pachnących, jest bardzo szkodliwe, zwłaszcza dzieciom

Ludy, których dzikie owoce jedynem są pożywieniem.

Weźmy naprzód pod rozwagę ludy w gorącej strefie na urodzajnej ziemi zamieszkałe, gdzie dziko rosnące rośliny, dostatecznego im dostarczają pożywienia, jak n. p. pokoleniom murzynów w środkowej Afryce. Tu w tego rodzaju okolicach las z dzikiemi swemi owocami skłania rodzinę do zatrzymania się na tem miejscu, jako dogodnej dla siebie osadzie. Nic tu nie przynoszą ci ludzie ze sobą, bo tu wszystko znajdują, czego im potrzeba, a oni właśnie bardzo mało potrzebują. Zapaska z piór ptasich lub liści, całą ich odzież stanowi; cień gęstych drzew przez większą część roku jest ich domem, a ziemia łożem, a ręka pod głowę podłożona, poduszką.

Murzyni wiele chwil wywczasowi poświęcają, bo żar słoneczny osłabia ich członki, a gdy nie wiele im posiłku potrzeba do utrzymania ciepła w swem ciele, pod tak skwarnem niebem, i nic ich nie znagla do starania się o dostatnie pożywienie dla zastąpienia niem zużytych sił; tak więc nabycie pokarmu powszedniego, którym natura hojnie mieszkańców raczy, nie wiele zachodu wymaga. Nie więcej się troszczą, co będą jeść, jak ptacy polni niebiescy, a mniej okazują o swoje

utrzymanie starania, niżeli mysz, skrzeczek lub pszczoły, obfite zapasy na długą zimę zgromadzać nawykłe; bo tam i zimy nie ma; gorący rok przedzielają tylko dwie deszczowe pory, w czasie których ludzie w jaskiniach przebywają lub kryją się w gęstwinie gałęzistych drzew, gdy tymczasem chmury błogosławioną rozlewają wodę, a spragnioną roślinność orzeźwiając, przyczyniają się do jej świeżego zakwitnienia i okrycia się owocami. Należą tu zaś godne uwagi drzewa.

Na południowej stronie gór Atlasu rośnie palma daktylowa tak obficie słodkim darząca owocem, że kilka tych drzew może wyżywić przez cały rok rodzinę z kilku osób złożoną. W zupełnej swej dojrzałości co do wzrostu od 30 do setnego do roku wydaje 15 do 20 wielkich gron. do sześciu stóp długości mających; każde grono składa się z kilkudziesięciu mniejszych gronek, na każdem zaś z nich znajduje się do 30 daktyli. Tak więc jedno drzewo niesłychaną ilość owoców dostarcza. Palma oliwna nad Złotem Wybrzeżem wszelkie potrzeby murzynów zaspokaja; z niej oni budują chatę, z włókien mają nici, sznury, przędziwo, liście służą na karm dla owiec i kóz, z soku robią rodzaj wina, a z orzechów otrzymują bardzo użyteczną oliwę. Te same korzyści okazuje i palma Delek, która w poprzek środkowej Afryki, nad brzegami stojących wód, całe lasy stanowi i miejsce palmy daktylowej zastępuje. Te i inne drzewa same się zasiewają, a jeżli je staranna ręka ludzka pielęgnuje, co z łatwością przychodzi, to wnuków i prawnuków od niedostatku ochraniają wybornym owocem, który samo słońce gotuje, słodzi i przyprawia.

Życie wszakże człowieka w tych gorących krajach, pomimo łatwego wyżywienia się, ma także swoje niedogodności. Żeby człowiek jak ślimak lub żółw nie ociężał lub nie zmartwiał, rozbudza naturą bezczynnego, nieustannym bez wytchnienia napadem robactwa i owadu, przed którem bronić się, namioty i tkaniny wynajdywać jest znaglony; i aby mu i w chroniącym go namiocie nie dać pokoju, i do walki odpornej pobudzić, zagraża mu pełzający jadowity wąż, krwiożerczy tygrys i straszliwy olbrzymi kot lew. Człowiek więc od urodzenia

bezbronny, dla własnego zabezpieczenia się rad nierad musi przemyślać o broni, gałąż na łuk napinać, włókna palmowe skręcać na cięciwę, strzałę zaostrzać, trucizną napuszczać i stać na czatach. Wtedy zacięta walka rozpala w nim wzburzoną krew, chytry, zajadły, mordu chciwy nieprzyjaciel przyzwyczaja go do podstępów, zaciekłości i grozy, a tak staje się dzikim i z błahego często powodu z tą samą bronią i rozwściekleniem rzuca się na swego nawet bliźniego. Sąsiad morduje sąsiada, a jak zabitego zwierza, pożera zwyciężonego nieprzyjaciela; jak tygrys chłepcze krew jego. Nie rozwija on sił swoich na użycie ludzkości przydatnych, ale jedynie udoskonala je w obronie od napaści, w polowaniu, w zapasach i niszczeniu wszystkiego.

Różności.

Lepsza królowa Polka. Za króla polskiego Michała zaciągniono kilka tysięcy Kozaków, którym nie dawano ani prowiantu, ani strawnych pieniędzy. Gdy podali prożbę do królowej Eleonory arcyksiężniczki austryackiej, uskarzając się na swą krzywdę, wtedy królowa wzwyczajona wszystkim Polakom, o co tylko ją prosili odpowiadać z włoska; *molto bene, molto bene,* (bardzo dobrze) bo nie umiała polskiego języka, i do Kozaków wołających: p o z d y c h a m a z h o ł o d u, swoim zwyczajem rzekła królowa: *molto bene, molto bene,* nie rozumiała bowiem czego chcą

Dawne przypowieści.

Człowiek bez cnoty, uroda bez serca, serce bez siły, za nic nie stoją.

Z konia chromego, psa leniwego, chłopa pijanego, jednaki pożytek.

Próżnowanie w nędzę, swawola w grzech, zbytek w szaleństwo każdego wprawiają.

Jaki pan takie sługi miewa.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 3.

21. Stycznia 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Sebastyan.

Było to w dwieście kilkadziesiąt lat od tego czasu, jak Zbawiciel świata wygłosił Boską swoją naukę i poniósł na górze Kalwaryi śmierć męczeńską dla odkupienia ludzkości. W całym świecie a osobliwie w Rzymie prześladowano wyznawców wiary z najstraszniejszem okrucieństwem; cesarze rzymscy pastwili się nad nimi bez litości i pomiarkowania.

W owym czasie był na dworze cesarza rzymskiego żołnierz jeden imieniem Sebastyan, dowódca gwardyi, „mężny, wielce mądry, w mowie prawdziwy, w sądzie sprawiedliwy, w radzie opatrzny, w zleceniu wierny i we wszystkich obyczajach uczciwy i u wszystkich wzięty. Mieli go żołnierze sobie za ojca, i dwór go wszystek miłował i bardzo ważył.“ Ten Sebastyan wyznawał skrycie wiarę Chrystusową i najgorętszem było jego pragnieniem ponieść jak tylu innych śmierć męczeńską dla chwały prawdziwego Boga. Ukrywał jednak starannie czem jest, bo będąc bliskim dworu i osoby cesarskiej, miał

często sposobność zasłyszeć gdy komu zagrażało niebezpieczeństwo i przestrzedz ofiarę, a tym sposobem nie szkodząc cesarzowi był oraz swoim współbraciom wielce użyteczny.

Zdarzyło się raz że wzięto do więzienia dwóch braci chrześcijan i skazano ich na śmierć, jeżeli się nie wyrzekną nowej wiary. Przyszli do więzienia ich rodzice, siostry, bracia i błagali na klęczkach aby byli posłuszni cesarzowi. Nieszczęśliwi młodzieńcy o mało nie upadli na duchu, gdy w tem Sebastyan stanął pomiędzy nimi i przemówił:

— Dziwowałbym się wam bardzo mocnym i tak wielkim, mękami nie zwyciężonym, Chrystusowym żołnierzom, gdyby takie dziecinne i niewieście łzy i lekkie narzekania, serca wasze zwyciężyć miały... Pamiętajcie na to co Chrystus powiedział: „Kto więcej miłuje ojca, matkę, syna, córkę, niżeli mnie, nie jest mnie godnym. Kto się mnie zaprze przed ludźmi, ja się go przed ojcem moim i aniołami jego zaprę.“ Nie bądźcież tak szaleni, abyście duchem począwszy, ciałem kończyli...

Temi i tym podobnemi słowy Sebastyan upadających braci w wierze umacniał, a ich rodziców, jakoteż dozorcę więzienia, jego żonę i wiele innych osób dla wiary św. pozyskał

Wielu z tych nawróconych poniosło niebawem śmierć męczeńską, ale mimo to inni nie upadli na duchu, a wszyscy czcili św. Sebastyana jako anioła, który im przyniósł zbawienie; widząc zaś na jakie on sam jest teraz narażony niebezpieczeństwo, czuwali skrycie nad jego losem Tajemnica jednak wydała się wkrótce. Sebastyan oskarżony przed cesarzem, nie zaparł się swojej wiary, owszem głośno namawiał cesarza, aby porzucił błędy pogańskie.

Cesarz skazał go na śmierć. Nazajutrz o świcie przywiązano św. Sebastyana do drzewa i z łuków strzelano do niego. Strzały padały gęsto i niejedna utkwiła głęboko w ciele świętego...

Gdy już sądzono że umarł, odeszli strzelcy, zostawiwszy go w tym stanie. Wówczas jedna pobożna niewiasta odwiązała go i zabrała do siebie, a docuciwszy się iskierki życia, leczyła troskliwie póki nie powrócił do zdrowia.

Wówczas radzono mu aby uciekał, ale nie chciał tego uczynić. Już tak dawno pragnął umrzeć za wiarę. Póki mógł być współbraciom użytecznym na dworze cesarskim, nie narażał się na niebezpieczeństwo, ale teraz...

Pewnego razu spotkał go cesarz i poznał. W pierwszej chwili przeląkł się, myśląc że ducha widzi przed sobą; lecz poznawszy swoj błąd, rozkazał go pojmać i zamordować. Św. Sebastyan poniósł śmierć męczeńską pod kijmi i maczugami roku 288 po narodzeniu Chrystusa Pana, dnia 20 stycznia i dla tego kościół obchodzi jego pamiątkę w tymże dniu.

ŚMIERĆ ROLNIKA

Ten który tu na ziemi spełnił wyrok Pana,
Pracował w pocie czoła, do zmroku od rana,
Co widział co dnia ziemię pięknie przystrojoną,
A on ją krajał pługiem i kruszył ją broną,
I żył cicho, spokojnie między czterma ściany,
Od małych nieceniony, od wielkich nieznany,
Żył na szerokim świecie, jak mrówka w mrowisku,
Za trudy całodzienne ubóstwo miał w zysku,
A jednak chwalił Pana, i cześć Mu oddawał,
I poczciwie uprawiał swojej ziemi kawał,
Ten mówię, jakże dziwne świat odmiany czyni,
Dziś w wązkiej, z prostych desek odpoczywa skrzyni;
Trumną ją zowią ludzie, o nią się rozbije,
Czy kto mieszka w pałacu, czy w zakątku żyje:
Trumna trumnie nierówna. Ta, jak ją Bóg stworzył,
Człowiek w deski pokrajał i w całość ułożył,
Nie dojrzysz tu ozdoby, ni mignie tu złoto,
Skromna, prosta, uboga, jak ty święta cnoto!
Jak to proste rzemiosło człowieka rolnika,
Co ręką kraje ziemię, niebo pieśnią tyka,
Jak prosta pieśń żniwiarza! Tu połysków niema,
Z których po śmierci ojca dziedzic się nadyma,
Tych całunów, pochodni, niema głośnych pieni,
I tych jęków straszliwych, i tych łez strumieni;

W białej, czystej odzieży na garsteczce siana,
Spoczywa zacny rolnik, ta podpora pana —
I zaszedł wóz drabiasty, wołki zaprzężone,
Złożono martwe ciało i wszystko skończone.
Garstka kumów, sąsiadów i żona i dziatki
Otoczyli te drogie dla serca ostatki.
Idą cicho za wozem z głowy spuszczonemi,
I zwłoki ukochane powierzają ziemi.
Stanął kapłan nad grobem, cichą łzę uronił,
Dziadek po raz ostatni kumowi zadzwonił.
Kapłan pobłogosławił, pacierz odmówili.
„Mój Boże! już go niema, niedawno żył z nami,
Istny sen," mówią ludzie. — No! przyznajcież sami
Oj mara życie ludzkie! jak chmurka przeminie,
A coś posiał dobrego, to nigdy nie zginie.

J. S.

Wieśniak do Boga.

Z awsze ja pociechę miewam,
Ile razy ciebie wzywam;
Twoja to Ojcze nasz władza,
Urodzaj niwom sprowadza.
Choroba też mnie nie nęka,
Czuwa nademną Twa ręka!
Pod moją ubogą strzechę,
I syny niosą pociechę.
Jeden mi pomaga w pracy,
Drudzy dwaj starsi wojacy.
Ci w szeregach, ten przy niwie,
Krajowi służą poczciwie.
A ojciec cieszy się siwy,
Że ich odumrze szczęśliwy.
Tobie to winienem Panie,
Że w takim widzę się stanie.
Niechciejże Boże z wysoka,
Odemnie odwracać oka.
Lecz Pan choć mię i zasmuci,
Dobry Ojciec nie porzuci.
Kiedy Ciebie Boże wzywam,
Zawsze ja nadzieję miewam.

S. B.

Wit Stwosz,

który chwalebną pracą rąk swoich zjednał sobie wiekopomną sławę.

(Dokończenie.)

Stwosz nie mógł się już ostać w Krakowie po tylu przejściach bolesnych, porzucił więc miasto rodzinne i znowu wybrał się do Norymbergi. Okazywano mu tak samo jak pierwszym razem nieżyczliwość a nawet zawiść bezwstydną, lecz trzymał

się na uboczy, unikał nieprzyjaciół i pracował samotnie, zamknięty w swojej izdebce. Aby mu łatwiej było dać sobie radę z gospodarstwem, ożenił się z Niemką, licząc już lat przeszło pięćdziesiąt. Teraz jeszcze mniej stykał się z butnem mieszczaństwem niemieckiem, bo żona wzięła na siebie cały ciężar zajęć domowych, on zaś pracował i to najwięcej dla miast i krajów odleglejszych. Ale i to odosobnienie nie ochroniło go od złości ludzkiej. Aby go poniżyć koniecznie, Niemcy wymyślili okropny podstęp, oskarzyli go o jakieś fałszerstwo i pozwali do sądu. Stwosz stanął z czystem sumieniem, które było jedyną jego obroną, a oskarzyciele przystawili podkupionych świadków, którzy zaprzysięgli że on winien. Na mocy tego zeznania skazano Wita Stwosza na haniebną karę, na piętnowanie przez policzki.

O! jakiż to musiał być cios dla człowieka z taką duszą, dla człowieka, którego całe życie było tak czyste i tylko chwale Boskiej poświęcone! Stało się jednak, wyrok okropny wykonany. Hańba miastu co znieważyło wielkiego męża...

Nie koniec na tem aby go na zawsze w mieście zatrzymać, kazano mu przysiądz że do końca życia nie opuści Norymbergi.

Nie dość na tych wszystkich nieszczęściach. Znowu owdowiał, synowie których miał kilku z drugiej żony, poszli w świat szukać szczęścia, a on samotny, cierpiący starzec pozostał w domu sam jeden z wnuką tylko. Pomimo tego wszystkiego nie zachwiał się ani razu na duchu, ale pracował i świat swemi dziełami zdumiewał do ostatka, aż w końcu ostatnia dotknęła go klęska: ślepota.

*
* *

Znowu lat kilka minęło — cóż to za ruch niezwykły w Norymberdze? sędziowie spieszą na ratusz — lud gromadzi się ciekawie — wszyscy mówią o tym ślepym starcu co mieszka daleko za miastem w zacisznym jakby klasztor domku. Ten starzec miał być niegdyś sławnym mistrzem, podobno świat zdumiewał swojemi pracami. Sędziowie zajmują miejsca w ratuszu i na nowo po tylu latach przetrząsają sprawę Wita

Stwosza bo oto ludzie owi niegodni, którzy go przyprawili o tyle klęsk, o hańbę, wyznali na śmiertelnej pościeli swoje krzywoprzysięstwo.

Wit Stwosz został uniewinniony, wyrokiem sądu uroczyście do czci wrócony... O! ileż szczęścia w tych słowach!...

Tak doznał tego szczęścia stuletni starzec u schyłku żywota i umarł z przebaczeniem i modlitwą dziękczynną na ustach.

Lata, wieki minęły i zupełnie zapomniano o Stwoszu. Jedne z jego dzieł zaginęły, drugie zniszczały, dopiero w naszych już czasach zaczęto im się przypatrywać, odgrzebywać je i podziwiać, poznano że był jednym z największych mężów swojego czasu; a nawet Niemcy przywłaszczają go dzisiaj sobie, utrzymują koniecznie że był Niemcem i wynoszą pod niebiosa zasługi tego, z którym ich przodkowie tak okrutnie się obeszli.

Skreśliłem wam kochani czytelnicy mały obrazek z przeszłości. Przenieśmy go w czasy dzisiejsze, abyśmy z niego pożyteczną dla siebie wyciągnąć mogli naukę. Dzisiaj inne są czasy, inne stósunki, ale ludzie tacy sami jak niegdyś; i dziś niewdzięcznością odpłacają za dobre, i dziś prześladują niewinnych, jeżeli ci różnią się od drugich cnotą albo jakąś właściwą sobie zręcznością Co do nas nie mamy już takich mistrzów jak za czasów Wita Stwosza. Są wprawdzie pomiędzy uczonymi, pomiędzy mularzami i t. p. mężowie, co w naszych już czasach prawie takiej doszli sławy w kraju i za krajem jak Stwosz; ale cóż się to stało z naszemi rzemiosłami? Wszystkie wyroby sklepowe u nas sprzedawane, z zagranicy pochodzą. Przyczyną tego jest nietylko brak fabryk ale i to że nie mamy zdatnych rzemieślników. Młodzieniec bywa zręczny do wszystkiego, pochopny do każdej roboty, ale nie ma wytrwałości, wszystko zbywa lekko i niedbale. Zapatrujmy się na przodków i wstępujmy w ich ślady. Życie Wita Stwosza wzniosłym jest dla nas przykładem. Naśladujmy go w jego wytrwałości, pracowitości, trzeźwości. Kształćmy się usilnie jak on, korzystajmy z każdej sposobności nabycia nauki, dbajmy

o sławę naszą i naszego narodu, nie pozwałajmy się wyprzedzać cudzoziemcom, a jeżli kogo w dalszem życiu spotkają z woli bożej jakowe klęski, niech się im podda z taką pokorą jak Stwosz, niech je tak mężnie jak on zniesie a Bóg za to wszystko choćby dopiero u schyłku żywota nagrodzi go za wszystko złe, co większa, nawet po wielu łatach odgrzebią imię jego z niepamięci i nagrodzą poczczeniem.

Stanisław Krakowczyk.

Piękne przykłady.

O tych, którzy się w późniejszym wieku czytać nauczyli.

O nic tak nie łatwo jak o wymówkę. Ludzie chwiejni, a do tego słabej woli, najwięcej mają wymówek, bo pracy nienawidzą a trudów się boją. Dlatego nieraz słyszeć możecie, gdy ludzie mówią:

— Ktoby temu podołał — to nie na naszą głowę!

Ale wymówki takie usprawiedliwiać nie mogą; znamionują tylko słabe dusze. Przysłowia nasze, w których się mieści mądrość narodowa, zbijają taką gadaninę, bo jedno mówi: „Kto chce, ten może“ a drugie: „Pieczone gołąbki nie wpadną do gąbki.“ Ztąd więc wypływa, że kto chce co zrobić, musi pracować, a kto ma silną wolę i od pracy się nie uchyla, cudów dokazać może.

Dzisiaj każdy gospodarz wie o tem dobrze, że bez jakiej takiej nauki człowiekowi żyć trudno, że kto chce mieć poważanie i pożytek większy, powinien mieć większe oświecenie. Wypada tedy jednemu i drugiemu umieć czytać, a to co czyta, rozumieć i korzystać z tego wedle potrzeby swojej. A przecież gdy się mówi nie jednemu o czytaniu, zaraz ci powie:

— A któżby sobie na starość głowę suszył? Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy.

Jestto tylko próżna wymówka i nic więcej. Owoż każdy się myli, kto tak sądzi, a ja wam powiem otwarcie, że kto chce, ten może.

Na dowód powiem kilka przykładów:

Nie daleko od Podgórza, leży wieś niewielka, która należy do parafii Podstolickiej. W tej wiosce żyje do dziś dnia gospodarz ze czterdzieści lat mający, który to, co wam o nim opowiadam, sam potwierdzić może.

Nie więcej jak szesnaście liczył lat, kiedy ojciec jego, sędziwy staruszek, żegnając się z tym światem, zostawił mu chatę ze sporym kawałkiem roli, z tą w ostatnej chwili wolą, aby się uczciwie prowadził i zasługiwał sobie w gromadzie na taki szacunek, jakiego on ustawicznie doznawał.

Objął dobry syn rolę po ojcu, uprawiał ją ochoczo, ale po dwu latach przykrzyło mu się samemu, pojął sobie młodą dziewczynę za żonę, aby tem lepiej mógł gospodarzyć. Jednakże po niedługim czasie umarła mu miła towarzyszka życia, ożenił się więc z drugą, z której doczekał się kilkorga dzieci. Uczciwą pracą, dobrocią serca i trzeźwością w życiu zasłużył sobie we wsi rzeczywiście na szacunek i poważanie, wszelako jedna rzecz go bardzo zasmucała, a to, że nie umiał ani czytać ani pisać.

Mówi on do swojej żony:

— Człowiek żyje jak Bóg przykazał, ludzie mię szanują, alebym więcej czuł w sobie zacności, gdybym cokolwiek na książce umiał. Słyszałem nawet pokryjomu, żeby mię ludzie chcieli mieć wójtem, a cóż ja im poradzę, kiedy mi się zdaje, żem niedołęga, bo mi brakuje tego, co uzacnia człowieka, co mu jest bardzo potrzebnem.

Biadał więc często dobry Jakób, że go ojciec nie posyłał do szkoły, gdzieby się był mógł wyuczyć potrzebnych wiadomości, któreby mu rozweseliły późniejsze życie. W tem przy kościele parafialnym zawiązało się bractwo różańcowe, w którem został starszym bratem. Chodził często do kościoła, odmawiał pacierze i koronki, a gdy widział ludzi modlących się na książce, tak go to zachwycało a oraz zasmucało, że kiedy raz wyszedł z kościoła, tak sobie myśli:

— Mój Boże! gdybym umiał czytać, mógłbym cię lepiej chwalić, lepiej poznawać dobroć Twoją! Dodaj mi mocy, ja

się muszę nauczyć czytać. Chociaż mam trzydzieści lat z górą, poświęcę na czytanie czas wolny, a kiedy małe dzieci temu podołać mogą, pokonam i ja nie wielkie trudy.

Ponieważ we wsi nie było takiego, któryby czytać uczył, a tembardziej aby uniknąć drwin i wyszydzeń podłych ludzi, poszedł poczciwy Jakób aż do Świątnik, o dobrą milę od swojej wsi oddalonych, i tam prosił nauczyciela, aby go uczył czytać i pisać.

I cóż powiecie moi mili! Jakób prawie co drugi dzień a czasem i co dzień chodził z książką pod pachą do Świątnik i tak gorliwie przykładał się do książki, że dziś wszystko przeczyta i pięknie pisze, to też co święto i niedziela obaczysz go w kościele z książką w ręku, usłyszysz innym razem jak śpiewa na chórze różne pieśni, których się z książek nauczył. Z początku śmiali się ludzie, ale dziś czują dobrze, że postępowanie Jakóba jest prawdziwą jego zaletą. Jest dziś radnym w swojej gminie, świeci pięknym przykładem, bo żyje zgodnie, do karczmy nie zagląda, owszem siedzi w domu, czyta książki i opowiada potem żonie, której często powtarza:

— Jak to teraz człowiekowi miło żyć na świecie a stało się to nie czem innem, tylko odrobiną trudu!

Inny przykład jest taki:

Do dziś dnia żyje w Bochni pewien obywatel Antoni Fortuna. Zacny i prawy to człowiek, nabożny jak rzadko, nie obłudny i nie fałszywy, ale ludzki i uczynny.

Dawniejszemi czasy był on górnikiem przy żupach solnych w Bochni. Górnicy lubili go bardzo, bo przy każdej sposobności umiał dać życzliwą radę, w każdym razie dopomógł o ile się tylko dało; czasami znowu dawał ludziom piękne nauki z własnego doświadczenia i rozumu, bo ani czytać ani pisać nie umiał.

Pewnego razu tak mówi żona do niego:

— Masz wielu przyjaciół i znajomych, owoż załóżmy szynk, niech do nas przychodzą. Mają gdzieindziej za fałszywe trunki płacić grosz ciężko zapracowany, lepiej niech u nas użyją dobrego trunku.

Zgodny Antoni przystał na to od razu, bo powodzenie jego nie było najlepsze a podobnym zarobkiem spodziewał się zaradzić swojej doli. Jakoż nie zawiódł się zupełnie; odbyt miał dobry, ludzi dosyć bywało, tak że potem Antoni najął w rynku obszerniejsze pomieszkanie. Jednakże przy coraz lepszym bycie nie przestał on być nabożnym, ale owszem im lepiej mu się powodziło, tem jeszcze lepszym zdawał się być człowiekiem.

W zachodniej stronie za miastem Bochnią stała nie wielka kapliczka pod wezwaniem św. Rozalii. Dawniejszemi czasy stał na jej miejscu krzyż wielki na pamiątkę uśmierzenia morowego powietrza, które tak w mieście jak i w okolicy niezmiernie grasowało. Do tej więc kapliczki chodził często Antoni, tu się modlił pokryjomu i świeczki przynosił na ofiarę.

Naraz przyszła mu myśl zbawienna, aby tę kapliczkę powiększyć i ile możności jak najpiękniej przyozdobić. Nie długo się nad tem zastanawiał, poszedł zaraz do ludzi, zbierał składki, sam część dołożył ze swoich pieniędzy i w imię Boże rozpoczął niebawem budowę pięknej, murowanej kaplicy, która dotąd jest prawdziwą ozdobą tej części miasta. W ołtarzu umieszczono obraz przez jednego zdolnego malarza wykonany, który przedstawia osobę św. Rozalii pustelnicy.

Antoni cieszył się bardzo dziełem swojem, potem koniecznie pragnął, aby mógł zkąd dostać obszernego opisu żywota św. Rozalii. Dowiedział się przecie, że w pewnym klasztorze żeńskim w Krakowie jest gruba księga, cała o życiu świętej pustelnicy Pojechał więc do Krakowa i wyprosił sobie ową książkę na kilka miesięcy. Przybywszy z nią do Bochni, idzie zaraz do drukarni i chce ową książkę dać do druku. Ale że nakład tego dzieła wielkie pociągał za sobą koszta, poprzestał Antoni na życzliwej radzie, aby dzieło tylko przepisać i w kaplicy na pamiątkę zachować.

Niedługo wyszukał sobie jednego ucznia gimnazyjalnego, który mu drukowanemi literami całą książkę przepisał. Wtedy powiada Antoni do owego ucznia w te słowa:

— Jestem już w latach, bo mam przeszło lat czterdzieści, ale nauka czytania i pisania tak mię zachwyca, że już nieraz myślałem nad sposobem, jakimbym się przed śmiercią mógł wyuczyć czytać i pisać, żebym po sobie choć pisane zostawił nazwisko.

— O, co już o to, to rzecz bardzo łatwa! — odpowiedział uczeń — jeżeli pan zechce, to temu zaradzimy.

I od tego czasu przychodził ów uczeń codzień do Antoniego Fortuny i uczył go jak małego chłopca. W krótkim czasie Antoni dobrze czytał i spisywał sobie różne rzeczy. Za tę łaskę, jak sam powiadał, nieskończenie był wdzięcznym owemu uczniowi, który go pisać i czytać nauczył. Dziś ten uczeń jest księdzem w zakonie OO. Bernardynów, a poczciwy Fortuna zarzucił szynkownię, zapisał się w regułę św. Franciszka, założyciela zakonu Bernardynów, prowadzi bogobojne życie i czyta przeróżne książki, które mu niewymowną sprawiają radość, a poczciwa żona miłem na to spogląda okiem. W owym prawie czasie został Antoni obywatelem miasta Bochni.

Nakoniec taki jeszcze przykład:

W obwodzie stryjskim jest wieś jedna, w której niedaleko od dworu jest mieszkanie wójta ruskiego a w trzecim zaraz domu mieszka zamężna jego córka, matka kilkorga dzieci. Kobieta ta dobra często przychodziła do dworu, odwiedzała nauczycielkę, która jej przeróżne opowiadała rzeczy. Z tego powodu nabrała owa kobieta nadzwyczajnej ochoty do nauczenia się czytania i pisania po polsku. Dowiaduje się o tem ojciec i tak do niej mówi:

— Jeżeli mi będziesz chodziła do tej nauczycielki i będziesz się uczyła głupich rzeczy, to obaczysz co cię spotka. Patrz lepiej twojego gospodarstwa i twoich dzieci, a na starość sobie głowy nie zawracaj!

I cóż tedy robi silna w swojem postanowieniu kobieta? Oto idzie do miasta, kupuje sobie cieniutkiego papieru, przykłada go na papier drukowany i tym sposobem rysuje z niego drukowane znaki, ukradkiem na czas krótki chodzi do nauczy-

cielki, pyta się co który znaczy, w domu składa i sama wyucza się czytania po polsku.

Po niejakim czasie przekonała się zdumiona nauczycielka że owa kobieta składnie czytać umiała. A więc pożyczała jej cichaczem książek, które w wolnym od obowiązków czasie zawsze czytywała. Kiedy raz byłem w cerkwi, widziałem na własne oczy, jak owa kobieta w kącie pod chórem na polskiej modliła się książce. Ojciec jej nie żyje już dzisiaj, dlatego dobra kobieta nie tai się z tem zupełnie, że umie czytać i pisać.

Z tego, co tu powiedziałem, moi mili, przekonać się możecie dokładnie, że kto chce ten może. Wymówki na to nie ma, zwłaszcza że w dzisiejszym czasie takie są sposoby do nauczenia się czytania i pisania, że każdy a nawet i stary wszystko w krótkim czasie z łatwością pojąć może Kto ma sposobność, niech się uczy a pewnie nie pożałuje małego trudu. Mógł ten i ów, dlaczegoż i wybyście nie mogli? Trochę tylko dobrej woli, trochę pracy, a skutek niezawodny. Świat postępuje, nauka się przyda, ona uzacnia człowieka Uczmy się bracia, a pewnie będzie lepiej, czego wam życzę gorącem sercem.

Józef z Bochni.

Ludy żyjące z polowania i rybołowstwa.

Powiemy tu cokolwiek o ludach myśliwych w rozległych lasach w miernie ciepłym klimacie zamieszkałych. Indyanie czyli pierwiastkowi mieszkańcy w lasach północnej Ameryki, najlepszy nam obraz z siebie przedstawiają; żywią się po większej części mięsem zwierząt upolowanych, a nie w domu wypielęgnowanych. Każden strzelec, chcący żyć jedynie z polowania, potrzebuje wielkiego obwodu lasu dla siebie i swojej rodziny; na milowej przestrzeni zaledwie kilka familii dostateczne znajdzie wyżywienie. Ludy myśliwskie, rozdzielają się wkrótce według dzielnic lasu, na osobne gromady, a z przyczyny niedostatku najczęściej na szczególne rodziny, z niewielu osób złożone; przeciwnie zaś ludy pasterskie przy

obfitości pożywienia z licznem mieszkają rodzeństwem. Jeżeli jest trudno odgraniczyć od sąsiednich obwody łowieckie, to nie podobna zwierzętom wzbronić przejścia poza granicę obcą; nieporozumienia więc i spory ztąd wynikłe niczem uchylić się nie dające, nigdy w trwałym pokoju żyć nie dozwalają.

Pokolenia myśliwych w ciągłych ze sobą żyją zatargach, a wzajemne na siebie najazdy, niszczą ich niedostatnie posiadłości, a mordy ludność ich zmniejszają. Przeciwko powolnemu posuwaniu się, przeważniejszej od nich liczby rolniczych ludów, żadnego silniejszego odporu stawić nie mogą, i tym sposobem coraz się bardziej ścieśnia obwód ich: las, zwierz i strzelec znikają, nowi przychodnie korczują lasy, po wydaleniu się dawnych mieszkańców w dalekie i niedostępne knieje. Żaden inny sposób życia nie zaostrza tak w równym stopniu zmysłów, nie hartuje tak silnie ciała, jak to u ludów myśliwskich widzimy.

W utarczkach z Indyanami w lasach Ameryki północnej dobrze się nasi europejscy osadnicy z owemi wojennemi strzelcami obeznali, z których każdy pomimo prostych narzędzi myśliwskich, daleko we wszystkiem przewyższa obcego przychodnia, skuteczniejszą nawet opatrzonego bronią.

Indyanin w swojem lekkiem okryciu, jest jak sarna wytrwały na wszelki stan powietrza, ma bystry wzrok sokoła; wietrzy zdaleka swego przeciwnika węchem lisa; skrada się jak pies nieznacznie do swej zdobyczy i znika przed ścigającą go konną pogonią. Gdyby nam ten myśliwy o naturze i sposobie życia zwierząt chciał i mógł opowiedzieć, to pewnie pod wielu względami w świeżych i nowych barwach uzupełniłby obraz przyrody, przez naszych uczonych badaczy skreślony. Ale zakres jego wykształcenia jest bardzo ograniczony, zasadza się tylko na udoskonaleniu zmysłów i zahartowaniu ciała, co tylko jednemu człowiekowi służy, i z nim się kończy i ginie; dla tego z doświadczenia tych dzikich myśliwych, żadnego ludzkość nie odniosła pożytku.

Ludy rybołowstwem trudniące się, żyją także z połowu, jakiego samo przyrodzenie użycza, i nie troszczą się wcale,

o rozmnażanie się ryb i innych zwierząt wodnych, służących im za pożywienie, i w tym względzie owi rybacy podobni są do dzikich murzynów, nie zajmujących się uprawą roślin i do myśliwych obojętnych na chów zwierząt domowych. Ludy rybackie zwykle zbyt są zaufane w niewyczerpanej obfitości morza i w wielkim zapasie w rzekach i strumieniach ryb, raków i wszelkiego zwierza wodnego, stale nad brzegami mieszkają, lub posuwają się za biegiem strumienia. Ale wody rzeczne nie zawsze dopisują życzeniu, a morze często kapryśne, dziwaczące, bo dziś spokojne i gładkie, dziecię nawet bezpiecznie może się nad jego brzegiem bawić muszelkami, a jutro zadąsane, gniewne, pieniące się, zajadłe, wszystko niweczy, przynosi i zabiera; dziś raczy w takiej obfitości połowem, że sieci zrywają się w kawałki, a innym razem zdaje się, że jego fale wymarłą, pustą głębię zaległy. Zażyłość przeto i walka z tym przeniewierczym natury żywiołem, hartuje rybaka, czyni go przezornym i przedsiębiorczym, śmiałym i wystawiającym się na wszelkie niebezpieczeństwa.

Jeżli morze obficie dostarcza pożywienia i obojętnym czyni o dalszą przyszłość, to znowu jego dziwaczenie codziennie prawie rybakowi na przekor, jego zajęciom jest na przeszkodzie, również gwałtowność, niepowściągniona przemoc wody i postrach, którym najśmielszego przeraża, wszelką zdobycz rybakowi goryczą zatruwa Nie jest niebezpieczniejszy dla murzyna wąż czyhający przy drzewie chlebowem, lub na łup zaczajony tygrys, jak dla rybaka zdradna, pełna niebezpieczeństw woda, nie jest straszniejszy ryczący lew, od rozszalałego burzą morza.

Jeżeli rybak chce swoje pożywienie z morza podstępem wyzyskać i wywalczyć skutecznie, należycie musi on wtedy zaostrzyć swój rozum, zahartować odwagę, i dla utrzymania życia na codzienne wystawiać się niebezpieczeństwa.

Nad morzem to więc napotykamy jak burze niepogromione ludy, nieustępujące bynajmniej w nieokrzesaniu i wytrwałości zahartowanym na wszelki stan powietrza ludom myśliwskim; są to mężowie, co nietylko sznury do wędek i sieci wyrabiać

umieli, ale oni to silne statki wymyślić i zbudować zdołali, i z niemi na burzliwy żywioł puścić się odważyli, na walkę straszliwą z rozbujałemi falami; na walkę zaciętszą, niżby ją kiedy między istotami żyjącemi widzieć można było.

W. Cz. z Brz.

Przestrogi i rady gospodarskie.

Sok brzozowy od niepamiętnych czasów jest w używaniu w bardzo wielu krajach między ludem pospolitym, na karm dla pszczół, do wzmocnienia słabego wina, piwa i miodu; używają go także za lekarstwo krew czyszczące, z fermentowanego zaś wyrabiają napój podobny do wina, ocet i inne. W niektórych okolicach w północnej Ameryce warzą z niego syrop, a z tego otrzymują cukier do trzcinowego podobny. I z soku drzewa lipowego można otrzymać cukier, w mniejszej jednakże ilości.

Anyż. Znany jest u nas tej rośliny użytek; lubi grunt żyźny, lekki, ciepły, pulchny, sieje się go w marcu, nawet na śniegu, a gdy ten stopnieje, dobrze z ziemią grabiami mieszać należy; przerywa się jeżli za gęsto rośnie, w czasie zaś suszy polewa się i w miarę potrzeby opiela. W sierpniu lub wrześniu zrzynają się łodygi i nasienie się wymłaca. Z pozostałych w ziemi korzeni otrzyma się plon w następującym roku, poczem już zginą.

Mech na drzewie. Gdy kora na drzewach pozadziera się i popęka, wtedy zatrzymują się na niej przyniesione z wiatrem nasiona mchu, rozrastają się i dają w sobie schronienie owadom i utrzymują wilgoć z czego powstaje rak i inne choroby.— Znalazłszy przyczynę, łatwo można złemu zaradzić. Jeżeli kora drzewa cierpi od gruntu, zdejmuje się ziemia z wierzchu, aż do grubych korzeni, a w jej miejsce nakłada się inna żyźniejsza: jeżeli grunt za mokry, osuszyć go naokoło należy; jeżeli zaś powietrze przewiewać nie może koło drzewa, otworzyć mu przystęp potrzeba, a w każdym razie korę ze mchu starannie oczyścić oskrobaniem, lub skropieniem wodą z wapnem zarobioną.

Różności.

Rośliny cukier wydające. Oprócz trzciny cukrowej i buraków, można jeszcze otrzymać cukier: z łodyg i odrośli większej części roślin, a szczególniej wpoczątkach ich wzrostu; z pniów różnych drzew, w których sok ciągle jest słodki, jak n. p. w niektórych palmach, lub na wiosnę dopiero słodycz okazuje n. p. w brzozie, klonie i t. p.; z kory niektórych drzew, jak n p. białego drzewa cynamonowego; z liści niektórych drzew, jak n. p. selerów, kapusty, niektórych gatunków dęba, lipy, wielu traw; z kwiatów wszystkich prawie roślin, z których go pszczoły zbierają i ze strączków wielu roślin, szczególniej z grochu cukrowego i t. p.; z owoców różnych drzew i roślin w czasie ich dojrzewania, a najobfitszy cukier mają w sobie: poziomki, maliny, gruszki, jabłka, śliwki, dynie, melony, ogórki i t p. z nasion wszystkich prawie roślin; w niektórych tworzy się dopiero cukier w czasie ich kiełkowania n. p. w słodzie jęczmiennym; z korzeni wielu roślin n. p. z lukrecyi, buraków, marchwi, pérzu, pasternaku, rzepy i t. p.

Miód pszczelny. Szukają go pszczoły zwykle po różnych kwiatach, a najwięcej ubiegają się za temi, które mają korony nie dzielne, czyli z jednej sztuki. Nie w samych tylko kwiatach znajdują miód pszczoły, dostarczają go także słodkie owoce, tak zwana rosa miodowa, czyli wilgoć słodka okrywająca co rok prawie młode liście i gałązki roślin. Jestto więc produkt naturalny, pszczoły go tylko zgęszczają.

Padalec. Jest to wąż nieszkodliwy, zwykle przebywa w lasach i w starych zwaliskach, a żywi się robakami, ślimakami i owadami. Nie ma on zębów wydzielających truciznę, w napotkaniu jednak onego, trzeba być ostrożnym, bo żmija bardzo jest do niego podobna, a bardzo niebezpieczna. Jeżeli padalec gdzie na drodze jak odurzony spoczywa, wtedy można się spodziewać deszczu lub burzy, w tym samym dniu, chociażby wtedy najmniejszej chmurki na niebie nie było.

Rzerzucha wodna w całej Europie pospolita, a nad źródłami i strumykami rosnąca, ma smak ostry i gorzkawy; uprawa jednak ogrodowa czyni ją łagodniejszą do użycia. W aptekach służy jako środek techniczny, a w kuchni w czasie zimy i pierwszych dni wiosny, do sporządzania z niej sałaty. Nasienie używają niekiedy zamiast gorczycy.

Zdania i przypowieści polskie.

Kto się ze złym brata, na wszystkie się niebezpieczeństwa naraża dobrowolnie.

Przestawaj na tem, co masz, a bylebyś chciał, choć i w szczupłej mierności, będziesz miał to wszystko czego ci potrzeba.

Odrowąż, gdy w jednej potyczce wystrzelono mu zęby z wąsami, a w nagrodę męztwa otrzymał Starostwo Kowieńskie, kazał się wymalować trzymającego zęby wystrzelone w ręce, z napisem: „Dano mi chleba, kiedym zębów pozbył!“

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. **Nr. 4.**

1. Lutego **1869.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Blizko zbawienie Jego tym, którzy się Go boją.

Psalm 84 w. 10.

Już słońce miało się ku zachodowi i miłym chłodem po znojnym trudzie do wypoczynku wabiło, kiedy mozolną pracą przy swoim warsztacie zajęty robotnik, pomimo unużenia, ostatnich sił dobywał, do wykończenia przedsięwziętego swej sztuki wyrobu. Byłto Szymon Zulicki, ubogi wprawdzie na dorobku tkacz w Czelunce, ale za uczciwe zachowanie się, pracowitość i sumienną rzetelność, powszechnego w całej gminie doznający szacunku. Miał on zwyczaj wyznaczać sobie ilość roboty na każdą godzinę; dla tego kiedy niekiedy spoglądał na wiszący na ścianie zegar drewniany, żeby swego zadania gorliwie dokonał. Z zmrokiem dopiero pilny rzemieślnik zabierał się do wypoczynku, mówiąc do siebie: dosyć na dzisiaj, bo mi już prawie członki zdrętwiały, po długiej bez wytchnienia pracy. Właśnie też i żona jego Basia z kozą do domu wróciła; bo gdy ci ubodzy a dobrzy ludzie prócz połowy lichego domku, żadnej innej nie mieli własności, to i z koziną trzeba było wyjść

na pole, nie dla użycia zapewne świeżego powietrza, ale dla łatwiejszego i tańszego nakarmienia jedynego zwierzęcia, które choć w części przyczyniało się do ich utrzymania. Teraz za powrotem rozpaliła na kominie, a przystawiwszy ziemniaki do ognia, zajęła się wydojeniem kozy; wreszcie oboje usiedli przy stole i rozprawiali o rzeczach zwyczajnych, a najwięcej o swojej biedzie, z jaką to trudnością wydobyć się im z niedostatku przychodzi; kiedy inni opływają w dostatek i obfitość wszystkiego to im przeciwnie zaledwie na opędzenie pierwszych potrzeb życia wystarcza. Jednak nie rozpaczali bo ich ożywiała ufność w Bogu i lepszego losu nadzieja: przecież dzisiejsze położenie zmienić się może na pomyślniejsze, zwłaszcza jak mówił dalej młody tkacz, po zapewnieniu przedsiębiorcy wyrobów płóciennych, przy ostatniem odstawieniu roboty: że przez wytrwałą pracę i pomoc żony w rzemiośle a licznych teraz zamówieniach i łatwem pozbyciu towaru, i nasz dochód powiększy się niezawodnie.

Rzeczywiście Basia wedle sił swoich i usposobienia pomagała mężowi, a gdy już i ona mogła podołać pracy, i cztery ręce więcej zdziałały, to i przychód dostatniejszy, wyswobadzał młode małżeństwo z poprzedniego niedostatku a przy największej we wszystkiem oszczędności, nie tylko udało się im opatrzyć się w potrzebne w domu porządeczki, przybrać pomocnika do roboty, ale nawet i uraczyć się niekiedy szklanką piwa i garnuszkiem kawy w Niedzielę i Święta. Zasługują też ci młodzi ludzie na pochwałę bo poprawę swego losu za błogosławieństwo Boskie poczytywali, i dziękując za nie dobrotliwej Opatrzności, z większą jeszcze gorliwością brali się do pracy.

Jednego dnia w porze jesiennej powziął nasz majster wiadomość, o mającej się odbyć w miejscu ich zamieszkania licytacyi; gospodarz bowiem z tej samej gminy postanowiwszy przenieść się do krewnych na Podole, chciał sprzedać swą własność składającą się z kawałka pola i małego pastwiska. A że nie miał zamiaru zakupienia natychmiast gruntu, bez rozpatrzenia się należytego w każdym względzie w obranej przez siebie okolicy; dla tego nie żądał jednorazowej za swą

chudobę należytości, ale przestawał na rocznych ratach. Szymon przeto oznajmił żonie, że gdy za łaską Boską mają zebranych paręset złr., to możeby się udało łatwiejszym sposobem przyjść do własności. Basia zrazu nie jedno wprawdzie przytoczyła ale, mąż wszakże tak zręcznie umiał cały ten zamiar wystawić, że i żona jego skłoniła się do czynionych jej przedstawień, i już w myśli widziała krowę i kozę na swojem pastwisku.

Pomierna rolka i mała łączka przy niewielkiej liczbie ochotników, wyszły na 600 złr. Szymon utrzymał się przy kupnie, jako najwięcej dający, i natychmiast 200 złr. jako pierwszą ratę złożył z obowiązkiem spłacenia reszty w dwóch następnych terminach, co zdawało się łatwem do wykonania, mianowicie przy pilnej pracy, licznych zamówieniach i korzystnem pozbyciu wyrobionego towaru, a szczególniej przy oszczędności, tak istotnie w zarządzie domowym koniecznej. I rzeczywiście w pierwszych miesiącach po nabyciu własności, wiodło się im dość pomyślnie — ale zmienne są losu koleje.. kiedy one dotkną niepowodzeniem, wtedy przeciwność przeraża nas, wszelkie zawodzi nadzieje i zamiary nasze niweczy.

Tak się i teraz stało. Nieprzewidziane zaszło zdarzenie. Niespokojności w ościennym kraju, zatamowały zwykły ruch handlowy; rozprzedaż towaru utrudzał smutny zbieg okoliczności; odbyt miejscowy okazał się nieodpowiedni. Szymon i jego żona Basia w niepokoju pożywali codzienny kawałek chleba, a w miarę coraz to bardziej zbliżającej się spłaty na termin oznaczony, coraz to cięższa troska udręczała ich dusze bo pomimo wysilonej pracy i wszelkich zabiegów, z trudnością przychodziło zebrać grosz jaki, tak istotnie do uiszczenia się w słowie potrzebny. Wzrastała obawa przed dniem złowrogim, którен zbliżał się olbrzymim krokiem, a wiele im jeszcze do całkowitej raty brakowało. Surowy warunek w razie niestawienia się w słowie na termin oznaczony, całą ich chudobę na największe narażał niebezpieczeństwo.

W takiem to dotkliwem dla człowieka położeniu, najwidoczniej okazuje się wewnętrzne jego usposobienie, odsłania-

jące jego wiarę, ufność w opiekę Boską i pokorę do przyjęcia przeciwności z dopuszczenia Bożego, a nie z własnej winy pochodzącej. Ciężko zakłopotany Szymon, bez sposobu wyjścia z swojej niedoli, udał się z nieśmiałością do majętnego swego krewnego o pożyczenie stu złr., których mu jeszcze do już zebranych, do złożenia na termin oznaczony brakowało; ale daremnie: zimno i obojętnie przyjęty, bolesnej doznał odmowy, są bowiem ludzie twardego serca, bez litości na cierpienia bliźniego.

Głęboko zaniepokojony wrócił Szymon do domu, a smutek i udręczenia ogarnęły jego duszę, i do rozpaczy go prawie przywodziły: coraz to bardziej zapadał w przepaść, z której wydostać się nie było sposobu. Zapomniał chwilowo o tej wszechmocnej Potędze, w której ręku człowieka losy złożone; Basia tylko w strapieniu męża a w wspólnej niedoli w Bogu znachodziła ulgę i pociechę w swojem nieszczęściu i często powtarzała: Ten, co o najmniejszym robaczku pamięta, i nieporadną żywi ptaszynę. Ten pewnie o nas nie zapomni, a jeżeli tylko z ufnością i z szczerem poddaniem się Jego świętej woli poruczymy Jemu nasz los dotkliwy, to pewnie przy naszem staraniu, łaskawej Jego nad sobą doznamy opieki.

Wkrótce potem przy nadchodzącej Niedzieli, wśród cichych łez, wysypała resztę kawy na stół z papierowej torebki, a tu... coś zabrzęczało i błysnęło nagle... byłto złoty pierścień drogiemi wysadzany kamieniami. Basia zapłonęła radością i zawołała z uniesieniem: Zobacz Szymonie, co ja tu mam; nasz Zbawca nie pominął nas, ale owszem pociesza strapionych cudownie. Zdziwiony tkacz słowa wymówić nie zdołał, ukorzył się tylko i modlitwą usiłował przebłagać Boga za swoje niedowierzanie. Po niejakiej chwili zgodzili się na to, że ponieważ byłoby grzechem zatrzymać pierścień będący cudzą własnością, to należało zaraz nazajutrz udać się do miasta i oddać go kupcowi, od którego kawa była wzięta: ale tego jeszcze wieczora z serdecznem uczuciem składali dzięki opiekującej się nimi Opatrzności, za rutunek w tak opłakanem ich położeniu.

Nazajutrz z pierwszym dnia brzaskiem był już Szymon w drodze do miasta, i zaledwie śniegową zadymkę i wiatr zimny późnej jesieni dostrzegł, bo jego serce wiosna napawała weselem. Często tylko chwytał się za kieszeń od kamizelki, żeby nie wyronił swej kosztowności.

— Winszuję wam panie Szymonie, rzekł kupiec, przy odebraniu pierścienia, jestto klejnot wysokiej wartości, pewnie na kilka tysięcy złr. szacowany; ale nie przyznaję się do niego, i trudno może będzie znaleść jego właściciela. Kawy dostarcza mi mój przyjaciel z Ameryki, mający tam swoje plantacye. Napiszę do niego o tem zdarzeniu, a jeżli się właściciel nie znajdzie, to wtedy pierścień z łaski Boskiej i prawa przy was zostanie: póki się zaś ta rzecz lepiej nie wyjaśni, dam wam tymczasem 150 złr. znaleźnego.

Z wdzięcznością przyjął Szymon to oświadczenie zacnego kupca, i natychmiast wypłacił przypadającą na termin kwotę. Kupiec zaś doniósł swemu przyjacielowi o pierścieniu z poleceniem wywiedzenia się o jego właścicielu, i wspomniał oraz o dodatku do 150 złr. danych już uczciwemu oddawcy kosztownego klejnotu.

Długie tymczasem upływały miesiące — ale zwolna z pomyślną zmianą interesów handlowych, przybywało roboty, wszelkie troski ustąpiły z domu tkacza, i praca opłacała się korzyścią, darząc dobrobytem uczciwego rzemieślnika. Wtem pewnego dnia odbiera Szymon sporą paczkę z poczty z listem od znanego sobie kupca z Kr. następującej osnowy:

Panie Szymonie!

W tych dniach odebrałem od mego przyjaciela z Ameryki odpowiedź, dla mnie i dla was pomyślną; załączam tu list jego do mnie pisany. Ile razy zdarzy się wam być w Kr. pamiętajcie mię odwiedzić. Pozdrawiam was i waszą rodzinę.

przyjaciel M..

Z listu z Ameryki okazało się, że pierścień był własnością przyjaciela kupca M. Według wszelkiego do prawdypodobieństwa zginął on w czasie przeglądu beczek z kawą przeznaczonych do Europy, tak więc pierścień w kawie przez morze

i lądy dostał się wreszcie do torebki papierowej uczciwego tkacza. Wiadomość o znalezionej zgubie wykazała niewinność posądzonego o kradzież niewolnika murzyna. Wiele ów biedak wycierpiał, ale teraz wolnością był udarowany, Szymon zaś otrzymał drugie 150 złr. znaleźnego, jako dodatek do już poprzednio odebranych od kupca z Kr.

Odtąd młodzi małżonkowie żyjąc w miłości i zgodzie, uczciwą pracą i wychowaniem swych dzieci zajęci, przy błogosławieństwie Niebios często z głębokiem powtarzali uczuciem: *Blizko zbawienie jego tym, którzy się go boją*...

Waw. Cz.

O miłosierdziu.

Miejcie w sercu miłosierdzie wybrani od Boga!
Pokazujcie jedni drugim gdzie do nieba droga!
Miłość, miłość niech wam spaja serc waszych ogniwa,
Ale miłość nieobłudna, miłość święta, żywa!
Czy widzicie te perłowe na kwiateczkach łezki?
To jest rosa, którą spuścił Ojciec nam niebieski!
Ona karmi, ona krzepi żywiące was zboże,
A tem zbożem i zły człowiek pożywić się może.
Patrzcie! patrzcie, śliczne słońce złym i dobrym świeci,
O! nie czyni Bóg różnicy, wszystko jego dzieci;
Bóg przykładem nas naucza, jak się kochać mamy,
Gdy widzimy w bliźnim brata i Boga kochamy;
Pokój! pokój na tej ziemi ludziom dobrej woli,
Miłosiernym w długie lata żyć Pan Bóg pozwoli
Obleczcie się w miłosierdzie wybrani od Boga
Pokazujcie jedni drugim gdzie ku niebu droga.
I życzliwem na bliźniego spoglądajcie okiem
I w pokorze cierpliwości idźcie krok za krokiem
Ale każdy z wdzięcznym spiewem, niech się w niebo wznosi
I jak umie i jak czuje niech cześć Panu głosi.

S. Jach.

Moskale w Bieczu.

W naszej polskiej Galicyi leży nad rzeką Ropą miasto, staropolskie Biecz, które należało do królów polskich a potem podarowali go królowie z wielkiej pobożności biskupom Krakowskim. Był tu stary dwór królewski na górze, gdzie przesiadywali czasem królowie, były tu szpitale dla starców i kalek, był magistrat z sądami, gdzie dla wielkich grzeszników był ostry arest, a nawet nieraz karano ich tu śmiercią. Kazimierz Wielki kazał to miasto na około murami opasać, które do dziś stoją jeszcze porozwalane, kazał potem na środku miasta wysoką wieżę wymurować, która do dziś jeszcze stoi. Kościół farny jest tu wielki, a blisko stoi kamieniczka, gdzie się urodził Marcin Kromer, syn mieszczanina tutejszego i został potem uczonym biskupem polskim.

Otoż zwiedzałem i ja z ciekawości to miasto stare. W kościele napotkałem starego kościelnego, który mi pokazywał pamiątki różne po kościele, aż przyszliśmy do wielkiego ołtarza, oba uklękliśmy i opatrywali obrazy. A stary kościelny powiada:

— Sto lat temu wpadli tu do kościoła Moskale, zrabowali i popełnili takie świętokradztwo, że aż się boję mówić o tem, bo coś podobnego robili tylko dawni Tatarzy, o których nam babki przy kądzieli do dziś opowiadają okropności.

— Właśnie, też, odpowiedziałem na to, sto lat temu jak była wojna polska z Moskalami, którą rozpoczęli pobożni Polacy katolicy za to, że się Moskale wtrącali do rządów polskich i dopuszczali się okrucieństw na księżach i dworach katolickich, a na Ukrainie to popi moskiewscy poświęcali noże i rozdawali Kozakom, aby Polaków katolików zabijać, kościoły palić i rabować co było w kościołach i dworach.

— Toż tak samo — mówił stary kościelny — rabowali Moskale i tu koło Biecza, a szli oni tędy ku Węgrom do Sącza i do Krakowa, gdzie Polacy mieli swoje wojsko. Opowiadają nam starzy ludzie że aż włosy wstają, aż się krew ścina, co to oni wyrabiali po drodze. Byłoto w samo lato, właśnie sto

lat teraz, zrobił się krzyk, że horda moskiewska ciągnie od Jasła do nas. Jedni mówili, że to Kałmuki z jednem okiem, drudzy znowu że to Tatarzy na koniach dzikich, znowu inni opowiadali, że jedzą ludzi i tak każdy opowiadał okropności.

— Tak nie jest! powiedziałem kościelnemu — prawda, że Moskale pochodzą z Kałmuków i Tatarów, że ich pradziadowie nie urodzili się w Europie tak jak my Polacy, Rusini, Francuzi, Niemcy, ale siedzieli w Azyi i do nas przywędrowali jako poganie i potem się ochrzcili na oko, ale w duszy i sercu pozostali podawnemu zawsze jednacy, podobni do Tatarów i Kałmuków i nigdy nie byli dobrymi dla nikogo w świecie, zawsze się cudzą krzywdą dorabiali, Ojca św. oszukiwali a nas Polaków najbardziej skrzywdzili, bo zabrali kraje nasze i już od stu lat męczą nas, a teraz odbierają Polakom nawet świętą wiarę katolicką, rozwalają im kaplice, krzyże i męki Boże w całym kraju, kościoły katolickie przerabiają na swoje i chcą mękami przerobić katolików na Moskali niewiernych Ojcu św. — To, co mówicie że Kałmuki mają tylko jedno oko, że Moskale jedzą ludzi, to bajki, ale to prawda że robią gorzej niż Turcy i poganie z katolikami robili: że najprzód obiecują złote góry każdemu, aby został Moskalem, a gdy to nie pomoże, obedrą go do koszuli i powiedzą mu: teraz masz wóz i przewóz, albo zostań Moskalem, a oddamy ci wszystko, albo idź sobie ztąd jak dziad w świat, a my to damy darmo jakiemu Moskalowi albo sprzedamy mu twój grunt za pół darmo, cmentarz i kościół katolicki zamienimy na moskiewski, a pomału wygonimy za tobą i księdza i osadzimy tu popa naszego z żoną i dziećmi. Podobno niema nikt tyle włosów na głowie, ile oni ludzi wygubili.

— To co innego, powiada stary kościelny, zacząć z słabymi ludźmi, kiedy kto mocny, ale zacząć z Bogiem wojnę, to już niema co mówić na to. A to widać już taka moskiewska niedobra dusza, że zabiera pracę a potem odbiera wiarę albo i życie! Ale ludzie także nierozumni że cierpią takie okropności.

— Tak było i tu w Bieczu z Moskalami, wpadli w biały dzień do miasta, rozkwaterowali się jak w domu, każdy musiał im dawać, co chcieli — chleb nie twój, grosz nie twój, kura i gęś nie twoja, nawet dziecko nie twoje, bo zabrali i shańbili, a trudno było się bronić, bo w tedy nie było tu wojska polskiego, a znowu panowie jedni byli na wojnie, a drudzy pokryli się i mówili: niech się dzieje co chce, aby mnie było dobrze.

— Prawdę świętą mówicie! dodałem.

— Otóż! mówi dalej kościelny — najprzód polecieli do magistratu, a tu jak wymiótł nie było panów urzędników, bo uciekli z miasta; potem polecieli na plebanię i krzyczeli: dawaj dięgi księże! bo cię porąbiemy! otwieraj nam kościół! i wyrąbali wielkie drzwi do kościoła, wpadli jakby to była gospoda jaka, a nie dom Boży, jedni zrywali z ołtarzów lichtarze bogate, wytrącali z nich świece i łamali, drudzy zabierali złote ramy z obrazów, krzyże z chorągwi, naczynia poświęcone na chwałę Bożą i do nabożeństwa — a znowu kilku przypadło tu do wielkiego ołtarza, porabowali srebrne lichtarzyki z cyboryi, a jeden otworzył drzwiczki do cyboryi, gdzie stała puszka złota z Najświętszym Sakramentem Ciała i Krwi p. Jezusa i z świętemi komunikantami, wyrwał tę puszkę, zdjął z niej pozłacaną sukienkę, potem — o dla Boga! aż mię strach zbiera wymówić to! i pobladł stary kościelny i posmutniał a ja powoleńku powiadam:

— Może odważył się ręką świętokradzką nie uszanować samego p. Jezusa, albo cóż takiego?

— Oj tak! tak! mówił pocichu stary kościelny — ten bezbożnik wysypał Hostyę Najświętszą i wszystkie komunikanty na stopnie tego wielkiego ołtarza, a drudzy deptali to — o dla Boga! aż mi się ćmi w oczach, i znowu posmutniał kościelny.

— Uspokójcie się, rzekłem, wszak takie świętokradztwo zrobili Moskale już w niejednem miejscu — Bóg sprawiedliwy czeka poprawy do czasu, a gdy ludzie którzy powinni bronić wiary i chwały Boga, patrzą na takie rzeczy obojętnie, to

spadnie kara Boża tak na świętokradzców jak i na tych, którym nie chodzi ani o wiarę ani o chwalę Bożą. Zobaczycie że może jeszcze za waszego życia ziści się ta zasłużona już dawno kara Boża. Ale dokończcież mi jeszcze, co się stało dalej z tem świętokradztwem?

— A cóżby się stało! mówił kościelny — Moskale, jak przyszli, tak poszli, nie miał kto ukarać ich za to — jeno potem zjechali się panowie do magistratu, spisali żale i skargi na to świętokradztwo, gdzieś to odesłali i tyle wszystkiego. Płakali kilka lat mieszczanie na taką zniewagę wiary, ale nic poradzić nie mogli, bo wtedy ani chłopi ani mieszczanie nic prawie nie znaczyli. Gdyby to było wtedy tak, jak dzisiaj, toby może spadła jaka kara na tych świętokradzców!

— Moi kochani, odrzekłem, nie lepiej to i dziś — wszak piszą gazety że na rozkaz Moskala sami chłopi polscy wykopali wszędzie krzyże i figury, które ich dziadkowie stawiali, piszą znowu tak, że komu z chłopów da Moskal kawał z gruntów dworskich, to tacy chłopi nic na to nie mówią, choć Moskal zamyka kościoły i sprowadza popów swoich i opowiada im wiarę moskiewską, że niektórzy przeszli nawet całkiem na Moskalów.

— Dla Boga! zawołał kościelny — tak być nie powinno! wszak żeby mi dziś biednemu darował kto folwarki i miasta i kazał się wyrzec Boga ojców moich, tobym wolał iść z kijem po jałmużnie i zginąć, niż przemienić wiarę; ciało moje niech sobie zginie, ale dusza moja niech będzie z Bogiem. A jakżebym ja stanął na sądzie przy moich dziadach i ojcach?

— To prawda! powiedziałem kościelnemu — tož niech każdy rozumie, co to znaczy wiara i pobożność moskiewska i nie daje się bałamucić! A to świętokradztwo, o którem mi mówicie, niech każdy zna z Polaków i niech wie, że wiara katolicka Polaków a wiara moskiewska to tak, jak niebo i piekło. Ja wam dziękuję za tę historyę i zaraz ją napiszę drugim aby zrozumieli rzecz całą. A wy co to czytać będziecie zważcie, że Moskal zawsze i wszędzie jednaki kat dla katolików!

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

O szczęściu.

Mam pisać o szczęściu doczesnem, mam wskazać na czem ono polega i jakiemi drogami człowiek dążyć powinien jeżeli je chce osiągnąć. Zaiste mało jest ludzi którzyby się mieli za zupełnie szczęśliwych, a kogokolwiek zapytasz o przyczynę, odpowie ci iż temu winien jego stan, jego powołanie. I tak wieśniak sądzi że byłby daleko szczęśliwszym, gdyby się był urodził mieszczaninem, mieszczanin zaś wzdycha za wsią, szlachcic marzy o tytule hrabiowskim lub książęcym a prawie wszyscy narzekają na fortunę że im za skąpo swoich darów użyczyła. Tymczasem ani tytuły, ani zaszczyty ani dostatki szczęścia nie dają; rzadko ono nawet na tronie przybywa a zdarza się często że panujący monarcha zazdrości cichego szczęścia ubogiemu wyrobnikowi. W starożytności żył pewien król imieniem Krezus, który miał się za najszczęśliwszego z ludzi, ponieważ nikt nie posiadał takich skarbów jak on. Wtem wpadają nieprzyjaciele, zdobywają cały kraj Krezusa, a jego samego biorą do niewoli. Stojąc na stosie, ponieważ żywcem spalić go miano, uznał jak wątłem jest to szczęście, które się tylko na skarbach zasadza, co usłyszawszy król nieprzyjacielski, wszedł w siebie i darował życie Krezusowi. — Historya dawnych wieków podaje nam wiele podobnych przykładów, ale nie sięgając nawet tak daleko, wszak wiemy że potężny władca Francyi Ludwik XVI. król z królów i jego małżonka Marya Antonina, córka cesarzowej niemieckiej, oddać musieli koronowane głowy pod topór a ich syn, także na tronie zrodzony, przeszedłszy w dziecinnych latach najokropniejsze losu koleje, umarł z nędzy wśród niewysłowionych cierpień. Niejednemu i z naszych polskich królów ciężyła korona, a wiadomo że jeden z nich, Jan Kazimierz, wyrzekł się nawet tronu, aby resztę życia przepędzić w zaciszy. Lecz bywa i na tronie dobrze; bywają królowie szczęśliwi jak mogą także być szczęśliwymi wyrobnicy i kmiotkowie, lecz to jest pierwszym szczęścia warunkiem aby ze swego stanu być zadowolnionym i nie pragnąć więcej nad to, co nam Bóg z łaski

swojej udzieli. Przeciwnie zaś kto wbrew woli boskiej wdziera się koniecznie coraz wyżej i wyżej, rzadko prawdziwego zakosztuje szczęścia a najczęściej usiłowania jego kończą się zgryzotą i hańbą. Spotykamy wiele takich przykładów w życiu codziennem, pomiędzy ludźmi z którymi żyjemy, i historya nie mało ich podaje. Z niskiego, bo tylko szlacheckiego stanu wyszedł cesarz Francuzów Napoleon I., przemocą wdarł się na tron, pół świata podbił pod swoją władzę, a potem zepchnięty ze szczytu potęgi umarł na wygnaniu, na bezludnej skale daleko od żony i dziecka i ledwie kilku przyjaciół towarzyszyło potężnemu niegdyś monarchowi na miejsce wiecznego spoczynku. I w naszej ojczystej historyi są także przykłady podobnego upadku osób, co nie poprzestając na tem czem ich los obdarzył, w wzniesieniu się szczęścia szukali. Oto Maryna Mniszchówna, córka możnego pana polskiego, wychowana w dostatkach i miłością rodzicielską otoczona, gdy ją los połączył z człowiekiem któremu się udało posiąść tron carów moskiewskich, choć poznała co jej zagraża na tym stopniu, bo jej męża jako oszusta zamordowano, nie zaprzestała swoich zabiegów aby się na tronie utrzymać; i gdy się nawinął inny oszust który nieżyjącego już cara udawał, uznała go za męża i dobijała się mniemanych praw swoich aż ją w końcu schwytano i utopiono pod lodem. — Przeciwnie mamy też wiele przykładów prawdziwego szczęścia zarówno pod słomianą strzechą jak w domu robotnika, pozyskanego właśnie przez umiłowanie swego stanu. Oto w jednej z wiosek pod samym Krakowem żyje włościanin nazwiskiem Zbroja, który ukończył wyższe szkoły w mieście, a nigdy przecież nie pomyślał o zmianie stanu znajdując dość szczęścia przy pługu. Imię tego Zbroi znanem jest od czasów króla Kazimierza W., który jego przodków za położone dla kraju zasługi wzbogacił Od tego czasu Zbrojowie nieraz zapewne mieli sposobność wyniesienia się nad stan przodków, ale przecież nigdy tego nie uczynili. Głośną jest dzisiaj w świecie sława Rumkorfa, który za swoje wynalazki otrzymał już kilka medalów i wielką nagrodę za którą mógł był kupić sobie czy to wieś czyli też kamienicę

w mieście, on jednak pozostał tem czem był pierwej to jest skromnym robotnikiem u mechanika i znajduje szczęście w tym stanie.

Ale oprócz zamiłowania swego stanu, potrzeba też dopełnić i innych warunków jeżeli chcemy być szczęśliwi. Mamy rozliczne obowiązki, trzeba je wszystkie wypełniać. Kochaj Boga i bliźniego, bądź sprawiedliwym w sądzie o drugich, nie wdawaj się w cudze sprawy, zachowaj z każdym zgodę i pokój, bądź cierpliwym i wyrozumiałym na wady i ułomności ludzkie, bądź grzecznym i uprzejmym dla każdego, dochowaj wiernie przyjaźni tym z którymi w ściślejszy wejdziesz stosunek, bądź wdzięcznym za otrzymane dobrodziejstwa, postępuj z każdym szczerze, rzetelnie, bądź wierny tym od których zależysz, ludzkim nawet względem nieprzyjaciół, dawaj dobry przykład młodszym i podwładnym a oto dopełnione będą wszystkie twoje obowiązki względem bliźnich, i szczęście samo stanie na twoim progu. Prócz tego jednak pamiętać winniśmy także o dopełnieniu obowiązków względem siebie samych a więc starać się o nabycie nauki, pracować, szanować zdrowia i oszczędzać przynajmiej cząstkę naszych dochodów na wypadek nieprzewidzianej potrzeby.

Lecz jeszcze nie koniec. Szczęście polegające na zamiłowaniu swego stanu i dopełnieniu wszystkich obowiązków tak względem Boga jak względem nas samych i bliźniego, jeszcze zupełnem nazwać się nie może. Zupełnem będzie dopiero wtedy, gdy się połączy z ofiarą poniesioną chętnem sercem dla dobra rodzinnego kraju i wszystkich naszych współbraci. Tylko ten co się nie zawahał gdy kraj od niego ofiary zażądał, tylko ten prawdziwego szczęścia zakosztować może. Co to jest ofiara dla kraju i jaka być powinna, nie da się zawrzeć w kilku słowach, tyle więc powiem dla jej określenia iż ona nigdy kresu ani granicy mieć nie powinna, jako nie miała granicy Ofiara Chrystusa Pana który życie swoje poświęcił dla odkupienia całej ludzkości.

Z nauki zdrowia.

O uratowaniu zmarzniętego.

Ożywienie zmarzniętego udaje się często, nawet po długiem leżeniu na mrozie. Są przykłady ożywienia człowieka, który leżał w śniegu od dni kilku i który nie dawał znaku życia, przez kilka godzin ratunku. Najważniejsza przestroga jest: naprzód aby nie zanosić, broń Boże zmarzniętego do ciepłej izby, lub nie zbliżać do ognia, coby go pozbawiło nadziei uratowania. Powtóre potrzeba nieść go bardzo ostrożnie, aby ręki lub nogi nie złamać, co wtedy jest bardzo łatwo. I dla tego rozbierając go, nie zdejmować odzieży, obuwia, lecz popruć je na nim należy. — Rozebrawszy go i położywszy go na krzyże, okryć śniegiem całe ciało na ćwierć łokcia wysokości, wyjąwszy nos i usta. Głowa ma być nieco podniesiona. Jeżeli śniegu nie ma, włożyć go w zimną kąpiel, lub okładać chustami maczanemi w zimnej wodzie, póki członki nie nabiorą gibkości i ciepła. Gdy to nastąpi, wyjąć ciało ze śniegu lub wody. Potém zwolną należy trzeć ręce, nogi, grzbiet, od dołu do góry, śniegiem, lub szczotkami maczanemi w oliwie albo w wodzie cokolwiek zimnej i dolawszy do wody połowę wina lub wódki. Po półgodzinnem tarciu, potrzeba osuszyć ciało ogrzanemi nieco chustami i położyć w pościel bardzo letnio ogrzaną, lecz zawsze w nieopalonej izbie.

Gdy oddychanie nie powraca, powtarzać jeszcze rozcieranie flanelą maczaną w letniej gorzałce. Po czem użyć wszystkich sposobów przepisanych do wzbudzenia oddechu, jako to: wpuszczania w płuca powietrza, domowego lekarstwa z wody letniej z mlekiem i z trochą oleju lnianego, kąpieli kroplistej, okładać gardło chustami maczanemi w occie, w wodzie lub w oleju grzanym, łechtać gardło, i trzymać pod nosem tęgie zapachy, obudzać kichanie i t. p.

Dla uniknienia skutków mrozu, potrzeba unikać spania podczas tęgiego mrozu w otwartym pojeździe, i bronić się jak najmocniej skłonności do snu. Zły jest zwyczaj dla zagrzania się wtedy pić wódkę, lepsze jest piwo grzane.

Człowiek przejęty mocno mrozem, lub okazujący jeszcze znaki życia, nie powinien być, broń Boże zaniesiony do ciepłej izby, lecz ratowany jak zupełnie zmarzły. Także członki odmrożone nie należy przybliżać do ognia; natychmiast wdałaby się gangrena, czyli ogień piekielny: należy je rozcierać śniegiem, lodem lub wodą zimną, póki nie wróci ciepło i czucie.

Jeżeli człowiek zmarznięty może już połykać, wlać mu w usta trochę ciepłej herbaty z rumianku lub bzu. Jeżeli zaś po powrocie do życia następuje wielka gorączka i gwałtowne bicie krwi do głowy, należy postawić po kilka pijawek za każde ucho, lub na bokach szyi.

Przestrogi i rady gospodarskie.

H u b k a. Chcąc przyrządzić dobrą hubkę do krzesania ognia, zbierają się grzyby na dębach i innych drzewach rosnące; gdy wyschną, krają się nożem na cienkie kawałki, biją się obuchem lub młotem na pniu dopóki nie zmiękną. Potem gotują się w wodzie z prochem strzelniczym, suszą się i znowu biją. Zamiast prochu można użyć 5 łutów saletry w dwóch kwaterkach wody, w której się pogotują pół godziny lub dłużej. — Miękką hubką dobrze się wstrzymuje upływ krwi z ran zadanych.

W y m a r z a n i e d r z e w e k młodych okazuje się pospolicie w jesieni, szczególniej tych, które bujno rosły, obficie liściem się okryły, i długo zatrzymały go na sobie, i których wreszcie młode pędy należycie nie zdrewniały. Wczesne mrozy będą dla nich szkodliwe. Zawczasu więc usposabiać je trzeba do dojrzenia; oszuszać około nich ziemię i ujmować im potrosze liści. Przyginać trzeba do ziemi krzewy zgiąć się dające, i gdy ziemia około nich od kilku stopni mrozu zmarznie, obsypywać je grubo śniegiem, a pod największe mrozy zdrowo się przechowują.

Różności.

Jałmużna. Grosz żebrakowi dany, nazywają jałmużną, ale wymawiać ten datek mizerny, niemieć serca przejętego uczuciem powinności, czyniąc go, choćby on nietylko grosz, ale i tysiąc wynosił, nie będzie to datek chrześcijański. Prawdziwa ludzkość zasadza się na pomocy stósownej do cierpień i potrzeb tych, którym ulgę przynieść chcemy. Sposób, czas, wyraz twarzy i słowa, które darowi towarzyszą, mogą albo podwoić, albo zniweczyć jego wartość. Umieć wypełniać dobre uczynki miłosierne, jest znamieniem pięknej duszy i pochodzi z uczucia prawdziwej dobroci Rada dobra, polecenie stósowne, pocieszenie itp. są nieraz daleko prawdziwszą jałmużną, jak sam datek pieniężny.

Jadwiga matka Henryka II. księcia Wrocławskiego, gdy się dowiedziała, że Tatarzy Polskę plądrowali i zbliżali się ku Szląskowi, pochwyciła pałasz, podała go synowi i rzekła: kochany synu! chceszli abym się nie wstydziła, żem jest twoją matką, spieszże na ratunek ojczyzny. Gdy zaś dowiedziała się o jego śmierci, zgromiła swoją synowę, że śmierć męża opłakiwała.

Cedr okazałe drzewo, rośnie w Azyi, a wyłącznie prawie na górze Libanon, należy do rodzaju drzew iglastych, dochodzi do 80 stóp wysokości, a 9 grubości, i żyje przeszło tysiąc lat. Pomimo tego jednak prędko wzrasta, i w każdym gruncie, a nawet i w złym i kamienistym udaje się pomyślnie. Teraz w Anglii, we Francyi i w Niemczech na wielu miejscach hodują go troskliwie. Zupełnie dojrzałe jego nasienie, zasiewa się w donicach dobrą ziemią ogrodową napełnionych, przy dostatecznie utrzymywanej wilgoci. Pierwszoletnie te drzewka są nizkie, ubezpieczają się zaś na zimę przed mrozami, a po trzech latach przesadzają się w ziemię na miejscu otwartém. Wszystko na cedrze wonieje, żywica jego miękka, samo drzewo jest kosztowne, twarde, pachnące, ciemno-czerwone, a wieki przetrwać mogące. Na górach Libanu jest jeszcze kilka cedrów, niezmiernie grubych, które do trzech tysięcy lat wieku liczą.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Nie jest w mocy ludzkiej sprzeciwić się wyrokom Bożym.

Ten dom najlepszy, gdzie pana bardziej kochają, niźli się go boją.

Miara w każdej rzeczy jest przyzwoita, ale przesadzać nie należy.

Bieganowski Mikołaj kasztelan za Władysława i Jana Kazimierza; gdy od niego domagano się nowej usługi, pomimo osłabionego zdrowia, przyjął obowiązek mówiąc: Miło mi będzie, choć tę przysługę krajowi, życiem mojem zapieczętuję. — Tenże mawiał także: Ten u mnie dzień szczęśliwy, w którym ubogiemu co dobrego uczynię.

X. Bielecki Stan. Jezuita mawiał: Widziałem w Polsce wsie różne nazwiska Woli mające, i wielu Wolskich, Dobrowolskich, Krasnowolskich itp.; ale nikt w Polsce nie słyszał o jednej woli i o Jednowolskim, a tego właśnie najbardziej nam potrzeba.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 5

11. Lutego 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Brat i siostra.

Stała w Leszczynie na uboczu chata tak schludna i dostatnia jakby zamożnego kmiecia, a jednak właścicielem jej był wyrobnik nie mający ani kawałeczka gruntu. Wewnątrz ściany tam były gładkie, białe, okna duże, wymyte, oszklone, na ścianach obrazy świętych w pięknych ramach; nic też nie można było zarzucić i sprzętom bo wszystkie lśniły białością, w kącie stał piec polski, ogromny, ale także czysto utrzymany, słowem wszędzie widać tu było troskliwą rękę dbałej o porządek gospodyni.

Ale gospodyni nie było w domu w tej chwili. Był tylko gospodarz, młody wieśniak imieniem Ignacy, który siedział na ławie z głową na ręku podpartą, stroskany i smutny, a obok niego żyd, na którego czole natura wypiętnowała czem był, toż na pierwszy rzut oka można było poznać że to lichwiarz.

— Nie żądam kapitału, mówił żyd, wiem że nie macie tyle abyście mogli oddać wszystko, ale procent trzeba płacić.

— Procent! procent! zawołał Ignacy; ileż to już poszło na niego... ile jeszcze pójdzie!

— Aj waj! co mi za suma!

— Nie wielka temu co bierze, ale ciężka temu co daje, co na nią pracuje, powie Ignacy.

— Ny, a czemu wam siostra nie pomaga? czemu i ona nie chodzi na zarobek?

Ignacy zachmurzył się:

— Biedna dziewczyna, ona nad siły pracuje, ale miałżebym ja sumienie wydzierać jej to co zarobi? Wszakże od śmierci rodziców jestem jej opiekunem.

— Aj waj, a mieliście sumienie długi robić? Nie trzeba było pić .. alboż to nie wiecie co wódka kosztuje?

— Stało się — już mię nie skusicie więcej; ale dajmy temu pokój, a przystąpmy do rachunku.

Żyd wyciągnął papier i ołówek, mruczał, pisał, sumował, i dalejże w targ z Ignacym. Nie będziemy powtarzać tej ohydnej rozmowy, przeplatanej gęsto żydowszczyzną. Szło tam o procent tylko, ale ten procent dwukrotnie przewyższał kapitał a dopisany do niego, powiększył dług w trójnasób, tak, że z kilkunastu reńskich zrobiło się pięćdziesiąt.

Skończył się wreszcie obrzydliwy ten obrachunek i Abramko zabrał się do wyjścia. Na progu zetknął się z świeżą jak kalina dziewczyną — to Anusia, siostra Ignacego która właśnie wracała z jarmarku.

Anusia podejrzliwem okiem zmierzyła żyda od stóp do głów. On nasunął kapelusz na oczy i poszedł w swoją stronę, a ona stała jeszcze w progu i niespokojnie poglądała za nim.

— Czego on tu chciał? — zapytała wreszcie brata, wchodząc do izby.

— Ot, wstąpił przechodząc, odpowiedział Ignacy.

— Obeszłoby się, rzekła z niechęcią i jakby niedowierzaniem, ale wnet uspokoiła się upewniona przez brata że nic

takiego nie zaszło co by ją mogło przestraszać. Teraz rozjaśniła czoło, pobiegła ku bratu i stanęła przed nim.

— Masz tobie, zawołał Ignacy; znowu nowe korale! Toż już trzecie... wieleżeś do tamtych dopłaciła?

— Wszystko com miała, całe dziesięć reńskich — ale tam były drugie, sto razy piękniejsze, tylko że kupiec chciał abym dopłaciła dwadzieścia reńskich. Ach bracie, co to były za korale! Mówię ci, jak orzechy! Rozpłakałam się też w sklepie jak dziecko żem ich dostać nie mogła, ale kupiec mię uspokoił, bo powiedział że tamtych nie sprzeda, jeno schowa dla mnie... toż jak sobie znowu uskładam dziesięć reńskich..

— Wstydź się Anusiu, ofuknął ją Ignacy, wstydź się i tego żeś płakała i tej chętki do strojów. Teraz takie ciężkie czasy, a ty zbytki robisz; to grzech!

Anusia zdjęła korale ze szyi, zwiesiła smutno głowę i dwie łzy stoczyły się po jej rumianych jagodach.

— To grzech, rzekła szlochając, to grzech, choć za moje własne pieniądze z takim trudem zapracowane.. o nie, to nie grzech; nie zganiłaby mię matka za ten zbytek, boć korale to nie wstążka ani żadna szmatka.

— Cicho, cicho, powie Ignacy łagodnie, już rób co chcesz a nie płacz, bo widoku twoich łez znieść nie mogę.

— Kiedy tak, to co innego, odpowie Anusia obcierając oczy. Ja myślałam że już mi nie pozwolisz doskładać tych dziesięciu reńskich.

Od tego czasu Anusia pomimo licznego i ciągłego zatrudnienia w domu, tak pilnie chodziła na zarobek że nie spełna w przeciągu dwóch miesięcy uskładała dziesięć reńskich. Pewna już przyzwolenia brata, nic mu nawet nie wspomniała gdy szła do miasta ze swemi koralami i pieniądzmi. Kupiec dotrzymał słowa, dołożywszy więc żądaną kwotę otrzymała tamte które tak się jej podobały że sama myśl o ich utracie do łez ją pobudzała.

Łatwo pojąć z jaką radością powracała do domu. Lecz jakież było jej zdziwienie gdy w izbie prócz głosu brata usły-

szała i obcy. Któżby to był? To żyd Abramko, który przyszedł upominać się o swój procent. Anusia zdjęta ciekawością, bo ciekawą była niesłychanie, podsłuchiwała chwilkę pod drzwiami a dowiedziawszy się o wszystkiem skoczyła jak oparzona.

— Więc to procent — procent pochłania cały zarobek mojego brata! O Matko Boska Częstochowska ulituj się nad nami! Nie, nie, tak być nie może, trzeba temu koniec położyć.

Czekała aż Abramko wyszedł. Wówczas znowu zmierzyła go pogardliwie ale tym razem już nie mogła nad sobą panować i pięść dziewczęcia byłaby niezawodnie spadła na kark lichwiarza gdyby się nie był zręcznie uchylił.

Łzami zalana weszła do izby, ale brat był jakoś zakłopotany, nie uważał że siostra płacze i nie zapytał o przyczynę. Nie pokazała mu więc nowych korali lecz schowała je w milczeniu i on też wyszedł niebawem.

Anusia długo uspokoić się nie mogła; przeróżne uczucia miotały jej sercem, a gdy wieczór udawała się na spoczynek, dłużej jak zwykle i goręcej pomodliła się przed obrazem Bogarodzicy.

Minęło kilka miesięcy.

— Cóż Anusiu? nie wymieniasz już korali? zapytał Ignacy pewnego razu siostrę. Dobrze robisz, bo to niepotrzebne. A ileżeś już uskładała?

— Nie ma teraz co składać, odpowie Anusia, dla tego też i korali nie wymieniam.

— Zkądżeś dawniej składała? powie Ignacy ze zadziwieniem. Ej Anusiu, ty chyba na jadło za dużo wydajesz . . . Wiem ja że to tylko dla mnie, bo ty się byle czem obejdziesz, ale i ja przestanę na kawałku suchego chleba . . . my biedni wyrobnicy, trzeba się nam ograniczać.

— O! co z tego to nic nie będzie; zawoła Anusia.

W tej chwili Ignacy stoczył ze sobą straszną walkę.

— Mój Boże! myślał sobie, jakże jej to powiedzieć? Daj! okropne słowo, nie podobna go wykrztusić . . . o nie, za nic

w świecie. Ach, ale i ona przecie niedobra siostra, kiedy się nie domyśla niczego . . .

Po chwili zbliżył się do niej, wziął ją za rękę i rzekł z przymileniem:

— Anusiu, ja mam dług, procent okropny płacę . . . rady sobie dać nie mogę . . . pożycz mi, wiele tam masz pieniędzy. . . ja ci oddam.

Anusia zarumieniła się, poszła do skrzynki, wyjęła jakiś papier i podała Ignacemu.

— Wexel! mój wexel! Coż to znaczy? Anusiu, co ty zrobiła?

— Com zrobiła, tom zrobiła, ale czemuś ty mnie odrazu nie powiedział?

— Anusiu, zkąd ty wzięłaś pieniędzy? pytał Ignacy, patrząc siostrze bystro w oczy. Pokaż mi twoją przyodziewę.

Anusia otwarła skrzynkę.

— Gdzie korale?

Nie odpowiedziała ani słowa tylko spuściła oczy.

— A więc korale poszły do żyda . . . twoja krwawa praca, na zapłacenie mojego długu? . . o moja siostro droga, o ileż ty lepsza odemnie . . . Ale ja ci to oddam, Bóg widzi. Oto masz dwadzieścia reńskich, resztę doskładam powoli i będziesz miała korale moja droga, jeszcze piękniejsze jak tamte.

Zakończył tę rozmowę uścisk serdeczny, który stał się zadatkiem nowego przymierza braterskiej miłości. A w najbliższy dzień targowy Anusia poszła z Ignacym do miasta i dołożywszy do otrzymanych od brata pieniędzy jeszcze własnych kilka reńskich, kupiła sobie parę sznurków korali z wymową że je później za stósowną dopłatą będzie mogła za okazalsze wymienić.

Stanisław Krakowczyk.

. . . .

Siejba.

Wieśniak w polu orze, sieje,
Ziarno w ziemię rzuca w wiośnie,
W Bogu tylko ma nadzieję
Że mu w dobry plon urośnie.

Gdy nadejdzie lato Boże
Słonko ciepłem swem dogrzewa,
A na polu rośnie zboże
I tak ładnie już dojrzewa.

Jak na Boże zawołanie
Z spiewem hożym żeńców koła
Snopy ścielą się na łanie
I zapełnia się stodoła.

I tak wszystko po dożynku
Już ukończa się porządnie —
Za to w zimy odpoczynku
Głód i nędza nie zaglądnie.

Chłopczyk mały w szkole siedzi
A książeczkę w dłoni trzyma
I literki na niej śledzi,
Ciekawemi już oczyma.

Rośnie chłopczyk, żywo rośnie,
Już na książce swojej czyta —
Dobry zasiew w życia wiośnie —
Już się pisać nawet chwyta.

I wyrasta już na męża,
Co mu obcą nie jest wiedza
Łatwo trudy przezwycięża
I rozumem już wyprzedza.

Czy na piśmie, czyli w słowie
Pożytecznym jest gromadzie,
Bo mu jasno świeci w głowie
Rozum w czynię jak i w radzie.

Siejcie ziarno w życia wiośnie
Siejcie wiedzę, bo za młodu
Co zasiane to wyrośnie
Na pożytek dla narodu.

Siejcie z własnej dobrej woli
Ziarno wiedzy w młodej głowie,
Miłość, cnotę w młodej roli —
Święte ziarno w Bożem słowie!

Józef z Medyki.

Kazimirz Korsak.

(Prawda historyczna.)

Będzie temu lat trzysta. Na dziedzińcu przed dworem pana Kazimirza Korsaka, wielkiej fortuny dziedzica, stali dwaj mężczyzni, jeden stary, drugi młody i tak rozmawiali ze sobą:

— Doprawdy — mówi młody — to już rzeczywiste są dziwy, co się z naszym panem dzieje! Taki nie swój, taki zawsze zrzędny, takby gdzieś chciał chodzić a nigdzie miejsca sobie znaleść nie może! Mój Boże! a toć to bogacz nie lada, na niczem mu nie zbywa; ma tylko jednę siostrę i nikogo więcej, o cóż sobie tedy łamać głowę? . . A lepiej, żeby siedział spokojnie:

— Ależ mój kochany! — odpowie drugi — to rzecz wcale inna. Jak słyszałem pan nasz ma wielki pociąg do pogardy świata i jak sam mówił, od młodości czuje w sobie skinienia Boże, aby jako prosty człowiek w wiejskim stanie szukał zbawienia duszy swojej. Z tego to powodu był w obozie, bił się na wojaczce chcąc na sławę imienia swojego zapracować, ale i tam nie znalazł spokoju; wnet do domu wrócił. Biédny ten pan! ciągle walczy ze sobą, opiera się widocznie woli Bożej; odwodzi go znakomitość rodu, delikatne wychowanie, nadzieja honorów a straszy poniżenie siebie, niewygoda życia i trudna praca. . . .

— Ale za to czeka go w życiu łaska i miłość Boska a po śmierci pewne zbawienie — rzeknie młody.

— Ha! być może! — dodał stary,

W tem wyszedł pan Korsak i usiadł sobie na ławeczce. Podumał chwilę i zaraz odszedł.

— Widzisz jaki niespokojny! — przemówił młody mężczyzna — biedak nie wie co ze sobą zrobić.

— Ha! kiedy już taka wola Boża, powie stary — to my temu nic nie poradzimy.

Pomówili jeszcze słów kilka i odeszli.

Tymczasem pan Korsak wszedłszy do komnaty, ukląkł przed ołtarzem Trójcy Przenajświętszej, modlił się długo i w pokorze błagając Boga o zwycięstwo nad sobą. Czyń panie! — mówił w modlitwie — co ci się podoba, ja się zgodzę z wolą Twoją!

Naraz otwierają się podwoje, wchodzi posłaniec i oznajmia, że pan pułkownik wzywa pana Kazimierza, aby czemprędzej wyruszył na podjazd, bo nieprzyjaciela co tylko nie

widać. Jak potem tak i wówczas każdy pan polski miał na pogotowiu potrzebne do boju rzeczy, zbiera się więcpan Kazimirz a niespodziewając się żadnego niebezpieczeństwa ze strony nieprzyjaciela, rozkłada się ze swymi ludźmi w pewnej wsi i bezpiecznie zasypia. Aż tu w głęboką noc wpada nieprzyjaciel. Dano znak trwogi, wszyscy zerwali się coprędzej, budzi się także Pan Kazimirz i z pośpiechu w ciemnej chacie zamiast swojej, chłopską na siebie wdziewa suknię; wypadł na nieprzyjaciela i szczęśliwie gromi. Już świtać poczynało, kiedy po sobie spojrzał pan Kazimirz. Widząc się w prostej siermiędze a nie w swojej sukni, zdawało mu się że słyszy głos wewnętrzny:

— Oto tak cię Bóg stroi i to jest suknia, w której cię chce zbawić.

Pan Kazimirz począł rozważać nad swoim stanem, a nie chcąc dłużej sprzeciwiać się woli Boskiej jedzie czemprędzej do domu, konie, sprzęty, suknie rozdaje i wgłęboką idzie pustynię, aby tam wieść życie pustelnicze i w modlitwie szukać pokrzepienia.

Jakoż rzeczywiście był tam czas niejaki, żył tylko samemi ziołami i korzonkami, pijąc kryniczną wodę. Jednakże i tam był niespokojnym, bo mu się ciągle zdawało, że jeszcze nie zupełnie usłuchał woli Bożej. Idzie więc do wsi niedalekiej, zarosły na twarzy, wycieńczony i u chłopa przyjmuje służbę. Wszystkie na siebie przyjęte ciężary z taką ochotą i wiernością wykonywuje, jakby do tego od urodzenia był przywykł.

Gospodarz uważając skrzętność Kazimirza, przez wdzięczność za jego pracę chciał mu ofiarować córkę swoję jedynaczkę a w posagu całe dziedzictwo swoje.

Ale na to rzekł Kazimirz:

— Tego w żaden sposób uczynić nie mogę, choć byście mię najbardziej znienawidzili.

Po pewnym atoli czasie, aby tem większe nad sobą odnieść zwycięstwo, przeniósł się do innej wioski a właśnie do tej, która niegdyś jego dziedzictwo stanowiła.

W wiosce tej mieszkała jego siostra. Nie poszedł do dworu, ale przybył do poddanego dawniej swojego i przyjął u niego obowiązki parobka. Robił wszystko z największą gorliwością, choćby też było co i najtrudniejsze. Poprzestawał chętnie na lichej strawie, nigdy się nie użalił, nigdy nie zapłakał. Nieraz chodził na pańszczyznę do dworu, tam bili go dworzanie, to też nie raz z guzami przyszedł do swego gospodarza.

Ani we dworze ani we wsi całej nikt go nie poznał. Bywało, że i siostra sama często nad nim pastwić się kazała, Kazimirz wszelako był na to wszystko jakby bez słuchu i czucia. Siedm lat pracował w swej wiosce w wielkiej skromności i był wszystkim służącym prawdziwie budującym przykładem. Nikt się na niego nie oskarżył, bo on dogadzał wszystkim a nawet robił to, co było nad jego siły.

Wreszcie ciężką pracą stargawszy siły, wpadł w śmiertelną chorobę, woła tedy gospodarza do siebie i mówi:

— W nagrodę wiernych usług moich nie żądam niczego, tylko żebyście mi księdza sprowadzili, panie gospodarzu. Jedźcie na publiczny gościniec a pierwszego kapłana, którego tam nieomylnie napotkacie, przyprowadźcie do domu i proście, aby chorego zaopatrzył Jakoż zaledwie gospodarz wyszedł na gościniec zdybał zaraz księdza Dominika Podolca, jezuitę, którego zaprosił i do chorego przyprowadził.

Zaledwie ksiądz Dominik wszedł do izby, Kazimirz po łacinie wymienia jego imię i nazwisko, wita go najuprzejmiej a po spowiedzi przed nim uczynionej opowiada mu całe życie swoje, wszystkie czyny i nadmienia, jakich pociech niebieskich doznawał w ostatnim swym stanie. Potem na wszystkie świętości pod ciężarem wyrzutów sumienia prosił księdza jezuitę, aby zeznania jego, ani imienia i nazwiska nie wyjawiał, a po śmierci, żeby go pospolitym sposobem jako prostego wieśniaka na cmentarzu pochować kazał.

Ksiądz Podolec dochował ściśle obietnicy; zeznania Kazimirza przez całe swoje życie głęboko u siebie taił, aż dopiero

po jego śmierci rzecz tę własną jego ręką pisaną między papierami znaleziono i stąd o wszystkiem wiedzieć możemy.

Tak zakończył życie możny pan, zapomniany od wszystkich, ale nie zapomniany od tego, który nad nami panuje.

Cieszcie się gospodarze pięknym waszym stanem, w którym wam błogosławi ojciec niebieski, pracujcie zawsze szczerze a z Kazimirza bierzcie sobie przykład że praca nie jest hańbą ale zacnością człowieka, za którą Bóg udziela pociechy w życiu. Pot i trudy — to droga do radości, więc się nie zrażajcie, ale pracujcie jak wam Bóg i kościół święty nakazał.

Józef z Bochni.

Ludy pasterskie.

Zajmujący się wyłącznie pasterstwem ludzie, jeden lub kilka rodzajów zwierząt użytecznych oswoili, wzięli je w swoją opiekę i hodowali starannie. Ta troskliwość o utrzymanie i rozmnażanie pielęgnowanych przez siebie zwierząt, ułatwiających sposób życia, rozróżnia ludy pasterskie od pokoleń trudniących się myśliwstwem i rybołowstwem. Według rodzaju domowych zwierząt jakoto: wielbłądów, koni, bydła, owiec, renów, kóz i trzody chlewnej, rozróżniają i samych pasterzy. Wybór zwierzęcia, a mianowicie dogodna mu siedziba, wielki wpływ wywiera na sposób życia, domowe zajęcia, a nawet na obyczaje ludu.

Wielbłąd nie w zbyt licznych zamieszkuje okolicach, najlepiej się udaje w ciepłej a suchej strefie i właściwem jest zwierzęciem na krawędziach i oazach *) pustyń Azyatyckich i Afrykańskich. Zaspakaja on wszelkie potrzeby swojego opiekuna; posiada bowiem wszelkie przymioty użytecznych zwierząt: dostarcza mleka jak krowa; okryty będąc włosem i wełną zdatną na nici, sznury, przędzę i tkaniny użyteczny jest jak owca; jest dogodnem jak koń zwierzęciem do dźwigania w drodze ciężarów, a jeszcze dogodniejszem w gorących, suchych okolicach, w podróży zaś na pustyni, żaden go zwierz

*) Oazy są to miejsca urodzajne i zamieszkane w pustyniach szczególnie Afrykańskich, są one niejako wyspami na morzu piaszczystem.

zastąpić nie zdoła. Łagodnym swoim charakterem, usłużnością i przywiązaniem do człowieka, zwrócił on uwagę na siebie, a jakby dla użytku ludzkiego był stworzony, sam jeden z pomiędzy wszystkich zwierząt, nie żyje nigdzie w stanie dzikości.

Jakkolwiek pustynia straszliwą jest dla blisko niej zamieszkałych ludzi, wielbłąd jednak czyni ją dostępną; ułatwia bowiem osiedlenie się w oazach i zakładanie osad na jej krawędziach. Szeroką nogą stąpa on po ruchomym piasku, a nie zapada w nim tak głęboko jak człowiek i koń; z wielkim zapasem wody w kilku swoich żołądkach, cały tydzień bez napoju obejść się nie może, i z potulnością owcy znosi upał dniowy i zimno bezchmurnej nocy, a rozważny jakby się obawiał wszelkiego nieużytecznego marnotrawienia swych sił, z wytrwałą cierpliwością równym krokiem przebywa olbrzymie przestrzenie od jednej do drugiej oazy. Każda karawana bierze ze sobą kilku wielbłądów objuczonych jedynie wielkim zapasem wody i wszelkiego pożywienia dla ludzi i zwierząt. W ostatecznej zaś potrzebie, zabijają podróżni jednego wielbłąda, tę studnią chodzącą i ocalają życie ostatnią resztą wody pozostałej w jego żołądku.

Człowiek wszystkie jego składowe części na swój użytek obraca: mleko służy mu za pokarm, z grubszych i dłuższych włosów robi sznury, z cieńkiej zaś wełny corocznie na wiosnę jak z owiec wyczesywanej, wyrabia tkaniny; użytkuje z jego mięsa, skóry i kości, gnój jego nawet do utrzymania ognia przydatny. Wielbłąd jednak z natury swojej w ciepłych tylko okolicach żyć mogący, jako zwierzę domowe, w chłodniejsze strony człowiekowi towarzyszyć nie zdoła. Szczególniej przez Arabów hodowany, zaniósł ich wprawdzie na brzegi Morza Atlantyckiego; lecz gdy ci przeszli do Hiszpanii, wielbłąd z przyczyny chłodniejszego tu powietrza, w rodzinnej swojej pozostał ziemi, i jak gdyby jego panów szczęście od niego zawisło, pomimo zaciętych walk z Europejczykami, po niejakim czasie przez Hiszpanów ci najezdcy Maurytańscy pokonani, ustąpić z kraju musieli.

Zupełnem przeciwieństwem wielbłąda w ciepłym, suchym klimacie zamieszkałego, jest ren, to wielce użyteczne zwierzę,

w czasie długiej zimy w dalekiej północy. Obydwa zwierzęta w zupełnie odmiennych przebywają okolicach, między któremi w szerokim pasie umiarkowanego klimatu, innego rodzaju zwierzęta utrzymują się i pielęgnują. Tak wielbłąd jak i ren, przymusowo tylko w stolicach niektórych krajów w zwierzętarniach (menażeryach) są chowane, gdzie pierwszy w zimie a drugi w lecie niemało cierpią na zdrowiu. Na wolność puszczone pewnieby jedno na południe do swoich palm daktylowych pobiegło, a drugie na północ za ulubionym mchem stęsknione.

Ren w tem jest do wielbłąda podobny, że wszystkie potrzeby swego pana zaspokaja, ten bowiem karmi się jego mlekiem, do sanek go zaprzęga, z jego skóry nieprzemakającej ciepła odzież i obuwie sporządza, które zaszywa nicią ze ściągn jego zrobionych; mięso służy mu za posilny pokarm, a potrzebny w tak zimnej okolicy dla utrzymania ciepła i sił. Ojczyzna rena nie jest tak rozległym krajem jak wielbłąda, i Lapończyk wraz z swojem domowem zwierzęciem w tak niedostatniem przyrodzeniu żyć znaglony, swoich naturalnych zdolności dostatecznie rozwijać nie może. Nizkiej, krępej budowy ciała, jak i jego zwierzę i rośliny, które krótkie lato rozzielenia wprawdzie, ale owocowi dojrzeć nie dozwala, nie zostanie on przedsiębiorącym bohaterem, bo w szczupłym zakresie swych zajęć, od wygodniej żyjących sąsiednich ludów odcięty prawie, swojego wpływu poza granice swego kraju wywierać nie zdoła. Lecz jako pasterz na wyższem zostaje stanowisku, niż inne północne ludy, żyjące tylko z polowania i rybołowstwa.

Pomiędzy gorącem zamieszkaniem wielbłąda a zimnem rena, rozciąga się bardzo rozległa przestrzeń krajów mających podostatkiem koni, bydła, owiec, kóz i trzody chlewnej. Różnią się one od rena i wielbłąda większą łatwością przesiedlania się i przywykania do innych okolic, nie wszędzie jednakże znajdują dogodne dla siebie miejsce. Koń znosi wprawdzie gorąco i zimno, i jak bydło we wszystkich prawie częściach ziemi ludziom towarzyszy; trawą wszakże zarosłe obszary i stepy właściwą są jego siedzibą. Owce na małem pastwisku można ogrodzić; koza na sznurku do drzewa uwiązana, pasie

się w kółku na trawie; bydło przechodzi karmiąc się pod okiem pasterza pomiędzy zasianemi polami, ale stado koni potrzebuje rozległego pastwiska, żeby swobodnie na niem pobujać. Koń ma kopyto do suchej, miękkiej, równej ziemi stósowne; wyżyny Azyatyckie prawdopodobnie zdają się być jego pierwiastkową ojczyzną, i ciepły klimat Arabii i Persyi, gdzie najlepiej się udaje i do największej doskonałości dochodzi. Chętnie on jednak wybiega poza te granice i pod opiekuńczą ręką rozsądnego człowieka zmienia swoją właściwą sobie naturę, i w najrozmaitszych klimatach i okolicach, osiedla się bez trudności. Tym sposobem widzimy konia we wszystkich częściach świata licznie zamieszkałego, nawyka on do miejsca, do gorąca i zimna, a kopyta do wszelkich dróg po kamieniach, piaskach i śniegu stosownie ma urządzone.

Jakkolwiek Kałmucy, Mongołowie, Patagonowie i inne ludy jedynie chowem konia zajęci, mleka i mięsa tego zwierza na pokarm używają, i z włosa jego robią tkaniny, skórę jego garbują, a nawet i z kości użytek odnoszą; to przecież praca, zdolność do pociągu i dźwigania są największą z nich dla człowieka korzyścią; koń bowiem do udoskonalenia gospodarstwa i utrzymywania wszelkich z innemi ludami stosunków, najwięcej się przyczynia. Pielęgnowanie wszakże i utresowanie konia uczyniły go dopiero do najważniejszych usług sposobnym. Dzikie albo zdziczałe konie, tysiącami w Tataryi i południowej Ameryce swobodnie błąkające się, są po większej części małe, kudłate, z grubą głową i nieposkromione; koń zaś dobrze pod różnym względem wypielęgnowany, piękny, powolny a jednak śmiały, sprężysty, silny i szlachetny, zupełnie inną okazuje się istotą, niż jakiekolwiek innego rodzaju zwierzę.

Niektóre ludy tak się zespoliły ze swemi końmi, że nietylko jedną istotę z niemi składają, i co dawni pisarze Historyi wspominają o Hunnach, którzy na swych zwinnych, kudłatych koniach siedząc lub leżąc, wszelkie załatwiali sprawy, kupnem i sprzedażą się trudnili, jedli i pili, naradzali się i spali, to samo i dotąd dzieje się na stepach Azyatycktch i w Ameryce u ludów koczowniczych. Nie tylko w starożytności trwożliwa

wyobraźnia wystawiała sobie człowieka na koniu za jedną istotę (centaury), bo i ludy w Ameryce przy pierwszem spojrzeniu na Hiszpańskich zdobywców, konia i siedzącego na nim jezdcę, za zrośnięty potwór, chciwy ciała ludzkiego poczytywali.

Koń jest najsilniejszym, najgorliwszym i najwierniejszym sługą człowieka; pomaga mu w orce, sianiu, przy żniwie i młocce, służy mu do pociągu, windy obraca, pompuje wodę ze studni i szyb górniczych, wywozi rudę z kopalni, ściga wraz z panem zwierzynę, towarzyszy mu na wojnie i w najzaciętszej potyczce pomaga mu walczyć odważnie. Te liczne konia w zajęciach człowieka usługi, dały powód do tysiąca wynalazków, które w domowem i rolnem gospodarstwie, w handlu i pożyciu towarzyskiem wielkie zmiany zdziałały i dokonanie najświetniejszych czynów ułatwiły.

I owce, bydło, kozy i trzoda chlewna w ulubionych tylko przez siebie okolicach, lepiej się udają, niż na innych miejscach. Owca lubi korzenne suche pagórki podgórzy; koza pokrewna rodzaju sarny, kozicy i koziorozca jeszcze wyżej na góry wstępuje, zwłaszcza gdzie liściaste krzaki i drzewa, miłego jej dostarczają pokarmu. Trzoda chlewna przeciwnie przekłada ciepłe i obfite w wodę doliny, bo chętnie się kąpie, a nieprzestając na samej żołędzi i innych owocach drzew, podnosi miękką ziemię ryjem i wydobywa z niej korzenie i główkowate rośliny, robaki itp. Bydło lubi bujne pastwiska i na równinach rozrasta się w ciało i wysokość, a długie rogi szeroko rozkłada, ale i na pochyłe grzbiety gór trawą okryte wychodzi ochotnie, a wznosząc się aż do szczytów zielonych wyzyn, usłanych kobiercem korzennych traw, zmienia się tamże w krępy z krótkiemi rogami gatunek. Bydło, owce, kozy i trzoda chlewna na wielu miejscach w dolinach i na górach, na pastwiskach i w lesie spotykają się, i wszędzie zgodnie żyją ze sobą; dla tego i ludzie po większej części jednocześnie ich chowem się zajmują. Bydło i trzoda wygodnie może całą rodzinę pasterską mlekiem, serem i mięsem wyżywić. Ich skóry zwłaszcza wyprawne, futro i wełna służą na trwałą a stósowną odzież na miękkie łoże i na mocne a ciepłe obicia namiotów.

Wszystkie ludy pasterskie do niestałego a ustawicznie zmiennego znaglone są życia: nie tylko jednakże pasterze koni ale i hodujący kilka odmiennych zwierząt domowych, odbywają z niemi wędrówki, jakkolwiek w szczuplejszych granicach. Zwykle w lecie wstępują wyżej na góry, a na zimę wracają znowu do cieplejszych dolin zmieniając pastwiska, aby wypaszona na nich trawa tymczasem odrosła. Gdyby bowiem bydło, lub trzoda na jednem miejscu trawę aż do korzenia spożyła, to bez kunsztownej jej uprawy, zwierzęta wraz z ich pasterzem z głodu wyginąćby musieli. Tak więc pasterz na najrozleglejszych pastwiskach, nie jest wolnym od troski. Dzikie zwierzęta i zaraza, wielkie często spustoszenia w jego bydle i trzodzie zrządzają, mianowicie gdy w czasie posuszy, trawa od żaru słonecznego zniszczeje, a źródła i stumyki wyschną, wtedy głód i ostateczna zguba wszystkim zagraża.

Z wzrastającą coraz to bardziej ludnością, gdy i najrozleglejsze pastwiska przy rozradzającej się liczbie bydła i trzody dla nich nie wystarczają, i szczególne pokolenia w stałych granicach osiedlać się są znaglone, wtedy wkrótce uczują potrzebę dla uniknienia niedostatku, zajęcia się kunsztowną uprawą ziemi, i kopaniem studni, dla utrzymania siebie i zwierząt przy życiu. To zaś pobudza ich do stałego osiedlenia się, i tym sposobem z koczujących pasterzy powstają rolnicy.

Przestrogi i rady gospodarskie.

B a b y. W wielu miejscach w wieśniaczych chatach, nie ustał jeszcze zwyczaj zatykania kominów tak zwanemi b a b a m i, czyli worami słomą wypchanemi. Łatwo w taki wór uwikłana iskra, zatlić go może, następnie sadze zapalić, i stać się pożaru przyczyną. Przezorna zatem gospodyni, bezpieczniejszego sposobu zamykania komina użyć powinna, a nie narażać siebie i sąsiadów na nieszczęście.

Różności.

Rumianek szczególniej włoski nie tylko dziko po polach rośnie, ale i w ogrodach znajduje dla siebie miejsce. Kwiat i liście mocny wydają zapach, i są silniejsze od pospolitego rumianku. Robią z nich olej i wyciąg, i wywożą je do Anglii, Rosyi i Ameryki, gdzie służą zamiast chmielu przy warzeniu piwa na użytek dla osady okrętowej. Psi rumianck jest uprzykrzonym chwastem; farbierski zaś rośnie na murach itp., kwiaty nadają wełnie kolor jasno-żółty. Rumianek pospolity kwitnie przez całe lato na polach. Jego kielichy kwiatowe szczególnym są środkiem leczniczym, i jako herbata używają się w kurczach, kolkach, bólu żołądka itp. z jak najlepszym skutkiem.

Herbata najpowszechniej w całej Europie używana, zwłaszcza w krajach wilgotnych; ułatwia ona transpiracyą, wzbudza działalność żołądka, i działa na nerwy, przezco może być i szkodliwą zdrowiu. — H e r b a t ą w ogólności zowie się wszelkie nalanie ziół wrzącą wodą, przyczem nakrywa się naczynie aby nie parowało, i tak ma stać przez chwilę, dopóki w pół nie przestygnie.

Kanar, rodzaj trawy należącej do zbóż z kłosami; dziko rośnie w Sycylii, ale i u nas bywa uprawiany. Sieją go z początkiem wiosny, na dostatecznie sprawionym gruncie, i tak się z nim jak ze zbożem postępuje. Ziarno z tej rośliny otrzymane, bardzo lubią kanarki; wyrabiają także z otrzymanej zeń mąki, a z pszeniczną zmieszanej, chleb pożywny i smaczny.

Bukszpan jest drzewiasty i karłowaty, bardzo nizki. Obydwa rodzaje hodują w ogrodach. Drzewo bukszpanowe jest twarde i żółte i piękną przybiera politurę. W wodzie zatapia się; rzadko go toczą robaki; robią z niego flety i inne dęte instrumenta muzyczne, także tabakierki itp. I z korzenia odznaczającego się pięknemi słojami, otrzymujemy wiele drobnych i ładnych wyrobów. To drzewo rozmnaża się przez odcięte młode gałązki, a bukszpan karłowaty, przez rozdzielanie korzeni. Obydwa gatunki udają się w jakiejkolwiek ziemi, ale obok nich będącym roslinom, wiele zabierają pożywienia. W karłowatym chętnie przebywają ślimaki.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Łatwo się ten zbogaca, kto się skromnie obchodzi.

Targać się na mocnego, szaleństwem jest; zwycięztwem się nie ucieszy, a nędzę przymnoży.

Droga, która do cnoty prowadzi, długa i przykra; jednakże najciężej pierwsze wzgórki przebyć, gładzi się droga ku wierzchołkowi.

Głód wiernym jest towarzyszem gnuśnego; obmierzły on jest niebu i ziemi, a na wzór podłego trutnia, który żądła niema, tuczy się pracą roboczych pszczółek.

Doniesiono raz Chodkiewiczowi że nieprzeliczone zastępy nieprzyjaciół nadchodzą. Bohater ten, lubo garstkę tylko wojska z sobą prowadził, wziął się jednak zaraz po odebraniu tej wiadomości za szablę i rzekł: tem żelazem policzę ich należycie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 6

21. Lutego 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wyszła oliwa na wierzch.

Przypuszczam, kochany czytelniku, że widziałeś Kraków i Pacanów, Lwów i Kulików, ale pozwalam sobie wątpić, czy byłeś także w sławnem mieście Strużowie. A szkoda, wielka szkoda, bo drugiego takiego samego miasta nie ma w żadnej z pięciu części świata Jakby mur forteczny, otacza miasto do około łańcuch pagórków, a na pochyłościach tychże bieleją rozrzucone domki niby stado pasących się gęsi. Ale odłożywszy żarty na bok, przyznać trzeba, że ludność tego miasteczka słynie z pracowitości i gościnności, a że biedna, to któż temu winien jeżeli nie Szwedzi, co przed stu sześćdziesięciu kilku laty miasteczko zrabowali i spalili, tak że się dotąd podźwignąć nie zdołało? któż, jeżeli nie czasy ciężkie, co nas wszystkich tak boleśnie uciskają. Bądź co bądź Strużów jest poczciwem polskiem miasteczkiem; ze czcią przechowuje w pamięci wspomnienia szczęśliwszej przeszłości i wzdycha do niej.

Ci, którzy budowali gościniec do Strużowa mieli pewnie bardzo zdrowe nogi i lubieli piąć się po górach. Domyślam

się tego ztąd, ponieważ poprowadzili drogę bez żadnej przyczyny przez szczyt najwyższego wzgórza. Ale mniejsza o nogi, bo widok który się tutaj odsłania, sowicie nagradza podróżnego za poniesione trudy.

Raz w lecie wspinał się na to wzgórze gościńcem młody wędrownik, widocznie rzemieślnik z tłómoczkiem na plecach, Pot się lał z czoła młodzieńcowi. Ale co tam trudy, co to upał dla młodzieńca. Wieluż to takich po całodziennym marszu, zamiast do gospody na nocleg, idą na bagnety... a nie skarzą się, owszem błogosławią tej chwili. Toż i nasz młodzieniec nie narzekał, jeno podwoiwszy krok, żwawo piął się pod górę. Stanąwszy na szczycie, usiadł i zadumał się.

A o czemże dumał? Ba, gdybym to ja umiał zgadywać myśli ludzkie.. Ach, ale czyż to nie ma o czem pomyśleć wędrownik przybywający po raz pierwszy do obcego miasta? Wszak jest on jakoby sierota, co się pod cudzy dach chroni, co się do obcego serca tuli. Owóż duma, jakich też ludzi znajdzie tutaj? jaki go tutaj los spotka?... może tu na zawsze osiędzie, jeżeli mu się poszczęści?... różnie to bywa, a o przyszłości, któż nie lubi marzyć? Ale bądź co bądź źle jest, jeżeli młodzieniec przychodzący do obcego miasta marzy tylko o tem co będzie, a nie myśli o tem co było; jeżeli tylko przed siebie patrzy, a za siebie się nie ogląda. Tam za sobą zostawił rodzinną wioskę lub miasteczko — tam stary ojciec czeka na niego z utęsknieniem, tam ojczyzna, co każdemu nad wszystko droższą być powinna.

Wypocząwszy chwilkę, spuścił się z góry i wszedł do miasta. Dalejże teraz rozglądać się po domach i przypatrywać się szyldom. Na pierwszym domie wymalowany był b u t. Wędrownik ledwie rzucił okiem i poszedł dalej. Na drugim domu opodal, znowu b u t ujrzał. Niechętnie machnął ręką i idzie jeszcze dalej w miasto, patrzy, a tu na trzecim domu aż d w a b u t y wisiały.

— Licho nadało — mruknął pod nosem — same szewcy?

Przecież już na końcu ulicy spostrzegł wiszącą nad domem s z c z o t k ę i tu wszedł.

W ubogiej ale schludnej izbie siedział przy robocie rzemieślnik poczciwej powierzchowności, obok chłopiec, który mu pomagał, opodal pani majstrowa, która szyła i zarazem tłómaczyła dziewczynce siedmioletniéj słowa pacierza: I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, uczyła ją przebaczania uraz, i zachowywania z każdym pokoju i zgody.

W tej chwili wszedł obcy i pozdrowiwszy obecnych, podał majstrowi swoją książkę wędrowniczą.

Pan Jacenty zawdział okulary i zaczął pilnie przewracać kartki a pani Jacentowa wyszła co prędzej aby dla podróżnego przysposobić wieczerzę.

— Wszystko dobrze — rzekł po chwili pan Jacenty — ale mój panie Michale, cóż to za przyczyna że wszędzie ledwie tydzień robisz?

— Ludzie niegodni, trudno się ostać obcemu między nimi — odrzekł wędrownik.

— Ależ pan Piotr Kuliński, u którego ostatnim razem robiłeś, to najpoczciwszy człowiek w świecie. Ja go znam, on nikomu wody nie zamąci, a taki dobry, że choć do rany przyłożyć...

— Nie mam też nic przeciwko niemu — powie Michał — ale jego czeladnicy.., o! święty nie wytrzymałby z nimi.

— Mniejsza o to — rzecze majster — nie miałbym sumienia puścić towarzysza z gołemi rękami, zwłaszcza że tu nigdzie w pobliżu nie ma drugiego szczotkarza... choć więc nawet nie koniecznie potrzebuję, zapraszam pana do pomocy.

Właśnie gospodyni przyniosła wyborną polewkę z śledziową główką, bo to był post, i zaprosiła podróżnego do wieczerzy. Aj! aj! jakże mu smakowało. Bo też pani Jacentowa była najsławniejszą kucharką w całem mieście a zwłaszcza polewkę ze śledziową główką tak smacznie gotowała że już i w Pacanowie nikt lepszej nie zrobi.

— Żal mi chłopca — mówił wieczorem pan Jacenty do żony — i chętnie go zatrzymam, ale mię przecie niepokoi ta

jego ciągła włóczęga, bo to nie bez przyczyny. Trzeba napisać do pana Kulińskiego i zapytać czemu go puścił po tygodniu.

Michał został w robocie, pan Kuliński zaś odpisał po kilku dniach:

— Dobry to i zręczny robotnik ten Michał, ale ma nałóg; jaki, tego nie powiem, bo się może poprawi, to mu szkodzić nie chcę, zwłaszcza że nie jest chciwy na cudzą własność, ani pijak.

Kilka dni minęło jak świecę zdmuchnął. Michał uwijał się przy szczotkach, jakby nieprzymierzając przy polewce z śledziową główką i mógł się był osiedzieć u pana Jacentego, bo mu teraz przybyło nagle dużo roboty, jakby właśnie dlatego że przyjął czeladnika. Pan Jacenty pilnie wytrzeszczał oczy i bacznie śledził w młodym robotniku jakiego nałogu, ale nic złego w nim nie dostrzegł i ułożył sobie zatrzymać go przez kilka przynajmniej miesięcy.

Niestety, wkrótce go zawiodły rachuby. Wyszła oliwa na wierzch i pan Jacenty prędzej niż się spodziewał, rozstać się musiał z Michałem.

W pierwszą sobotę wieczór, majster odliczył dla robotnika tygodniową zapłatę.

— Mój Michale — rzekł do niego, dając mu należytość — kontent jestem z ciebie, myślę żeś i ty z nas kontent i że zostaniesz z nami nadal, daj Boże najdłużej.

— Ba, zostanę panie majstrze — odpowiedział Michał — bo w samej rzeczy nie mam u was krzywdy, ale musicie oddalić chłopca, bo się z nim zgodzić nie mogę.

— Ależ mi o tem nigdy nie wspominałeś — rzecze majster.

— Bo zaciskałem zęby, ale już dłużej nie wytrzymam.

— To sierota i jest już u mnie dwa lata, za nic w świecie go nie oddalę, ale wam przyrzekam, że go upomnę aby się poprawił.

— Oho! — zawoła Michał z gniewem — już widzę, co to teraz będzie, skoro chłopiec więcej u was znaczy niż czeladnik.

To powiedziawszy wyszedł i drzwi za sobą z hałasem zatrzasnął.

— Ach, — pomyślał sobie pan Jacenty — byłżeby to jeden z tych ludzi co to nigdy i z nikim zgodzić się nie mogą? Byłażby niezgodność tym jego nałogiem o którym pisał Kuliński?

Nazajutrz, w niedzielę straszliwa kłótnia między Michałem a służącą zbudziła państwa Jacentów. Ledwie uśmierzyli tę sprzeczkę, aliści z płaczem wpada chłopiec do izby i skarzy się że go czeladnik wybił bez przyczyny. Pan Jacenty chciał ująć się za nim ale Michał już był poszedł do miasta. Co robił przez całe przedpołudnie, gdzie chodził, nie wiedziano w domu, ale powrócił w bardzo złym humorze. Przy obiedzie wszystko mu nie smakowało i jakby koniecznie szukał zaczepki, rzucał psu najwyśmienitsze przysmaki, przez panią Jacentową własnoręcznie przyrządzone. Zmartwiło to poczciwą gospodynią i pan Jacenty musiał surowiej upomnieć czeladnika, lecz wszczęła się ztąd między nimi kłótnia, jakiej nie pamiętało domostwo w którem się to działo.

I Bóg wie do czegoby ta kłótnia była doprowadziła, bo pan Jacenty nie miał ochoty ustąpić młokosowi, lecz właśnie wśród najgłośniejszej wrzawy weszło dwóch sług sądowych.

— Panie majstrze — rzekł jeden — mamy rozkaz oświadczyć wam, abyście natychmiast oddalili waszego czeladnika, a jeżeli tego nie uczynicie, weźmiemy go do aresztu i będzie odesłany szubpasem na miejsce urodzenia.

— Cóż on zbroił takiego? — zapytał niespokojnie pan Jacenty.

— Ależ to kłótnik, zawadyaka, awanturnik — odpowie woźny. — Omal karczmy nie rozwalił, a od pisarza aż do dzwonnika nie ma nikogo w całem mieście z kimby się nie wykłócił i to wszystko w ciągu tych kilku godzin dzisiejszego przedpołudnia.

Michał zawstydzony w milczeniu pakował swój tłumoczek, a gdy już był gotów do drogi, pan Jacenty podpisał mu książkę wędrowniczą i wyprawił go w dalszą podróż.

Poszedł więc, a gdy stanął na wzgórzu po nad miasteczkiem i ujrzał w dolinie cichy domek, który przed chwilą opu-

ścił, czy też pomyślał nad sobą? Czy zabolał w duszy nad swoją nieszczęśliwą skłonnością do kłótni?

Biedny chłopiec... lecz któż mu winien? Doznał losu jaki prędzej czy później każdego spotyka kłótnika, gdy oliwa wyjdzie na wierzch. Smutny to los być odepchniętym od każdego serca, do każdych drzwi — lecz... jeszcze raz powtarzam... któż winien? *Stanisław Krakowczyk.*

Święty Kazimierz.

Noc na Wawelu; w starej katedrze
Blado kaganiec oświeca mury,
Czasem księżyca promień się przedrze
Przez rozpostarte nad ziemią chmury.
Tylko niekiedy, w ciszy grobowej,
Głucho godzinę zegar uderzy,
Albo w dzwonnicy zakwilą sowy,
Albo zakraczą krucy na wieży.
Czyż to aniołów przeczyste pienia
Hymnem ku Maryi cudnie zabrzmiały?
Aż drzą kościoła ciemne sklepienia
Gdy płynie w niebo cudna pieśń chwały.
I hymn przenika w głębokiej ciszy
Królewskich komnat bliskie podwoje,
Król go zasłyszał — królowa słyszy,
W kościoła progi idą oboje,
Idą przejęci trwogą tajemną,
Za cudnym dźwiękiem pieśni nieznanej.
W świętym przybytku pusto i ciemno,
Słabo kaganiec błyska na ściany.
A na uboczu w głębi kaplicy,
Kędy z dzieciątkiem cudnem na łonie
Anielska postać Bogarodzicy
W dyamentowej świeci koronie,
Klęczy królewic: z jasnego lica
Krąg promienisty w około bije,
Wyższa mu siła ducha zachwyca,
Świętemi usty sławi Maryę. —
Królestwo padli na twarz w pokorze
I łzą serdeczną zlewają ziemię,
Dzięki! wołają — dzięki Ci Boże!
Żeś umiłował Jagiełłów plemię!
A gdy umilkły pienia młodziana,
Król się odezwie drżąco i z cicha:
„Idź miły synu za głosem pana,
Nie tobie ziemska przystała pycha,
Niech przeczystego twojego czoła
Złota korona próżno nie gniecie,
Do swych ołtarzy pan ciebie woła,
Idź Kazimierzu! Tyś Boże dziecię".
Młodzian się w Bogu święcie weseli,
Brzmią znowu pieśnią przybytku ściany
I na podziękę wtórzą anieli
Hymn ku Dziewicy Niepokalanej.

Niedługo Świętym gościć na ziemi,
Rychło Kazimierza Bóg wziął do siebie,
Łzami go naród płacze rzewnemi,
Lecz się Anieli radują w niebie;
I w liliowym wieńcu na czole,
W pośród Wojciecha i Stanisława,
W polskich patronów przesławnem kole
Na straży młody Kazimierz stawa.

Święty co wiernie z niebem w przy-
mierzu
Żywot przeżyłeś w dni swoich dobie.
Czuwaj nad nami, o Kazimierzu!
Uświęć nam serca, wiedź nas ku sobie!

Błyśnij nam światłem twojej pochodni,
A gdy nam w znoju siły nie starczą,
Spraw, byśmy Twojej opieki godni,
Doszli zbawienia pod Twoją tarczą.

S. P.

Piękne przykłady.

Michał Jawień, kmieć.

Jadąc z Bochni gościńcem ku Krakowu, po półmilowej drodze zbocz na lewo a zajedziesz do wsi Nieszkowic, której domki ujrzysz po pagórkach rozrzucone i poznasz zaraz, że tu lud nie biedny, bo chaty pięknie obielone i drzew koło nich nie mało, a pola dobrze obrobione, to też nie dziw, że w niejednym domu znajdziesz parę set reńskich uskładanych, co wystarczą na potrzeby nieprzewidziane lub na wiano dla dziewcząt. Wjeżdżając do wioski obaczysz prosto siebie na pagórku domostwo wielkie niby dwór jaki. Gdybyś się zapytał czyje to jest mieszkanie, zaraz ci powiedzą, że Michała Jawnia, kmiecia, jakich daj Boże więcej w kraju naszym.

Dzięki sposobności poznałem Michała w roku 1863, gdym z moją ciotką przyjechał do niego na chrzciny. Anim nie mógł wyjść z zadziwienia, gdym stanął na podwórzu, że to może być kmieca własność. Dom wielki, obielony, z dwoma kominami; po prawej ręce piwnica z daszkiem murowana, przy niej na prost domu spichrz i stodoła, dalej wielkie stogi; po prawej stronie ogród z ulami, przy nim stajnia ze czterma końmi, tuż zaraz obora z krowami i chlew. Za domem ciągną się pola.

Gdyśmy przyjechali, Michał przyjął nas bardzo serdecznie i wprowadził zaraz do izby, w której pełno było ludzi. Wnet poznałem wielu gospodarzy, pogwarka wszczęła się na dobre, piwo w szklankach szumiało a wódki nie widziałem. Była może w szafie na lekarstwo.

Naraz ludzie się usunęli, wniesiono stoły i pokładziono różne rzeczy do jedzenia. W tem wchodzi wójt z gromadnymi i po stosownych życzeniach zasiada do stołu, pije zdrowie gospodarza i nowonarodzonego. Po wieczerzy jak nie zagra wesoła muzyka, jak nie wpadną chwaccy parobcy, jak nie zaczną tańczyć; hulanka trwała noc całą. Nad ranem myślę sobie, że już będzie koniec. Ale gdzie tam! i na drugi, trzeci i czwarty dzień nie było końca; zabawa trwała cały tydzień. I myślałby niejeden, że to może pierwsze dziecko. Oj nie, było to już piąte, a jak się dowiedziałem, każdemu wyprawiał Michał takie chrzciny.

Ależ bo to człowiek, że go do serca przyłóż. Ludzki, uczynny, lubi poważne rozmowy, z ust głupstwa nie wypuści, jednego tylko szkoda, że nie umie czytać Jednakże niech nikt nie myśli, że nauki nie lubi. Owszem ile razy jedzie do Bochni prawie zawsze jeżeli nie pożyczoną, to kupioną przywozi książkę, oddaje ją najstarszej córce, która oprócz różnych robót umie bardzo pięknie czytać. Wtedy Michał gromadzi ludzi w czeladnej izbie po robocie, siada przy kominie i każe córce głośno czytać. Wszyscy słuchają a przyjdź tylko do Jawnia w święto lub w Niedzielę a znajdziesz tam wójta i kilku innych gospodarzy, zajętych słuchaniem tego, co im Jawień opowiada.

O! bo Jawień lubi naukę a jak dba o nią, to wam najlepiej wyświeci czyn jego piękny.

Przed kilkoma laty zwołał do swojego domu kilku gospodarzy i tak do nich mówi:

— W naszej wsi potrzebną jest szkoła. Złóżmy się wszyscy, wystawmy budynek, sprowadźmy nauczyciela a pewnie będziemy mieli pociechę, gdy dzieci nasze tem nas bawić będą, czego sami nie umiemy.

Przystali na to gospodarze, ale jak zwykle znaleźli się między nimi i tacy, którzy byli przeciwni szkole i tem się tłómaczyli, że wieś rozrzucona, numerów mało, to nie są w stanie utrzymać szkoły; tem bardziej że dzieciom niedogodnie.

A Michał na to:

— Kiedy wam się nie podoba, ja nie zezwolę, żeby dzieci moje były nieprzymierzając jak owe kołki w płocie. Odstępuję w moim domu jedną połowę, sprowadzę do niej nauczyciela, będę mu płacił, a kto będzie chciał posyłać swoje dzieci niechże płaci nauczycielowi osobno. Nie długo trzeba było czekać a w Michałowym domu zamieszkał nauczyciel, którego na chrzcinach na własne oczy widziałem i jak słyszę do dziś dnia jeszcze tam mieszka, ale czy ten sam, tego już nie wiem. Wtenczas miał do nauki dwadzieścioro dzieci. Otóż widzicie, dla dobra własnego i wioski swej rodzinnej płacił Michał nauczycielowi ze swojej kieszeni pięćdziesiąt reńskich rocznie a oprócz tego dawał mu wikt i pomieszkanie.

Państwo we dworze lubią bardzo dzieci Jawnia to też dziedziczka często bierze najstarszą córkę do domu i tam ją uczy różnych robót. Nieraz dobra dziewczyna i cały tydzień tam siedzi, bo jej pani puścić nie chce. Dziedzic szanuje Michała Jawnia, to też mu robi, co tylko może.

Z Michała poradny gospodarz, troskliwy ojciec a przytem i żartowniś wesoły, dlatego ma w Bochni wielu przyjaciół, którzy się cieszą, gdy go mają w swojem kole. A gdybyś i dzisiaj przybył do niego, znajdziesz pewnie w jego domu kilka książek, a chciej której pożyczyć, zaraz ci powie:

— Dobrze, ja ci pożyczę, ale złóż zastaw, bo gdy książkę zgubisz, muszę mieć inną.

Michał lubi się zabawić, ale co już do wódki, to go nigdy nie namówisz. Dlatego mówi:

— Z tym szatanem nic nie chcę mieć do czynienia, bo on od domu odwodzi błogosławieństwo Boże.

I prawdę mówi, toż poznać można, że nad domem Jawnia jaśnieje łaska Boża. Lubi on słuchać, gdy mu córka czyta: O ludziach z pod słomianej strzechy a niechby mu kto wspomniał, że gdzie w innej ziemi złoty dostanie pałac, pewnieby go wyśmiał i nie ruszyłby się z ojczystej grzędy.

Co tu o nim piszę, jest prawdą świętą, dla tego nie obawiam się zupełnie, że się poczciwy Michał na mnie pogniewa

a ludzie nie powiedzą, że **k a ż d a l i s z k a s w ó j o g o n c h w a l i**, chociaż nie chwaląc się jestem dobrym jego znajomym.
Józef z Bochni.

Nietoperze czyli gacki

przez Dra E. Janotę.

Bardzo wiele szkodliwych owadów, ciem i chrząszczów lata tylko w zmroku i w nocy. Nie złowi ich wtedy żaden ptak żywiący się owadami prócz jednego kozodoja, bo ptaki wtedy śpią, a człowiek wcaleby im nic nie zrobił. Gdyby te owady rozmnażały się swobodnie i bez przeszkody, gdyby Pan Bóg nie był stworzył żadnego zwierzęcia, któreby je wyławiało, wyrządzałyby one człowiekowi nie małe szkody w ogrodach, sadach i polach i lasach. Aby więc te owady nie rozmnażały się zbytecznie i ze szkodą roślin pożytecznych i potrzebnych jak dla nas, tak też i dla zwierząt domowych, stworzył Pan Bóg n i e t o p e r z e czyli g a c k i i tak je urządził, że latają w zmroku i w nocy i jedynie owadami się żywią. Na tem właśnie polega nieoceniona pożyteczność tych zwierzątek.

Nietoperze nie są ptakami, lecz zwierzętami ssącemi, to jest rodzą żywe młode i karmią je mlekiem. Żeby mogły latać, między bardzo długiemi palcami drugim, trzecim, czwartym i piątym przednich nóżek, które też są daleko dłuższe od tylnych, potem między nogami przedniemi a tylnemi, wreszcie między temi a ogonkiem rozpięta jest cienka, naga i miękka błona.

Ta błona służy gackom naprzód do latania. Jest ona też nadzwyczaj czuła, tak samo, jak np. błona w uchu naszem, której lekkie nawet dotknięcie sprawia nam boleść. Ta więc czułość błony lotnej u nietoperzów ułatwia im latanie w nocy w ten sposób, że czują bliskość każdej rzeczy, nawet nitki czarnej, choć jej dla ciemności nocy nie widzą. Dlatego nie uderzy się gacek nigdy o nic.

Oczka mają nietoperze malutkie, ale za to mają one bardzo wielkie uszy. U wielu nietoperzów są te uszy dłuższe, niż głowa, a u jednego z nich są one nawet tak długie i szerokie, jak cały tułów jego. Uszy te tworzy bardzo cienka i mięciuchna błona. Za pomocą takich uszów gacki, nie mogąc w nocy dobrze widzieć, tem lepiej słyszą, daleko lepiej, niż wszystkie inne zwierzęta, i nawet lepiej niż człowiek. Słyszą one doskonale najciższy brzęk latających owadów i tym tylko sposobem lecąc cichutko za niemi łapią je, choćby ich nie widziały. Ktoby umiał naśladować brzęk muchy albo jakiego innego owadu, stojąc cichutko i brzęcząc, może bliziutko do siébie zwabić latającego gacka.

Przekonano się także, że gacki nie pojawiają się z wieczora o jednym czasie, lecz jedne wcześniej, drugie później, gdy się już dobrze ściemni. Wszakże im później w noc, tem też ciemniej, tem mniej widać. Więc też i gacek im mniej może widzieć, tem mu też potrzeba lepiej słyszeć.

Otóż dlatego mają gacki tak wielkie uszy, aby nie mogąc widzieć, tem lepiej słyszały. I w tem mamy dowód mądrości Boga, że nie wszystkie gacki latają o tym samym czasie, lecz jedne wcześniej, drugie później, bo też nie wszystkie owady nocne latają o tym samym czasie, ale jedne wcześniej, drugie później. Niektóre gacki latają już przed zachodem słońca i dosyć wysoko, inne o zmierzchu i przed wschodem słońca, jeszcze inne koło północy; niektóre latają niziutko ponad ziemią, inne blisko wód i ponad niemi, znowu inne między drzewami i koło ich wierzchołków, jedne bliżej mieszkań ludzkich i koło nich, inne koło lasów i zarośli. Gdziekolwiek więc i kiedykolwiek latać zwykły o zmierzchu i w nocy owady szkodliwe, tam i wtedy latają także nietoperze i sprzątają je. Ażeby zaś zbyt silny dzwięk jaki, np głos dzwonu, wystrzał lub inny podobny nie sprawiał nietoperzom boleści albo ich zgoła nie ogłuszył, dlatego mogą one ucho nietylko za siebie, przed siebie lub na bok zgiąć, ale nawet płatkiem odstającym od niego czyli osobną błoną zasłonić i zatkać.

Niektóre nietoperze mają na nosie narośl z błony, nozdrze zaś zwykle wielkie i mocno rozwarte, które jednak w razie potrzeby mogą zawrzeć. Jest więc rzeczą pewną, że te zwierzątka mają węch bardzo dobry i że takowy do łowienia owadów jest im zarówno pomocny, jak bystry słuch i czułe błony. Nietoperze kierują się zatem w locie wśród nocy głównie czuciem, słuchem i węchem. Żeby zaś tem pewniej i zręczniej mogły łapać owady, mają one szerokie pyszczki.

Każdemu dobrze wiadomo, że lis, wilk, kot nie takie ma zęby, jak zając, wiewiórka, koza, owca, wół, krowa lub koń. Dlaczego to tak jest? dlaczego nie wszystkie zwierzęta jednakowe mają zęby, czyli jak to mówią, jednakowe uzębienie? Zęby służą do gryzienia, do żucia, do rozdrabniania pokarmu. Więc według rozmaitości pokarmu, jakim się zwierzęta żywią, mają one też rozmaicie urządzone zęby i nie w jednakiej liczbie. I rzeczywiście krowa, wół, koń, zając wiewiórka i tym podobne zwierzęta nie żywią się mięsem, lecz trawą, sianem, słomą, owsem, słowem pokarmem roślinnym, i dlatego mają one zęby trzonowe o koronie płaskiej; kot zasię, wilk, lis i tym podobne zwierzęta nie jedzą słomy, siana, trawy, owsa, lecz żywią się mięsem, więc też zęby ich inaczej są urządzone, aniżeli u krowy, konia lub zająca. Z zębów można zatem poznać, czem się zwierzęta żywią; od tego zasię, czem się to lub owo zwierzę żywi, zależy najczęściej jego pożyteczność lub szkodliwość.

Jakież tedy zęby mają nietoperze żyjące u nas? Otóż mają one z przodu tak zwane siekacze, potem kły, wreszcie zęby trzonowe, przednie o jednym, tylne o kilku ostrych końcach a razem 32 do 38. Takie zęby nie mogą służyć do gryzienia i żucia pokarmu roślinnego, lecz jedynie pożywienia zwierzęcego. Tak też jest rzeczywiście; nietoperze żywią się li tylko chrząszczami, ćmami, muchami, słowem wszelakiemi owadami latającemi w zmroku i w nocy.

Nietoperze żyjące u nas są zwierzątka dosyć małe, bo chociaż z rozpiętemi skrzydłami są 8 do 14 cali szerokie, przecież tułów u niektórych ma tylko półtora, a u jednego nawet,

zwanego **karlikiem**, tylko 1⅓ cala długości. Te nietoperze należą więc do najmniejszych zwierząt ssących. Gdyby tedy ilość pożywienia u nich była zastósowaną do ich wielkości, nie wieleby one zjadły owadów i nie wielki przynosiłyby pożytek. Wszakże rzecz ma się inaczej. Chociaż nietoperze są zwierzątka małe, strawią one jednak bardzo wiele i wiele też jedzą. Tak np. zje nietoperz nieco większy odrazu dwanaście chrabąszczów, które razem ważą niemal tyle, co on sam nienajedzony; mniejszy nietoperz zje kopę much, a jeszcze nie będzie syty i po chwili znowu będzie jadł. A muszą te zwierzątka dużo naraz jeść, bo siedząc cały dzień w ukryciu, nie mając po co latać w słotę, a śpiąc całą zimę, nie wytrzymałyby, gdyby mało jadły naraz. Przekonano się także, że nietoperze nie zjadają skrzydeł, pokryw i nóg większych chrząszczów, ani skrzydeł ciem, lecz same tylko tułowie. Przeto zdołają one daleko więcej zjeść i strawić, niż gdyby zjadały zarazem tak twarde i suche części owadów, jakiemi są właśnie skrzydła, nogi i pokrywy. Jakoż między drzewami, niemniej na chodnikach i drogach obsadzonych drzewiną, kędy latają nietoperze, zrana po ciepłej nocy nieraz można widzieć niemało skrzydeł z ciem lub innych owadów zjedzonych w nocy od nietoperzów. (Dok. nast.)

Z nauki zdrowia.

Ukąszenie od psa wściekłego.

W przypadku ukąszenia od psa, należy naprzód przekonać się z największą pewnością, czy pies był prawdziwie wściekły. Jeżeli bowiem nie jest wściekły, oszczędzi się ukąszonemu niespokojności, imaginacyi, bojaźni, trwogi, bardzo męczących i szkodliwych zdrowiu, tudzież lekarstw bardzo boleśnych. Dlatego ważną jest rzeczą, aby psa, który ukąsił, zaraz porywczo (jak się zwykle dzieje) nie zabijać, ale przeciwnie starać się ile możności zamknąć, nie wypuszczać i prze-

konać się doskonale: czy jest wściekły, uważając czy je, a zwłaszcza czy pije, i to nie w dniu jednym, ale przez dni kilka, i czy nie okazuje innych znaków wścieklizny.

Ważną jest rzeczą poznać psa podejrzanego o wściekliznę, aby wcześnie zapobiedz strasznemu przypadkowi. Znaki początkowej skłonności do wścieklizny są: pies nagle ze zdrowego staje się smutny, porywa się na pana swego, zaczyna kąsać, jeść i pić nie chce, w oczach ukazuje bystrość, w obrotach niespokojność, zwiesza i ogon. Takiego zamknąć potrzeba.

Znaki zupełnej wścieklizny są: pies nie zna wcale pana swego, głos jego staje się chrypliwy, ma wstręt od pokarmów zwłaszcza płynnych, nie pozwala zbliżać się do siebie, ucieka z miejsca gdzie zostawał gdy był zdrowy, nie szczeka, na wszystko napada co jest po drodze, ucieka na poprzek z głową zwieszoną, z językiem sinym, wywieszonym i okrytym pianą, oczy ma czerwone, bystre, ciecze z nich ropa, pysk pełen piany, uszy i ogon spuszczone, sierć mu się jeży, szuka miejsc ciemnych, ucieka przed wodą, upada nagle i znowu się podnosi; nakoniec pada zmęczony i zdycha w konwulsyach. Inne psy uciekają od niego, co jest jednym z pewnych znaków wścieklizny. Zdarzało się, lubo bardzo rzadko, że pies wściekły pił i płynął przez wodę, dlatego należy mieć się na ostrożności i niedowierzać psu choremu.

Dla przekonania się, czyli pies był wściekły, należy wziąść kawałek mięsa, ocierać go na kiju o pianę, która wycieka z pyska psa zabitego, lub wycierać nim ostrożnie (aby się przypadkiem nie zranić) o zęby tegoż psa, i dać to mięso do zjedzenia psu zdrowemu, jeżeli go niechce i przestraszony od tego ucieka, to wtedy pewnie pies był wściekły. Wreszcie w przypadku wątpliwym, gdy nie ma zupełnej pewności: czy pies był wściekły lub nie, należy użyć sposobów leczenia, jakby był wściekły, dla wszelkiego bezpieczeństwa.

Po ukąszeniu od psa wściekłego, naprzód jak najspieszniej wymyć ranę ługiem wolno rozgrzanym lub letnią wodą z przesianym popiołem zmieszaną. Gdy tego nie ma, wziąść soli kuchennej garść jednę do kwarty wody, lub octu tęgiego,

a wreszcie i czystej uryny samej przez się, i powtarzać umywanie przez pół godziny. Potem ponacinać lancetem całą ranę głęboko; lecz ostrożnie, i na nią postawić bańki, aby krwi dosyć wyciągnęły, lub postawić w ranę kilka pijawek, póki same nie odpadną. Gdy krwi dosyć ujdzie, znowu wymywać ługiem lub uryną. Po odejściu krwi wsypać w ranę much hiszpańskich i postawić wizykatorye, jeżeli jest blisko apteka. Jeżeli nie, wypalić ranę żelazem rozpalonem, lub na ranę nasypawszy prochu strzelniczego, zapalić co nawet i powtórzyć można. Wyleczenie bowiem na tem zależy, aby jak najprędzej wytępić jad z rany. Dla tem większego bezpieczeństwa, należy długo, bo do kilku niedziel nie goić rany, lecz utrzymywać gnojenie, przykładając maści gnojące. Smarowanie także na około rany maścią merkuryalną, neapolitańską zwaną, jest bardzo pożyteczne, lecz o to do lekarza udać się trzeba.

Wiele jest lekarstw do brania wewnątrz po ukąszeniu psa wściekłego, najdoświadczeńsze są: proszek z korzenia zwanego pokrzyk, inaczej wilcze jagody (*bella donna*) także szylnik wodny, drzewo cisowe, maiki, tj. owady majowe; zbierają je i zachowują w oliwie. Lecz dla przepisania sposobu używania i ilości do lekarza udać się należy, jeżeli ten osądzi za potrzebne.

Ukąszenie od żmii lub węża.

W miejscach gdzie się znajdują węże lub żmije, najczęściej ukąszenie trafia się w nogę, gdy kto nieostrożnie boso po łąkach i krzakach chodzi, a musi chodzić boso. W tym przypadku należy: naprzód: nogę lub (co się trafia rzadko) rękę związać wyżej rany tak mocno, jak tylko wytrzymać można, dla wzbronienia puchlinie iść do góry; lecz jeżeli można potrzeba związać nie sznurkiem, bo się wpije w skórę, i tę przeciąć może, ale taśmą lub wstążką szeroką. Powtóre: gdy są na prędce liście osowe i bzowe, ugnieść je mocno, przyłożyć na ranę i obwiązać kawałkiem płótna. Gdy nie ma liści przyłożyć mokrej ziemi. Po trzecie: Z powrotem prędko do domu wezwać cyrulika i bańki na miejscu rany postawić; jeżeli rana

mała naciąć ją trzeba, iżby krew obficiej płynęła, poczem po czwarte: jeżeli jest cyrulik wlać powinien w ranę kilka kropel Salamoniaku z oliwą lub z wodą, włożyć fleituszki i przyłożyć liściami startemi osowemi lub bzowemi, a nogę smarować przy węglach oliwą. Po piąte: jeżeli nie ma cyrulika i pijawek, trzeba kilka razy zapalić na ranie prochu i zwolna oliwę popijać. Wewnątrz bierze się kilka kropel Salamoniaku w wodzie i pije się ziółka bzowe.

Na opryskanie od ropuchy, należy zaraz obmyć uryną lub wodą dobrze słoną, miejsce opryskane, przykładać płatki maczane w gotowanej wodzie z ziółkami bzowemi lub rumiankiem, dobrze i olejem smarować.

Na ukąszenie pszczół, os lub szerszeni, miód samych pszczół najlepszym jest na ich ukąszenie lekarstwem, tym smarować, lecz naprzód wyjąć należy żądło w ranie zostawione. Przykładając na ranie świeżej ziemi, lub ciepłej uryny, oleju lub słonego soku białej cybuli, kartofli roztartych surowych itp. ale sam miód jest najskuteczniejszy.

Różności.

Krwawnik kamień nie tamuje krwi bynajmniej, (ani przyłożony do ran wcale ich nie uśmierza, jakto gdzieniegdzie ludzie zabobonni i łatwowierni utrzymują). Służy on raczej, utłuczony na proszek i z oliwą zmięszany do polerowania drogich kamieni i metali, a szczególniej przy wyrobach ze stali. W Czechach na Szląsku i w Anglii, w niektórych zwłaszcza miejscach znajduje się obficie. — Krwawnik roślina przydatna na herbatę dla uśmierzenia bolu w kurczach żołądka.

Drzewo kamforowe tylko we wschodnich i zachodnich Indyach najlepiej się udaje, otrzymują z niego zwyczajną lub wyrabianą kamforę, tj. najczystszą i najlotniejszą żywicę, białą i przeźroczystą, mocnego zapachu i ostrego smaku; pływa ona po wierzchu wody, a w ogóle pali się białym i jasnym płomieniem. Kamfora otrzymuje się przez wygotowanie liści, orzechów, korzeni i kory rzeczonego drzewa; ale w Europie dopiero czyszczą ją ostatecznie. Używana bywa jako wyborny środek lekarski. Wyrabiają z niej wreszcie olej i wyskok (spirytus) kamforowy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 7.

1. Lutego 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wielki tydzień.

Siedm dni przed Zmartwychwstaniem Pańskiem dlatego nazywamy Wielkim tygodniem, iż kościół w tym czasie obchodzi pamiątkę wielkich tajemnic, ustanowionych i dokonanych przez samego Chrystusa. Żadne pewno święta w roku nie budzą w nas takich uczuć i tkliwych wspomnień jak święto wielkanocne. Tu człowiek zarówno z kościołem smuci się nad męką niewinnego i raduje się nad jego zmartwychwstaniem; a jeżliś tylko spokojny z sumieniem, to zdaje ci się, żeś i ty odżył, odmłodniał, żeś powstał nowym człowiekiem. Wszystko to wpływa na nasze serca, aby je poruszyć, podnieść, rozrzewnić i rozweselić, obudzić ze snu często twardego, i przez to ukazać nam cel nasz — niebo. Przybrana w godowe szaty natura, rozwija się niby różany pączek, i owiewa do koła swym fiołkowym zapachem; ptactwo i bydełko raduje się przeczuciem dnia wesołego, a kapłani w świątyniach pańskich modlitwą, śpiewem i obrzędami wzniosłemi kogożby nie poruszyli?

Obrzędy i ceremonie w religii są tak dawne jak człowiek, są koniecznemi i wypływają z samej natury rzeczy. Kiedy w stosunku do innych ludzi, używamy różnych zewnętrznych oznak uszanowania, byłoby więc wielkiem z naszej strony zuchwalstwem, obchodzić się z Bogiem jak z równym sobie. Owszem, żaden poczciwy i religijny człowiek bez tych obrzędów obejść się nie może. Mieli je żydzi, i mają do dziś dnia jeszcze niektóre, mają je poganie i żadna religia bez nich obejść się nie może, bo one są mową naszej duszy i serca, są czcią niewinną Stwórcy od stworzenia.

Kościół święty, dobrze znając naturę człowieka, odpowiednie do jego pojęć i uczuć przepisał obrzędy, ażeby temi zewnętrznemi oznakami pobudzić duszę naszą ku Bogu.

Nabożeństwo wielkotygodniowe jest pamiątką męki i śmierci Zbawiciela. Zaczyna się to nabożeństwo ciemną jutrznią, która odprawia się w wielką środę wielki czwartek i wielki piątek po południu. Sześć świec pali się na ołtarzu, a pietnaście na trójkącie z boku stojącym i te gasi się po jednej za każdym prześpiewanym psalmem Dzieje się to dla uczczenia zarazem dwóch pamiątek: po pierwsze, że męka Zbawiciela powiększała się coraz bardziej, a w miarę tego światło życia stopniowo w nim gasło; powtóre, na tę pamiątkę, że w pierwszych czasach chrześcijaństwa jutrznia odprawiała się w nocy, potrzebowano więc rzęsistego światła, które, gdy się rozwidniało, stopniowo gaszono. Przy końcu nabożeństwa ksiądz, który celebruje, uderza książką w ławkę, a ten znak wszyscy duchowni czynią to samo, a to oznacza hałas z jakim pojmano Jezusa Chrystusa. W wielki czwartek, jako w rocznicę ustanowienia Najświętszego Sakramentu, odprawia się uroczysta msza, a podczas Gloria po raz ostatni w tym tygodniu odzywają się dzwony. Odtąd na znak żałoby tylko klekotki i grzechotki zwołują na nabożeństwo. Po mszy na pamiątkę wtrącenia Jezusa do więzienia przenosi się z uroczystą procesią Najświętszy Sakrament do przyrządzonej w kościele ponurej piwnicy. Dwie jeszcze w tym dniu obchodzą się pamiątki: rozbieranie ołtarzy, na pamiątkę odarcia z szat Jezusa Chrystusa

i umywanie nóg. Ta druga uroczystość odbywa się w wielkich miastach gdzie jest biskup. On to umywa nogi dwunastu staruszkom, jak Chrystus Pan umywał je apostołom na ostatniej wieczerzy. Po skończeniu obrzędu biskup zaprasza ich do siebie, służy im przy stole i każdego datkiem obdarza. W wielki piątek msza nie odprawia się, lecz inne nabożeństwo, przypominające mękę i śmierć Zbawiciela. Na pamiątkę że Chrystus Pan upadał w tymże dniu pod ciężarem krzyża, kapłan leży krzyżem a potem w żałobne szaty ubrany modli się za wszystkich bez wyjątku mieszkańców tego świata. Po długich, tkliwych modłach i ucałowaniu ran Chrystusa Pana, przenajświętszy Sakrament odnosi się z uroczystą procesią do grobu, gdzie zostaje aż do rezurekcji. Ubieranie grobu i zwiedzanie go po kościołach w Polsce tylko jest w zwyczaju; w żadnym innym kraju tego nie czynią. Nabożeństwo odprawiające się w wielką sobotę, przedstawia boleść osieroconych apostołów. Zrana odbywa się piękny obrzęd święcenia ognia. W dniu tym poświęca się także grubą świecę woskową zwaną **paschał** i wodę. Po południu, a w niektórych kościołach dopiero nazajutrz, w niedzielę, odbywa się rezurekcia, to jest nabożeństwo na pamiątkę zmartwychwstania, poczem kapłani chodzą po domach dla święcenia przygotowanego pieczywa, zwanego paschą.

....

POWITANIE.

Był dzień niedzielny, o jesiennej porze,
Na zachód słońce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptactwo kwili w borze,
I ptak w przedsenne otoczył się wonie.
Niewinnem szczęściem grzmi pobliskie sioło,
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie,
Młodzież wśród pląsów wykrzyka wesoło,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.
Wszędy wesele, a nie ujrzysz troski,
Bo praca darzy niebiańską pociechą

Serca poczciwe. W pośrodku tej wioski
Stał dom drewniany, pod słomianą strzechą,
I był jak inne poziomej prostoty,
Tylko dostatek większy go otacza:
Bujniejszy sadek, dłuższe ulów roty,
I porządniejszy cały sprzęt oracza.
W chacie zaś ściany śnieżno ubielone
Zajęli święci w jaskrawej odzieży;
Tam przy kominku widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnej krząta się wieczerzy.
A wśród podwórka na miękkiej murawie
Dziewczę starego Brysia wodzi w tany;
A pod okienkiem na dębowej ławie
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.
Czegoż on smutny?... wszak w jego stodole
Plenny dar Boży, sad purpurą płoni,
Błogą nadzieją zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczółka złotem dzwoni.
Czego on smutny? on który w wesele,
W radę i mężne bogaty uczucie;
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele:
Czy miał przeczucie?... musiał mieć przeczucie.
Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu,
I skomląc ścieżką pobieżał na pole,
Zadrżał, jakoby myśl wyrwał z nieładu,
Który od rana ciężył mu na czole.
I słucha, jako donośne szczekanie
Raptem w piskliwe, ciche tony spada,
Jak gdyby radość, żal czy powitanie;
A w tem dzieweczka zadyszona wpada
I woła: Ojcze... o! ojcze... tam... w bramie...
O! tam... Bryś wita... o lecę do mamy...
Jaś wrócił z wojny... o! ja powiem mamie...
A nasz gospodarz już stoi u bramy.
A przed nim młodzian prześlicznej urody,
Płaczcz nad wzniosłemi utulił ramiony;
Twarz jego blada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znużony.
I stoją oba — lecz stoją w milczeniu:
Synowi łzami źrenica zabiega,
A ojciec zda się szukać w tem spojrzeniu,
Co w nim ma witać: zwycięzcę czy — zbiega.

I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drżącemi, matczynemi słowy
Brzmi do koła: „Gdzie mój Jaś kochany!...
Gdzie on jest... gdzie on!... czy mi wraca zdrowy?...
Czy już nie pójdzie?... a gdzież on jest przecie?...
Już mi go wszyscy witali, o Boże!..
Ach!... jaki blady, co ci jest me dziecię!
Czyś ty chorował?... Czyś ty chory może?
Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany?
Gdybyś ty wiedział... o! dzisiaj nic o mnie...
Wszak już zostaniesz... prawda mój kochany?...
O! jam szczęśliwa! pójdź do mnie, pójdź do mnie!
I już go ściska, już tuli do łona,
Lecz gdy się w szczęściu matki nie posiada,
I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.
A ojciec obie załamuje dłonie,
Dwa mu po licach łez płyną strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronie,
I znowu długie grobowe milczenie.
A u ramienia, tam gdzie ręka prawa,
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty, jak ten grób co ofiary czeka. *J. N. J.*

Pruski huzar w Neisse.

Gdy Prusacy w początkach rewolucii francuzkiej, zbrojno dla stłumienia zamieszek do Francii wkroczyli, i przez prowincię Szampanię coraz się dalej posuwali, ani im przez myśl nie przeszło, że się kiedyś koło fortuny dla nich odwróci, a Francuzi nawzajem Prusaków jako zwycięzcy w ich kraju odwiedzą; tak się jednak stało w r. 1806. Nie każdy zaś zachowuje się w nieprzyjacielskim kraju, jak na uczciwego żołnierza przystoi Między wielu podobnemi, wpadł pruski huzar, człowiek twardego serca do domu spokojnego mieszkańca, zabrał mu przemocą wszystek jego ciężko zapracowany pieniądz, i co miał tylko kosztowniejszego, a w końcu i pościel w nowiuteńkie wzorzyste powleczoną powłoki, a biedny mąż wraz z żoną

srogiego doznali jeszcze od niego obejścia się z sobą. Ośmioletni chłopczyna błagał na kolanach nieludzkiego huzara o zwrot przynajmniej rodzicielskiej pościeli, ale zacięty żołnierz odepchnął go nielitościwie. I młodsza od brata dziewczynka, biegnie za okrutnikiem, chwyta go za dołman i żebrze miłosierdzia nad rodzicami; lecz ten rozsrożony, porwawszy dziecko, wrzuca je do obok stojącej studni i z łupem niegodziwym uchodzi.

W rok po swoim powrocie do kraju, otrzymał ów huzar uwolnienie od służby i osiadł w Neisse w rodzinnem swem mieście na Szląsku. Nigdy on nie pomyślił o wyrządzonej niegdyś krzywdzie i na dziecku popełnionej zbrodni, mniemając, że już dawno ta rzecz zapomniana, nigdy na wierzch nie wyjdzie. Jednakże cóż się nie dzieje w roku 1806! Francuzi jako zwycięzcy wchodzą także do Neisse, a sierżantowi wyznaczono kwaterę u gospodyni domu, która go uprzejmie i gościnnie przyjęła u siebie. Ten okazywał się człowiekiem uczciwym, przyzwoitym i wesołym. Nazajutrz jednak spóźnił się jakoś pan sierżant z przyjściem na śniadanie ze swojej na górze izdebki; gospodyni więc sądząc, że strudzony uciążliwym pochodem, spoczywa, przystawiła kawę do ognia żeby nie wystygła. Po niejakiej chwili, kiedy wcale nie schodził, niespokojna o niego kobieta, udała się na górę, lekko cokolwiek uchyliła drzwi, chcąc zobaczyć, co się z nim dzieje. Wtedyto ze zdziwieniem ujrzała młodzieńca siedzacego na łóżku, z złożonemi rękami, z spuszczoną głową: głębokie słyszeć się jej dały westchnienia, jak żeby go jakie wielkie dotknęło nieszczęście, lub tęsknota za rodzinnym udręczała krajem i tak głęboko był zatopiony w myślach, że wcale nie wiedział o świadku swych cierpień, niedaleko niego będącym. Kobieta chcąc go pocieszyć, zbliżyła się po cichu ku niemu, i z macierzyńskiem rzekła uczuciem:

— Cóż was tak bolesnego dotknęło, panie sierżancie, dla czego tak smutni jesteście?

Wtedy młody człowiek spojrzał na nią ze łzami w oczach i odparł:

— Powłoka tej pościeli, była przed kilkunastu laty własnością moich rodziców w Szampanii zamieszkałych, którzy w czasie rabunku wszystko utracili i do nędzy byli przywiedzeni; to ówczesne zdarzenie odżyło teraz w mojej pamięci; i rozraniło moje serce zbyt dotkliwem wspomnieniem Te same imion moich rodziców głoski, które moja matka na czerwono wyznaczyła, pozostały aż dotąd nie zmienione...

Na te słowa przerażona kobieta odrzekła:

— Ja te dwie powłoki przed kilkunastu laty nabyłam od huzara pruskiego, tu dotąd nawet w tem mieście zamieszkałego, i szczerze wyznaję, żem nic nie winna w tej sprawie.

Wtedy Francuz powstał, prosił usilnie o wskazanie mu domu, w którym dawny huzar przebywał, a zobaczywszy człowieka... poznał go rzeczywiście.

— Czy przypominacie sobie — rzekł sierżant do starego żołnierza — jak przed ośmnastu laty na niewinnym mieszkańcu w Szampanii dopuściliście się rabunku, wydarliście mu pieniądze, kosztowności, a nawet jego pościel nie uszła rąk waszych, i żadnej nie mieliście litości nad ośmioletnim chłopcem, żebrzącym zmiłowania nad jego rodzicami, i siostrę jego młodszą błagającą was wrzuciliście do studni?

Z początku usprawiedliwiał się zatwardziały grzesznik, że zwykle w czasie wojny nie wszystko się dzieje, jakby być powinno, że nie wziąłby jeden, to wziąłby drugi, a przecież lepiej samemu korzystać ze sposobności. Lecz gdy się zwolna przekonywał, że ów niegdyś chłopiec jest dzisiejszym sierżantem, którego rodziców zrabował i znieważył, a gdy jeszcze Francuz i o swej siostrze wspomniał, wtedy stary huzar z przyczyny wyrzutów sumienia i obawy o swe życie, padł drżący do nóg młodzieńcowi i nic na swoją obronę wymówić nie zdołał, prócz lękliwego P a r d o n! ale szybko mu przez myśl przebiegło, że to nie wiele pomoże.

Zapewne i czytelnik może tego samego jest zdania? ale wątpię, to bowiem ubliżałoby godności szlachetnie myślącego człowieka Kiedy serce boleścią przejęte, pod ogromem cier-

pienia nie ledwie upada, wtedy człowiek mścić się nie powinien; zemsta w takim przypadku jest mu za mała, a nawet nikczemna; wie on o tem, że jesteśmy w ręku Boskiem i złem za złe nie godzi się oddawać. Wyznać więc z radością musimy, że i Francuz tego samego był przekonania, i tem samem powodowany uczuciem rzekł:

— Że ze mną obszedłeś się niegodnie, to ci chętnie przebaczam; że moich rodziców skrzywdziłeś i do nędzy przywiodłeś, to i oni przebaczą ci to zapewne; ale że moją siostrę życia pozbawiłeś, tego już niech ci Bóg nie pamięta!

To powiedziawszy wyszedł i najmniejszej huzarowi nie wyrządził przykrości, ale owszem za swój postępek miłego doznał zadowolenia; staremu zaś zdawało się żołnierzowi, że na ostatecznym stawiony sądzie, łaskawego nie otrzymał wyroku. Odtąd już nie miał spokojnej chwili; dręczony wyrzutami sumienia, zakończył życie w parę miesięcy.

Są niecne czyny, które nigdy mchem nie porosną i nigdy w niepamięci nie zginą!... *W. Cz. z Brz.*

Nietoperze czyli gacki

przez Dra E. Janotę.

(Dokończenie.)

Najwięcej rozmaitego robactwa lata z wieczora i w nocy w pobliżu mieszkań ludzkich, stajen i stodół, między drzewami w koło zabudowań i w sadach, po brzegach lasów i nad drogami leśnemi, tudzież w pobliżu wód stojących i płynących lub nad niemi, a daleko mniej w szczerem polu. Więc też i nietoperze latają najwięcej koło domów i budynków gospodarskich, w sadach, między drzewami koło domów i dróg, słowem tam, gdzie latają owady. Każdy zatem rozumny gospodarz powinien się cieszyć, widząc latające koło domu lub po sadzie nietoperze, bo one wybierają skrzętnie wszystkie owady, które się w dzień dobrze ukrywają, które rozmnożywszy się człowie-

kowi dotkliwe wyrządzałyby szkody, a którychby on w żaden sposób nie zdołał wytępić.

Można się też z łatwością przekonać, że nietoperze zwykle nie latają daleko, ale każdy z nich oblatuje bezustannie nie wielką przestrzeń. Jest to bardzo dobrze, bo latając bezustannie na małej przestrzeni przez kilka godzin i tam i sam, wyławiają one właśnie tym sposobem wszelkie owady latające w tej samej okolicy.

Przy tem wyławianiu owadów są nietoperze bardzo dowcipne. Spostrzeżono, iż nietoperz polujący między lipami za owadami nie tykał ćmy samicy, bo uważał, że się do niej zlatują ćmy samczyki. Te więc pozjadał on naprzód.

Żeby się tem lepiej przekonać, jak wielką przysługę oddawają gacki człowiekowi przez wytępianie szkodliwych owadów, opowiem jedno zdarzenie. W Niemczech w okolicy miasta Hanau ścięto raz w zimie kilka tysięcy dębów. Między temi drzewami były niektóre wybutwiałe. W tych dziurach pochowało się na zimę bardzo wiele nietoperzów. Przy ścinaniu tych dębów atoli bardzo wiele tych zwierzątek wcale niepotrzebnie i przez głupotę zabito, a reszta na śniegu, mrozie i wilgoci zmarniała. Było to wielkie głupstwo, bo skoro rębacze naleźli w drzewach śpiące nietoperze, było je trzeba kupkami, tak jak spały, ostrożnie pozbierać do kosza i zanieść gdzie do stajni, na szopę lub na strych i nie dać im marnie zginąć. Wnet też okazały się skutki tej głupoty, bo otóż zaraz w następujących latach okazała się niezmierna ilość gąsienic, z których powstaje ćma zwana b a r c z a t k ą. Gąsienice te na kilka mil wokoło obżarły ze szczętem nietylko wszystkie dęby, ale i inne drzewa, a między niemi i owocowe po sadach. Dopóki były nietoperze, nie było tych gąsienic, bo nietoperze zjadały pilnie ćmy, z których jajek zniesionych w wielkiej ilości w jesieni, wyłażą na wiosnę gąsienice. Skoro nie było nietoperzów, namnożyło się wnet ciem i gąsienic szkodliwych, co nie miara.

Na zimę kryją się nietoperze po pustych drzewach, po dziurach w starych murach, między skałami, po strychach,

jaskiniach, w suchych i ciepłych dołach, w piwnicach i tym podobnych miejscach Zawinąwszy się w błonę lotną, jakby w płaszcz, zawieszają się one tylnemi nóżkami, głową na dół, kupkami razem, aby im było cieplej, i tak przesypiają po większej części bez przerwy całą zimę w otrętwieniu, nic wcale nie jedząc. Jest to dowodem wielkiej mądrości Boga. Jak już wiemy, nietoperze żywią się tylko owadami. Wszelakoż w zimie owadów nie ma; nietoperze nie znalazłyby przeto żadnego pożywienia i wyginęłyby wszystkie z głodu. Otóż Pan Bóg temu zaradził w ten sposób, że nietoperze całą zimę przesypiają w otrętwieniu.

Do zimowania wyszukują one sobie miejsca suche i ciepłe. Kryją się one niekiedy i na strychy poza kominy albo też do kominów nieopalonych a z wierzchu nakrytych. Ztąd urosła bajka, że nietoperze zjadają szperkę na strychach lub w kominach. Jest to wierutny fałsz, przekonano się bowiem, że nietoperz prędzej z głodu umrze, nimby się tknął szperki lub jakiegobądź innego mięsiwa wędzonego Nie gacki objadają słoninę lub inne mięsiwa po strychach, lecz myszy, a w kominie dymiącym jakby nie mógł siedzieć człowiek, tak samo nie polezie tam nietoperz, ani żadne inne zwierzę.

Inną bajką jest to, że nietoperze wlatują do włosów. Jest to tak śmieszne i wierutne kłamstwo, jak ono o zjadaniu szperki w kominach lub na strychach. Nikt nigdzie nie przytoczy ani jednego dowodu, że to rzetelna prawda. A dziewki niechaj jeno baczą, aby nie miały co innego w nieporządnych włosach; nietoperza nie ma się co wcale bać, ani obmawiać go. Prędzej mogłoby się zdarzyć, żeby nietoperz za owadem jakim przez otwarte okno wleciał do izby. I tutaj nie ma się go co bać i nie należy go bić albo zabijać, bo jak wleciał, tak też i wyleci, byleby go nie płoszono, a chociażby i nie trafił natychmiast do okna lub drzwi i przez noc pozostał w izbie, to nikomu nic nie zrobi, a zrana można go wynieść. Wszak niektóre nietoperze można nawet obłaskawić; wtedy biorą one pożywienie z ręki i liżą ją, jak piesek. Atoli w niewoli nie żyją one

długo, bo im brak świeżego powietrza, ruchu i stósownego pożywienia.

Jeszcze większem błazeństwem jest to, że gdyby mysz zjadła świecę w kościele, wtedy zamienia się ona w nietoperza. Trzeba nie mieć najmniejszego wyobrażenia o świecie bożym, aby gadać coś tak głupiego albo to wierzyć. Kto kiedy słyszał, aby jakiekolwiek zwierzę ssące zamieniło się w całkiem inne? Wszak nietoperze nietylko pierwej były na ziemi niż kościoły i świece, ale nawet pierwej aniżeli ludzie. Z czego one więc wtedy powstawały? Przecież nie z myszy, co jadły świece? Zresztą jeżeli nietoperz nie tknie się szperki, to tem mniej będzie jadł świece, mianowicie woskowe. Nie trudno domyśleć się, kto to zjadł one świece w kościele, a potem spędził na nietoperza.

W krajach gorących, gdzie daleko więcej owadów niż u nas, jest także nietoperzów więcej. Takim krajem gorącym jest np. India. Jest tam też bardzo wiele owadów szkodliwych, bardzo uprzykrzonych a nawet jadowitych. Za to jest tam daleko więcej nietoperzów, aniżeli u nas. Mieszkańcy tameczni znają dobrze wielką użyteczność tych zwierząt i nie pozwalają wyrządzać im krzywdy.

I o tem wiedzieć należy, że nietoperze nie bardzo się mnożą, bo tylko raz w roku ma nietoperzyca jedno lub dwa młode, a w zimie ginie ich u nas wiele od mrozu i wilgoci Wreszcie łapie je także sowa zwana s y c z k i e m czyli l e ś n i a c z k ą, tudzież sokół zwany k o b c e m czyli k o b u z e m. Więc ze względu na to i na wielkie pożytki, które te zwierzątka oddawają człowiekowi, chociaż ten niestety najczęściej sam o tem nie wie, co komu zawdzięcza, nie należy ich bić, kaleczyć lub zabijać, albo gdy je kto najdzie śpiące, wypłaszać i wyrzucać, jak to nieraz czynią chłopczyska rozpustne, dzwonnicy i kościelni na wieżach i strychach kościelnych; owszem powinno się im dać wszędzie pokój, bo raz z miejsca jakiego wypłoszone albo niepokojone w niem, opuszczają je na zawsze albo przynajmniej na długi czas.

W naszym kraju żyje, o ile dotąd wiadomo, dwanaście rozmaitych gatunków nietoperzów.

Pies i kot.

Pies i kot są domowe bardzo użyteczne zwierzęta, a jednak co do rodzaju i istoty swojej wielce od siebie różne. Jeden i drugi, a każdy w swoim sposobie, nie małe nam przynoszą usługi, a w niczem siebie zastąpić nie mogą; dla tego utrzymują je w domu, i mają o nich staranie; zawsze jednak psa przenoszą nad kota. Zkądże to pochodzi? Byłożby to w skutek ich pochodzenia?

Kot wywodzi swój ród z nienawistnego nam rodzaju zwierząt, bo jego pokrewnym jest drapieżny lew, krwiożerczy tygrys, pantera; ztąd więc i do ich małego krewniaka nie wielkie mamy zaufanie. Gdyby jednak ta niechęć nasza istotną miała podstawę, to i psu nie należałoby dowierzać, ale mieć go w nienawiści; bo i on jest krewnym zajadłego wilka, obrzydłej hieny, a przecież zawierzamy psu i nikt nie wyszukuje na nim winy jego pokolenia Przyczyna przychylności i wstrętu do tych dwojga zwierząt, od czegoś innego zapewne zależy. Może pazury kota wzniecają w nas obawę ku niemu? Nie byłoby to dalekie od prawdy. Przed kotem nigdy nie jesteśmy bezpieczni, ukryta broń jego zawsze nam zagraża. Szybko z miękkich łap jego, kończaste wysuwają się pazury, któremi nas drapie, a często może i mimo swej woli.

Ale i pies jest dla nas niebezpieczny. Ma on ostre zęby i silne szczęki wilka i kąsa niemi aż do kości, i z przerażającym trzaskiem rozgryza je w kawałki; a w chorobie sobie właściwej, najniebezpieczniejszym jest z pomiędzy wszystkich zwierząt. Ukąszenie psa wściekłego jest jak węża jadowite, a wścieklizna częstokroć tak nagle wybucha, że przed najprzywiązańszym ku nam, nie jesteśmy nigdy bezpieczni. Pomimo tego jednak bardziej się do psa niż do kota przywiązujemy.

Chwalimy kota za jego pilne łowienie myszy, karmimy go, i młode jego potomstwo wychowujemy; ma on zwykle miękkie posłanie i ciepły ulubiony swój kącik, ale zdala od naszej komnaty, a gdzie dom wolny od myszy, to i rzadko kota trzymają.

Pies przeciwnie nieodstępnie zawsze z nami zostaje, i wszędzie nam towarzyszy; z przyjemnością patrzymy na jego żwawe skoki i zwroty w bieganiu, sami nawet zgryźliwi ludzie rozrywają się jego wesołym humorem.

Jakaż więc może być przyczyna tej naszej większej do jednego, niż do drugiego domownika skłonności?

Do psa przywiązuje nas jego otwarty, szczery, poczciwy charakter, a odstręcza fałszywość kota. Każdy łatwo pozna w jakiem jest pies usposobieniu; jeżli jest w dobrym humorze, to waha ogonem, skacze, łasi się z przymilaniem, nalizać się i nawąchać nie może; jeżli się gniewa, to wyszczerza zęby i swą niechęć daje poznać szczekaniem. Otwarcie rzuca się na przeciwnika, a jeżli go pokona, to odwraca się z ponurą miną, jak żeby swej porywczości żałował.

Nie podobna zaś prawie zgadnąć, w jakiem usposobieniu kot w danej chwili zostaje. Rozwścieklony mruczy wprawdzie i pianą pryska na przeciwnika, ale niekiedy i przyjaźnym się okazuje, a jednak z zaczajenia rzuca się ostrym uzbrojony pazurem. Nie uderza wprost na nieprzyjaciela, ale skrada się podstępnie, i długo a wytrwale czycha na dogodną sposobność. Tak więc chwyta i ptaka, jeżli się tenże zbliży ku niemu; po wiele razy przystępuje do klatki, dopóki jego ofiara nie zbliży się do szczebli i wtedy dopiero jednem uderzeniem łapy życia ją pozbawia; a kiedy mysz schwyta, z jakąż złośliwą uciechą dręczy swoją męczennicę, nim jej życie odbierze! Głodny nawet nie morduje natychmiast swego połowu, ale okrutnik bawi się swoją zdobyczą!

Przestrogi i rady gospodarskie.

Z e l e ź n i a k i czyli garnki żelazne nowe, przed ich użyciem potrzeba napełnić serwatką, zostawić tak przez dwie doby, potem wymyć, wysuszyć i wewnątrz tłustością wysmarować. Zamiast serwatki można użyć do tego wody, zmieszanej z małą

ilością octu, ażeby słabego tylko kwasu smak miała W razie zaniechania tych środków potrzeba przynajmniej zagotować w nich wodę aż do zawrzenia, poczem wewnątrz wyszorować i wypłukać je należy. Lepiej jeszcze napełniwszy żeleźniak wodą, włożyć do niej nieco jakiejkolwiek tłustości i wodę dopóty gotować, dopóki cała nie wyparuje. Po kwaśnych potrawach garnki żelazne staranniej wyczyszczać się powinny, ale nie piaskiem, ale otrębami, albo czystemi trocinami. Gdyby się z czasem szpary w naczyniach tego rodzaju pokazały, można je zalepić następującym kitem: sześć części żółtej gliny garncarskiej i jednę drobnych od ślusarza opiłek żelaznych, zarabiają się z taką ilością oleju, ażeby powstała gęstawa masa, którą zalepiają się szpary, przyczem przestrzegać należy, ażeby naczynie do tej czynności użyte suche było zupełnie.

T a t a r k a (h r e c z k a) pochodzi z Azyi, kwiat jej ulubionym jest pokarmem pszczół. Tatarka lubi grunt piaszczysty i suchy, przed Czerwcem siać jej nie należy, a po zasiewie potrzebuje deszczu, wilgoci. Kwitnie przez cały Lipiec i później jeszcze ciągle okrywa się kwiatem, chociaż już pierwsze ziarno zupełnie dojrzało. Żeby zbyt wiele nie tracić nasienia, trzeba, jak tylko to czarnieć zaczyna, otrząsać je w zapaski; tym jednakże tylko, choć zmudnym sposobem otrzymuje się cztery razy więcej ziarna, niż zwykle. Słoma służy za siano, z ziarna wyrabiają różne gatunki kaszy, z których drobną nazywają w Krakowskiem, kaszą częstochowską; otrzymują także z tatarki mąkę i wyrabiają z niej chleb tatarczuchem w Krakowie zwany, nie jest on zdrowy, bo zakalisty, lepszy chleb można otrzymać z tejże mąki z pszeniczną zmieszanej. Wypalają z tatarki i wódkę; trzoda chlewna i drób tuczy się wybornie ziarnem tej rośliny; świeżą lubią krowy, a suchą tylko owce.

P i j a w k a ma trzy ostre zęby do przebijania skóry ludzkiej lub zwierzęcej służące. Lekarska pijawka ma do pięciu calów długości, ale skurczona tylko cal jeden. Stojące wody, stawy, i zwolna płynące strumyki, są ich zwyczajnym pobytem. W lecie łapią je tylko w czasie uciążliwych upałów

i w zupełnej ciszy powietrza, na długie, białe pręciki, któremi się przy brzegu wodę porusza; pijawki zjawiają się natychmiast, gdy są w tem miejscu obecne, i wtedy prętem wyrzucają się na ląd. Wtedy wkłada się je w szklanne naczynie, czystą, studzienną wodą napełnione, którą często odmieniać należy. Jeźli która zdechnie, trzeba ją natychmiast usunąć z naczynia. Pijawka mająca być użyta jako środek lekarski do wyssania krwi ludzkiej, powinna być zupełnie wygłodzona i nie mieć w sobie krwi z dawniejszego ukąszenia. Jeżeli się nie chce przyczepić do ciała, to należy naówczas to miejsce potrzeć chustą i mlekiem, albo samą krwią. Posypana solą kurczy się konwulsyjnie i często natychmiast zdycha. Pijawki są popłatne; często ich używają lekarze i chirurdzy. Okazują także te małe stworzenia stan powietrza, ale na słońcu i blisko pieca stać nie powinny; jeżeli spokojnie leżą na spodzie naczynia, to będzie pogoda; jeżli zaś są w ruchu, lub nad wodą, to wtedy spodziewać się trzeba słoty lub burzy. Pijawka końska jest większa i bardzo krwi chciwa, prędko przyczepia się do ciała wszelkich zwierząt, a szczególniej do ich języka; tak tej, jak i wszelkiej innej nie można odrywać gwałtem od ciała, ale czekać, dopóki sama po nasyceniu się nie odpadnie, albo gdy tego potrzeba, obsypać ją solą, lub podcierać szmatką w wódce zmaczaną, wtedy z łatwością odpada.

S p o s ó b n a r d z ę. Dla zabezpieczenia się od rdzewienia naczyń i narzędzi żelaznych lub z blachy żelaznej pobielanej, trzeba je omoczyć w wodzie z wapnem zarobionej, gęstawej i wysuszyć je potem. Chcąc oczyścić stal i żelazo, posmarować je trzeba oliwą, dobrze natrzeć, i tak natarte zostawić na parę dni; poczem wziąwszy niegaszonego wapna w proszku, trzeć nim dopóty, aż rdza całkiem zniknie.

Przy b o l u p i e r s i trzeba wystrzegać się zbyt zimnego napoju, przeciągu powietrza, oziębienia nóg, wysilenia płuc, długiego a częstego mówienia, krzyczenia, dmuchania, tańcu, rozpalających napojów, tytoniu, wzruszeń i t. p.

Różności.

Odmiany kur. Oprócz pospolitych są czubate mające na głowie okazałe z piór czuby, zamiast grzebienia, pochodzą z Numidyi w Afryce i silnej są budowy ciała, rozlicznie upierzone, najpiękniejsze mają pióra, niby pozłacane lub posrebrzane, także białe z czarnym lub czarne z białym czubem, wreszcie różnokolorowe. Są mniej nieśne, ale łatwo tyją i delikatniejsze mają mięso. Bezogonowe czyli kuse, kaszubki, pochodzą z Persyi. Szurpy ich pióra są na wstecz obrócone; wełniste pochodzą z Japonii z piórami jak wełną obrosłemi: fryzowane z piórami pokędzierzowanemi. Murzynki mające nietylko pióra, ale i grzebień, skórę i nawet kości czarne; pochodzą z Mozambiku, w południowej Afryce; mięso ich mniej smaczne, jak kur pospolitych, dlatego rzadko są utrzymywane. Karłowe małego wzrostu, mają nogi krótkie piórami obrosłe. Koguty tej odmiany są zuchwałe, i w gniewie rzucają się na roślejszych od siebie przeciwników, z tej przyczyny używają ich w Anglii do sławnych potyczek kogutów. Są jeszcze kury angielskie z wysokiemi nogami, tureckie ozdobione pięknemi kolorami; włoskie większe od pospolitych, pod względem niesienia jaj najlepsze. W ostatnich czasach upowszechniły się już po większej części kury kokinchińskie co do kształtu są krótkie a szerokie w krzyżach, z krótkim ogonem a wysokiemi nogami, upierzenie mają po większej części żółte.

Brezylia wielkie drzewo szczególniej w Brazylii w Ameryce obficie rosnące, jest całe zewnątrz jasnoczerwonego koloru, w wyrobach stolarskich piękną przybiera politurę. W drodze handlowej przychodzi i do nas, jako drzewo farbierskie.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Stadnicki człowiek zuchwały, popierający Maxymiliana Arcyksięcia Austryackiego na tron Polski, gdy chciano Piasta (tj. rodaka) obrać na króla, rzekł: A więc i mój woźnica może się o tron ubiegać. — Niech będzie i woźnica, odrzekł Buziński, obierzmy go, byle tylko chłostał biczem sprawiedliwości ludzi przedajnych obcym dworom i niespokojnych w Rzeczypospolitej.

Młodość i wiosna są prawdziwie porą do pracy, czego w nich nie zasiejesz, nie będziesz zbierał w jesieni.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 8.

11. Marca 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Przed karczmą.

Przed karczmą w Trzęśniowie stało mnóstwo wozów, podczas gdy ich właściciele, powróciwszy właśnie z pobliskiego miasta gdzie odbywał się walny jarmark, obsiedli w karczmie długie stoły i popijając gorzałkę sporemi szklankami, rozprawiali, ci o tem co kupili, drudzy o tem co sprzedali na jarmarku, a inni znowu o tem co w mieście widzieli lub słyszeli.

Kilku gospodarzy, podpiwszy już sobie należycie, chłodzili się w dziedzińcu. W tem zaturkotało na gościńcu i oto jeszcze jeden sąsiad przybywa. Ci, którzy stali pod karczmą poznali go z daleka, popatrzeli po sobie, ten i ów splunął z pogardą.

— To Konicz — powie jeden — ten świętoszek, sknera, jeszcze mi nigdy kieliszka wódki nie zapłacił.

— Alboż tylko tobie? — rzecze drugi — ponoś on sam jeszcze nigdy nie miał wódki w gębie.

— Ale popatrzcie — zawoła inny z gromadki — jakiemi to on końmi jedzie! Pewno świeżo kupione na jarmarku. Możeby je oblał; warto mu się przymówić.

— Szkoda trudu — powie znów pierwszy — niech sobie jedzie na złamanie karku ten nicpoń.

— Ej — rzecze któryś — przecież nas nie ubędzie gdy do niego zagadamy.

Postąpili kilka kroków, zatrzymali Konicza, witając go niby bardzo serdecznie, a ten co pierwszy podał myśl oblania nowych koników, dalejże przymawiać się Koniczowi.

Jan Konicz był to bardzo uczciwy i pracowity gospodarz, ale nie lubiony we wsi, bo nie był pijakiem i unikał pijaków. Zagadnięty niespodziewanie i dosyć obcesowo, obejrzał się po gromadzie, myśląc że znajdzie może którego, coby mu do wywinięcia się dopomógł, ale niestety stali przed nim sami najwięksi pijacy.

Nie wiedział na razie co począć; a w tem postrzega jakiegoś obcego człowieka, w wojskowym płaszczu, zmierzającego prosto ku karczmie. Ledwo rzucił okiem na niego, poznał że to brat jego rodzony Franciszek, przed trzema laty wzięty do wojska, a teraz pewnie na urlop przybywający do rodzinnej wioski.

Jan wydał okrzyk radości i czemprędzej wyskoczył z wozu, a Franciszek obejrzawszy się i poznawszy brata, przybiegł natychmiast i rzucił mu się w objęcia.

Serdeczne było powitanie po tak długiem niewidzeniu, przerywane tysiącznemi ucałowaniami i zapytaniami. A ponieważ Franciszka, jako tamtejszego, znali wszyscy od dziecka, wysypali się wszyscy hurmem z karczmy na jego powitanie; nawet wój, który właśnie powracał był ze dworu i drogą przechodził, zatrzymał się przed karczmą i dalejże witać, dalejże wypytywać dziarskiego młodziana co tam widział w świecie.

— A teraz Franciszku siadaj ze mną na wóz — rzecze Jan do brata — pojedziemy do domu. Oj! będzież to radość dla mojej kobiety, i dla dzieci gdy stryjka zobaczą.

— Jak to? — odezwie się ów wieśniak, który przed chwilą doradzał przymówić się Janowi, aby oblał koniki — już do domu? tak więc na sucho będziemy witać wojaka? Ej, Janie, toby się nie godziło...

Kilku jeszcze odezwało się z podobną przymówką, ale Jan nie zważał na to, jeno naglił na brata aby prędzej siadał.

Franciszek coś mu szepnął do ucha, a Jan na to:

— Bracie, dam ci w domu wódki ile zechcesz, ale do karczmy z tobą nie pójdę, bom ślubował że tego nigdy nie uczynię.

— Ej Jaśku — odezwie się Franciszek — nie róbcie mi tego wstydu. Trzeba się przecie napić z dawnemi kamratami, skoro tacy dla mnie dobrzy.

— Takiś to ty bratku? — ofuknie go Jan — pilniej ci do karczmy jak do domu? Toś się tego w wojsku nauczył?

— Ależ mój bracie — powie znów Franciszek, nie gniewajcie się na mnie zaraz przy powitaniu — jam nie pijak, broń Boże, ale cóż sobie wszyscy o mnie pomyślą? tBój się Boga Jaśku, nie rób mi tego wstydu jeżeli mię choć rochę kochasz.

Wszyscy słyszeli tę rozmowę i oczywiście wszyscy stanęli po stronie Franciszka, a wychwalając jego dobre serce, dalejże koniecznie namawiać Jana aby na chwilkę wstąpił do karczmy, tem bardziej że i nowo kupione konie koniecznie oblać wypada.

Jan się zawahał i o mało już nie uległ pokusie, ale w tej chwili przystąpił do niego wójt, człowiek piśmienny, bardzo rozumny i doświadczony i rzekł:

— I ty się namyślasz Janie? Chcesz przysięgę złamać dla tego aby sobie u pijaków na pochwałę zasłużyć i dla tego aby się na ciebie nie gniewali, lub z ciebie się nie śmiali?

— O! nie — odpowie Jan — niech mię wszyscy ganią, niech się naśmiewają ze mnie, byleście wy mnie pochwalili panie wójcie.

To powiedziawszy jeszcze raz pociągnął Franciszka, a gdy ten nie ruszył się z miejsca, siadł z wójtem na wóz i pojechał ku domowi.

*

Franciszek tymczasem wraz z wszystkimi obecnymi pospieszył do izby karczemnej.

Moi mili czytelnicy, jak wam się zdaje? Któryż z tych dwóch braci dobrze sobie postąpił: czy ten co się lękał nagany wszystkich, ale złych i nie mądrych, czyli też ten, który sobie tak bardzo ważył pochwałę jednego, ale poczciwego i rozumnego człowieka? *Stanisław Krakowczyk.*

TĘSKNOTA.

MATKA.

Dziecię moje ukochane,
Czemuś takie zadumane?
Patrz, tu łąka zielona,
W cudne kwiatki przystrojona;
Tu ogródek, w nim motyle,
Na krzewinach ptasząt tyle;
I to wszystko woła ciebie,
A ty patrzysz wciąż po niebie.

SYNEK.

Łąka, ogród, błonie całe,
To jest wszystko takie małe!
Choć poigram z motylami
Z kwiateczkami i ptaszkami,
Łąki, wzgórza choć obiegnę,
I u stóp twych znużon legnę,
Tobym jeszcze biegnąć rad,
Gdzieś w daleki, piękny świat.
A nie można!..:
Jabym chciał
Żebym ja się ptaszkiem stał,
Ot skowronkiem. A ja czuję,
Że mi tylko już brakuje
Kilku piórek u ramionek,
I leciałbym jak skowronek,
Jak te śliczne dzieci wiosny,
Nucąc Bogu hymn radośny,
Coraz wyżej, coraz wyżej

Tam do gniazdek, do słoneczka,
Moja mamo, moja droga,
Ja uproszę może Boga,
Że mi da już te pióreczka!

MATKA.

O dziecię me!
Ulituj się,
Nie odbież mnie
Do nieba sam!
O nie proś, nie,
O piórka te,
I nie spiesz się
Do nieba tam.
Gdybyś mię odbiegł... mnie zostawił samą..

SYNEK.

O nie, już nie chcę, nie odbiegnę mamo!

J. K. S.

....

Powrót do chaty.

Powróciłem do mej chaty, nie żałuję tego,
Nie mieniałbym za świat cały kącika własnego;
Miłe bo też okolice, mili tu sąsiedzi,
Żaden prawda grzecznych słówek przez zęby nie cedzi,
Ale wszyscy wierni w słowie, w przywiązaniu stali,
Kto w nieszczęściu poda rękę z tego się nie chwali,
A bodajto w naszych stronach każdy chętnie powie,
Nie jednym się parobczakiem pochlubią ojcowie,
Wesoł w domu, zwinny w polu, żadnej nie ma trwogi,
Dziarski w minie, piękny w stroju, w cnoty nie ubogi.

S Jach.

Książęta Radziwiłłowie.

Książęta Radziwiłłowie byli to możni panowie litewscy, a ponieważ Litwa a Polska to jedno, więc nas wszystkich dzieje książąt Radziwiłłów zarówno obchodzą. Używali oni w naszej

ojczyźnie wielkiej wziętości i powagi, piastując najwyższe dostojeństwa tak świeckie jak duchowne i byli pomiędzy nimi wielcy wojownicy, którzy świetnemi zwycięztwy niejednokrotnie ocalili ojczyznę, byli mężowie nieszczędzący największych ofiar dla kraju, zdolni do wszelkich ofiar i poświęceń, byli pobożni i świątobliwi, zachowujący ściśle przepisy religii świętej, a niezrównani w szczodrobliwości na chwałę Bożą i dla ubogich.

Kiedy Władysław Jagiełło, pan Litwy, zaślubiając królowę polską Jadwigę, wyrzekał się błędów pogańskich, ochrzciło się razem z nim wielu panów litewskich, a między nimi i Radziwiłł. Przybrał on na chrzcie św. imię Mikołaja i postanowił, aby odtąd wszyscy jego potomkowie pierworodni to imię nosili. Było też w czasach późniejszych bardzo wielu Mikołajów Radziwiłłów, lecz i ci, którzy inne nosili imiona, niemniej się wsławili.

Za króla Aleksandra żył Mikołaj Radziwiłł, który licząc już przeszło lat sto, był jeszcze czerstwym i krzepkim. Dziwił się temu król i zapytał raz Radziwiłła, jakim się to dzieje sposobem, na co tenże odpowiedział:

— Od młodości mojej nigdym się nikczemnym zbytkiem nie bawił, zdaleka zawsze od gorących trunków bywałem, a samą tylko wodę pijałem.

Radziwiłłowie byli pierwotnie tylko szlachtą, dopiero później otrzymali od cesarza niemieckiego tytuł książęcy. Pierwszy jednak, którego ten zaszczyt spotkał, nie chciał używać tytułu książęcego, póki mu król polski tegoż nie przysądził, a to, by się nie zdawało że się Niemcom zasłużył ze szkodą własnej ojczyzny.

Albrecht Radziwiłł biskup wileński tak był dobroczynnym dla ubogich, że ich codziennie bardzo wielu w swoim pałacu ugaszczał, a nawet sam usługiwał im przy stole, roznosząc między nich potrawy. Czynili to i inni członkowie tej rodziny, nietylko duchowni lecz i świeccy. I tak Stanisław Radziwiłł, starosta żmudzki, corocznie z nadejściem wielkiego postu, przenosił się ze swego zamku w Nieświeżu do klasztoru, i tu, nie dość że ciało umartwiał i czas na pobożnych rozmyślaniach

przepędzał, ale nadto codziennie po mszy świętej udawał się do szpitalu, gdzie nietylko chorzy ale i ubodzy znajdowali przytułek i tu własną ręką odziewał i karmił ubogich, a chorym niósł słowa pociechy. Tenże nie zaniedbywał także obowiązków swoich dla ojczyzny, i gdy Polska prowadziła wojnę z Moskwą, pułk jazdy swoim kosztem uzbroił i na plac boju posłał. Niemniej cnotliwym był Jerzy Radziwiłł, kardynał a oraz arcybiskup krakowski, który nietylko ubogich i kaleki hojnemi jałmużnami wspierał, ale nadto utrzymywał swoim kosztem wiele młodzieży garnącej się do nauk, a oprócz tego wspierał i uposażał klasztory, zakładał seminaria dla młodzieży poświęcającej się stanowi duchownemu.

Podczas gdy jedni z Radziwiłłów tak wielkiemi jaśnieli cnotami jako przyjaciele cierpiącej ludzkości, drudzy zasłaniali kraj swemi piersiami, narażając się ochotnie na wszystkich polach bitew na tysiączne niebezpieczeństwa. I tak za króla Zygmunta I. zwanego starym, Jerzy Radziwiłł, ojciec królowej polskiej Barbary, hetman wielki litewski, który także na czas wielkiego postu zwykł był corocznie zamykać się w klasztorze dla odprawienia pokuty, trzydzieści bitew w rozmaitych miejscach stoczył z nieprzyjacioły, a z wszystkich wyszedł zwycięzko. Wielu też innych Radziwiłłów różnemi czasy z równem szczęściem walczyło przeciwko Szwedom, Moskalom, Tatarom, jakoto Mikołaj, Krzysztof, Janusz wojewodowie wileńscy za królów polskich Stefana Batorego, Zygmunta III. Władysława IV. i Jana Kazimierza, tudzież wielu, wielu innych.

Najgłośniejszym swojego czasu, ale niestety nie z cnót, które jego poprzedników zdobiły, był Mikołaj Radziwiłł z przydomkiem czarny, który żył za Zygmunta I. i Zygmunta Augusta, brat stryjeczny żony tego ostatniego, królowej Barbary. Piastował on najwyższe w kraju dostojeństwa, był wojewodą, marszałkiem, kanclerzem, a prócz tego król Zygmunt August wyprawiał go często jako swego posła do monarchów zagranicznych. Tam zasmakował w wierze luterskiej, która się właśnie szerzyć poczęła i przyjął tę nową wiarę, a nawet żonę swoją, dzieci i domowników do jej przyjęcia przymusił. Za

jego przykładem większa część szlachty litewskiej przeszła na wiarę luterską, a nawet i lud wiejski zaczął się ku tym nowościom przechylać. Mikołaj Radziwiłł we wszystkich znaczniejszych miastach litewskich zakładał kościoły luterskie, oddając na ten cel nawet własne pałace, a nakoniec zajął się wydaniem pisma świętego w języku polskim, bo wówczas jeszcze nawet katolicy nie mieli pisma świętego w ojczystym języku. W tym celu sprowadził do siebie wielu uczonych Polaków swego wyznania, założył drukarnię i z wielkim nakładem wydał pismo święte, poczem niedługo umarł.

Syn jego Krzysztof naprawił to złe, które ojciec wierze św. wyrządził. Gdy jeszcze był dzieckiem, zapomniano go raz przypadkiem w zamku królewskim. Zaczął więc płakać głośno, co usłyszawszy król Zygmunt August, rzekł:

— A cóż to za sierotka?

Odtąd już zawsze tego Krzysztofa Radziwiłła zwano sierotką i ten przydomek został mu aż do zgonu. Rozchorowawszy się ciężko, powziął myśl powrotu na łono kościoła katolickiego i uczynił to natychmiast. Odzyskawszy zdrowie pracował najusilniej nad zagładą fundacii ojcowskich o ile mogły być szkodliwe wierze katolickiej, a mianowicie wydalał heretyków, odbierał im kościoły a oddawał je napowrót katolikom, z największą pilnością wykupywał biblie luterskie przez ojca rozpowszechnione i ogromne stosy tych ksiąg w mieście Wilnie nagromadzone, publicznie spalić kazał. Uczynił on był podczas choroby ślub, że odprawi pielgrzymkę do ziemi świętej, ale ciągłe wojny za króla Stefana, w których osobiście uczestniczył, stały mu na przeszkodzie. W końcu wybrał się przecież, zwiedził wszystkie święte miejsca i na pamiątkę po sobie zostawił tam fundusz na utrzymanie lampy gorejącej u grobu Chrystusa Pana, tudzież znaczne sumy na wsparcie ubogich chrześcian w ziemi świętej przebywających.

Był to pan, podobnie jak owi pierwsi Radziwiłłowie, wielce pobożny, miłosierny i dobroczynny. Budował kościoły, klasztory, szpitale, wykupywał więźniów z niewoli, wyposażał sieroty, wspomagał ubogą młodzież do szkół uczęszczającą,

kochał nauki i chętnie się do nich przykładał. Często zaś powtarzał te słowa:

— Dał mi Bóg dostatek chleba, abym go sam pożywał i drugim udzielał. Niech mię przeto nie nazywają Radziwiłł, ale rad-żywił.

Równie zacnem i pobożnem życiem odznaczył się Albrecht Radziwiłł za króla Zygmunta III. Król polubił go bardzo i dał go synowi swemu Władysławowi za ochmistrza. Był ten Albrecht Radziwiłł mężem wielce dobroczynnym, tak że podczas wielkiego głodu krocie ludu żywił i utrzymywał swoim kosztem, a umierając zapisał 25 tysięcy złotych na zapomogi dla tych, którzyby się do wiary św. katolickiej nawrócili.

Wspomnę tu jeszcze o księciu Karolu Radziwille, zwanym panie kochanku od przysłowia, które zwykł był ciągle w mowie powtarzać. Żył on za czasów ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta, osadzonego na tronie przemocą moskiewską. Książę Karol należał do tych co się sprzeciwiali przewadze moskiewskiej, musiał więc z kraju uchodzić. Nie długo jednak trwało to jego wygnanie, bo skoro Polska dźwigać się zaczęła przez zaprowadzenie zbawiennych ulepszeń w rządzie i prawach, Moskale udali że chcą bronić starej wolności szlacheckiej, a książę Karol panie kochanku dał się złapać na tę wędkę. Wrócił do kraju i stanął nawet na czele tych co się gotowali do walki przeciw królowi. Wkrótce jednak postrzegli się Polacy że ich oszukano, a gdy nowe wojska moskiewskie wkroczyły do kraju, utworzyli przeciw najezdnikom związek zwany konfederacyą barską. książę Karol przystąpił do tego związku i walczył przeciw Moskalom, za co mu dobra złupili i zabrali, a on sam musiał znowu niedługo iść na wygnanie.

Odzyskał później majątek i powrócił do kraju, ale były to już czasy dla Polski najsmutniejsze. Niebawem wybić miała ostatnia dla Polski godzina. Nie doczekał tej okropnej chwili książę Karol, umarł bowiem przed ostatecznym rozbiorem Polski.

Był to pan najmożniejszy w całej Polsce. Skupiał koło siebie ogromne mnóstwo szlachty hulaszczej i wyprawiał z nimi nieustannie głośne uczty i pijatyki, które niszczyły ogromny jego majątek. Sławnym też był z powiastek często bardzo zabawnych, które lubił opowiadać dla zabawienia swoich gości i z żarcików, które wyprawiał.

Raz wśród lata wyprawił pod Warszawą przejażdżkę sankami, rozkazawszy rozległą przestrzeń wysypać grubą warstwą soli. W zamku swoim w Nieświeżu chował niedźwiedzie, które tak były wyuczone, że umiały np. usługiwać do stołu, tańczyć itp. Temi to niedźwiedziami nastraszył niejednego cudzoziemca, a raz nawet wjechał do Warszawy karetą przez niedźwiedzi ciągnioną. Rozliczne te żarciki, hulatyka, uczty wielce kosztowne, serdeczność dla szlachty, która z nim piła, wszystko to sławnym go uczyniło; jakaż szkoda, że się nie wsławił wielkiemi czynami dla ojczyzny! Kochał on ją wprawdzie i bił się nawet za nią, to prawda; ale za mało tego było, przynajmniej jak na Radziwiłła, jak na potomka rodziny tak sławnej w dziejach i tak zasłużonej.

JEŻ

przez Dra E. Janotę.

Nietoperze czyli gacki wyławiają głównie owady latające po zachodzie słońca i w nocy i przez to wielki przynoszą pożytek. Jeż zasię wyławia także w nocy wszelakie owady i chrząszcze znajdujące się na ziemi, w trawie i w liściach, tudzież ich poczwarki, ślimaki nie mające skorup, sprawiające w zasiewach i po ogrodach niemałe szkody; wykopuje on także glisty i owady ukryte pod powierzchnią ziemi, łowi z upodobaniem doskonale myszy po stodołach i koło domu, w ogrodzie i w polu, gdzie je bardzo zręcznie z ich gniazd podziemnych wydobywa; zjada węże, żaby i ropuchy, poluje nawet na żmije, jedyne u nas, ale bardzo niebezpieczne węże jadowite. Ukąszenie i jad

żmii, przyprawiające człowieka łatwo o śmierć, jeżowi wcale nic nie szkodzą. Również nic mu nie szkodzą tak zwane kantarydy czyli majki, piękne, zielone, dosyć duże chrząszcze, ale tak zjadliwe, że przyłożone na ciało bardzo pieką i silne sprawiają odęcia skóry. Czy trzeba jeszcze czegoś więcej, aby się jak najmocniej przekonać, że jeż jest zwierzęciem nieocenionej wartości dla pól, łąk, pastwisk, ogrodów, lasów i gajów naszych?

Do grzebania służą jeżowi silne łapki przednie zaopatrzone w tęgie pazury; a ponieważ on w dzień po największej części spi i tylko w nocy poluje, dlatego dał mu Pan Bóg dobry słuch i wyborny węch. Każdy zatem gospodarz, każdy ogrodnik cieszyć się powinien, mając w polu, w ogrodzie lub sadzie jeżów, bo nikt nie wyczyści mu tak doskonale pola i ogrodu, jak właśnie te zwierzęta, nie zrządzające przytem żadnej a żadnej szkody. Że jeże wyłażą na drzewa, zrzucają jabłka lub gruszki, potem po nich się tarzają i nabite na kolce zanoszą do swego legowiska, nie jest jeszcze dowiedzioną prawdą, bo już uzębienie ich okazuje dostatecznie, że te zwierzęta nie są stworzone do żywienia się pokarmem roślinnym. Wyłazić na drzewa jeże wcale nie umieją, a tem mniej złazić, a wreszcie gdyby też jeż zjadł jaki owoc opadły, toćto tylko z głodu i braku innego pożywienia, mianowicie owadów, myszy, żab i t. d. i wcale nie byłoby mu czego żałować.

Właśnie dlatego, że jeże zarówno jak nietoperze żywią się owadami, robakami, ćmami, tudzież ich poczwarkami, żabami, ropuchami, jaszczurkami, wężami, żmijami, ślimakami, myszami i polnikami, a wszystkie te zwierzęta prócz myszy i polników w zimie same pochowane spią, dla braku więc pokarmu i jeże przesypiają zimę w gniazdach swoich w otrętwieniu, tak jak nietoperze, i dopiero w marcu się budzą.

Jak nietoperze nie jedzą szperki, tak samo jeż nie poluje na drób, ptaki i króliki. Do kurnika wleźć nie potrafi. Włazi tam kuna lub lis, a chociażby jeż napadł gniazdo jakiego ptaka znajdujące się na ziemi, szkoda taka nie idzie żadną miarą w porównanie z pożytkiem jego. Że zaś tłuszcz jeża

miał być jakiem lekarstwem, jest tak samo brednią i zabobonem, jak to, żeby sadło niedźwiedzi, psów, świstaków, borsuków i t. d. na co pomagało. Kto w takie lekarstwa wierzy, ma bardzo miałki rozum; kto po takie lekarstwa chodzi do apteki, też go nie ma więcej, bo one się na nic nie przydadzą i żaden lekarz ich nie zapisuje, a jeżeli człowiekowi prostemu nie rozumiejącemu tych rzeczy, a mającemu głowę nabitą najśmieszniejszem nieraz głupstwem, aptekarz jaki sprzedaje takie tłuszcze, to niechaj nam każdy taki człowiek wierzy, że go aptekarz oszukuje i że mu daje zwyczajny tłuszcz świński lub kozłowy, może też zajęczy lub gęsi, dlatego jedynie, aby utargować kilka groszy. Ale cóż powinno być milszem człowiekowi uczciwemu i rozumnemu, uwalnianie bliźniego od fałszu i zabobonu, czy pozostawienie go w głupocie, aby wykpić na nim kilka groszy? Haniebna to rzecz podtrzymywać i podsycać nieświadomość, przesąd i zabobon w bliźnim, aby z niego ciągnąć korzyści!

Jeżów nie ma u nas wcale wiele, a chociaż jeżyca więcej miewa młodych, aniżeli nietoperzyca, bo trzy do sześciu, przecież młode jeżęta następnego lata jeszcze się nie parzą, a co gorsza, w zimie często giną na mrczie i słocie. Prócz tego zeżerają je lisy, kuny i puchacze, a psy też im nie dadzą pokoju. Tem oględniejszym powinien być każdy gospodarz, każdy ogrodnik, i zamiast prześladować tak pożyteczne zwierzę, łapać je lub zabijać, powinien się starać o utrzymanie go i rozmnożenie w ogrodzie i koło zabudowań gospodarskich.

Jeże lubią przesiadywać i słać sobie gniazda w gęstych zaroślach pod staremi wybutwiałemi drzewami, pod kupą suchych patyków lub cierni. Kto więc chce utrzymać jeża w ogrodzie, w sadzie, koło domu lub w polu, niechaj pod starem drzewem lub między niemi, w kącie ogrodu, koło płotu od samego spodu gęsto cierniami obrzuconego przysposobi mu miejsce spokojne, niechaj w pobliżu położy garść mierzwy lub liści suchych lub mchu, aby sobie jeż mógł usłać wygodne legowisko, albo gdyby zarośla były większe i dosyć gęste, niechaj porozstawia kilka skrzynek, łokieć długie, pół łokcia

szerokie i wysokie, ale bez dna i z dziurą z boku do włażenia, i niechaj te skrzynki obrzuci cierniami i gałęziami, a jeże chętnie się tam będą chowały. Tak przynajmniej robią tam, gdzie się już poznano na użyteczności tego zwierzęcia.

Jeż da się łatwo obłaskawić. Trzymają go więc po domach, i tu łowi myszy, a jeszcze więcej tak zwane karakony, bardzo brzydki owad trzymający się po kuchniach i po domach. Ale tu częstokroć to biedne zwierzę tylko męczą i najczęściej jeż umiera z głodu. Jak wszystkie inne tego rodzaju zwierzęta tak i jeż jest dosyć żarłoczny, ale czego nie dopadnie na ziemi, tego też już ze ściany nie dostanie; karakony zaś łażą po ścianach, sufitach i powałach, po stołach i półkach; tam jeż nie wylezie. Myszy poczuwszy nieprzyjaciela, też się częstokroć wynoszą. Więc chociaż jeż, jak to łatwo na własne oczy można widzieć, czatuje przy szparach w podłodze i nieustannie wietrząc biega koło ściany, przecież nie upoluje on tyle, aby się nasycić. Ktoby go więc chciał trzymać w domu lub w zielarni, winien mu codziennie dodawać kilka łutów mięsa wołowego lub wątroby surowej pokrajanej i świeżej wody na miseczce lub mleka, które bardzo lubi; na noc należy dobrze pozawierać otwory do pieców lub cyganków, aby nie wlazł i nie spalił się, cebrzyki zaś z wodą ponakrywać lub postawić na jakiej ławie tak wysoko, aby ich nie dostał, bo inaczej łatwo wpadnie i utonie, a takiego zwierzęcia zawsze i wszędzie szkoda. Legowisko, które sobie upatrzy, należy zaopatrzyć w garść siana, a w zimie, gdy spi, nie ruszać go, ale dać mu spokój, i wtedy nie trzymać go w miejscu ciepłem, lecz nieco chłodnem. Wreszcie miejsce koło legowiska dla utrzymania czystości należy posypać piaskiem. Daleko poradniej atoli wcale nie trzymać go w domu, bo myszy można wyłowić łapką, a karakony do płytkiej, ale gładkiej miski napełnionej, lecz nie do samego wierzchu, odwarem z grochu, i obwiniętej szmatą, po którejby robactwo do niej właziło. Pod przypieckami zaś najlepiej je wypalić słomą, a w szparach wrzącą wodą, nasypawszy poprzednio nieco wapna niegaszonego.

BUK.

Buk piękne, wysokie, rozłożyste drzewo, najlepiej się udaje na płaskich pochyłościach gór, w cienistym gruncie, mniej zaś dobrze pojedyńczo na wyzinach. Bywa na 80 stóp wysoki, a trzy stopy gruby, i do 300 lat życia dochodzi. Korzeni nie zapuszcza zbyt głęboko, ale rozpościera je raczej przy powierzchni ziemi. To drzewo pod każdym względem, w całym swym składzie użytek przynosi: z bukwi w jesieni spadłej, jeżeli tylko nie zbyt długo na ziemi leżała, a we młynie z łupek była obrana, wyborny, klarowny wytłaczają olej, równie dobry do potraw jak i do świecenia i płókania wełny. Bukiew zaraz po zbiorze na suchem miejscu przez kilka miesięcy zachowana i pilnie mieszana, obfitszego jeszcze dostarcza oleju; ten zaś w kamienne zlany flasze i dobrze zatkany, jeżeli pod ziemią przez cały rok pozostanie, jest bardzo zdrowy jako przyprawa do różnych pokarmów. Bukiew jest wybornem dla drobiu pożywieniem; z niej nawet i krochmal wyrabiają; zmieszana z grochem tuczy trzodę chlewną, zawsze jednak słonina z tej strawy jest mniej jędrna, ale topniejsza. Dla ludzi bukiew jest niezdrowa. Młode liście latorośli przez bydłe pożywane, sprawiają im mocz krwawy; dla tego trzeba je chronić od miejsc, gdzie się wycinaniem buków zajmują. W niektórych okolicach używają suchych liści bukowych zamiast słomy do wyścielenia sienników; również to liście jak i kora służą do garbowania skór. Największą wszakże korzyść odnosimy z samego ściętego drzewa; lecz gdy na powietrzu zostawione, prędko się psuje i robaczeje, niezdatne jest z tego względu na budulec; ale do opału jest najlepsze, i hutom wybornego dostarcza węgla, a do wyrobu mydła, potażu i szkła popiół bukowy jest najstósowniejszy. W wodzie długo się to drzewo bez zepsucia utrzymuje, dla tego do budowy młynów wielce jest przydatne. Trocin bukowych używają do klarowania i farbowania wina. Buk najlepiej rozmnaża się z nasienia, które na początku maja zasiewa się w gliniastą z piaskiem zmieszaną ziemię.

W. Cz. z Brz.

Przestrogi i rady gospodarskie.

Padanie się rąk. Ludziom wiejskim, a szczególniej robiącym koło roli padają się ręce, co im niemały ból sprawia. To padanie się jest skutkiem suchości i tęgości skóry ciała, zapobiega się temu złemu, smarując dwa razy na dzień, a mianowicie w wieczór, mieszaniną z czystego wosku i oliwy po połowie na ogniu razem stopionych.

Sposób bielenia nici lnianych. Pan Juch zagotował w tym celu kilka motków surowych nici w wodzie z przesianym popiołem. Wysuszywszy je potem, gotował przez godzinę w wodzie z węglem drzewnym na proszek utłuczonym; gdy je następnie wypłókał i wysuszył, otrzymał nici jak śnieg białe.

Lekarstwo. Na uporczywe wrzody, na mleczne strupy u dzieci, na suchoty płucowe i na wysypki bardzo skuteczny odwar podbiału pospolitego, gdy się trzy łuty jego liści zagotuje w dwóch kwaterkach wody, dopóki nie pozostanie połowa.

Dobroć krów co do mleka. Rozliczne są w tym względzie sposoby poznawania; tu wspomniemy o nowszem postrzeżeniu. Pewien wieśniak francuski wydał pisemko, w którem ogłasza, iż dobroć krowy do mleka, poznać można po rosnącej sierści na udach do góry od wymion; im więcej i na dłuższej przestrzeni wyrasta jej do góry, tem krowa ma być lepsza do mleka, im mniej, tem gorsza, a ta u której rośnie na dół, zupełnie zła. Rozliczne były w tej mierze doświadczenia czynione, nader mozolne i nieprzyjemne na kilkudziesięciu krowach, przez członków Towarzystwa rolniczego, które potwierdziło to odkrycie.

Sposób na myszy. Najpewniejszy sposób wygubienia myszy są łowne koty, których sam widok przeraża te uprzykrzone zwierzątka; niedawno jednak doświadczenie okazało, iż w zboże w spichlerzach i w składy sera lub kaszy, zatknąwszy kilka gałązek żabiej mięty, żadna masz nie zbliży się w to miejsce.

Różności.

Klej robi się z resztek skór niewyprawnych, wnętrzności, muszkułów i innych odpadków zwierzęcych przez proste gotowanie w wodzie. Materiały te przed użyciem winny być wymoczone przez dwa lub trzy tygodnie w mleku wapiennem, następnie wymyte i wysuszone na taflach kamiennych. Podczas gotowania należy mieszać warzechwią drewnianą gotującą się masę. Do gotowania używa się przyrządu złożonego z trzech kotłów. W najwyższym jest woda, masa zaś znajduje się w środkowym i z tego po odgotowaniu zlewa się do dolnego, w którym się klaruje. Formy, w które wlewa się ostatecznie masa, są z drzewa sosnowego. Klej wydobyty z formy kraje się za pomocą miedzianego druta na warstwy poziome, a następnie nożem na pasy, które suszą się na siatkach. Połysk nadaje się klejowi przez zanurzenie w ciepłej wodzie i wytarcie mokrą szczotką. Karuk czyli klej rybi otrzymuje się z błon, a głównie z pęcherzy niektórych gatunków jesiotra. Karuku używa się do klarowania win i wódek, do nadania dychtowności wstążkom i jedwabiom, do wyrabiania kitajki używanej na plasterki angielskie itd.

Lekarze najsławniejsi. Pewien sławny lekarz umierając, rzekł do otaczających go przyjaciół:

— To jedno mnie uspokaja, że wam zostawiam trzech lekarzy jeszcze lepszych niż ja.

— Kogoż to? — zapytano.

— Umiarkowanie, wodę, i ruch na świeżem powietrzu — odpowiedział gasnącym głosem.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Praca jest celem i środkiem życia, warunkiem istnienia.

Opatrzność nic prawie zrobionego człowiekowi nie dała, ale użyczyła mu sposobności do zrobienia wszystkiego.

Zygmunt Myszkowski marszałek koronny, wstawiając się za uwięzionymi, którzy należeli do rokoszu r. 1607 przeciw królowi rzekł: „Trzeba szalonym miecze odbierać, ale zabijać ich nie godzi się. Królu! skazałeś ich na śmierć, jabym zaś rozumiał. że większą byłoby dla nich męką żyć w więzieniu lub w niełasce twojej, niż umierać.“

Opaliński Andrzej biskup poznański, tak napisał w testamencie swoim: „Nie chowajcie mnie w katedralnym kościele, ale w Radlinie w parafialnym, z jak najskromniejszym nakładem, przed wielkim ołtarzem, równo z ziemią, niech lud prosty depce po nikczemnym prochu.“

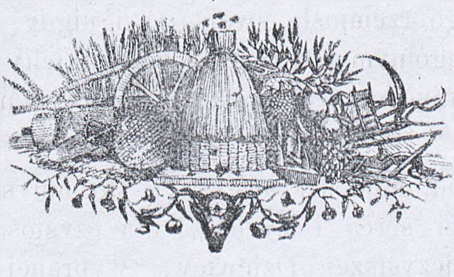
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 9.

21. Marca 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Przypomnienie o świętym Józefie.

Niedawno minął dzień św. Józefa — a komuż nie znany i nie kochany ten piastun Boży, komuż nie miłe jego święto już pół wiośniane w które kościół sam weseli się i pozwala się weselić wśród cichego i żałobnego postu? gdzież wioska któraby nie miała kilku Józefów obchodzących dzień swego patrona, kilka obrazów tego świętego w swoich chatach z dzieciątkiem Jezus na jednem ręku a w drugiem kwiat liliowy?

Mało też który święty tak wielkim przykładem dla naszego pracowitego żywota jak ten oblubieniec Maryi i opiekun Jezusa. Był on ubogiego stanu i całe życie przepędził w niedostatku, pracy na chleb, dolegliwościach ubóstwa, w trudach podróży i wygnania do Egiptu, gdzie ciężkiej nieraz doznał nędzy — i potem w domku swoim skromnym w Nazarecie wiele znosił i cierpiał i do śmierci był ubogim, więc szczególnym patronem jest ubogich, biednych i prostaczków.

Św Józef był cieślą, z młodu pracował ciężko a wiernie, sumiennie, szczerze; potem rękami swemi utrzymywał najświętszą rodzinę, rękami swemi zarabiał na chleb dla Syna Bożego, uczył go rzemiosła swojego, i nigdy nie próżnował; jest więc szczególnym patronem wszystkich rzemieślników, wszystkich pracujących, wszystkich uczciwie na chleb zarabiających.

Św. Józef od młodości swej był skromnym i niewinnym, wielkiej czystości serca i życia, i dla czystości swej został oblubieńcem Najczystszej Dziewicy, wybranej Matki Zbawiciela, dla tego szczególnym jest patronem niewinnej młodzieży i wszystkich oblubieńców którzy najpiękniejsze wiano przynoszą do stanu małżeńskiego, bo czyste życie i pobożne obyczaje.

Św. Józef chociaż tylko opiekunem był Maryi, był jednak poślubionym jej mężem, i wielkie cnoty domowe, łagodność, powaga, miłość, czynią go patronem szczególnym wszystkich zgodnych, uczciwych, kochających się i przykładnych małżeństw.

Św. Józef był przybranym ojcem Chrystusa Pana, piastował go, pracował dla niego, nie odstępował go, wychowywał z trudem, z wielkiem poświęceniem w przykładzie pięknych cnót, w pracy, w bogobojności i miłował go mocno wraz z Maryą — jest więc patronem wszystkich rodziców którzy chcą bogobojnie i przykładnie swe dzieci wychowywać.

Św. Józef po życiu świątobliwem umierał szczęśliwie między Maryą i Jezusem — i słodko opuszczał to życie pierwszy patryarcha nowego zakonu, bo Chrystus otwierał mu niebo dotąd zamknięte starym ojcom, i dla tego jest patronem konających i piastunem dusz do nieba idących.

Mamy więc w tym wielkim świętym wzór całego życia naszego w pracy, w cnocie, w panieństwie, w małżeństwie, w rodzicielstwie, w ubóstwie, w cierpieniu, w radości czystego sumienia i w godzinie śmierci.

Skarbmy sobie opiekę jego w życiu i śmierci naśladując jego cnoty; żyjmy jak on z Maryą i Jezusem i służmy im jak on służył, a umierając z świętemi imionami: Jezus, Marya, Józef.... przejdziemy z tej wędrówki ziemskiej za miłosierdziem Bożem, tam gdzie Jezus, Marya i Józef czekają na nas! *B. E.*

O przeznaczeniu człowieka.

Patrz, oto strumień co płynie
Po tej kwiecistej dolinie
W górze czysty, tu zmącony
Tam spokojny, tu spieniony;
Gdzie lasek dolinę kończy,
Z większą się rzeczką połączy;
A ta rzeczka płynąc dłużej...
Przez bory, pola i knieje,
Po rozmaitej podróży,
W większą się rzeczkę wyleje.
I mówią, że gdzieś daleko
Rzeka przestanie być rzeką...
Pytałem wczoraj strumyka
Poco płynie, poco znika?
Lecz strumień, rzeczka i rzeka,
Nie zrozumiały człowieka;
Borem, polem i doliną,
Same nie wiedzą gdzie płyną!...
Tak życie nasze nim minie,
Gdzieś do celu swego płynie;
A chociaż na wzór strumienia,
Z strumieniem, rzeczką i rzeką,
Płyńmy w krainę daleką.
W bystrym czy powolnym biegu
Na wieczności staniem brzegu;
Życia naszego bezcelność
Tam się zmieni w nieśmiertelność.

F. Grzymała.

*

Dumka wieśniaka.

Jestem chłopkiem — i wiem o tem,
Że udziałem moim praca,
Że co zbiorę z czoła potem,
To ów na zbytki obraca;
Ja w niskiej jednak pokorze,
Orzę — zbieram i znów orzę

Nie znam szczęścia, ni wygody,
Siermięga moje okrycie,
Kawał chleba i dzban wody,
Krzepią siły, zdrowie, życie;
Choć w bezustannej pokorze
Orzę, zbieram i znów orzę.

Kiedy berło zagrożone,
Dzielnej pomocy wymaga;
Rzucam dom, dzieci i żonę,
Głośną jest moja odwaga.
A gdy wrócę w zwykłej porze,
Orzę, zbieram i znów orzę.

Po wysłużeniu się takiem,
Straciwszy zdrowie i siłę,
Nędznym zostaję żebrakiem,
Lub idę spocząć w mogiłę;
A w takiej dopiero porze
Ani zbieram, ani orzę!

A. G.

Walenty Wąsowicz Połotyński i Kasper Wieloch Wielkołucki.

Za dawnych czasów polskich szlachectwo bardzo wiele znaczyło. Szlachcic na zagrodzie był równym wojewodzie, szlachcic mógł być i królem obrany. Ale zostać szlachcicem polskim było rzeczą wielce trudną i tylko za bardzo wielkie dla kraju zasługi robiono czasem mieszczan i chłopków szlachcicami.

Jednym z tych był Walenty Wąsowicz, syn kotlarza ze Lwowa, za panowania dzielnego króla Stefana Batorego. Gdy wybuchła wielka wojna między Polską a Moskwą, Walenty porzucił młodą żonę a pospieszył zaciągnąć się w szeregi obrońców ojczyzny, co już samo przez się bardzo pięknym było uczynkiem, do którego nie każdy jest zdolnym, bo nie wszyscy piszą się na to zdanie że ojczyzna więcej znaczy jak żona, dzieci i cała rodzina.

Walenty Wąsowicz służył przy piechocie, a jak się dzielnie popisał na wojnie, posłuchajcie. Wojsko polskie przyciągnęło pod miasto Połock, które nam Moskale byli wydarli za poprzedniego króla. Było to miasto silnym murem naokoło

otoczone i Polacy szturmem zdobywać je musieli. Wówczas Walenty Wąsowicz wziąwszy smolne łuczywo, zaprawne siarką dla rychlejszego wzniecenia pożaru i kocieł pełen żarzącego węgla, poszedł pod same szańce twierdzy, choć z góry niezliczoną moc strzałów i pocisków miotano na niego, choć był już ciężko w bok i w rękę ranny, a podłożywszy ogień pod wieżą twierdzy, zapalił ją. Wkrótce pożar ogarnął szańce, co widząc Moskale, nie śmieli już bronić się dłużej i wywiesili białą chorągiew na znak że się poddają, a Walenty Wąsowicz dwa razy postrzelony w prawą rękę, a raz w bok, powrócił ledwie żywy do swoich z wypływającemi wnętrznościami.

Patrzał na to wszystko król Stefan, toż zaraz polecił go swoim lekarzom w najtroskliwszą opiekę, a gdy Walenty Wąsowicz w pewien czas potem z ran się wyleczył, zrobił go szlachcicem za zgodą całego sejmu. Herb który Wąsowicz otrzymał przedstawia rękę strzałą przeszytą, trzymającą zapaloną pochodnię i wieżę podwójną na wzór tej którą był podpalił. Ponieważ wieża owa nazywała się Połota, nadał mu też król nowe szlacheckie nazwisko Połotyński i wydał pismo zatwierdzające te nadania na wieczne czasy tak Walentemu jak i wszystkim jego potomkom.

Walenty niegdyś Wąsowicz a teraz Połotyński, dwukrotnie jeszcze potem uczestniczył w wojnach, które król Stefan Batory prowadził z Moskalami. Za każdym razem dawał piękne dowody męstwa i odwagi, gotów zawsze życie położyć dla ojczyzny. Nie mógł już król nadać mu drugiego szlachectwa, ale niechcąc przecież zostawić go bez pamiątki i nagrody za tyle trudów, ran i wzniosłych czynów, posunął go najprzód na rotmistrza, a później gdy już stargane na wojaczce siły nie pozwoliły zasłużonemu wojakowi poniewierać się dłużej po obozach, wyznaczył mu w dobrach królewskich w ziemi przemyskiej dwadzieścia łanów pola.

Podobnie jak Walenty pod Połockiem, popisał się za tegoż samego króla i także na wojnie moskiewskiej Kasper Wieloch chłop ze wsi Miastkowa. Było to przy oblężeniu twierdzy Wielkie Łuki. Wieloch z niebezpieczeństwem życia podkradł

się pod mur wieży, i podłożywszy tam ogień, sprawił że wyleciała w powietrze. Za ten czyn wielki uściskał go jak brata hetman polski Jan Zamojski i tamże na gruzach zdobytej twierdzy przyjął go jak krewniaka do swego herbu, to jest zrobił go szlachcicem i panem herbownym, co i król potwierdził i nadał Wielochowi na wieczne czasy nazwisko Wielkołucki.

Bóbr pospolity.

Wprawdzie każde zwierzę ssące buduje sobie jakieś legowisko, jakieś mieszkanie, ale żadne przecież nie zakłada tak sztucznych budowli jak bóbr pospolity. Wąsaty ten sztukmistrz ma 2 do 3 stóp długości a ledwie stopę wysokości, zresztą ma on małe oczy, krótkie uszy, gruby ogon a futro bardzo cenione, płowe lub brunatno rude. Futro to składa się częścią z długich, połyskujących, jedwabistych włosów, częścią z krótkiej, nadzwyczajnie miękkiej wełny, która nie przemaka bo się jej woda nie czepia. Ogon stopę długi a 2 do 3 cali szeroki, na dół zwieszony, pokryty jest łuskami, z pomiędzy których tu i owdzie wystają krótkie włosy. Ojczyzną bobra są tylko zimne i umiarkowane kraje Europy i Ameryki północnej. Lubi szczególniej brzegi jezior i rzek powoli płynących, lasami zarosłe. W naszym kraju teraz pojawia się tylko pojedynczo nad Bugiem, Wisłą i Dnieprem.

Domki swoje stawiają bobry pospolite albo w zatokach albo na przylądkach lub wysepkach. Opowiadano dawniej bardzo ciekawe powieści jak to bobry przy budowie używają silnych swoich zębów nakształt siekier i pił, nóg przednich jak rąk, ogona jako łopaty, ale te wszystkie opowiadania zanadto były przesadzone. Pracę swoją zaczynają zwykle w pierwszych dniach sierpnia. Najprzód, jak się przekonali troskliwi ich zwyczajów badacze, kopią kanały podziemne mające często do pięćdziesiąt łokci długości, które zaczynają się pod wodą, tworzą w głębi mały stawek, powoli wznoszą się w górę i sięgają aż do pobliskiego lasu. Potem stawiają domki z chrustu

bardzo podobne do pieca piekarskiego, 4 do 6 łokci wysokie, gliną wylepione i pięknie wydrążone wewnątrz.

Utrzymywano dawniej, że domki te miewały po kilka piąter i zawierały po kilka izdebek, lecz to okazało się nieprawdą W domkach tych ukrywają się bobry gdy ich woda podczas wylewu z owych nór podziemnych wypędzi. Jeżeli obierają mieszkanie nad pomniejszą rzeką, budują także w poprzek przez wodę tamę z gałązek wikliny lub topoli, wypełniając szpary ziemią, mułem i kamieniami Tamy te służą do zatrzymania wody, nie pozwalają jej zamarzać w zimie do dna a w lecie zasłaniają wchód do nory. Ponieważ gałązki puszczają korzenie, tama taka jest podobną do płotu, i z czasem tak się wzmacnia że człowiek po niej stąpać może.

W jesieni i w zimie bobry wylęgają się swobodnie w norach lub domkach, karmią się korą i liśćmi przysposobionych na ten cel gałązek i moczą ogony w wodzie; na wiosnę opuszczają swoje mieszkania, żyją parami, przechodzą się tu i owdzie, zwłaszcza po lasach. Pracują tylko w nocy. W końcu czerwca samiczka wydaje na świat dwoje młodych, które przez trzy lata wychowują się pod okiem i opieką rodziców.

Bóbr jest zwierzęciem niezmiernie cennem i użytecznem. Mięso jego wprawdzie nie jest smaczne, i dla tego mało jadane, ale ogon zwany plusk który waży około 4 funty, uważają powszechnie za osobliwszy przysmak. O wiele cenniejszem jednak jest jego futro, którem jak wiadomo rozległy prowadzi się handel. Cena skórki bobrowej zależy od barwy i gatunku futra i jeżeli jest jeszcze świeże, połyskujące, wynosi 14 do 18 złr. — Bobry dostarczają jeszcze tak zwanego bobrowego stroju. Jest to maść tłusta, wonna, znajdująca się w dwóch pęcherzykach pomiędzy tylnemi udami, a bardzo pomocna w kurczach i którą jako lekarstwo sprzedają w aptekach.

W naszym kraju niegdyś, kiedy jeszcze było więcej lasów i puszcz, bobry były dość pospolite. Bywały nawet bobrownie bardzo porządnie utrzymywane, byli osobni urzędnicy którzy mieli staranie aby bobrów nie płoszono. Bobrownie zaś takie

zwano żeremiami, najwięcej ich było w Litwie. Wielkiemi także stadami przebywały niegdyś bobry w miasteczku Gródku niedaleko Lwowa, około stawu. Tamże do dziś dnia zachowała się pomiędzy dziećmi gra w bobra, która jest następująca: Gromadka dzieci obiera z pomiędzy siebie jednego za bobra, drugiego za strzelca, inni zaś udają psy gończe. Bóbr kryje się a strzelec z psami poluje na niego — to j st szukają go wszyscy i śpiewają przytem:

O mój miły bobrze,
Schowaj że się dobrze.
Od niedzieli do niedzieli
Żeby cię charty nie widziały itd.

Koń wykrywający morderstwo.

Po wszystkie czasy, był koń przedmiotem pieczołowitości i ciągłych starań człowieka. Nie wszędzie zapewne odbywa się to w pożądany sposób, dlatego też i zaniedbanie się w tej mierze nietylko znaczne zrządza szkody, ale i świadczy o niewdzięczności i zatwardziałem sercu tego, który utrzymuje to tak wielce dla nas użyteczne zwierzę. Prócz Arabów, najbardziej Anglicy odznaczają się pielęgnowaniem swoich koni. Nietylko pan bogaty tysiące talarów za to powabne wydający zwierzę, ale i angielski dorożkarz i woźnica, często zbyt rubaszny i mało uprzejmy dla osób które powozi, jest najżyczliwszym przyjacielem i wychowawcą swoich roztropnych, posłusznych, silnych i dobrze karmionych rumaków.

Żadne też zwierzę za dobre siebie podejmowanie nie jest wdzięczniejsze cd konia. Nietylko on jest wiernym towarzyszem swego pana we wszystkich klimatach, ale należy on jeszcze do historyi każdego ludu i narodu, przykładając się do zwycięstwa i znakomitych zdobyczy, jak i do uprawy roli i zwozu plonów z pól naszych. Wzruszający widok przedstawia dumny koń rycerza, gdy z spuszczoną głową, zwłoki poległego bohatera, a pana swojego, na ostatni odprowadza spoczynek.

Wzruszający przykład przywiązania konia do człowieka, podziwiano przed niewielu laty w Zjednoczonych Stanach Ameryki Pan S. na granicy krajów Missisipi i Luizyany, odwiedzając znanego sobie dobrze osadnika, wybrał się pewnego razu z swoim przyjacielem do pobliskiego miasta Franklinton. W drodze niedaleko ciemnej gęstwiny, nad samym gościńcem położonej, zaczęły się konie niepokoić, chrapać, i dalej postąpić nie chciały. Pan S. zsiadł więc z konia, oddał cugle swemu towarzyszowi przejażdżki, a sam wszedł w zarośle, chcąc dociec przyczyny tak nagłego strwożenia się koni.

Wkrótce spostrzegł świeży prawie ślad wleczonego jakiegoś przedmiotu, a idąc dalej, znalazł niebawnie czego poszukiwał. Tuż przed nim leżały zwłoki bardzo porządnie ubranego i przystojnego mężczyzny, któren widocznie był zamordowany: kula przeszyła mu głowę, gardło miał poderznięte, a od ran szerokim nożem w piersi i bok zadanych, kamizelka i cienka koszula, obficie krwią były zbroczone. Obok zabitego leżały dwie skórzane torby wypróżnione, a rzeczy w nich będące, porozrzucane były po ziemi. Okrzyk przerażenia pana S. zwabił na to miejsce i jego przyjaciela, który natychmiast w zamordowanym poznał pana Hendrichs, zacnego adwokata z pobliskiego miasta.

W czasie zajęcia się bliższem rozpoznaniem zwłok zamordowanego, usłyszeli obaj podróżni w niejakiej odległości chrapanie i tupanie, osadnik więc idąc za głosem, wkrótce powrócił z bardzo pięknym koniem, znanym w całej okolicy, jako własność pana Hendrichs. Piękny ten zwierz, w największem zostawał wzburzeniu; drżał na wszystkich członkach, i ze zgrozy zobaczywszy zwłoki swojego pana, rzucił się na ziemię. Z wyciągniętemi przedniemi nogami, szyją i głową wzniesioną, i nieledwie z wyprostowaną do góry grzywą, wlepił gorejące z przerażenia oczy w umarłego, a po niejakiej chwili przyczołgał się do niego, obwąchał go, i jak pies lizał lodowate ręce pana swego.

To morderstwo przeraziło wszystkich w okolicy; okazało się bowiem, że adwokat znaczną kwotę pieniędzy, otrzymaną

w Franklinton w banku umieścić postanowił. Nie było zaś w tej chwili ani pieniędzy, ani złotego zegarka; oczywistą więc było rzeczą, że Hendrichs przez jakiegoś rozbójnika napadnięty, był zamordowany. Uwiezienie kilku podejrzanych ludzi, nie wykryło zabójcy.

Już kilka tygodni od tego czasu minęło, kiedy pan S. który pierwszy odkrył zwłoki zabitego, na jego koniu, tymczasowo u przyjaznego mu osadnika przechowywanym, pospieszał do Franklinton na posiedzenie sądowe, odbywającc się wśród licznie zgromadzonego ludu. Dobrze znany koń pana Hendrichs zwrócił oczywiście uwagę wszystkich na siebie, i każden z obecnych pragnął go widzieć. Wtem nasz rumak tak gwałtownie na bok skoczył, że o mało swojego jezdzcy z siebie nie zrzucił, i chrapał głośno, jak to zwykle czynią wylękłe konie.

To szczególniejsze zachowanie się zwierzęcia, zwróciło wkrótce podejrzenie wszystkich na człowieka tam przybyłego, a zdjętego ciekawością, co się tu dzieje. Był to traktyernik Bill Newins. Szczególniejszy wyraz twarzy tego człowieka i śmiertelna bladość, jaka pokryła jego policzki w chwili gdy zobaczył znanego mu zapewne konia, nie uszły uwagi pana S., a kiedy ktoś z obecnych powodowany zachowaniem się wiernego zwierzęcia, jawnie miał w podejrzeniu owego traktyernika, wtedy ten wylękniony zawołał: kto mię śmie posądzać o zabójstwo pana Hendrichs'a? to wszystko kłamstwo. — Całe jego wszakże zachowanie się, tak widocznie jego winę zdradzało, że go niezwłocznie uwięziono. Trudno jednakże było dowieść mu zarzucanej zbrodni, a nadto niepodobieństwem prawie wiedzieć, w którym z dwóch stykających się z sobą krajów morderstwo było dokonane; bo ślad na piasku zdawał się okazywać przydłuższe wleczenie drogą zabitego do pobliskiego zarośla. Znaleziono wprawdzie zwłoki na gruncie w Misissipi, ale i w Luizyanie morderstwo mogło być popełnione, jako o kilka kroków od granicy odległej.

Już Bill Newins w dniu naznaczonym miał stanąć przed sądem, a żadnego jeszcze przeciw niemu nie było dowodu,

prócz zgrozy konia na widok obwinionego. Na kilka dni przed posiedzeniem sądowem, wybrał się pan S. jeszcze raz w towarzystwie kilku osób do Franklinton. Za zbliżeniem się do miejsca popełnionej zbrodni, koń znowu jak wprzódy tę samą okazywał niespokojność. Już jadący minęli to złowrogie miejsce, gdy gniady nagle bez względu na wstrzymywanie go cuglami, poskoczył do zarośli, a przedzierając się przez krzaki i gałęzie drzew, torował sobie drogę do wielkiego pnia, przy którym stanął i w gwałtownem uniesieniu, silnie nogami o ziemię uderzał.

Wszyscy towarzysze pana S. ufając roztropności konia, wzięli się do ścisłych poszukiwań na tém miejscu w przekonaniu, że tu istotnie adwokat był zamordowany. I tak okazało się rzeczywiście. Znaleziony w pobliżu nóż szeroki myśliwski, okazał się własnością Newins'a, a przy pniu zbroczone krwią włosy widocznie były z głowy Hendrichs'a. Dowody te były dostateczne. Obwiniony przyznał się wreszcie do zbrodni. Dowiedziawszy się, że adwokat znaczne miał przy sobie pieniądze, czatował na niego, a zwabiwszy go pod jakimś pozorem w gęstwinę, zamordował haniebnie.

Nie mało mamy przykładów podobnej roztropności przez psów okazanej, ale morderstwo przez konia wykryte, rzadkiem jest zdarzeniem. *Cz. z Brz.*

Z nauki zdrowia.

Trucizny.

Najpospolitsze między ludem przypadki otrucia są:

Najprzód: Śniedź naczyń kuchennych, miedzianych lub mosiężnych, niepobielanych lub nieochędożonych.

Powtóre: Arszenik lub ziemia angielska na szczury przygotowane, a przez omyłkę pożyte, lub przez złego człowieka zadane.

Potrzecie: Fałszywy pasternak.

Poczwarte: Trujące grzyby przez nieznajomość pożyte.

Najpospoliciej trafiające się przypadki otrucia pochodzą z niewiadomości, lub nieuwagi na naczynie kuchenne: rądle, garnki, kociołki miedziane, które gdy są niepobielane i nieochędożone, śniedzieją, stają się zielone, śniedź ta jest mocno gryzącą i zabijającą trucizną. Toż samo niebezpieczeństwo jest z naczyniami mosiężnemi i srebrnemi. W tych wszystkich, gdy się trzyma pokarmy tłuste, kwaśne i kwaskowate jarzyny, mianowicie kapusty, jako i wszelkie tłustości itp. dobywa się śniedź czyli grynszpan, miesza się z temi pokarmami i truje jedzących. Wielką więc baczność mieć należy na czystość tych naczyń, na ich pobielanie i na to, aby w nich pokarmy długo nie stały i nie kisły, co wiele osób życiem opłaciło.

Skutki i znaki otrucia śniedzią są następujące: Wkrótce po zażyciu następują nudności, wymioty, później ból gardła, smak w ustach kwaśny i kruszcowy, w brzuchu bole wielkie i ściskania, w rękach i w nogach drganie, ból i łamanie, szum w uszach, ból głowy, w końcu mdłość, zimne poty, konwulsye różnego rodzaju, a gdy tych uśmierzyć nie można, następuje śmierć najboleśniejsza.

Czy potrawa była zmieszana z śniedzią, najprostszy jest sposób dochodzenia: włożyć w ostatki tej potrawy nóż czysto wychędożony i zostawić go tam przez kilka godzin, jeżeli po wyciągnięciu wygląda jak miedziany, to można być pewnym, że w potrawie podejrzanej znajduje się dosyć śniedzi.

Sposoby leczenia tak w przypadku śniedzi jak i innych trucizn, których skutki są gryzące, a przyczyny dobrze niewiadome są: Jeżeli (co się często trafia) zaraz po otruciu wymioty nastąpiły same przez się, należy tylko im pomagać pijąc ciepłą wodę z trochą masła nie słonego, lub ciepłe mleko. Lecz jeżeli nie następują wymioty lub bardzo słabe, potrzeba je wzbudzić, albo łechtaniem gardła, albo (w braku apteki i proszku hipekakuany) pijąc co pół kwadransa po pół kwaterki wody ciepłej; w której kwarcie rozpuszczone było ćwierć funta mydła zwyczajnego. — Gdzie zaś wnosić można, że trucizna przeszła do wnętrzności, i że więcej jak od czterech godzin zostaje w żołądku, nienależy już wzbudzać wymiotów,

lecz tylko dawać pić dosyć napojów kleistych, jako to: mleka ciepłego, oliwy dobrej co pół kwadransa po pół łyżki stołowej, kleiki z kaszy owsianej lub perłowej z masłem niesolonem, żółtka z jaj surowych rozbite w wodzie lub kleik z krochmalu. Choćby chory wyrzucał to z początku przez wymioty, to powtórnie tego pić dosyć powinnien, póki nieustaną bole i ściskania. Po uspokojeniu tym sposobem boleści, i oddaleniu najniebezpieczniejszych skutków otrucia, zniszczyć potrzeba i te cząstki trucizny, które mogły przejść w kiszki; dla tego w parę godzin po wymiotach należy zażywać lekarstwo tłuste i mogące razem wzruszyć stolec, jako to: manny kalabryny z olejkiem z migdałów słodkich, lub olejku z rącznika, jeżeli jest apteka (oleum Ricini) dawać enemy z wody ciepłej, w której dwa łóty mydła rozpuszczono; zwłaszcza gdy brzuch jest nadęty, a stolec zaparty. Okładać przytem brzuch i żołądek kataplazmami z rumianku i kwiatu bzowego, z siemienia lnianego, kaszy tłusto ugotowanej, lub z innych ziół rozwalniających; okładać także brzuch chustkami maczanemi w oliwie grzanej.

Jeżeli po otruciu nastąpiła gwałtowna biegunka, wtedy należy dawać enemy co godzina z mleka lub kleiku z kaszy owsianej, lub z siemienia lnianego, lub z krochmalu, do których enem (jeżeli jest apteka) dobrze jest dodać po 5 do 15 kropel essencyi opium.

Jeżeli następuje krztuszenie się, gwałtowne wymioty, lub rznięcie żołądka, wtedy potrzeba pić dosyć napojów kleistych, tłustych, jak wyżej, i okładać żołądek kataplazmami ciepłemi jak wyżej z rumianku i mięty i dawać enemy kleiste.

Te starania muszą być powtarzane, dopóki się nie uśmierzą bole i inne cierpienia niebezpieczne. Gdy nawet ustaną zupełnie, wypada przecież, aby chory przez dni kilka nie używał innych pokarmów i napojów, jak kleistych, kleiki na rosole, mleko, ryż, świeże jaja itp.

W ogólności ten sam jest sposób leczenia powszechny na trucizny gryzące. Lecz że arszenik jest najjadowitszą trucizną i skutkuje bardzo prędko, należy więc jak najdzielniejszych użyć sposobów do rychłego wyprowadzenia z wnętrzności.

A do tego służy wzbudzenie wymiot jak najspieszniej, dając pić mydło białe zwyczajne, rozpuszczone w wodzie. Funt jeden mydła starty miałko nalewa się półgarncem wody wrzącej, zagotowawszy parę razy, daje się pić ciepłe po kwaterce co pięć minut Tę wodę trzymać należy w cieple, aby mydło skrzepło. Skoro kilka razy potem nastąpią wymioty, nie przestaje się pić wody z mydłem; lecz tylko co kwandrans, dolewając pół filiżanki wody ciepłej do pół filiżanki wody z mydłem, dodając łyżkę oliwy. Pije się to póki nie nastąpi biegunka, która jest w stanie wyprowadzić wszystkie części arszeniku. Dalsze postępowanie jak wyżej, wreszcie należy wezwać lekarza.

Trafiają się jeszcze na wsiach otrucia przez rośliny jadowite i trujące, użyte zamiast pokarmu lub w pokarm zamieszane. Rośliny trujące liściem, kwiatem, owocem lub korzeniem, jedne należą do trucizn gryzących, inne do trucizn odurzających. Znajomsze z roślin gryzących są: Naparznica, wszystkie gatunki jaskieru, ciemierzyca czarna, wilcze łyko, zawilec, czarne ziele, przestęp, rdest pieprzny, gnidosz, gdula, świni chleb. Sposób leczenia ten sam użyty być może, co i przy truciznach gryzących, jak wyżej powiedziano, tj. z początku zaraz wymioty, potem rzeczy otwierające, enemy, picie wielu kleistych i tłustych płynów itp.

Odurzające rośliny ze znajomszych u nas i pospolitszych, a zatem niebezpieczniejszych są: lulek czyli szalej, cis, pokrzyk inaczej wilcze jagody, a szczególniej świnia wesz, której korzenie są podobne do pasternaku, i dla tego przez omyłkę czasem wraz z pasternakiem, lub za pasternak pożyte bywają. Należy także ostrożnie zbierać zwłaszcza zieleniny, aby się liście tych roślin nie zamieszały.

Rośliny odurzające poznają się po ich postaciach, które są pospolicie nieprzyjemne, smutne, ciemną zieloność mające i zapach nie tęgi, lecz nieprzyjemny lub przykry lub odurzający. Gdy takowe ziele zostaje w izbie, gdzie powietrze niema wolnego wchodu, sprawić może na osobach słabszych skutki trujące, ból głowy, zawrót, ociężałość, skłonność do spania, nakoniec utratę wszystkich zmysłów.

S k u t k i z p o ł k n i ę c i a r o ś l i n o d u r z a j ą c y c h są: Po zjedzeniu takiej rośliny, wnet następuje niespokojność, iskry przed oczami, odurzenie, zawrót głowy, smutek lub zbytnia i niezwykła wesołość, potem nieczułość, ospałość, zrenica rozprzestrzenia się zbytecznie, szczęki się ścieśniają gwałtownie, puls mały, prędki, ścieśniony, oddech ciężki i słaby, uryna i stolec odchodzą bez wiedzy. Później następuje ciemność na oczy, głuchota, spazmy, konwulsye, paraliże, apoplexye, szaleństwo, nabrzmienie brzucha, który często okryty jest plamami sinemi a nakoniec śmierć. Gdy kto po zjedzeniu jakowej zieleniny doznaje pomienionych skutków, prawie pewnym być można, że nastąpiło otrucie.

S p o s o b y r a t o w a n i a. Nim się zawezwie lekarza i nim przybędzie, należy wynieść chorego na świeże powietrze, dać spiesznie na wymioty, okładać głowę chustkami maczanemi w occie, umywać całe ciało octem. Po wymiotach dać enemy z wody i octu, pić dosyć napojów kwaśnych, jak np. maślanki, serwatki, sosu z ogórków kwaszonych, octu z wodą, kleiki różne, do których dodać kremotartary. Szczególniej starać się trzeba aby chory nie spał i przeszkadzać temu to wąchaniem octu tęgiego, to wypiciem kawy tęgiej, czarnej i przechodzeniem się na wolnem powietrzu. Jeżeli skutki trucizny odurzającej doszły do najwyższego stopnia, wtedy potrzeba jak najprędzej wynieść chorego na świeże powietrze, oblewać go zimną wodą, przyłożyć wezykatorye na piersi, kark, nogi, rozcierać całe ciało, szczególniej brzuch, krzyże, ręce i nogi szczotkami lub chustkami skrapianemi octem. Jeżeli chory trochę oddycha, wpuszczać w usta parę kropli octu gotowanego. Jeżeli może połykać dać mu kawy czarnej tęgo gotowanej. Po uratowaniu przez dni kilka, należy jeść mało, a najwięcej potrawy kwaśne lub kwaskowate i pić takież napoje.

O t r u c i a g r z y b a m i zdarzają się, gdy z nieznajomości przymiesza się jadowite do tych, które się używają. Grzyby są trudne do strawienia, należy więc wstrzymywać się od jedzenia ich w zbyt wielkiej ilości; gdyż kiedy te leżą w żołądku niestrawione, nabywają trujących własności. Lecz są rodzaje grzybów

jadowitych, których aby przez niewiadomość nie użyć, należy tylko dobrze znane wybierać. W wątpliwym wypadku lepiej wyrzucić grzyby nieznane, niż się otruć. Chcąc poznać dobre i złe grzyby, radzić się potrzeba ludzi starych którym w każdem miejscu zwykle tak zdrowe jak szkodliwe dobrze są znane i tego poznawania dobrych i złych grzybów należy się dzieciom uczyć; gdyż z opisania trudno je poznać i w każdem miejscu inne mają nazwiska Grzyby trujące nie mają żadnego ogólnego znaku, po którymby je poznać można; są rozmaitej postaci lecz w ogólności są powierzchownie nieprzyjemne, brzydkie; niektóre są mdłe, śmierdzące i prędko psują się, po większej części są wewnątrz wydrążone. Kolor ich bywa siny lub ciemno zielony, lub pstry, albo mieniący się jak pawi ogon. Są lipkowate, łykowate, w gotowaniu twardnieją, a gdy się smażą cybula wrzucona czarną się staje, smak miewają ostry.

Skutki z grzybów jadowitych są: Po zjedzeniu doznaje człowiek nudności i obrzydzenia, palenia w gardle, bolu i rznięcia w żołądku, czkawki, wymiotów, zawrotu głowy, zaćmienia oczu, nabrzmienia brzucha, zaparcia stolca, lub gwałtownej biegunki krwawej. Później następuje mdłość, ospałość, szaleństwo, drganie, spazmy, utrata zmysłów, a gdy zaniedbany jest wczesny ratunek, następują konwulsye, paraliż i śmierć.

Sposób ratowania otrutych grzybami. Gdy kto doznaje wyżej wspomnionych skutków po zjedzeniu grzybów, powinien jak najspieszniej wziąść na wymioty witryolu białego lub hipekakuany, jeżeli jest apteka. W braku lekarza, wzbudzać można wymioty lub łechtaniem gardła piórkiem w oleju maczanem, lub palcem Pić prócz tego obficie wodę letnią miodem osłodzoną, mydliny lub mleko, odwar z siemienia lnianego, okładać brzuch flanelą ogrzaną, dawać co godzinę enemę z wody letniej, dolawszy czwatą część octu. Po wymiotach pić wodę letnią z miodem i octem, lub maślankę i inne napoje kwaśne i kleiste.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

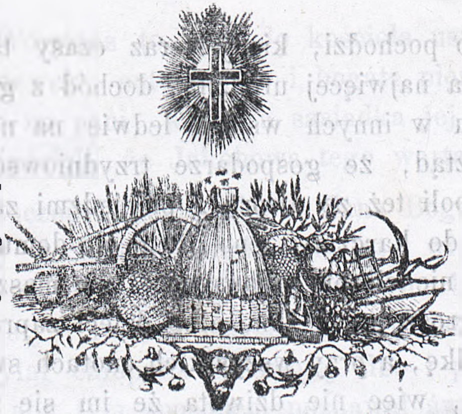
Jeżeliś zdrów, dziękuj niebu i nikomu zadnych nie zazdrość skarbów; masz bowiem największe z dóbr doczesnych.

Ostroróg wojewoda poznański zwykł mawiać: nie grzesz, a nie żałuj; nie łaj, a nie przepraszaj; nie daj, a nie wydzieraj.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 10.

1. Kwietnia 1869.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szymon z Zawiśla.

I.

Niedaleko Sandomierza, tuż nad samą Wisłą, leży wieś Trzydniów, sławna na całą okolicę, bo tam i grunta urodzajne jak rzadko gdzie, i pastwiska piękne, i las jest, i wody podostatkiem, a lud poczciwy, uczynny, gościnny, pobożny i ochoczy do pracy.

W środku wsi, na pagórku, stoi piękny murowany kościoł z pozłocistym krzyżem na wyniosłej wieży, a nieco opodal dwór pański, zbudowany z drzewa tak jak chaty włościańskie, jeno obszerniejszy, i co prawda to prawda, ochędożniej utrzymany.

Jest w tej wiosce kilkunastu kmieci, którzy mieszkają w wygodnych i zdrowych chatach, z obszernemi izbami, odziewają się chędogo a przytem wcale nie ubogo, kiedy się zaś zdarzy jakowaś potrzeba, co wszystkich obchodzi, na przykład naprawki w kościele lub w szkole, albo i na plebanii, lub też ksiądz proboszcz zapowie składkę na jakich pogorzelców, albo innych biedaków, to każdy ma czem brząknąć.

I zkądże to pochodzi, kiedy teraz czasy tak są ciężkie, że choćby ziemia najwięcej urodziła, dochód z gospodarki wystarcza każdemu w innych wsiach ledwie na najpierwsze potrzeby? Oto ztąd, że gospodarze trzydniowscy powracając z jarmarku, alboli też ze dworu z pieniędzmi za kwitki robocze, nie ciągną do karczmy, jeno prosto do domu, a choć lubią tańce i muzykę, nie cierpią pijaństwa, i nie masz między niemi takiego, coby grosz przez żonę albo dzieci zapracowany, niósł do żyda na wódkę, a przy wszystkich cnotach swoich są także dość przemyślni, więc nie dziwota że im się za łaską Bożą dobrze powodzi. Są oni tak szczęśliwi, jak rzadko kto na tym świecie; poznasz to na pierwszy rzut oka, ledwie wejdziesz w granice Trzydniowa, bo to cała wieś niby z pudełeczka.

Cała? oj! nie cała. Już to tak Pan Bóg dał, że we wszystkiem na świecie musi być wyjątek.

Jest w Trzydniowie chata nad samą Wisłą, która dawniej równie jak inne wyglądała chędogo i nieubogo, ale od jakiegoś czasu zmizerniała bardzo. — Ściany okopcone i odarte, okna potłuczone i szmatami pozatykane, dach świeci dziurami, podwórko i ścieszki chwastem zarosłe, jakby tu nikt nie chodził, w sadzie gąsienice objadły liście z drzew iż w połowie lata przypominają jesień. Cała ta zagroda wygląda jak pustkowie od mieszkańców opuszczone, a przecież ludzie tu mieszkają i poczciwi jacyś, bo na środku podwórka, na wysokiej lipie siedzi na gnieździe para bocianów, a wiadomo każdemu, że te ptaki nie gnieżdżą się byle gdzie, i złych ludzi unikają.

Oj! mieszkają tu ludzie i zaprawdę poczciwi, ale z niemi pospołu mieszka ciężki smutek i żałość wielka, dla tego nie masz ładu w chacie, nie masz porządku koło chaty.

Inaczej tu dawniej bywało. Jakób, któremu się przed laty ta chata z całą bogatą kmiecą zagrodą po ojcach dostała, był pracowity i oględny, przez całe życie gospodarzył pilnie i uczciwie; Jakóbowa była także dobrą gospodynią, dbała o wszystko, krzątała się od świtu do nocy, nie zmarnowała nigdy jednej chwili, póki nie nadeszła niedziela, a z nią

odpoczynek. Wówczas to szła do kościoła ustrojona w świąteczny przyodziewek, sute korale i bogate pierścienie świeciły się na niej jak na pani, a żadna sąsiadka jej nie zazdrościła, bo wszyscy wiedzieli, że Jakóbowa tego warta.

Mieli ci poczciwi ludzie z łaski Pana Boga syna imieniem Szymka, który dochodził dwudziestu lat, więc było się już kim wyręczyć. Kiedy ojciec jechał na jarmark do miasteczka, on pilnował chaty i roli, a często też gdy Jakób wolał zostać w domu, wysyłał chłopaka w swojej albo i pańskiej sprawie, jak wypadło, aby tym sposobem poznawał świat i ludzi i nabierał doświadczenia.

Był to chłopiec robotny i nie głupi, jak to mówią, i do Boga i do ludzi, bo to i serce złote, i jak na zawołanie piosneczka na ustach, i do tańca skory; więc i dziewki i wdowy poglądały za nim i ledwie nie ciągnęły; a on możeby tam i nie był od tego, ale ojciec i matka mieli ciągle na niego oczy zwrócone i strzegli jedynaka od pokusy, a gdy niektóre kumoszki mawiały Jakóbowi, że chłopaka zanadto krótko trzyma, że mu trzeba swobody, Jakób porównywał życie młodziana do bystrego potoku, co ślicznie huczy lecz rzadko bez szkody, więc póki się da, strzedz go od niej trzeba.

Mieli też Jakóbowie córkę przybraną Marynkę, sierotę bez ojca i matki, pięcioma laty młodszą od Szymka, którą jeszcze w kolebce, podczas wylewu Wisły wyratowali, i odtąd wychowywali jak własne dziecko, przeznaczając jej część swego dobytku. Było to dobre i urodne dziewczątko, ale Jakóbowie, choć ją nie mniej jak Szymka kochali, nie spodziewali się z niej takiej pociechy jak z własnego syna, zwłaszcza wiedząc że Marynka skoro dorośnie, porzuci ich dla męża, a w synu widzieli przyszłą swoją podporę na stare lata.

Tymczasem inaczej się stało: chłopak został żołnierzem, i w ciepłych krajach zginął na wojnie daleko od swoich.

Straszny to był cios dla rodziców, i w takim ich smutku, w takiej pogrążył żałości, że zapomnieli o świecie i o sobie. Z początku sąsiedzi ich odwiedzali i pocieszali, sąsiadki brały

Jakóbowę pomiędzy siebie i usiłowały na różne sposoby rozproszyć ciężką jej boleść, ale wnet poznali wszyscy że to na daremno, że serca rodzicielskie są zbyt mocno zranione aby je ludzkie gadanie pocieszyć mogło i że czas tylko może ich ranę uleczyć.

Jakóbowie co mieli pieniędzy złożonych to wszystko oddali na kościół, na msze za jedynaka, lub rozdzielili między ubogich; dla siebie o nic się nie troskali, jakby już jutro umierać mieli. Gospodarstwo szło w niwecz, i jedna tylko Marynka robiła co mogła i starała się aby rodzice nie poumierali z głodu. Pracowała za wszystkich, nie dospała nocy, nie założyła rąk przez cały Boży dzień. Biedne dziewczę pomizerniało, pobladło od ustawicznej pracy, a przecież ani słowem ani spojrzeniem nie okazało rodzicom, że to na nią za ciężko. Poczciwe dziewczę, oby takich więcej było na świecie!

Jakóbowie zaś tymczasem albo w kościele siedzą i modlą się, albo w komorze płaczą, bo im tam każdy sprzęt syna przypomina.

W chacie i koło chaty wszystko się zmieniło, podstarzało i walić już zaczęło, bo któż miał ład i ochędóstwo utrzymać? Przy takiem zaniedbaniu, oczywiście i bieda wciskać się zaczęła drzwiami i oknami Jakób posiwiał, przygarbił się, Jakóbowa tożsamo, zdawało się że już nie ma dla nich ratunku, że już tak zginąć muszą w tej ciężkiej żałości. Ale ksiądz proboszcz trzydniowski, ten prawdziwy ojciec swoich parafian, wyratował ich z tej niedoli. Wypytawszy sąsiadów co się dzieje z Jakóbem i jego żoną, pewnego razu po nieszporach zawołał ich do siebie, i gdy mu się szczerze wśród płaczu wyspowiadali, przemówił do nich mądrze, wlał im do serc prawdziwą pociechę chrześciańską, zgromił za grzeszne sprzeciwianie się woli Boskiej i upomniał, aby już raz dali pokój żałości i wzięli się po dawnemu do pracy. Nie skończyło się na tem, bo ksiądz proboszcz powiedziawszy co miał powiedzieć, poszedł do drugiej izby, i wyniósł z niej żelazny krzyżyk z Panem Jezusem, a dawszy go obojgu pocałować, zaklął ich, aby nie czekając dłużej, zaraz od tej chwili zaczęli poprawę, co też święcie

przyrzekli; a jako im Pan Bóg w tem pięknem przedsięwzięciu dopomógł, i co się dalej z Jego świętej woli stało, posłuchajcie.

Spisałem to wszystko dla waszego mili czytelnicy pożytku i rozrywki, i cieszyć się będę jeżli z mojej pracy jedno i drugie odniesiecie.

II.

Już się miało ku wieczorowi, gdy Jakóbowie z plebanii powrócili do chaty. Marynka skoro tylko spojrzała na rodziców, wnet dostrzegła odmianę, bo ojciec i matka innem już okiem na nią i na wszystko patrzeli.

Łza jej się zakręciła, czemprędzej więc odeszła do komina, i zaczęła niby poprawiać ogień, a tymczasem oczy fartuchem obtarła.

Stary Jakób siadł na ławie za stołem, wsparł na ręku siwą głowę i zaczął rozważać słowa księdza proboszcza. Jakóbowa siadła też na skrzynce pod piecem i założyła ręce, a po chwili podniósłszy oczy, popatrzyła na córkę, i teraz dopiero, biedne kobiecisko poraz pierwszy od półtora roku o Marynce myśleć zaczęła. Ścisnęło się serce matczyne gdy wzięła na uwagę, że tak o niej mogła zapomnieć; pobiegła więc ku dziewczynie, objęła ją za szyję, przytuliła do serca i w głos zapłakała. Marynka też z rzewnemi łzami do nóg matce upadła. Widząc to Jakób, bierze córkę w objęcia, a i jemu łzy z oczu płyną, i tak wszyscy troje, w serdecznem uściśnieniu, długo się od siebie oderwać, i z płaczu utulić nie mogli.

Łzy obficie wylane ulżyły nareszcie rozżalonym sercom, i zaczęła się spokojna rozmowa.

Gadali starzy o gospodarstwie, radzili co nadal przedsięwziąść, jak się ratować, do czego najpierwej rękę przyłożyć. Kilka razy jeszcze Jakób zwiesił głowę na piersi pomyślawszy znowu, jak to teraz pójdzie ciężko bez pomocnika, niby bez prawej ręki, i Jakóbowej łzy z oczu jak grad leciały na wspomnienie syna, ale i on się upamiętał prędko, i ona tak nie zawodziła jak dawniej.

Tymczasem Marynka uwarzyła wieczérzę, zastawiła stół, zasiedli wszyscy troje i przeżegnawszy się, dar Boży pożywać zaczęli.

Wtem, gdy na chwilę ucichła rozmowa, pies zaszczekał na podwórku, i czyjeś kroki słyszeć się dały bardzo blisko. Po krótkiej chwilce szczekanie ustało, jakby bryś poznał znajomego, lub jakby zwąchał, co się psom często zdarza, że przychodzień jest dobrym człowiekiem i przybywa w uczciwym zamiarze. Marynka wstała aby obaczyć kto idzie, wtem skrzypła zapora, drzwi się otwàrły i wszedł parobek jakiś ale nie trzydniowski, a pochwaliwszy Pana Boga

— Witajcie! rzekł z progu.

— Witajcie! odpowie mu Jakób, i patrzy przychodniowi w oczy, ale nie poznaje ani sobie przypomina aby go kiedy widział.

Parobek był cały zmoczony jakby dopiero wyszedł z wody.

— Zkąd to Pan Bóg prowadzi? zagada Jakób do przychodnia który stał w miejscu milcząc, jakby języka w gębie zapomniał lub nie wiedział od czego zacząć.

Obcy postąpił nieśmiało kilka kroków, skłonił się do nóg Jakóbowi i Jakóbowej, i rzekł:

— Nie zdaleka idę gospodarzu, bo moją wieś widać z waszego podwórka, ale ciężką miałem drogę, patrzcie! — wskazał na przyodziewę — i to szczęście żem żywy, bo z Wisłą nie żartować.

— To wy z Zawiśla? odezwie się Jakóbowa.

— Widać że z Zawiśla, rzecze Jakób; ale co was tu za bieda przygnała?

— Nie mam tam już co robić, odpowie obcy; opiekun kretarskim sposobem wydarł mi ojcowiznę i coś więcej jeszcze... a jego urąganie dopiekło mi do żywego.

— I tak, zagadnie Marynka, przyszliście do naszej wsi za służbą, albo zarobkiem?

— Tego mi tylko trzeba, a choć wiem że i tu gorzka mię dola czeka, jak zwyczajnie między obcemi, wolałbym zostać na tej stronie, bo czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Marynka przysunęła mu ławkę aby usiadł, i rzekła:

— Dajcie te chusty co dźwigacie na plecach, trzeba przesuszyć.

— Bóg wie, kto będzie suszył moje chusty, odpowiedział jej parobek; nie wiem czy mię tu przyjmą w gościnę, a i prosić nie śmiem.

I skłonił się znowu Jakóbowi i Jakóbowej.

Gospodarz pomyślał przez chwilę i rzekł poważnie:

— Gościa do chaty Pan Jezus prowadzi, a kto gościa wypchnie, Jezusa wypycha. Nie chciałbym ja Jezusa odepchnąć od siebie, owszem radbym go przygarnąć, więc was chętnie przyjmuję w gościnę i to nietylko na nocleg, ale i na dłużej, póki sobie nie znajdziecie służby.

Matka i córka litowały się nad przychodniem, a mowa Jakóba bardzo je ucieszyła.

— Tu w izbie, rzecze Jakóbowa, przespać się możecie, bo my sypiamy w komorze, a Marynki głowa w tem, abyście nie narzekali że zła była gościna. O służbę nie będzie wam trudno, bo tu gospodarze mają się dobrze i chętnie biedakowi dają zarobek.

— I wam zdałbym się do roboty, rzecze parobek ośmielony tą mową, bo jak widzę w latach już jesteście, a skoro byście wy mnie przyjęli, na co mi gdzieindziej szukać służby i poniewierać się między ludźmi.

— Prawda, prawda, powie Jakób, zdałby mi się pomocnik; miałem ja syna, niemal w tych samych latach co wy....

— Ale jego kości wiatr już rozniósł po świecie, odezwie się matka; był biedak żołnierzem, poszedł na wojnę, tam go kula w piersi ugodziła i skończyło się wszystko.

Zasmucili się wszyscy tem przypomnieniem i przez chwilę żadne ust otworzyć nie mogło; obcy z politowaniem patrzył na nich, i jemu smutno się zrobiło, bo może sobie wspomniał o swojej rodzinie, a wreszcie kto wie co on tam miał na myśli.

Jakób wstał z ławki, ręce w tył założył i przechadzał się po izbie. Parobek przysunął się do komina na którym buchał ogień z smolnego łuczywa i twarz jego oświecił. Matka z córką

lepiej mu się teraz mogły przypatrzeć. Był to walny chłopak, rosły jak dąb, a prosty jak trzcina, miał siłę w ręku i poczciwość w oku, ale widać też było z jego twarzy że już nie mało w życiu swojem wycierpiał.

— A jak wam na imię? zapyta Jakób.

— Szymon.

— Szymon? powtórzyły matka i córka, jednocześnie zwracając głowy ku niemu.

Parobek spojrzał na nie jakby chciał pytać dla czego je to dziwi że on się Szymonem zowie.

— I jemu tak samo było na imię; westchnłą gospodarz. Jakóbowa zalała się łzami. Jakób przeszedłszy się parę razy po izbie stanął przed obcym, wyciągnął rękę ku niemu i rzekł:

— Ha! dziej się wola Boża! Pan Jezus nam daje Szymona za Szymka, a co Bóg daje, tem gardzić nie wolno. I wstrząsając jego ręką dodał: Jeżeli doprawdy chcesz, jeżli ci się tu podoba, to zostań z nami Szymonie; zostań dokąd chcesz, choćby i rok cały. My ci krzywdy nie zrobimy, a jeżli nam szczerze i uczciwie pomagać będziesz, Bóg ci to osobno wynagrodzi.

Wskazał za stołem próżne miejsce.

— Siądź i jedz z nami co Bóg dał.

Obcy podziękował gospodarzowi i gospodyni, oddał Marynce brzemiączko z chustami które miał na plecach i wziął się z całą rodziną do wieczerzy.

Skoro zjedli, wyszli wszyscy na podwórko i Jakób z nowym parobkiem zasiedli na kłodzie pod lipą, a Jakóbowa z Marynką stanęły przy nich na boku.

Wieczór był prześliczny, niebo się cudnie wygwieździło, księżyc odbijał się w Wiśle jak w źwierciedle. Do późna w noc przeciągła się gawęda.

Jakób z rozmowy z przybyszem poznał że będzie miał z niego pomoc prawdziwą, bo to człowiek jak na swoje lata dość rozumny i doświadczony. Przychodzień też dziękował myślą Panu Bogu i swemu aniołowi stróżowi że go przywiedli do tej poczciwej chaty, a widząc jaką ciężką żałość Jakóbowie noszą w sercach swoich po jedynaku, ułożył sobie zastąpić go

według możności, aby tym sposobem choć w części odwdzięczyć się za gościnne przyjęcie.

Marynka widząc że ojcowie rozmawiają, radzą, kłady robią i na prawdę zabierają się do gospodarki, słowem że po tej strasznej żałobie, co się nieledwie śmierci równała zaczynają do siebie przychodzić, nie posiadała się z radości, tak ją ta zmiana cieszyła. O! bo czyżto nie uciecha? popatrzy na ojca lub matkę, i oni na nią czule popatrzą, zagada do nich, odpowiadają jej życzliwem słowem nie tak jak pierwej gdy tylko śmierć Szymka mieli na myśli i w ciężkim smutku o sobie i o niej zapominali. (C. d. n.)

Alleluja.

Spi Jeruzalem — sen ciężki i głuchy
Zawisł nad miastem, jak całun żałoby;
I serca spiących były jako groby,
W których jęczące pokutują duchy.
Spi Jeruzalem — ale nad Golgotą
Błysnął z wysoka drżący promień świtu;
Pierzchają cienie, ciche tło błękitu
Zorzy się łuną rozpłomienia złotą.
I coraz jaśniej! ach! coraz weselej
Z niebios na ziemię zdrój światła się leje,
Aż na grobowiec spłynął anioł w bieli,
Dnieje....
Dnieje, w ognistej korony purpurze
Dzień się podnosi jak zwycięzca świata:
Drzy w krwawej łunie Getzemani wzgórze
I mgła opadła w wąwóz Józefata.
A gdy nad falą jęczącą Cedronu
Z mrokiem się nocy złote łamie słońce,
Wiatr niby westchnął od strony Syonu,
I trzy się cienie wysunęły drżące.
Trzy drżące cienie, galilejskie córy,
Trzy bolejące sieroty w żałobie,
Przez łomy głazów, przez tumanów chmury
Spieszą się uczcić leżącego w grobie

Dwie z nich w wstydliwej żałości swej dumie
Spłakane lica ukryły w zasłonie,
I idą zwolna w bolesnej zadumie,
I w drogich puszkach drogie niosą wonie.
Trzecia na przodzie nic nie wzięła z sobą,
Wiatrom płonące oddała oblicze,
Starganej kosy okryta żałobą,
Zamiast balsamów łzy ma pokutnicze.
J kiedy tamte stroskane niebogi,
Pytają smutne: któż nam głaz odwali?
Ona o skały białe krwawiąc nogi,
Miga się blada w złotych blasków fali.
I już dobiegła, wyciąga ramiona,
Święta miłością i boleścią drząca;
Nagle jęk głuchy wyrwał się z jej łona,
I na mogile upadła płacząca.
— Niema Go! niema... o grobie kamienny
Gdzieżeś ty, woła, podział Pana mego? —
W tem ku niej anioł podniósł się promienny:
— Czemuż, rzekł, w grobie szukasz żyjącego?
Żywy wstał zmartwych, jako powiedziano
Na wysokościach chwały swojej buja;
Stało się ludziom dnia wielkiego rano,
Alleluja!

Chrześcianinie! Bóg twój co za ciebie
Umarł na krzyżu i złożon był w grobie,
Już z martwych powstał po ziemskim pogrzebie!
I tam Go szukać nie godzi się tobie.
Tak, próżno w serca pobożnej tęsknocie,
W ziemię byś patrzył łzawemi oczyma,
Jak Magdalena na krwawej Golgocie;
Anioł stróż Boży rzeknie: tam Go niema!
On w wieńcu cierni, w krwi swojej purpurze
Mogiłę w głazie wykutą porzucił,
I stał się duchem na niebios lazurze,
A duch promieniem światła do nas wrócił.
W górę więc, w górę, oczy wznieść ci trzeba,
Jeżli Go sercem pragniesz przyjąć czystem;
A On językiem światła płomienistym,
Na czoło twoje zstąpi prosto z nieba;

I odtąd w każdej godzinie i dobie
Obecność Jego sercem twem przeczujesz;
Żywy i cały stać będzie przy tobie,
W każdym twym bliźnim Jego umiłujesz.
Jako do Emaus z uczniami smutnemi,
Pójdzie On z tobą gościńcem żywota,
A kiedy głowę pochylisz ku ziemi,
A piersi sroższa podniesie tęsknota,
On cię upomni o serce leniwe!
Czyliż cierpienia nie było potrzeba,
Ażeby Chrystus, słowo prawdy żywe,
Jako zwycięzca wszedł do chwały nieba?
A jeżeli zwątpisz w ciężkiej życia toni,
Jeźli się sercem zachwiejesz niewiernie,
Jak Tomaszowi, bok ci swój odsłoni,
I wszystkie rany zadane przez ciernie.
A kiedy skruchą oko się załzawi,
On za twym stołem biesiadnik usiędzie,
Chleb twój powszedni łamać z tobą będzie,
I pracy twojej znój pobłogosławi;
Aż gdy nakoniec w ciemnym ziemi grobie
Złożą cię martwym pod krzyża podnoże,
On z krzyża tego skłoni się ku tobie,
I archanioła pokaże ci w górze. *M. J.*

Marya Leszczyńska, królowa francuska.

Marya Leszczyńska była córką króla, ale króla wygnańca, pozbawionego tronu i blasku, który po kilku latach cierpień i tułactwa, ledwie w końcu, na gościnnej ziemi francuskiej, zaciszne znalazł schronienie. Pobożna, tkliwa, dobroczynna, rozsądna, była aniołem pocieszycielem dla rodziców skołatanych tylu ciosami a wychowana poczciwie, skromnie, po staropolsku, tego tylko jednego pragnęła aby im życie swojem życiem osłodzić.

Ale nie zawsze jest w mocy naszej uczynić to czego serce pragnie, tak było też i z Maryą. Dwaj książęta niemieccy i jeden wielki pan francuski ubiegali się o jej rękę, a król Stanisław, jej ojciec skłaniał się już wydać ją za Francuza.

Marya wiedziała że w zamężciu nie znajdzie tego szczęścia jakiego doznawała w rodzicielskich objęciach, a bardziej jeszcze trapiła ją myśl, że osamotnionym jej rodzicom nikt już nie umili smutnych dni wygnania.

A w tem przybywa niespodziewanie przysłany od króla francuskiego kardynał biskup i prosi o rękę Maryi dla niego samego. Jak wonny fiołek, choć w cieniu ukryty, nie ujdzie uwadze przechodnia, tak cnotliwa Marya, choć na uboczu, w zaciszy wychowana, mimowoli ściągnęła na siebie oczy wielkiego świata. Ojciec i matka za największe dla swego dziecka szczęście związek córki z królem poczytywali, owszem widzieli w nim osobliwszą łaskę bożą. Czy Marya mogła się ociągać? Wszak zostawszy królową, tem więcej będzie miała sposobności i mocy umniejszyć trosk ukochanym swoim, aczkolwiek ojciec dając jej swoje zezwolenie, położył warunek aby się nigdy nie poważyła mięszać do spraw męża, do spraw rządowych, nigdy, choćby nawet szło o jego głowę, bo rządzić nie jest sprawą kobiet. I pod utratą błogosławieństwa nakazał jej dotrzymanie tego warunku.

Wkrótce potem zjechało uroczyste poselstwo, i zwyczajem przyjętym u panujących jeden z książąt krwi zaślubił Maryę w imieniu króla francuskiego Ludwika XV. Otoczona świetnym dworem i przepychem królewskim młoda królowa odjechała niebawem do męża. Po drodze widziała wszędzie kosztowne przygotowania na jej przyjęcie, lecz te nie cieszyły jej wcale i powtarzała smutno: — Ach! czemuż mam przyczyniać wydatku tym, którychbym wspierać powinna...

Ubóstwiana przez męża i przez całą Francyą, Marya czuła się bardzo szczęśliwą, zwłaszcza gdy uprzedzający wszelkie jej życzenia król, dał rodzicom Maryi na mieszkanie wygodny zamek tuż pod samym Paryżem. Szczęście jej pomnożyło się jeszcze bardziej gdy ją Bóg w kilku latach poblogosławił kilkorgiem dziatek.

Wtem dla króla Stanisława Leszczyńskiego, ojca Maryi, zabłysła nadzieja odzyskania tronu w Polsce. Pojechał na niepewne, zaufawszy obietnicom zięcia który mu przyrzekł pomoc.

Niestety zięć nie chciał czyli też nie mógł dać mu pomocy. Ach! ileż cierpiała na tem biedna Marya tak tkliwie kochająca ojca. Była królową i panią potężnego narodu a niczem nie mogła wesprzeć ojca którego życie w największem było niebezpieczeństwie. Głuche wieści nadchodzące z Polski boleścią napawały tkliwe jej serce, ale przyrzekłszy ojcu że do spraw rządowych nigdy mięszać się nie będzie, przyrzekłszy mu pod utratą błogosławieństwa że tego nigdy nie uczyni, choćby nawet szło o jego głowę, tłumiła w sobie tę boleść, i jeden tylko Bóg widział co się działo w jej sercu

Po roku wrócił z Polski król Stanisław nic nie zyskawszy ale przynajmniej zdrów i bezpieczny. Zięć oddał mu w dożywocie rządy nad księstwem lotaryńskiem, tam się więc przeniósł. Szczęście Maryi przestało już być zupełnem. Oddalona od rodziców, tęskniła za niemi, a w rok potem przywdziała żałobę po matce.

Odtąd życie królowej francuskiej stało się nieprzerwanem pasmem bardzo dotkliwych cierpień. Małżonek jej zmienił się nie do poznania. Wprawdzie nie uchybił jej nigdy winnego uszanowania, czcił w niej kobietę zacną i cnotliwą ale pozwolił się opanować ulubienicom i bezwstydne wiódł życie. Znakomici mężowie francuscy widząc co się dzieje, błagali Maryę aby się zajęła sprawami państwa, ale ona odpowiadała zawsze:

— Mój ojciec mię nauczył że rządzić nie jest sprawą kobiet.

Otwarło się dla niej nowe źródło szczęścia gdy syna ożeniła i doczekała się wnuków, ale po kilku latach śmierć tegoż syna a potem i ojca na nowo okryła ją żałobą. Lecz Marya nie upadła pod ciężarem boleści, owszem w tem ostatecznem zgnębieniu zamiast rozpaczać, wstąpiła na nowe drogi na których znalazła pociechę i prawdziwe zadowolenie. Oto została matką wszystkich ubogich, cierpiących, nieszczęśliwych i w całej Francyi zjednała sobie imię dobrotliwej i świętej królowej.

Marya nie zapomniała też nigdy że Polska była jej ojczyzną. Chętnie rozmawiała z Polakami przybywającymi do Francyi, po polsku pisywała do ojca i do dawnych znajomych w Polsce i ku stronom ojczystym często zwracała myśl stęsknioną, a nawet spowiednikiem jej był Polak.

Indyanin *) i jego pies.

Wieśniak francuzki Lefewre w nie zbyt dawno ubiegłym czasie, jako wychodziec z swojej ojczyzny, w północnej Ameryce niedaleko Gór Niebieskich, na uprawionym przez siebie gruncie zamieszkały, miał kilkoro dzieci, z których najmłodszy Deryk czteroletni chłopczyk był ulubieńcem swoich rodziców. Pewnego dnia znikł on niespodzianie; z początku myślano że zaszedł do sąsiada, ale gdy go tam nie zastano, wszelkie późniejsze po różnych miejscach poszukiwania, okazały się daremne. Już całą okolicę w każdym zakątku przetrząśnięto, już i słońce chyliło się ku zachodowi, a na trwożliwe wołania rodziców, głuchy tylko odzywał się odgłos, albo ryk dzikiego zwierza, bardziej niż kiedy przerażający. Podczas wycieczki strapionych rodziców i coraz to więcej słabnącej nadziei znalezienia zabłąkanego dziecięcia, przybył niespodzianie Indyanin Tewczyna ze skórami bobrowemi do domu Lefewra, sobie przyjaznego, gdzie często swój towar korzystnie pozbywał, i tu dowiedział się od jedynie w domu pozostałej służącej murzynki, o nieszczęśliwem zdarzeniu i rozpaczy rodziców. Na tę wiadomość każe natychmiast zatrąbić w róg czarnej kobiecie, chcąc przezto strapionych rodziców przywołać do powrotu do domu; sam zaś postanowił zająć się wyszukaniem ich dziecięcia.

Na dany znak rogiem, spieszy ojciec, ile mu tchu starczy, nieledwie bowiem był pewny, że się dziecię znalazło. Jeszcze go niema, odrzekł Indyanin, na jego szybkie zapytanie, ale daj mi czemprędzej, całe zwyczajne ubranie twojego dziecięcia, które w ostatnim czasie miewało na sobie; a ja daję ci słowo, że je odnajdę. Osadnik ociągał się zrazu z danem poleceniem; Indyanin jednak nie przestawał nalegać na niego. Gdy mu wreszcie trzewiczki i sukienki chłopczyny przyniesiono, natychmiast dał je psu swemu dostatecznie do obwąchania, i oprowadzał go potém w wielkim około domu okręgu, którego choć jeszcze całego nie obszedł, a już zmyślny zwierz odezwał się

*) Indyanami zowią zwykle pierwiastkowych Ameryki mieszkańców, dziś jeszcze dzieniegdzie w dzikości żyjących.

jakimś szczególniejszym głosem; Indyanin przeto domyślał się, że pies pochwycił węchem ślad dziecięcia, bo z niewstrzymanym pędem zaczął biedz drogą, wpadł w gęstwinę lasu i w pół godziny wrócił z takim wyrazem radości do swego pana, że już o odkryciu dziecięcia nie można było powątpiewać bynajmniej. Zachodziła wszakże niepewność, czy dziecię było przy życiu; czas przeto aż do jej wyjaśnienia, dla biednych rodziców, jeszcze był przykrzejszy, jak poprzednia obawa. Czemprędzej teraz Tewczyna za psem pospieszył, a za nim biegła cała stroskana rodżina w miarę swej możności, i szczęśliwie nakoniec znalazł chłopca Indyanin w zarośli, u spodu wielkiego drzewa, biegiem i upałęm umordowanego, który się bardziej umarłym niż żyjącym wydawał; chłopczyna bowiem za wejściem do lasu daremnie szukał drogi do powrotu, i w trwodze coraz głębiej w las się zapuszczał.

Tewczyna teraz wziął dziecię na ręce, i biegł z niém co prędzej na przeciw strapionym rodzicom, a usłużny pies w wesołych podskokach towarzyszył swemu panu. Łatwo sobie każdy wystawi radość ojca i matki, kiedy już zdaleka wyciągnięte do nich rączęta swego dziecięcia ujrzeli. Ich podziękowaniom Bogu i poczciwemu Indyaninowi nie było końca, równie i o psie niezapomniano, który jakby zawstydzony okazywanemi sobie przymileniami, zwinął się u nóg swojego pana, i leżał spokojnie podczas rozczulającej tej sceny.

Jak tylko wieść się rozeszła w sąsiedztwie, o znalezieniu zbłąkanego dziecięcia, cała ludność tej okolicy zgromadziła się ochoczo, bo osadnik i jego rodzina powszechnego u wszystkich doznawali szacunku: a dom ich jakkolwiek obszerny, z trudnością mógł coraz to liczniej nadchodzące pomieścić osoby, dla podzielenia radości tak bardzo udręczonych przed chwilą rodziców. To zgromadzanie się trwało przez całą noc prawie, bo nikt nie odszedł nieugoszczony. Przez cały ten czas nie wypuściła matka z rąk swojego dziecięcia; poczciwy zaś Indyanin przed tym natłokiem licznej przyjaciół drużyny, wymknął się nieznacznie na spoczynek do stodoły; wrzawa bowiem tylu ludzi, i okazywane mu aż do zbytku grzeczność i uprzejmość, za uciążliwe były dla niego. Wtedy to uszczęśliwiony ojciec

sprowadziwszy go do siebie, w obecności wszystkich, uściskał swego dobroczyńcę, i zwyczajem Indyan uznał go za swego brata i rzekł: Kiedy przyjdziesz do lat podeszłych, i twoje nogi nie będą mogły rączego dosięgnąć zwierza, a twoja słaba ręka napiąć łuku nie zdoła, wtedy przybądź do nas życzliwie, my ci z radością chatę wystawimy, i ażebyś żył sobie swobodnie, wszelkie twoje zaopatrzymy potrzeby. Jeżelibyś w dotkliwym razie zapłakał, to jak ty nam otarłeś łzy nasze, tak i my ukoimy cię w żalu i pocieszymy sercem przyjaźnem. I o przywiązanym do ciebie psie troskliwe w jego starości będziemy mieli staranie, i na niczem mu nigdy nie braknie. Wziąwszy nareszcie za rękę przyjaznego sobie Indyanina, dodał jeszcze: kochani sąsiedzi i przyjaciele, ten oto mój dobroczyńca od tej chwili jest moim bratem, a dziecko odtąd zaniecha swego imienia, a zwać się będzie Tewczyną, jak jego wybawca i pokrewny, który mu życie uratował.

Wszyscy obecni uroczyście ten nowy pochwalili związek, a gdy teraz każdy zajmował się uczuciem swego serca swobodnie, Indyanin tymczasem, jak to zwykle dzieje się u dzikich, mających mówić na swych zgromadzeniach, zastanawiał się, co ma powiedzieć. Po dostateczném zebraniu swych myśli, wedle zwyczaju swych ziomków, stwierdził ofiarowany sobie związek, temi słowy: Mój bracie, nic takiego nie zrobiłem dla ciebie, czegobyś i ty w podobnym razie, nie uczynił dla mnie. Stało się to zapewne z woli dobrego Ducha, czuwającego nad nami, i mającego nas w swojej opiece, że w swoim czasie z pomocą do twego domu przyszedłem. Jeżeliś szczęśliwy z pomyślnego wypadku, to i ja nim jestem podobnież. Gdy przybędziesz w okolice naszych siedzib, to moja chata zawsze dla ciebie stać będzie otworem; rozniecone w niej ognisko będzie twojém i na mojej tylko skórze niedźwiedziej wypoczniesz swobodnie, i to obok twego brata Tewczyny.

Od tej chwili mały Deryk przybrał imię swojego wybawcy, i zawsze mu swoją wdzięczność okazywał, a po zgonie jego, udał się w góry do rodziny zmarłego, i jednego z jego synów Tewczyną zwanego, przybrał za swego brata; a tak ten związek wdzięczności, w późne przeciągnął się lata, w ciągu których poczciwy, jak i jego ojciec, Idyanin, dość często przebywał Góry Niebieskie dla odwiedzenia swojego brata, który go nie tylko życzliwém w swym domu przyjmował sercem i gościnnie uraczał, ale i nigdy bez podarku nie wypuścił od siebie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 11.

11. Kwietnia 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zdrajca ukarany.

We wsi Kowarsku, dwie mile za Wilnem, mieszkał niegdyś szlachcic nazwiskiem Grzegórz Ościk, pochodzący ze znakomitej rodziny, ale hulaka, lekkomyślnik i bardzo zadłużony. Było to za czasów króla Stefana Batorego, który prawie ciągle prowadził wojnę z największymi nieprzyjaciołmi Polski i religii katolickiej, z Moskalami. Jak dzisiaj tak i wówczas Moskale gdy nie mogli zwyciężyć orężem, uciekali się do przekupstwa i środek ten czasem się im udawał. Zasłyszawszy o Ościku jako człowieku znikczemniałym ale mającym jeszcze stosunki na wielkim świecie, spodziewali się zrobić sobie z niego powolne narzędzie zdrady i weszli z nim w konszachty. Ościk nie namyślał się długo. W nadziei znacznej od cara nagrody, dał się użyć i odtąd często gęsto zjeżdżali tajemnie do Kowarska posłowie moskiewscy, często gęsto z Kowarska szły listy do Moskwy.

Ale nim jeszcze Ościk cel swoich życzeń, to jest nagrodę uzyskał, spotkało go to, co prawie każdego zdrajcę czeka,

został sam zdradzony. Własny jego sługa Mirewski wyjawił sprawki swego pana jednemu z dworzan królewskich, a ten wszystko powiedział królowi.

Król Stefan, o którym słusznie powiedziano, że był najdzielniejszym i najmądrzejszym królem polskim, okazywał się zawsze wspaniałym dla dobrych ale srogim dla złych — toć łatwo pojąć jak się oburzył na Ościka, usłyszawszy o jego haniebnych sprawkach. Ale jakże ukarać szlachcica, kiedy prawo nie pozwala go nawet uwięzić, dopóki o zbrodnię przekonany nie będzie? Jeżeli go ukarzę, cóż na to powiedzą wszyscy ci panowie z którymi Ościk spokrewniony, a którzy i tak już krzyczą że król tyran, że despota, że rządzi samowładnie jak car moskiewski, że nie szanuje praw i przywilejów szlacheckich – chociaż król tylko dobra ojczyzny pragnął, tylko sprawiedliwości przestrzegał.

Nie wiedział o niczem Ościk i pojechał na hulankę do miasta Trok, ufając swoim sługom, tak Mirewskiemu którego był wysłał do Wilna jak i drugiemu Bartłomiejowi, który dworu w Kowarsku pilnował. W tem nad wszelkie spodziewanie wojsko z rozkazu króla otacza dom w którym przebywał; zaraz wzięto Ościka i przywieziono do Wilna a ponieważ jako szlachcica nie wolno było osadzić go w więzieniu, oddano go pod straż marszałkowi nadwornemu królewskiemu. Jednocześnie odbyła się też rewizya we dworze w Kowarsku a tam znaleziono nie jeden dowód przeciwko Ościkowi, jako to pisma moskiewskie od cara i różne inne papiery ze sfałszowanemi podpisami panów polskich, co wszystko zabrano i razem ze sługą Bartłomiejem przywieziono do Wilna.

— Nie taki wilk straszny jak go malują, mówił sobie Ościk gdy go przed sąd zawołano; i śmiało stanął przed obliczem królewskiem, ufając drugiemu słudze jak samemu sobie, ufając swojemu szlachectwu i krewnym piastującym wysokie urzędy i dostojeństwa. Zmięszał się wprawdzie gdy usłyszał że sługa Bartłomiej wygadał już wszystko co wiedział, a jeszcze bardziej gdy mu do oczu pokazano dowody w Kowarsku zna-

lezione. Wkrótce jednak odzyskał przytomność i minę zuchwałą i nie chciał odpowiadać na pytania sędziów, broniąc się hardo że go jako szlachcica nie wolno więzić bez pozwu.

Słysząc to panowie senatorowie nie wiedzieli jak sobie postąpić i król był w kłopocie. Jedni bronili wolności szlacheckiej i chcieli aby Ościka na mocy przywilejów wypuszczono i dopiero potem przed sąd pozwano, drudzy milczeli, bo wiedzieli iż król powinien mieć w ręku miecz sprawiedliwości, ale nie śmieli się z tem odezwać z obawy aby ich zdrajcami bracia szlachta nie okrzyczała.

Wówczas król Stefan rzekł:

— Zły to szlachcic co zdradza, lepszy od niego najuboższy chłop. Nietylko szlachectwa ale i życia niegodzien, kto ojczyznę zdradza, i dlatego winowajca co taką zbrodnię popełnił nie ma prawa zasłaniać się szlachectwem. Teraz czasy wojenne a wy mości panowie jesteście sądem wojennym i doraźnym, toż nie możecie się ociągać, ale natychmiast powinniście wydać wyrok na winowajcę.

Padł teraz strach na Ościka. Widząc iż kusa rada, dalejże zwalać winę na żyda co mu fałszywych pieczęci dostarczył. Wzięto więc żyda i uznano winnym ale Ościka nie puszczono. Przestraszony padł na kolana, wyznał całą zbrodnię i czołgając się u nóg królewskich błagał o przebaczenie. Wówczas i jego krewni wstawiać się za nim zaczęli i błagali króla o darowanie życia Ościkowi, a drudzy przedstawiali, że gdy Ościk stracony zostanie, szlachta z natury burzliwa, rozruch gotowa zrobić że jej przywilej samowolnie zgwałcono.

Na to wszystko król słowa nie odpowiedział ale rozkazał sobie podać wyrok do podpisania. Gdy jednak już miał go podpisać, zamyślił się nagle. Nie był on krwi chciwym ale brzydził się zbrodnią, nie chciał być srogim ale sprawiedliwym. Jeszcze raz więc wziął na uwagę całą sprawę i długo, długo zastanawiał się nad nią, ale w końcu namyślił się i podpisał wyrok skazujący na śmierć Ościka i żyda który z nim był w spólnictwie, sług zaś obu tak Mirewskiego jak i Bartłomieja

ułaskawił, ponieważ zeznaniami swojemi dopomogli do wykrycia i ukarania zbrodni.

W trzy dni potem ścięto Ościka i jego towarzysza. Powstał krzyk groźny w całym kraju, szlachta gniewała się i groziła ale król był spokojny, bo miał czyste sumienie; wiedział że jako stróż sprawiedliwości tak a nie inaczej powinien był sobie postąpić. Miał też król Stefan serce wspaniałomyślne i łaskawości pełne, czego wkrótce potem dał następujący dowód. Według praw litewskich wina ojca powinna była spaść i na syna, który został po Ościku, chociaż ten, gdy ojca tracono był jeszcze małoletnim, i nie mógł do zbrodni należeć Otóż król idący za popędem wspaniałego serca, zdjął z niego wszelką zmazę, uznał go niewinnym uczynku ojcowskiego i przypuścił napowrót do wszelkich swobód, przywilejów i zaszczytów szlacheckich, które z winy ojca swego powinien był utracić.

W ciągu świetnego ale niestety krótkiego panowania swego król Stefan nigdy nic takiego nie uczynił, w czem możnaby mu zarzucić niesprawiedliwość. Owszem był zawsze wzorem sprawiedliwego sędziego — Oprócz Ościka, jeszcze drugiego szlachcica, Samuela Zborowskiego który się zdrady dopuścił, skazał był na śmierć, bez namysłu, chociaż jego rodzinie winien był nawet wdzięczność za swoje wyniesienie na tron. Raz znowu gdy król Stefan był we Lwowie, żyd pewien pozwał do sądów królewskich starostę Herburta; starosta z początku nie chciał stanąć, mając to sobie za ubliżenie, ale król go zniewolił, przydając że tak starosta jak i żyd powinien słuchać prawa. Dla tej to sprawiedliwości szanowano króla Stefana i wybito nawet w Krakowie medal na cześć jego z napisem: „Król który sądzi według prawdy ubogie, stolica jego będzie utwierdzoną — chociaż gniewano się, że nieraz sprawę inaczej osądził jak tego wymagało prawo. Czynił on to jednak wtedy tylko, gdy się przekonał że prawo było złem lub niesprawiedliwem, że było dogodnem dla jednych a szkodliwem dla drugich.

Dobra noc.

Dobra noc wam!
Wszystkim utrudzonym pracą!
Dzień się do końca już chyli,
Niech sny wam za trud wypłacą,
Aż się ranek nie odchyli,
Dobra noc wam!

Do spoczynku!
Zamknij się powieko nasza!
Cichość w około powstaje,
Stróż nocny spokój ogłasza,
I noc się już wołać zdaje:
Do spoczynku!

Dobra noc wam!
Spijcie dopóki nie wstanie
Dzień, co troski świat zatruwa,
Spijcie! aż nie błyśnie ranie,
Bez bojaźni! Ojciec czuwa.
Dobra noc wam!

L. P.

Szymon z Zawiśla.

(Ciąg dalszy).

III.

Nazajutrz po przybyciu Szymona do Trzydniowa ledwo skowronek zaspiewał, on był już na nogach i wszyscy w chacie powstawali. Każde wzięło się do pracy a że na chęciach nie zbywało raźno szła robota. Szymon rąk nie żałował i widać było, że pracuje szczerze. Poznał wkrótce Jakób że i rodzone dziecko nie robiłoby więcej dla niego.

Minął dzień jeden, minął drugi, potem tydzień, wreszcie i miesiąc, a Szymon w pracy nie ustaje, jeno rąk przykłada, a zwija się, rzekłbyś że mu się robota pali w ręku. Sprytny też to był człowiek; rozumiał się i na gospodarce i na ciesiołce

i koło chudoby chodzić umiał, słowem co tylko wziął do rąk wszystko zrobił i dobrze.

A że był przytem dobrego serca i nie żaden sprzyka, i Jakóba czcił jak ojca, a Jakóbowę jak matkę, Marynce też pomagał ochoczo niby brat siostrze, cała więc rodzina wprędce przywiązała się do niego jak do swego. To tylko wszystkim w oczy wpadało że nie zawsze był jednakowo wesoły. Czasem słowo nic nieznaczące, bez myśli wymówione, wprawiało go nagle w dziwny smutek lub zamyślenie. Marynkę polubił bardzo; nie było odpustu ani jarmarku, aby z niego dziewczęciu bogdaj pierścionka nie przyniósł i nawet weselszy był, gdy ją widział przy sobie. Na wyżynkach i na weselach tańcował z nią do upadłego, ale czasem ni ztąd ni z owąd wyrwał się z karczmy bez żadnej przyczyny i nie pokazał się przez cały wieczór, czasem zaś żadną namową nie dał się zwabić do karczmy, jeno do późnej nocy błąkał się po polach, ponad Wisłą.

Tymczasem chata co do niedawna była w takiem opuszczeniu, zmieniła się nie do poznania i widocznie spoczęło nad nią błogosławieństwo boskie. I w chacie też już nie było tak jak dawniej. Jakóbowie nie zapomnieli wprawdzie o swojej ciężkiej stracie, ale już o niej tak często nie myślą, a gdy popatrzą na Szymona to im się zdaje że to syn ich własny i już w sercu nie czują takiego bolu.

Scieszki do niedawna chwastem zarosłe, już znowu wydeptane, ten i ów przechodząc tędy wstąpi na chwilkę, sąsiedzi zaczynają odwiedzać dawnych znajomych, schodzą się dziewczęta i parobczaki na wieczorynki, a wszyscy pokochali Szymona, bo on żył z każdym zgodnie, każdemu posłużył, pomógł, każdego poratował czem mógł.

Ksiądz proboszcz nie posiadał się z radości, ujrzawszy na własne oczy że Jakóbowie posłuchali jego napomnienia, a gdy mu powiedziano, że to Szymon głównie do tego dopomógł, życzliwem sercem przypuścił nową owieczkę do swojej owczarni zwłaszcza gdy się przekonał, że przychodzień z pobożności, trzeźwości i innych cnót, mógł być wzorem nietylko dla rówieśnych ale i dla starych.

Widząc Jakób jako Szymon i jego i żonę i ich przybraną córkę pracą swoją żywi i odziewa, jako zdrowie tera i młodość marnuje byle im dopomódz, zaczął przemyśliwać czemby mu się odwdzięczyć za jego trudy i serce poczciwe.

— Mam ci ja skarb — mawiał do siebie, wziąwszy na uwagę, że mógłby Szymona ożenić z Marynką i oddać mu cały dobytek, byle ich starych trzymali i żywili do śmierci; ale samemu narzucać się nie wypadało, a Szymon choć tak bardzo sprzyjał Marynce nigdy ani jednem słowem nie okazał że miałby chęć pojąć ją za żonę, i nigdy nic takiego nie uczynił z czegoby można wnosić, że się z nią myśli żenić.

Nim jednak Jakób namyślił się nad tym swoim zamiarem, nim go nawet swojej żonie powierzył, już po całym Trzydniowie rozeszła się pogłoska, że Jakóbowie żenią Szymona z Marynką. Jaki taki pomyślał sobie: żenią, to niech żenią; ale byli młodzi co Szymonowi zazdrościli Marynki i wiana które dostać miała, byli starzy co zazdrościli Jakóbowi że takiego zięcia dostaną. Siedział też na granicy Trzydniowa gospodarz jeden Wincenty Cmok, co miał żonę pijaczkę i ladaco tak jak on, i córkę w trzydziestym piątym roku życia, która się w matkę wdała; owóż ten dowiedziawszy się że Jakóbowie mają Szymona żenić z Marynką, ułożył sobie pobudować się czemprędzej nad samą Wisłą, aby też dla swojej Kachny złowić jakiego Zawiślaka.

Przy takich pogłoskach nie obeszło się też i bez różnych przygryzków, których i Marynka i Szymon choć niewinnie nasłuchali się dosyć a Marynka najwięcej.

Szymonowi nie w smak było to ludzkie gadanie i odwracał uszy gdy go zalatywało, ale Jakóbowie pocieszali się że skoro ludzie gadają to może wygadają, więc gdy ich się sąsiedzi pytali kiedy weselisko, Jakób się tylko uśmiechał, a Jakóbowa dawała dwuznaczne odpowiedzi.

Tak ubiegły dwa lata jak z bicza trzasł.

Szymon ani myślał prosić o Marynkę, nikt się też nie rwał po nią, bo młodzież trzydniowska odstręczyła się przez owe pogłoski, już przez to, że gdy Marynka Szymona widziała przy sobie, to już nie chciała ani patrzeć na drugich.

Jakób nie wiedząc co czynić, nuż do żony o pomoc. Rada w radę prędko stanął układ. Oboje starzy postanowili otwarcie pogadać z Szymonem.

Jakób upatrzywszy stósowną porę, właśnie gdy Marynki nie było w chacie, bo rodzice nie chcieli aby wiedziała co o niej zamyślają, przyzywa do izby Szymona.

On się ani spodziewał, co go czeka, toż zdziwił się niezmiernie gdy wszedłszy do izby ujrzał na stole przygotowaną wódkę, a w ręku Jakóba kieliszek, ale zdziwił się jeszcze bardziej gdy mu staruszek wyłożył swoje zamiary względem niego i Marynki.

Jakób skończywszy popatrzył na Szymona i czekał co mu na to odpowie, ale czekał dość długo, bo parobek tak stał nieporuszony jakby go mowa Jakóba pozbawiła zmysłów i słowa nie mógł wyrzec, aż gospodarz wstrząsł go za rękę i zagadał do niego:

— Cóż ty na to Szymonie?

Szymonowi łza zakręci się w oku, spuścił głowę, przybliżył się do gospodarza i tak rzekł:

— Zasługi moje zbytnie wynosicie gospodarzu; prawda że szczerze wam robię, ale tylko tyle co Pan Bóg każe i powinność święta. Marynka, to za wiele łaski dla mnie. Po nią kmieć zajedzie czterma końmi i malowanym wozem.

— Mój Szymonie — odezwie się na to Jakóbowa — nie chcę ja dla mojej Marynki kmiecia, coby czterma końmi po nią zajechał, bo żądałby on takiego wiana coby ośm koni miały co ciągnąć. Smutnoby nam też było rozstawać się z Marynką i samym zostać na starość.

— A kiedy już ciebie — rzecze Jakób — Pan Jezus do nas najprzód przyprowadził i tak dał, żeśmy dwa lata pod jednym dachem w świętej zgodzie przeżyli, to już snać taka Jego wola była, abyś nas więcej nie opuszczał.

Szymon ciągle milczał i namyślał się jakby mu trudno było dać od razu stanowczą odpowiedź.

Dziwno się to starym wydało, i niecierpliwie czekali co im znowu powie.

— Niech wam Pan Jezus niebem zapłaci za wasze dobre chęci — rzekł nareszcie — rozumiem dobrze jaką mi łaskę chcecie wyświadczyć, toż mi ledwo serce nie pęknie gdy pomyślę, że tak być nie może.

— A to czemu? — zapytał Jakób.

— Chyba gardzisz nami i naszą szczerością — odezwie się Jakóbowa nieco urażona — albo masz inną na oku...

— Oj moi kochani — rzecze na to Szymon — nie znacie wy mnie jeszcze, kiedy tak myślicie. Nie mam ja innej na oku i wami nie gardzę, jeno to mówię co mi sumienie każe. Albož to nie wiecie żem ja zagraniczny, że nie mam ani metryki, ani innych papierów bez których ślubu nie dadzą, i Bóg wie gdzieby pójść za tem wszystkiem?

Jakóbowa żałowała że zbyt porywczo osądziła Szymona.

— O! tak, tak; dajcie temu pokój co być nie może; zapomnijcie .. i nie mówcie więcej o tem, bo i mnie się serce kraje, gdy nad tem pomyślę jakby mi dobrze było z Marynką i z wami, gdyby to tak być mogło. Darmo! trudno przeciw wodzie płynąć co być nie może to nie może.

Gdy on tak mówił. Jakóbowa podparłszy głowę na ręku, rozważała jego słowa, a Jakób przechadzał się zamyślony po izbie, i skoro Szymon skończył, on klasnął w ręce i tak rzekł:

— Górą nasza! nie turbuj sie chłopcze, kiedy tylko o papiery chodzi, to w Bogu nadzieja wszystko pójdzie dobrze. Wiem już jak złemu zaradzić Albož to nie mamy poczciwego Jegomości? Ho! ho! już on na to znajdzie sposób.

I nuż rozpowiadać obszernie jak za łaską księdza proboszcza wyrobi Szymonowi wszystko co do ożenienia potrzeba. a potem rzekł do żony:

— Idź matko, przygotuj indyka, pójdziemy zaraz do dobrodzieja.

Tymczasem Szymon stał ciągle nieruchomy i milczący, a widać było z jego twarzy że to wszystko ani go cieszyło ani trafiało do jego przekonania. Nareszcie upadł do nóg rodzicom, całował ich kolana i powtarzał nieledwie z płaczem:

— Bóg wam zapłać, Bóg wam zapłać, ale to być nie może.

Oboje Jakóbowie popatrzali na niego, był bardzo blady i zmieniony, i widno było co go to kosztowało tak obstawać przy swojem i odpychać szczęście co mu samo lazło do garści.

— Mój Szymonie — rzecze Jakóbowa — mówisz że innej nie masz na oku, a jakaż może być przyczyna twojej odmowy, jeżeli nie to żeś sobie inną upatrzył?

Na te słowa Szymon podniósł głowę i tak powiedział:

— Tak jest, upatrzyłem; a chociaż ta którą upatrzyłem, jest dziś żoną innego, i nigdy już moją nie będzie, ja jej będę wiernym do śmierci.

— Wietrznica to jakaś, i ciebie niegodna — rzecze Jakób.

— O! nie, nie — poderwie Szymon prędko — tak zrobiła, bo musiała, bo ją matka do tego przynagliła, bo tak sam Bóg przeznaczył. Opiekun niegodziwiec, wydarł mi ojcowiznę, a potem i ją, i sam się z nią ożenił. O! Zośka niewinna, Zośka nie wietrznica, ona może stokroć więcej cierpi jak ja... Ale na co ja wam mówię to wszystko?

Jakóbowie milczeli i z politowaniem słuchali Szymona.

— Źle wam się wypłacam za waszą litość i poczciwość dla mnie, biednego tułacza; nie jestem godzien waszej łaski, ale nie ścierpię abyście mnie mieli za niewdzięcznika... puśćcież mnie niech idę daleko choćby na kraj świata, a wy zapomnijcie o mnie i wyrzućcie z serca — Odwrócił się ku drzwiom i chciał wyjść, ale go Jakób zatrzymał zagadawszy doń po ojcowsku.

W tem w oddaleniu dała się słyszeć wesoła piosneczka którą nuciła Marynka, nie przeczuwając nawet co się dzieje w chacie. Usłyszawszy ją Jakób skinął na parobka, aby jej nic nie wspominał o tem co zaszło między niemi. Szymon wyszedłszy na podwórko, spojrzał ku Wiśle, tam słonko zachodziło i właśnie w tej chwili smutno obejrzało się na niego.

W progu chaty ukazała się Jakóbowa i zawołała go na podwieczorek.

Szymon jakby go coś do ziemi przykuło stał ciągle w miejscu z oczyma ku Wiśle zwróconemi i ani myślał iść na wieczerzę. Bóg wie co tam za myśli snuły mu się po głowie. To blady był na twarzy, to znowu czerwony, oko mu ogniem pa-

łało, usta krzywiły się niby do uśmiechu, niby do płaczu, to pięść ściskał i groził nią w powietrzu nie wiedzieć komu, to znowu machnął ręką jakby na znak przebaczenia. Wreszcie zakrył dłonią lica jakby mu się doprawdy na płacz zebrało. Po chwili śpiesznym krokiem wyszedł z podwórka i nawet nie słyszał czy może nie chciał słyszeć Marynki która nie mogąc się go doczekać, wybiegła z chaty aby go przywołać i do wieczerzy obok siebie zasadzić.

Poszedł nad Wisłę i tam na brzegu samotnie cały wieczór przepędził. Marynka napróżno szukała go i ojców dopytywała o niego, ale jakżeż się zdziwiła gdy ujrzawszy go powracającego nocą do domu, niezwykłą postrzegła w nim zmianę. Szymon milczał uporczywie lub ni w pięć ni dziewięć odpowiadał niespokojnej o niego dziewczynie.

IV.

Szymon nadal pozostał u Jakubów, ale już więcej nie było mowy o wydaniu Marynki za niego, i nawet mowy być nie mogło ; bo Szymon zaraz od tego dnia, od tej godziny w której mu rodzice z najszczerszego serca dawali ją za żonę, zmienił się nagle nie do poznania.

Wprawdzie pracował zawsze jednakowo, niby nawet z większą ochotą i pilnością jak dawniej, ale dla Marynki był już całkiem inny.

Już jej z jarmarków i odpustów nie znosił ani pierścionków ani obrazków, już w niedzielę nie puszczał się z nią w taniec ani innym przeszkadzał tańczyć z nią do woli, i w chacie, czyto byli sami, czy z rodzicami, ani się do niej zaśmiał ani zagadał, a czynił to jakby koniecznie wszystkim chciał pokazać że nigdy nie miał ani chęci ani zamiaru z nią się żenić.

Przykro to było Jakóbowi i Jakóbowej, że ich nadzieje tak spełzły na niczem i sami teraz nie wiedzieli jak się z kłopotu wydobyć, jak wypić to piwo które sobie sami nawarzyli.

Pragnęli oni szczerze wydać Marynkę za mąż, aby tym sposobem zapewnić dziewczynie los i opiekę, gdy zostanie sie-

rotą, i dla siebie też, zwłaszcza przy nadchodzącej zgrzybiałości uzyskać przez to jakowąś pomoc: głośno więc już teraz wszystkim mówili, że ani im to w głowie brać Szymona za zięcia. Nikt się jednak nie trafiał Marynce. Uradzili rodzice że jedno tylko mogło napowrót przywabić młodzież do Marynki, a to: wydalenie Szymona z chaty.

Ale pozbyć się parobka, który jak to mówią na nogi ich postawił, nie wypadało i byłoby nawet grzechem.

Marynka, której rodzice nie mówili wcale jakie dawniej mieli zamiary względem niej i Szymona, nie domyślała się niczego. Skoro postrzegła obojętność parobka do którego się jak do brata przyzwyczaiła, ba, skoro on po pierwszy raz inaczej jak zawsze na nią spojrzał, poznała zaraz, nie poczuwając się do żadnej winy, że coś zaszło między nim a rodzicami.

Zasmuciło ją to bardzo, nuż więc pytać o przyczynę i jego i ojców, ale nadaremnie, bo i ci zbyli ją ni tem ni owem, i Szymon nic jej powiedzieć nie chciał. Widząc że nic nie wskóra, że owszem pogorsza sprawę swoją ciekawością, dała pokój pytaniu, ale ta niespodziewana i tak nagła zmiana dotknęła ją do żywego i biedne dziewczę rady sobie dać nie mogło.

Minęło znowu kilka dni, kilka niedziel, czas się wlókł powoli, bo smutno. W chacie Jakóbów już się wszystko nie do poznania zmieniło. Znikła dawna wesołość, znikła dotychczasowa serdeczność co od dwóch lat całą rodzinę z sobą i parobkiem wiązała. Już się piosenka nie rozlega po polach. Marynka w niedzielę nie chodzi na muzykę, a Szymon choć zawsze jednakowo garnie się do roboty i ochoczo do wszystkiego rękę przykłada, choć rodzicom w niczem nie ubliży i Marynce też w niczem żadnej przykrości nie zrobi, jest już teraz ze wszystkiemi, jak to mówią na bakier.

Tak opanował znowu całą rodzinę prawie taki sam smutek jak wówczas gdy z kraju włoskiego nadeszła wiadomość o śmierci Szymka, smutek co się nie skończył czyli raczej nie przytłumił aż z przybyciem Szymona, który dotąd Jakóbom syna a Marynce brata tak dobrze zastępywał. (C. d. n.)

Części składowe wody i żegluga powietrzna.

Jakiż mogą mieć związek części składowe wody, czyli jej pierwiastki z powietrzną żeglugą? Czyliżby można parą wodną wznieść się w powietrze, i po obłokach w dalekie przenosić się strony? Nie, to niepodobna; ale w naturze dziwnie niekiedy jedno się z drugiem jednoczy, a właśnie woda składa się z szczególniejszych pierwiastków, o jakich dawniej nie pomyślano nawet. Jak powietrze z dwóch różnych części składowych jest złożone, tak i w skład wody dwa różne wchodzą pierwiastki. Za pomocą stósownych narządów i licznych doświadczeń, okazał badacz francuski: że woda składa się z kwasorodu (tlenu) i wodorodu (wodoru), którego nadzwyczajna lekkość najbardziej zadziwiała. Tak więc gdy dawniej powietrze za najlżejszą poczytywano materyą, teraz odkryty został rodzaj powietrza 12 razy lżejszego od zwyczajnego.

Jeżeli do rurki szklannej od narządu wodorodem napełnionego wychodzącej, przytwierdzimy rurkę kauczukową, przepuszczającą gaz rzeczony przez siebie, i zanurzywszy ją w wodzie mydlanej, do puszczania baniek przez dzieci używanej, wtedy będą się tworzyć bańki, które gazem wodorodnym 12 razy lżejszym od powietrza zwyczajnego napełnione, tak wysoko ulecą że z przed oczu znikną zupełnie. One to, są obrazem bań wielkich czyli balonów. Człowiek bowiem wszystko na użytek swój obracać nawykły, wyrabiał z lekkiej a mocnej jedwabnej materyi (kitajki) ogromne banie, napełniał je gazem wodorodnym, te zaś im były większe, tem się wyżej wznosiły; u ich spodu zawieszał kosz lub łódkę z narzędziami do postrzeżeń w górnych warstwach powietrza potrzebnemi, i śmiało się puszczał w towarzystwie niekiedy kilku osób w przestwór zupełnie tajemniczy dla siebie.

Z zdumieniem patrzymy na śmiałego żeglarza wzbijającego się w powietrze, jak równie na olbrzymi balon kilkanaście łokci średnicy mający, który szybko wzlatuje ku obłokom, i w miarę wzrastającej wysokości, coraz to bardziej w oczach naszych maleje, aż dopóki jak punkcik nie zniknie nam z widoku.

Ale co nam też ciekawego ów powietrzny żeglarz, o swojej podróży opowie, kiedy znowu szczęśliwie spuści się na ziemię? może bania gazem napełniona, zbliży go choć do księżyca?

To już niepodobieństwo; bo jak korek na wodzie tylko pływać może, tak i balon wodorodem napełniony do pewnej tylko wysokości wznieść się zdoła, tem bardziej, że mu wzlot jego utrudnia znaczny ciężar, to jest: łódka z ludźmi i wszelkiemi przyborami, pod nim zawieszona; pomimo tego jednak bardzo wysoko wznosi się balon, a podróżny nie mało postrzeżeń w królestwie bujających chmur poczynił. Niektórzy żeglarze wzbili się przeszło na 22.000 stóp nad powierzchnią morza, a trzy razy tyle co wysokość szczytu Łomnickiego w Karpatach, o 7.000 stóp wyżej nad górą Białą, najwyższą w Europie, a o 5.000 wyżej niż góra Ararat w Azyi, gdzie arka Noego po potopie stanęła.

Z takiej wysokości nie obaczy się już ziemi wyraźnie; zdziwiony żeglarz widzi tylko pary wodne, mgły i chmury poniżej balonu rozciągające się, a nad sobą obłoki wysokie. W czasie wzbijania się w powietrze, wydaje się podróżnemu, że jego łódka z balonem ciągle na jednem miejscu zostaje, a piękna zielonością strojna ziemia, z zwierciadlanemi wód powierzchniami i górami zwolna zapada w głębinę, a chmury znowu nad nim krążące, zniżają się ku niemu, i jak mgłę porywają go ku sobie, przy coraz chłodniejszem powietrzu. Wtedy i mgły zdają się powoli pod nim zapadać, i wydają się mu chmurami poniżej rozwieszonemi, a ciemno-modrej barwy niebo, ukazuje jaskrawą jak w zimie tarczę słoneczną, bo teraz jak na wysokich szczytach gór coraz to chłodniejsze, zimniejsze panuje powietrze, rozrzedzonem zaś trudno jest oddychać, i tak się wydaje, jakby go już w miarę wysokości coraz więcej ubywało. Pełen niespokojności i trwogi nawet, otwiera żeglarz klapy przy balonie umieszczone, wypuszcza z niego część lekkiego gazu, dla spuszczenia się znowu na ziemię. Teraz znowu zdaje się podróżnemu, że chmury pod nim będące, szybko się w górę podnoszą i zatapiają w mgle ciepłej, a kiedy i przez nią przesunie się

wędrowiec, wtedy ziemia ukazuje się na nowo i wynurza się z powietrza.

Ale wcale inne okolice, inne góry, inne zwierciadła wód przedstawiają się teraz powietrznemu żeglarzowi, bo on nie wzbijał się w prostym ku obłokom kierunku, ale przechodnim wiatrem gnany, daleko zboczył od zamierzonej drogi. W obecnej więc chwili, zbliżając się ku ziemi, wydaje się podróżnemu, że cała okolica pod nim się usuwa, kiedy on z balonem powyżej niej rączo szybuje; a gdy już dosyć blisko spuści się ku ziemi, wtedy wyrzuca żelazną kotwicę, aby się gdzie silnie zahaczyła. Ta wlecze się po polu i rozrywa ziemię, dopóki nie utwierdzi się w gruncie, i nie zatrzyma balonu w spoczynku, poczem dopiero żeglarz szczęśliwie na suchej stanąć może ziem .

Gdzież jestem? pyta się ciekawością zdjętych, a coraz liczniej gromadzących się ludzi, i przekonywa się, że w niewielu godzinach do stu mil od miejsca wzlotu, przebył pomyślnie, i spuścił się znowu bezpiecznie. W czasie pozornego spoczynku balonu, pędziły go szalone wiatry w wysokim łuku, i w rozlicznym tu i owdzie kierunku i ponad różnemi krajami.

Pierwsze próby wycieczek powietrznych, nie odznaczały się znacznym plonem wiadomości; w miarę jednak wzrastającej odwagi do puszczania się balonem, uczeni badacze podejmowali tę żeglugę opatrzeni w stósowne narzędzia do wymierzenia wysokości, ciepła i zimna, równie i dla zbadania powietrza i pary w niem unoszącej się, i swemi postrzeżeniami znacznie rozszerzyli zakres wiadomości o tajemniczem dotąd królestwie chmur. Teraz w licznych przypadkach, umiemy wiele wytłumaczyć sobie o wietrze, stanie powietrza i zjawiskach w niem zdarzających się, co dawniej prawdziwą dla nas było zagadką. Regularna żegluga powietrzna, i podróże po otaczającym wysoko naszą ziemią żywiole, nie jest dziś więcej niepodobieństwem, pomimo trudności nadania balonowi stósownego kierunku; ale od wynalezienia machin parowych, za pomocą których na kolejach żalaznych 4 do 6 mil i więcej na godzinę ubiegamy, lub na statkach parowych równie szybko płyniemy, i wreszcie odkąd telegrafy jeszcze prędzej wszelkie wiadomości z jednego

miejsca na drugie przenoszą, nie ubiegają się już ludzie za prędką wprawdzie, ale kosztowną, niepewną i niebezpieczną powietrzną zeglugą, z takim jak dawniej zapałem. Teraz tylko używają jeszcze balonów do rozpoznania czasowego górnych prądów powietrza i zbadania jego stanu w obecnej chwili, o ile to podobnem do prawdy być może. Jak uczeni badacze natury przepowiadają zaćmienia słońca i księżyca, i bieg wielu ciał niebieskich, tak i uczeni w Anglii i w innych krajach, zwiastują w portach żeglarzom burzę lub pogodę, przez co rozbicie się okrętów i inne na morzu nieszczęśliwe przygody są rzadsze, bo płynący po niestatecznym Oceanie, na większej mogą się mieć baczności.

Różności.

Szybkość światła. Prędkość rozszerzającego się światła przechodzi wszelkie wyobrażenie. Nie znamy w całem stworzeniu większej szybkości. Podług najgodniejszych wiary postrzeżeń przechodzi światło od słońca do ziemi w przeciągu 8 minut i 7 i pół sekund, a zatem na sekundę 40.000 mil geograficznych; prędkość światła jest nadto 10.313 razy większa niż prędkość obracającej się w około słońca ziemi; 976 000 razy większa od głosu, a półtora miliona razy większa niż kuli armatniej.

Dobroć serca. Henryk Brodaty ks. szląski i polski a mąż św. Jadwigi, taką dla najniższego stanu ludzi dobroć serca okazywał, że gdy mu kto z nich na prostej misie podany bochen chleba, lub sera krajankę ofiarował, przyjmował ten dar ubożuchnych ludzi chętniej nawet, niżeli zbytkowne dary wielkich panów, i tak mawiał: Ten ubogi kmiotek majętność mi swoją daje, czem sam żyje; niechże przynajmniej tę ma pociechę, żem jego podarek wdzięcznem przyjął sercem.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Nie znalazłeś skarbu i nigdy go nie znajdziesz, jeżeli z założonemi rękami siedząc, nic pożytecznego robić nie będziesz.

Zamojski Jan mawiał: Grosz nie zapracowany, uboży wielkie pany; a szeląg ukrzywdzony, wyprowadza miliony.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. **Nr. 12.**

21. Kwietn. **1869.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Bonifacy.

Niedaleko Warszawy leży wieś Czerniaków, gdzie jest kościół cudowny św. Bonifacego, dokąd chodzili Polacy katolicy z dalekich stron na odpust, który się odbywał zawsze dnia 14. maja, w sam dzień św. Bonifacego.

Ten św. Bonifacy był patronem Polaków, którzy też doznali nieraz cudownej jego opieki. Nie rodził on się poprawdzie ani chował w polskim kraju, ale pobożni Polacy obrali go sobie za patrona jak św. Floryana. Za czasów pogańskich cesarzów w Rzymie, już to temu półtora tysiąca lat, żył ten Bonifacy za młodu dosyć światowo, marnował majątek ojcowski, ale poznał nareszcie, że się wszystko człowiekowi sprzykrzy, tylko Bóg nigdy, poznał, że nie ten szczęśliwy, kto bogaty i w światowych zbytkach zakochany, ale kto pobożny, pracowity i Bogu i ludziom oddany Przypatrzył on się, jakto poganie prześladowali i męczyli chrześcian, jak spokojnie i radośnie umierali w mękach chrześcianie, i uczuł z tego taki prawdziwy żal, że sobie postanowił zostać z poganina dobrym chrześcianinem. Co dobrego zamyślał, to dokonał.

Poganie zaś tak byli źli, że nie tylko zabijali chrześcian, ale po zabiciu zostawiali pokrwawione i pokaleczone ciała chrześcian bez żadnego pogrzebu. Bonifacy też tak sobie postanowił:

— Kiedy nie mogę ratować życia drugiemu, to mu nie będę żałować ziemi do pogrzebania i mojej ostatniej przysługi.

I zmówił się jeszcze z drugimi takimi samymi jak on, chodzili więc wszędzie i gdzie tylko był zabity chrześcianin i leżał bez pogrzebu, to go uczciwie, z modlitwami i płaczem grzebali. Trafiło się nieraz, że kupował maści i dawał im na smarowanie ran, albo odwiedzał ich i razem z nimi gotował się na śmierć, a potem całował w płaczu wielkim te łańcuchy i powrozy, które mieli męczennicy na rękach i nogach. Mawiał zaś do nich:

— Nie bójcie się męki i śmierci, bo dłużej was niż tych pogan — chrześcianie zostaną, a poganie przepadną bo Bóg z nami!

Gdy tak swój majątek obracał ku pomocy drugich, gdy swoją nauką nawrócił nie jedną grzeszną duszę do Boga, gdy się szczerze litował i zajmował prześladowanemi chrześcianami, poznali poganie, że był już nawrócony i zabrali się do niego.

Myśleli oni, że Bonifacy miał taką duszę światową, jak to bywało dawniej, że jak go zaczną męczyć, to mu się odniechce Boga i nieba. Bili go więc po całem ciele nie laskami albo powrozami, ale żelaznemi kijami aż do krwi, a gdy takie bicie nie zmieniło jego dobrej i twardej duszy, zabijali mu za paznokcie ostre gwoździki, gdy zaś i takie męki wytrzymał bez jęku, wtedy lali mu do gęby roztopiony ołów. Jak mu przestali lać, to Bonifacy oparzonym językiem jeszcze przemawiał:

— Daremno wymyślacie ze mną, ja się nie zaprę tego, żem nawrócony, za nawrócenie dziękuję naprzód Bogu a potem dobrym ludziom!

Za takie słowa święte wrzucili go poganie na głowę do beczki z smołą gorącą a gdy go wyciągli z beczki i widzieli, że jeszcze dycha, wtedy ucięli mu głowę siekierą i tak zabili Bonifacego, który za tyle mąk i za wytrwałość swoją został św. męczennikiem. Na grobie jego wyfundowała jedna pobożna pani wielki kościół w Rzymie, który stoi do dziś.

Otoż takiego św. męczennika obrali sobie pobożni Polacy za patrona, który był im przykładem do znoszenia mąk różnych, jakie niejeden Polak znosił w niewoli tatarskiej, tureckiej, mongolskiej, gdy był w czasie napadów złapany albo na wojnie pojmany a nie miał tyle pieniędzy, aby się wykupić z niewoli.

Miał ten św. Bonifacy kościół z wielkiemi odpustami we wsi Czerniakowie koło Warszawy, gdzie roku 1786 za króla polskiego Poniatowskiego cud wielki się stał.

Jeden oficer Polski, nazwiskiem Czernielewski, był tak pobożny, że co rok był na odpuście na św. Bonifacego. Ale nie chodził on na ten odpust z ciekawości, albo dla zabawki jakiej, jeno z wielkiej pobożności. Wracał z odpustu coraz lepszy, na duszy oczyszczony, z postanowieniem obracać życie swoje na dobro kraju i zbawienie swoje i drugich. Miał on wieś po ojcu, którą sprzedał i zamyślał z temi pieniądzmi coś najlepszego zrobić. Ale w drodze opadli go źli ludzie i odebrali mu pieniądze. Biedny Czernielewski poznał tych złodziejów i oskarżył do sądu w Warszawie. Jak to bywa na świecie', że się sędzia niedobry da przekupić nieraz i sądzi najgorzej, tak się stało i tutaj. Złodzieje zmiarkowali, że będzie z nimi źle, toż dali część pieniędzy skradzionych sędziemu, aby ich ratował. Sędzia łakomy i niesprawiedliwy przystał na to, a gdy nie było świadków więcej, tylko sam Czernielewski okradziony, sędzia nie osądził dobrze sprawy i uznał złodziejów za niewinnych. Na to rozpłakał się pokrzywdzony Czernielewski, złożył ręce i zawołał na głos: Święty męczenniku i mój patronie Bonifacy! widzisz moją krzywdę, zapłać im za mnie pokrzywdzonego!

Na te słowa padł sędzia niesprawiedliwy, przewrócił oczy, i rzucał się po ziemi; potem wstał, ale odtąd stracił rozum i zaczął mówić niedorzeczy. Opowiedział sam, że osądził sprawę niesprawiedliwie; prosił, aby na nowo tę sprawę sądzili inni sędziowie.

Cud taki przestraszył sędziów w Warszawie, król sam zawołał do siebie Czernielewskiego, wypytywał go o wszystko i kazał na nowo złodziejów sądzić. Sędziowie przestraszeni

*

osądzili teraz złodziejów i kazali pieniądze oddać, a złodziejów ukarali sprawiedliwie. Czernielewski poszedł potem do kościoła cudownego św. Bonifacego w Czerniakowie, podziękować Bogu za opiekę i pomoc daną, jaką mu uprosił u Boga św. Bonifacy, opowiedział ten cud przy świadkach i zapisał go tam w książce na wieczną pamiątkę i naukę dla Polaków, jak mają sądzić wszystkie sprawy po wsiach i po miastach.

Sto lat temu dochodzi, jak się stał ten cud w Czerniakowie. Zmieniło się teraz za rządów Moskala wszystko. Dawniej wolno było katolikom Polakom chodzić gromadami i z processyą na odpust do cudownego kościoła w Czerniakowie, dziś Moskal skasował odpusty i nie pozwala ludziom chodzić na nabożeństwo. Kościół cudowny stoi zamknięty i nie wolno się pomodlić do św. Bonifacego w potrzebie niejednej. Grunta kościelne zabrał Moskal i osadził tam brodatego popa swego, który odprawia po moskiewsku nabożeństwo. Taka to pobożność moskiewska, że pozabierał cudowne kościoły, pozamieniał je na cerkwie swoje, organy wyrzucił, obrazy święte poniszczył, ołtarze poprzerabiał na sposób moskiewski, rożańce pokasował, bractwa rozpędził i godzinki śpiewać zabronił.

A wy co to czytacie, bierzcie sobie dobrze i sprawiedliwie na uwagę, że Moskalowi nie trzeba wierzyć, bo on jest judaszem dla katolików. *Xiądz Wojciech z Zaleszan.*

Żebrak.

Patrzcie na brodę mą białą,
I na te szaty podarte;
Pukałem wszędzie nieśmiało,
Znalazłem chaty zawarte!
Patrzcie na rzeki, na błonie;
Brnę przez te śniegi zdaleka.
Teraz tu do was się chronię,
Raczcie wysłuchać człowieka!
Skarb mnie nie czekał na świecie,
Byłem wśród pracy ubogi;

Teraz już starość mnie gniecie,
Ledwie że noszą mnie nogi,
Wyszedłem żebrać o wschodzie,
Słońce już stacza się z nieba,
Błąkam się dotąd o głodzie,
Ani napoju ni chleba!
Niech was nie gniewa wołanie
Żebraka, co ufa Bogu,
Abym — uchowaj mię panie!
Nie padł tu przy waszym progu!

J. P. T.

Szymon z Zawiśla.

IV.

(Ciąg dalszy.)

Szymon teraz codziennie, skoro tylko powrócił z pola po robocie, zjadłszy wieczerzę wychodził samotnie na brzeg Wisly i tam się przechadzał, patrzył na brzeg przeciwny, wzdychał i dumał nie mogąc oczu oderwać od widoku, który się przed nim rozścielał. Niedaleko chaty Jakubów był nad samą Wisłą podnioślejszy pagórek, z którego widać było jak na dłoni kilka wiosek okolicznych leżących na drugim brzegu rzeki. Owoż na tym pagórku najczęściej Szymon siadywał. Marynka też wychodziła za nim ale widząc go tak zadumanym nie śmiała zagadać do niego, kryła się więc za drzewem i z ukrycia patrzyła na Szymona, on zaś choć ją i dostrzegł czasem to milczał i nie spojrzał na nią ni razu, jeno trzymał oczy wlepione w jeden punkt.

Jednego wieczora kiedy on znowu usiadł według swego zwyczaju na tym pagórku i tak się w jedną stronę wpatrywał Marynka przyszła po cichu i stanęła za nim tak, że jej nie widział. Stoi chwilkę w milczeniu i serce jej bije, boi się spojrzeć w oczy Szymonowi a tem bardziej zagadać do niego aby ją natrętną nie nazwał, ale ją coś ciągnęło aby nań koniecznie popatrzyła; zagląda więc z boku a Szymon ma twarz rękami zakrytą i po rękach łzy mu ciekną z oczu.

Marynka nie mogła już dłużej wytrzymać, zapłakała też głośno i zawołała:

— Szymonie, Szymonie jedyny, czego ty płaczesz? co się tobie stało? co tobie jest takiego?

Szymon się ocknął, ścisnął Marynkę za rękę i rzekł:

— Bóg ci zapłać dziewczyno za twoje litościwe serce. Pytasz mię co mi jest? . . . oj! jest ci mi jest, ledwo serce nie pęknie.

I zadumał się znowu na chwilkę. Marynka przymilając się mu jak siostra bratu, powtarza pytanie.

— Oj nie ma już dla mnie pokoju, nie ma szczęścia dla mnie na tym świecie, rzecze Szymon. Widzisz ty Marynko tam daleko za Wisłą ten pozłocisty krzyżyk na wieży kościółka?

Marynka wytężyła oczy ale blask bił od słońca i nic widzieć nie mogła.

— Nie widzę, odrzekła.

— Nie widzisz? o! to szkoda! ozwie się Szymon; a ja go widzę zawsze choć nawet nie patrzę na niego — bo ten krzyżyk, Marynko kochana, świeci jak gwiazdeczka we dnie i w nocy mojej rodzinnej wiosce Patrz! patrz Marynko, tam kędy ten lasek brzozowy, i pagórki zielone na których złoci się pszenica, to Zawiśle, wieś stokroć piękniejsza jak Trzydniów, a jam się w niej urodził. Tam mię serce ciągnie, choć mię tam skrzywdzono, choć mię z tamtąd wygnano. Tam ja kiedyś gdy starość przyjdzie choć umrzeć muszę, choć spocząć na wieki, gdy żyć nie mogłem szczęśliwy, bo starego dziada z pod kościoła nie wypchną, i pochowają w święconej ziemi. Cóż to za rozkosz dla mnie była przez te dwa lata, którem tu u was przeżył, żem kiedy niekiedy mógł rzucić okiem w tę stronę z której pochodzę, żem się mógł pomodlić właśnie wtenczas, gdy tam na pacierze dzwonili! Teraz pójść muszę Bóg wie gdzie, może za dziesiątą granicę; już ani dzwonka co się tam na wieży kołysze nie usłyszę, ani pozłocistego krzyżyka widzieć nie będę.

— Szymonie, przerwie mu Marynka, ty chcesz gdzieś iść? chcesz nas porzucić?

— Boleśnie mi to dziewczę kochane ale inaczej być nie może.

— A to czemu? oj! widzę ja, widzę że ojcowie jakąś ci krzywdę zrobili, bo ty już oddawna nie taki jak niegdyś.

— Nie zrobili mi twoi ojcowie żadnej krzywdy, owszem wiele mi dobrego wyświadczyli, i o nic żalu do nich nie mam. Wszak to oni przyjęli mię do chaty, gdym nie miał gdzie głowy położyć, wszak obchodzili się ze mną nie jak z parobkiem ale jak z rodzonym synem.

— Więc o cóż ci chodzi? czemu chcesz nas porzucić?

— A ty byś rada Marynko, abym z wami nadal pozostał? zapyta jej Szymon.

— O mój Szymonie, jak możesz o to pytać? czyś ty tego nie widział żem ci zawsze jak bratu życzyła?

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! moja Marynko jedyna. Zostać z wami nie mogę, bo tobie czas pójść zamąż, a póki ja tu będę to nigdy nie pójdziesz; parobcy bowiem myślą że ja się z tobą żenić będę i dla tego żaden po ciebie nie przysyła swatów.

— Co też ty mówisz Szymonie? co tobie w głowie? tybyś miał porzucać nas dla tego abym ja zamąż poszła? Alboż to ja koniecznie muszę pójść zamąż? Alboż mi to źle z ojcami i z tobą? O! ja nigdy zamąż nie pójdę, ani słyszeć o tem nie chcę, jeno ty wybij sobie z głowy te myśli, co cię niepokoją i zostań nadal z nami.

Umilkła Marynka i w oczy popatrzyła Szymonowi, ale on jakby jej nie słuchał, ciągle patrzył przed siebie, na drugi brzeg Wisły, i szukał oczyma tego pozłocistego krzyżyka na kościelnej wieży o którym mówił niedawno, i tak oboje milczeli przez chwilę.

Nagle Szymon się zerwał i skoczył na równe nogi. Marynka się przelękła i też wstała prędko. Zdawało się jej, że tam gdzie Szymon ręką wskazywał jakby na swoją wieś, było widać dym, a w tem on jęknął przeraźliwie, uchwycił się obiema rękami za głowę i jak szalony poleciał ku Wiśle: Dziewczyna przerażona patrzy co z tego dalej będzie, Szymon się rozpędził i z brzegu wskoczył w rzekę.

Marynka wołając za nim po imieniu biegła ku Wiśle i rwała włosy w rozpaczy; tymczasem czerwona czapka Szymona mignęła się kilka razy i utonęła, a on przepłynął Wisłę, wyszedł na brzeg, otrząsł się z wody i niebawem zniknął w gęstwinie.

— O mój mocny Boże! krzyknęła załamując ręce; co ja teraz pocznę nieszczęśliwa! Szymonie, Szymonie jedyny! wołała za nim; zaczekaj chwilkę, tylko jedno słowo ci powiem: ja nie chcę iść zamąż i za nikogo nie pójdę, wróć do nas jak

będziesz mógł, znowu będziemy szczęśliwi jak dawniej. Tylko wróć! wróć bo ja umrę bez ciebie. . .

Tylko echo niosło biednej dziewczynie odpowiedź z jej własnych słów złożoną. Szymon jej nie słyszał, on był już daleko, był już w swojej wiosce rodzinnej i jedno tylko widział przed sobą: pożar kościółka w Zawiślu.

Marynka choć go już dawno straciła z oczu, jeszcze ciągle stała w miejscu z oczyma wlepionemi w tę stronę w którą Szymon poszedł. Może jej się ciągle jeszcze zdawało że go widzi... może jego nagłe zniknięcie poczytywała za senne marzenie, może własnym zmysłom nie dowierzała...

V.

Straszne nieszczęście dotknęło Zawiśle, ową rodzinną wioskę Szymona, za którą on tak tęsknił blisko od lat trzech. Po zachodzie słonka ni ztąd ni z owąd wszczął się pożar w domku kościelnego i nim się ludzie zbiegli na ratunek nie tylko to domostwo zniszczył, ale i kościółka dosięgnął.

Cała wieś ruszyła się na obronę domu bożego, i ze dworu przybiegł pan ze wszystką czeladzią. Sto rąk za przykładem księdza proboszcza wzięło się raźno do roboty.

Jedni znoszą wodę, drudzy palące się głownie rozrywają osękami, inni świętości wynoszą z kościoła; ksiądz proboszcz ludzi zachęca, a sam pan dziedzic kieruje obroną.

Ale wszystko napróżno, wszystkie wysilenia poczciwych kmiotków na nic się nie przydadzą. Płomień wiatrem sycony coraz się bardziej rozszerza, już cały dach w ogniu, już się pali wieża i dzwonnica już trzeszczy.

Straszna łuna świeci na niebie, zmięszane głosy ludzkie rozlegają się daleko.

Ledwie ściany uratować zdołano.

Obrazy, chorągwie i resztę sprzętów kościelnych wyniesiono na cmentarz; tam kilku gospodarzy czuwa nad świętym dobytkiem, a tymczasem inni uwijają się jeszcze na pogorzelisku, bo i tam jeszcze dość jest do roboty.

Zwolna gwar zaczął ustawać ten i ów wrócił do chaty, i słychać już tylko nawoływanie tych, co się do stróży nocnej ofiarowali.

Gdy się to działo, człowiek jakiś cały wodą zmoczony, zdyszany i spocony, z głową odkrytą, szedł drogą od Wisły prowadzącą i zmierzał prosto ku kościółkowi. Szedł zaś ostrożnie, przystając co chwila i nasłuchując jakby się bał aby go nie spostrzeżono. Przyszedłszy pod kościół, padł na kolana, całował ziemię i patrząc z rozrzewnieniem na okopcone szczątki domu Bożego, na przepalone belki, tu i owdzie rozrzucone, zapłakał serdecznemi łzami, tak go snać zasmucił widok spustoszenia na tem świętem miejscu.

Pacierz zmówiwszy, powstał i znowu chyłkiem, między domostwa i ogrody, przez płoty i rowy skradał się ku wsi, co krok oglądając się na wszystkie strony.

Zbliżył się nareszcie ku dość porządnej zagrodzie i stanął jakby już dotarł do celu. Nie idzie jednak do chaty, lecz skrada się ku oknu, i wewnątrz przez nie zagląda. Ale snać nie zobaczył w izbie tego co się tam ujrzeć spodziewał, bo wnet odszedł od okna, i znowu chyłkiem po pod ścianę zbliżył się do węgła, ukrył się za nim, i tak z ukrycia dalejże rozglądać się po podwórku i ku drzwiom chaty ostrożnie rzucać okiem.

We drzwiach stała młoda kobiecina, snać gospodyni tej chaty i maleńką dziecinę usypiała przy piersi. Dostrzegła że ktoś na nią z za węgla zagląda i to ją nie mało zdziwiło i przestraszyło. Czeka chwilkę, myśląc że się może obcy z tamtąd wysunie, ale na próżno. Nie mogąc się doczekać, odniosła dziecko do izby i wróciła sama aby natręta odgonić.

Idzie na róg chaty, zagląda za węgieł, a ostrożnie, bo strach ją zdjął, aliści człowiek tam ukryty, ujrzawszy ją, jakby odwagi nabrał, wysuwa się i ręce ku niej wyciąga. Cofnęła się kobiecina, wpatruje się w przychodnia bo poznać go w ciemności nie może, i zawoła nareszcie, niby sobie jakiegoś nieboszczyka przypominając:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja go chwalę, choć nie jestem duch jeno człowiek żyjący, odpowie przychodzień cichym głosem, prawie szepcąc; a podchodząc ku niej jeszcze bliżej: Ty mię nie poznajesz Halko?

— Czy mię oczy zwodzą? czy doprawdy ciebie widzę braciszku mój kochany?

— Oj nie zwodzą cię oczy, Halko moja droga, jam ci jest twój brat, ale proszę cię jeno mów nieco ciszej, bo przecie rozumiesz, że nie mam ochoty aby mię tu złapali pod oknyma dawnej kochanki.

— Szymonie! braciszku mój jedyny! zawołała, poznawszy wreszcie brata, którego i ty miły czytelniku zapewne także już poznałeś; jak się masz? jak się masz drogi bracie?

Rzuciła mu się na szyję i on ją powitał serdecznym uściskiem.

— O mój braciszku drogi! u nas tu już wszystko inaczej, już się nikogo nie potrzebujesz obawiać, rzecze znowu niewiasta; ale zkąd się ty tu wziąłeś tak niespodzianie? gdzieś się przez te lata obracał? czemuś nam ni razu nie dał wiedzieć o sobie?

— Najprzód ty mi mów o sobie Halko kochana; o jakich to zmianach wspominasz? cóż tu zaszło takiego? co tu robisz w tej chacie, niegdyś naszych ojców...? czy tu służysz może? czy komorą siedzisz? i gdzie Zośka? boć przecie ją i jej męża powinienem tu był zastać a nie ciebie.

— O dużo naraz pytasz braciszku, sama nie wiem od czego zacząć: ale najprzód trzeba ci wiedzieć że jaż nie służę ani tu komorą siedzę, jeno z mężem moim własnym mieszkam i gospodarzę w tej naszej ojcowiźnie. Rok minął jak poszłam za Józefa; pamiętasz go braciszku? On cię zawsze wspomina i serdecznie rad ci będzie. Oj! czemuż go w tej chwili nie ma w chacie. Poszedł do ognia i ani się spodziewa jakiego mamy gościa. Zaraz skoczę po niego.

— Ale gdzie Zośka? gdzie Zośka? pytał Szymon niecierpliwie.

Halka smutno zwiesiła głowę.

— Chcesz wiedzieć gdzie Zośka? rzekła; o! bodajem raczej oniemiała, kiedy to na mnie padło opowiadać ci o niej smutną nowinę, braciszku jedyny. Straszne nieszczęście, straszne nieszczęście! już twojej Zośki więcej nie ujrzysz braciszku, twoja Zośka umarła.

Na te słowa Szymon jakby wrósł w ziemię, jakby skamieniał. Przelękła się Halka, pobiegła ku niemu i chwyciła brata za rękę.

Ocknął się, popatrzył na nią zmienionym wzrokiem.

— Umarła, mówisz? powiedz po prostu, że ją zabił Paweł niecnota, co pewnie tyranem był dla niej a nie mężem, i tak się z nią obchodził jak z nami kiedyśmy byli dziećmi, a on naszym opiekunem.

— Nie, nie; ozwie się Halka prędko, anibyś uwierzył jaki on był dobry dla niej, jak zawsze wszystko z siebie zrobił co tylko chciała; a wszakże i to że mi oddał chatę z całym gruntem i wszystko co nam nasi ojcowie zostawili a on sobie przywłaszczył, to tylko jej robota.

— Więc się przy niej nawrócił stary lis! A gdzie on teraz siedzi?

— Już także na cmentarzu spoczywa, rzecze Halka, z pobożnem westchnieniem; poszedł niedługo za Zośką a jak przykładnie umarł! ksiądz proboszcz spowiadał go i rozgrzeszył.

— Oboje pomarli i ona pierwej od niego i wszystko się skończyło.

A o mnie nie było mowy?

— Była i nie raz, bracie drogi, zwłaszcza skoro nam spuściznę oddawali, ale któż mógł wiedzieć gdzieś ty jest. Gdzież cię było szukać, kiedy nikt nie wiedział co się z tobą stało i różni różnie gadali, a ty opuszczając nas nikomu, ani mnie nawet nie powiedziałeś w którą się stronę obrócisz.

— Nie było wówczas ani chwilki do stracenia, bo wiesz żem wtedy umknął gdy żołnierze po mnie przyszli. Oj! nieboszczyk Paweł umiał dobrze sprawę kręcić; niech mu Bóg tego nie pamięta. A cóż? twego Józefa nie widać?

— Chodźmy do izby braciszku, może się czem posilisz, a ja tymczasem skoczę po niego.

— Idź, idź; niech się ze szwagrem przywitam, ale jeść nic nie będę, chyba się wódki napiję, jeźli ją masz w domu.

— Wódki?

— Dziwisz się siostrzyczko...

— Tyś dawniej nie pił wódki braciszku.

— A tak, dawniej nie piłem, lecz teraz co innego... Zośka umarła... trzeba zapić tę sprawę.

Szymon czy to z zimna czy z wzruszenia drżał jak w febrze i na nogach utrzymać się nie mógł. Halka go wprowadziła do izby i roznieciła ogień. Zajrzał do kołyski

— Ładne wam dziecię dał pan Jezus, a jakie ma imię?

— Także Zosia, odpowie Halka.

— To źle. Jeżli ma być taka szczęśliwa jak tamta, bogdaj się była nie rodziła.

— Oj braciszku, ozwie się Halka, Zośka teraz szczęśliwsza od nas wszystkich, a da pan Jezus, że i ty będziesz jeszcze szczęśliwy.

— Nie na tym świecie, moja kochana... a wreszcie kto wie... może po wódce.

— Zapominasz ty o tem że „siła Bóg może wywrócić w godzinie, lecz kto mu szczerze ufa, nie zaginie."

— A co? jest wódka? Na frasunek dobry trunek! Nie gadaj mi teraz o panu Bogu, bo ja teraz pić będę. Tak, tak; pić i nic innego tylko pić. Ach nic innego, bo cóż począć innego... Zośka umarła...

— Nie mam wódki w domu, pobiegnę po Józefa i po drodze skoczymy do karczmy.

— Biegnij, biegnij żywo, a przynieś jakiej mocnej.

Westchnął.

— Głowa mi cięży... w piersiach ogień pali... oj! oj! Zośka umarła.

Halka odziała się chustką i czemprędzej pobiegła szukać męża. Ale nie prędko wróciła. Godzina minęła, nim go znalazła. Był właśnie na cmentarzu, między tymi co pilnowali świętości z kościoła wyniesionych i miał nawet zostać z nimi przez całą noc.

Obaczywszy żonę w tak spóźnionej godzinie, zadziwił się nie mało, a gdy mu o przybyciu brata rozpowiedziała, zerwał się raźno i zaraz poszedł z nią ku domowi.

W drodze wstąpili do karczmy po wódkę.

Gdy się do chaty zbliżali posłyszeli krzyk swojej maleńkiej Zosi, która płakała rozżalona długą nieobecnością matki. Wchodzą wreszcie do izby i na wielkie swoje zdziwienie zastają brata leżącego na ławie w strasznej niemocy. Gadał od rzeczy i nie poznał nietylko szwagra, ale nawet siostry. Wspominał coś to o Zośce, to o Pawle, to znowu o jakichsiś innych, tu nieznanych osobach, a wszystko bez związku. Na głowę wskazywał, że go boli i na piersi że go tam ogień pali. Miał usta zczerniałe od gorączki i oczy jego błyszczały ogniem gorączkowym. Taka niemoc zdjęła biednego Szymona, że nawet na posłanie nie mógł przejść o własnej sile, jeno siostra ze szwagrem przenieść go i rozebrać musieli.

Zaniosło się biedakowi na długą i ciężką chorobę. Halka i Józef nie kładli się spać przez całą noc jeno siedzieli przy chorym, czuwając nad nim i modląc się za niego.

Halka będąc młodszą od Szymona, mniejszem od niego dzieckiem była, gdy sierotami zostali, za to dłużej od niego jadła ten gorzki chleb sierocy, niby na łasce u opiekuna będąc. Zdawało się że Paweł jako bezdzietny i bezżenny najlepszym będzie dla sierót opiekunem, ale on dla tego tylko podjął się opiekuństwa, aby sieroty zadławić, a ich dziedzictwo zagarnąć. Nie był on też dla biednych dziatek ojcem jak być powinien, ale najsroższym tyranem, katem.

Szymonowi jako chłopcu łatwiej było znieść jego zdziwiania bo mniej jak Halka siedział w domu, a więcej w polu przy robotach, które choć za ciężkie były na dziecko, i siły jego wątłe przechodziły, przecież nie zmarniły go, jeno jak stal zahartowały. Halka zaś co się wycierpiała, ile łez wylała to tylko jej aniołowi stróżowi i Bogu wiadomo.

Za to wszystko nagrodził ją pan Jezus przeznaczając jej na męża Józefa, człeka poczciwego, pracowitego i rozumnego, przy którym wkrótce zapomniała o niedoli jaką w dzieciństwie przeżyła. Józef znał Halkę i Szymona od najmłodszych lat, bo był także z Zawiśla, a chata jego rodziców stała niedaleko tej, w której niegodziwy Paweł wychowywał sieroty; jego matka zaś nieraz stawała w obronie tych dwojga biednych dzieci widząc znęcanie się Pawła nad niemi. (C. d. n.)

Kilka uwag o chowie bydła.

D o b r o ć k r ó w d o m l e k a. Rozliczne są w tym względzie sposoby poznawania, tu wspomnimy o nowszem postrzeżeniu. Pewien wieśniak francuzki wydał pisemko, w którem ogłasza, iż dobroć krowy do mleka, poznać można po rosnącej sierści na udach do g ó r y od wymion; im więcej i na dłuższej przestrzeni wyrasta jej do góry, tem krowa ma być lepsza do mleka, im mniej, tem gorsza, a ta u której rośnie na dół, zupełnie zła. Rozliczne były w tej mierze doświadczenia czynione nader mozolne i nieprzyjemne na kilkudziesięciu krowach, przez członków Towarzystwa rolniczego Szwajcarskiego, które potwierdziło to odkrycie.

O c h ę d o w s t w o o k o ł o b y d ł a. Najlepszego nabiału dost rczają krowy holenderskie, szwajcarskie, angielskie; jednakże piękną ich tuszę i znaczną ilość otrzymywanego od nich wybornego mleka, nie przypisują samej tylko dobroci ich rassy i paszy; ale raczej, wielkiemu a pilnemu ochędowstwu. Codzień wymiatają w owych krajach gnoje, codzień się podściela, i krowy ciągle uwiązane zostają. Chodzenie koło nich jest takie prawie, jak około koni. W jednych miejscach chędożą je zgrzebłami i szczotkami, a w innych używają do tego tylko ścierek słomianych, lecz wszędzie od głowy do nóg ocierają i czyszczą je troskliwie. Przy takiem obchodzeniu się z krowami nie zadziwi nas wcale, że krowa szwajcarska daje codziennie przeszło dziewięć garncy mleka, gdy przeciwnie nasza krowa choćby i najlepsza, zaledwie trzy garnce dostarcza.

P o k a r m d l a k r ó w. Oprócz zwyczajnej paszy, aby krowy wiele mleka dawały, trzeba je karmić owsem, i zwyczajnym ostem z liściami w stępach tłuczonym. Powiększa dojność krów marchew gotowana, i nietylko mleko ale i masło wyborne otrzymuje się wtedy. Rozliczne łąkowe i warzywne rośliny na miazgę utłuczone, wyciskają się, a pozostała reszta wyparza się gorącą wodą. Soki te na długo przechować się dają a zmieszane z napojem dla krów, przyczyniają się do obfitego otrzymywania mleka.

Pokrzywa bardzo użyteczna roślina, choć pospolicie niesłusznie jest zaniedbana, wybornej ona świeżej czy suchej dostarcza krowom paszy, mleko gęściejszem czyni i masło daje żółte i doskonałe w smaku. Gdy się bydłu świeża pokrzywa daje, należy ją małym pręcikiem wybić, aby nie była tak ostrą. Jedzą ją także chętnie konie, owce i trzoda chlewna Mleko przez liście pokrzywy cedzone jest czyściejsze; młode jej listki siekane z otrębami parzone, lub z mąką dawane kurom, kaczkom ułatwiają niesienie jaj; jest także zdrowa pokrzywa dla indycząt, gdy im gardło czerwienieje. Ze starych łodyg nie tylko wyrabiają mocne sznury (bo te łodygi podobne do konopnych wydają włókna), lecz wymoczone i cienko uprzędzone wydają nici nadzwyczajnej piękności i mocy. W chorobach paraliżowych, bicie pokrzywami zmartwiałych części jest przez lekarzy zalecane.

Z nauki zdrowia.

Płynienie krwi z nosa, gdy nie jest zbyt gwałtowne, gdy nie osłabia, nie powinno być tamowane. Często sama to natura wybiere ten sposób krwi puszczania. Wtedy należy pić tylko napoje chłodzące i siedzieć spokojnie, lecz gdy płynienie nie ustaje, gdy przy znacznem osłabieniu twarz blednieje, gdy jest zaćmienie w oczach, bicie serca, szum w uszach, oddech cięższy, nogi i ręce ziębną, trzeba jak najrychlej krew tamować.

Sposoby zatamowania krwi. Należy rozebrawszy chorego, aby nigdzie nie był ściśniony, zaprowadzić do izby chłodnej, posadzić z podniesionemi piersiami i aby nie ściskał brzucha. Moczyć nogi w wodzie letniej z garścią soli, czoło i głowę okładać chustkami maczanemi w wodzie zimnej, do której kwarty dolać octu winnego kwaterkę, soli amoniackiej tłuczonej łut, i saletry dwa łuty. Można także okładać lodem potłuczonym na kawałki, ma chory wsiąkać w nos zimną wodę, w której kwaterce rozpuszczone są dwa łuty ałunu. Pić ma limonadę lub ocet z wodą.

Różności.

Obce języki. „Nasz Polak, mówi Górnicki, dawny pisarz polski, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zamieszkał: jeżeli był we Włoszech, to za każdem słowem *Signore;* jeżeli we Francyi, to *par ma foi*; jeżeli w Hiszpanii, to: *nos otros cavaglieros.* A czasem drugi, chociaż nie będzie w Czechach, jeno że granicę Szlązka przejedzie, już inaczej nię będzie chciał mówić, jedno po Czesku, a czeszczyzna, wie Bóg jaka będzie.“

Ztąd okazuje się, że oddawna Po lacy zamiłowani w językach cudzoziemskich. Każdy przecież nietylko kraj swój rodzinny, ale i język w nim używany, równie jak swoich ziomków kochać powinien. Najlepszym dowodem zamiłowania ziemi ojczystej, jest ojczysta mowa. Każdy język jest najlepszy, najpiękniejszy, najmilszy dla tych, którzy się go z poczęcia nauczyli. Uczyć się nam należy obcych języków, lecz jedynie dla tego, żeby poznać to co zagranicą kraju naszego na uwagę zasługuje, co nam użytek i korzyść z obcych wiadomości przynieść może. Wszędzie w obcych krajach tylko swego rodzinnego używają języka, a nigdy wstręt do własnej mowy nie powstał. Ani wróbel nie naśladuje pieśni kanarka, ani kanarek świergotania wróbla: ale potrzeba pozytywka i niewoli w klatce do przemienienia głosów ptasich na obce dźwięki; tylko nie baczni ludzie wyrzekają się rodzinnej swej mowy.

Zgon rycerza. Za Władysława Łokietka pamiętna zaszła pod Płowcami potyczka, w której wielu naszej dzielnej poległo młodzieży. Między innemi nie zdołał się utrzymać przeciw potędze Krzyżaków Jakób z Szumska kasztelan Żarnowski. Skłutego dzidami zaledwie go swoi na tarczach na miejsce bezpieczne unieśli. Władysław Łokietek zobaczywszy go tak skłutego, pod drzewem złożonego i umierającego prawie z ran odniesionych, zawołał ze łzami: Tyż to więc najpierwszy z naszych dowódzców, opuszczasz swego monarchę w chwili, gdy twoja dzielna prawica mogła przechylić szalę wątpliwego zwycięstwa! — Nie, nie, odrzekł ciężko raniony, i jedną ręką prawicę króla do ust przycisnął a drugą wskazał na niebo. Rzewnemi łzami, żałością przejęty król zapłakał. Panie mój, rzekł gasnącym już głosem Jakób z Szumska, pamiętaj o żonie i dzieciach moich, a puść w niepamięć tego, który odchodzi do Boga. To wymówiszy, skonał.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Jeżeliś zdrów, dziękuj niebu i nikomu żadnych nie zazdrość skarbów; masz bowiem największe z dóbr doczesnych.

Jeśliś chory, nie mów wiele o chorobie twojej; nie znudzisz drugich i sam prędzej o niej zapomnisz.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 13.

1. Maja. 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kaplica Matki Boskiej Loretańskiej w Wojniczu.

Cztery mile za Bochnią a półtorej mili przed Tarnowem przy bitym gościńcu, wiodącym do Lwowa, w pobliżu Dunajca, leży nie wielkie miasto Wojnicz. Dawniej, jak piszą uczeni, istniał tu odwieczny zamek, w którym mieszkał kasztelan, bo Wojnicz z przyległościami stanowił królewszczyznę. W 1655 roku napadł w bliskości miasta Karol Gustaw, król szwedzki, na Stanisława Lanckorońskiego, hetmana polnego koronnego, zwycięża go po krótkiej walce, poczem wojsko kwarciane niegodnym rycerskiego umysłu postępkiem, wierność Szwedom poprzysięga. Szwedzi spalili miasto do szczętu, został tylko modrzewiowy kościół świętego Leonarda 1112 roku wystawiony, podziśdzień jeszcze stojący a w około miasta pozostały okopy, których ślad dotąd widzieć można.

Dzisiejszy kościół farny stanął daleko później.

W południowo zachodniej stronie miasta wznosi się od niepamiętnych czasów dotychczas nie zbyt wysoki pagórek,

pięknie zgrzybiałemi lipami okolony a jak z pokolenia w pokolenie niesie podanie, ma to być mogiła jakiegoś sławnego rycerza z owych czasów kiedy Szwedzi miasto zupełnie zniszczyli.

Między lipami na tym pagórku stał dawniejszemi czasy wielki krzyż kamienny, służący za nagrobek owemu rycerzowi.

Z krzyża nie ma już dziś śladu a o rycerzu mówi podanie, że go kobiety w tem miejscu pochowały a zagrabiwszy wszystkie jego bogactwa, uciekły z niemi do Wielkiej wsi, o ćwierć mili od Wojnicza odległej i na ciągnących się tam wzgórkach usypały okopy i schowawszy się za nie, kamieniami odpierały nieprzyjaciela.

Nasypiska te do dziś dnia się znajdują a wzgórza nazywają ludzie B a b i n i j a, inni b a b i e o k o p y.

Na zachodnio północnej stronie, na tak zwanych Wolicach stała znowu figura Matki Boskiej. W tem miejscu miało być małe miasteczko Zamoście drugie, które się jeszcze dziś nazywa przedmieściem i mieścina Skrzynki.

Gdzie zaś dziś leży Wojnicz, było Zamoście pierwsze czyli dolne a tamto górne. Nazwy te jak się zdaje pochodziły od mostu, który przez Dunajec zawsze prowadził do Tarnowa.

Trzy te mieściny razem nazywały się Trójnik, który gdy Szwedzi ogniem spustoszyli, powstało nowe miasteczko od wojny ze Szwedami Wojniczem przezwane. Przedmieścia jednak są dotąd nazywane: Zamoście dolne i górne. Wolice, jako osada mała, powstały w późniejszym czasie. Podczas konfederacyi zniszczały zupełnie i teraz tylko jeden dom liczą. Owoż z tego powodu przeniesiono z Wolic figurę Matki Boskiej na tak zwane bory czyli łąki i umieszczono ją przy studzience, loretańską nazwanej, z której woda ma być skuteczną na ból oczów. Przy przenoszeniu tej figury 1809 roku utrącono jej przypadkiem główkę i dla tego od owego czasu leżała na dolnem Zamościu pod płotem jako rzecz całkiem nieprzydatna.

Pewnego razu idąc koło płotu mały pastuszek z Łysej góry, wsi o milę od Wojnicza oddalonej, ogląda ową figurę i tak się wreszcie zasmucił, że postanowił dorobić jej głowę.

Jakoż w krótkim czasie dotrzymał słowa. Dorobił bardzo kształtną głowę, poczem figurę wywieziono do Zamościa górnego i ustawiono ją na pagórku, w tem miejscu gdzie się drogi krzyżują. I tu znowu stała czas niejaki.

Gdy zniknął krzyż z mogiły rycerza, w tym właśnie czasie postanowił Gądziński, staruszek bardzo pobożny, figurę Matki Boskiej przenieść na pagórek między lipy, żeby służyła owemu rycerzowi jako nowy nagrobek. Zgodzono się chętnie i figura na nowem stanęła miejscu. Ludzie z radością zwracali na nią swe oczy i często do niej przychodzili. Aby ją jednak uchronić od szkodliwego wpływu śniegu i deszczu, nakrył ją w 1827 roku nauczyciel wojnicki, Franciszek Tomżyński drewnianą kapliczką. Odtąd przychodziły tu procesyje na św. Marek a lud do tego miejsca taką miał wiarę i nabożeństwo, że się co wieczór zgromadzał i spiewał pieśni na cześć Boga Rodzicy, osobliwie podczas cholery 1830 i 1849 roku I dzisiaj spytaj niejednego z Wojnicza a pewnie ci powie:

— O gdyby nie przyczyna Matki Boskiej Loretańskiej nie żyłbym już na świecie!

W 1857 roku pobożna Emilia Lenkiewicz, żona podówczas naczelnika powiatowego, ofiarowała na okrycie Matki Boskiej ślubną suknie morową, a po roku złożyła na ręce księdza Galińskiego 100 reńskich w srebrze na odnowienie figury Najświętszej Panny. Kilku rzeźbiarzy oglądało w tym celu ową figurę, ale żaden nie chciał jej poprawić. Postanowił tedy ksiądz proboszcz odesłać ją do Krakowa do znanego rzeźbiarza Stehlika, ugodziwszy się z nim za odnowę na 60 reńskich. Niektórzy byli temu przeciwni i w tej właśnie porze kilkodniowa nastała burza a więc figurę zatrzymano. Ksiądz proboszcz zakupił za 100 reńskich drzewa na nową kaplicę, ugodzono ludzi do roboty, później wszakże zabrakło dalszego nakładu. Idzie tedy ks. Jan Pergis między ludzi i zbiera składki. Każdy duchem Bożym wiedziony, dawał co mógł. i w krótkim czasie kaplica ukończoną została. Brakowało tylko malarza. W tem przychodzi do Wojnicza wędrowny malarz z Dittelsdorf z Mo-

rawy niejaki Jan Heinrich Tego więc godzą do malowania. Gdy atoli obaczył kaplicę, opowiedział następujące zdarzenie:

— Tego roku chorowałem niebezpiecznie. W chorobie widziałem pagórek i lipy a między niemi postać Matki Boskiej z twarzą brzydką i słyszałem głos: Jeżeli mię odnowisz wyzdrowiejesz. Wyzdrowiawszy puściłem się zaraz na trzeci dzień w podróż i przybyłem do Galicyi nie znając wcale tego kraju. Gdy teraz widzę tę figurę Matki Boskiej, przypominam sobie moje widzenie we śnie i podejmuję się ją odnowić i całą kaplicę odmalować.

Słowa te zeznał ów malarz w przytomności kilku świadków.

I stanęła wnet pięknie ozdobiona kaplica, której odnowienie przeszło 800 reńskich kosztowało, a co przytem uwagi godnego, że nawet żydzi na ten cel wsparcia nie odmawiali. Pomiędzy innymi odznaczył się izraelita Freund, właściciel młyna parowego tuż przy Dunajcu leżącego

Dnia 9. Grudnia 1858 roku odbyło się poświęcenie kaplicy przez J. ks. dziekana Feliksa Borkowskiego a nazajutrz przybyła tu z kościoła farnego uroczysta procesyja, na której przeszło 5000 ludzi znajdować się miało. Ksiądz proboszcz Galiński odprawił tu po raz pierwszy mszę świętą.

Od tego czasu często odprawiają się tu msze święte, lud ochotnie odwiedza miłą kaplicę Królowej niebios, gdzie prawdziwej doznaje pociechy.

Cieszmy się bracia, że na ziemi naszej nie ginie gorąca przodków naszych wiara, toż módlmy się szczerze, aby nam było inaczej.

A kto będzie przejeżdżał miasto Wojnicz, niech wstąpi do owej kaplicy a znajdzie tam oprawiony arkusz, na którym przeczyta, jak wam tu podaję podobnie opisaną historyję figury Matki Boskiej Loretańskiej i kaplicy dla Niej postawionej.

Józef z Bochni.

Szczygiełek ze zbioru pieśni o narodzeniu Pana Jezusa.

Zbywszy próżnych myśli z głowy
Szedłem w gaj bliski lipowy.
Gdy tam rymy tworzę sobie
O Twej matce i o Tobie.
Ten szczygieł do mnie przyleciał;
Więc gdy mi na ramię wzleciał,
Zacznie śpiewać; w tem do niego
Tak rzeknę śpiewającego:
Czego chcesz ptaszku pisany
Płaszczykiem pstrych piór odziany?
On tak powie: — proszę panie,
Niech to mam zawsze śpiewanie,
Weź mię, a zanieś do swego
Jezusa i Matki Jego.
Zanieś małego szczyglika
A oddaj mnie za muzyka.
Sam do Jezusowej ręki,
Będę latał i przez dzięki
Pod stołeczkiem tej dziecinki
Będę zbierał odrobinki,
I pić z kieliszeczka Jego,
Będę się ważył u niego.
A nie chcę służyć inszemu,
Do mej śmierci tylko Jemu.
Choćby też w czem urażony
Kazał mi lecieć w swe strony;
Wolę Go raczej przeprosić,
Niźli się indziej wynosić.
A tak Jezu ptaszka tego,
Dajęć dziwnie powolnego.
Gdy chcesz miej go za muzyka,
Gdy chcesz miej za służebnika.

X. Stan. Grochowski.

Szymon z Zawiśla.

VI.

(Ciąg dalszy.)

Smutną była dla całej rodziny ta pierwsza noc po powrocie Szymona do rodzinnej wioski.

Halka i Józef niecierpliwie wyglądali ranka, bo czy tak czy siak, zawsze człowiek we dnie prędzej sobie jak w nocy poradzi.

Skoro się tylko rozwidniło Józef pospieszył do dworu, kędy zawsze jeszcze najpierwsza ucieczka biednego kmiotka, z prośbą o radę dla chorego.

Pani, bardzo zacna i litościwa osoba, dała zaraz Józefowi lekarstwo dla Szymona i obiecała nawet odwiedzić chorego. Jakoż dotrzymała obietnicy jeszcze tegoż samego dnia, ale skoro tylko zobaczyła Szymona, który pomimo jej leków coraz większej dostawał gorączki, nic już sama radzić nie chciała, jeno czemprędzej kazała posłać do miasteczka po lekarza i nawet list do niego napisała z prośbą aby jak najprędzej przybywał.

Lekarz przybył niebawem i przy cudownej Boskiej pomocy, co nikogo a zwłaszcza biednego nigdy nie opuszcza, poratował Szymona i wybawił go od niechybnej śmierci.

Ale chociaż minęło pierwsze niebezpieczeństwo chory dalekim był jeszcze od zupełnego wyzdrowienia. Choroba Szymona nie małych wymagała starań. Oboje Józefowie pilnie chodzili koło niego we dnie i w nocy, bo po nocach nie sypiał a osobliwie też czuwała nad nim siostra już przez to samo że kobieta i bliższa mu sercem.

Wreszcie minęło dni kilkanaście, gorączka zaczęła Szymona stopniowo opuszczać, odzyskał sen co go znacznie pokrzepiło, a po trzech tygodniach to już widocznie polepszało się mu, choć zawsze jeszcze bardzo powoli.

Wróciła przytomność, już rozmawiał spokojniej i nawet wtedy nie odchodził od zmysłów gdy mu o Zośce mówiono; owszem sam się dopraszał aby mu opowiadano jej pożycie z mężem jej chorobę i śmierć, jakoteż i Pawła, z największą ciekawością wypytywał o wszystko, i słuchał opowiadania siostry z największą uwagą i jak się zdawało z zupełnym spokojem.

Gdy już więcej do sił przyszedł sam też opowiadał siostrze swoje przygody, swoje przybycie do Trzydniowa, swój kilkoletni pobyt w tej wiosce i wszystko co się tyczyło Marynki. Dalej zaś historyę swego nagłego powrotu do Zawiśla, mówiąc że gdy ujrzał łunę na niebie i kłęby dymu ogarniające kościółek w jego rodzinnej wiosce, prawie utracił zmysły i tak na oślep puścił się w pław przez Wisłę, a potem leciał bez upamiętania aż na miejsce pożaru, gdzie zastał ogień już ugaszony, poczem znowu nie mogąc się oprzeć pokusie, skradał się do tej chaty aby na Zośkę choć z daleka popatrzeć.

Później jakby go coraz więcej zajmowało to wszystko co widział w około siebie, nuż znowu wypytywać Józefa o gospodarstwo i opowiadać jak gospodarują w tamtych stronach gdzie on był. I z maleńką Zosią na wielką Halki radość, pobawił się nieraz, a dziecię choć miało ledwie pół roku, już rączki wyciągało i uśmiechało się do niego, co też Szymona niewymownie cieszyło i nieraz rozrzewniło go nawet do łez.

Ten spokój jednak jak o tem Halka przekonała się kilkakrotnie, nie był szczery ale tylko udany, powierzchowny.

Szymon nie chcąc martwić siostry i szwagra, którzy litując się nad nim, wszelkiemi sposobami starali się zagoić jego rozdarte serce, łudził ich pozorną spokojnością i silił się na obojętną rozmowę, na uśmiech nieszczery, ale w myśli miał ustawicznie jedno i to samo: Zośkę swoją której już nigdy nie miał obaczyć.

Tylko ci, co sami podobnego doznali losu, wiedzą co utracił, co czuł i jak cierpiał. Żal nieutulony, łzy w skrytości, cierpienia dla obojętnych niezrozumiałe są codzienną strawą takich biedaków. Długo, długo karmić się nią potrzeba, nim czas nierychły nie uśmierzy cokolwiek boleści, nie podgoi ran, po których wszakże dozgonne blizny zostają i z zawarciem powiek się kończą, pomimo złudzenia, jakiemu się niekiedy cierpiący poddaje. Nie pocieszysz takiego bo on w wszelkich pocieszeniach widzi tylko obojętność i zimne słowa, które więcej przykrości sprawiają, niż ulgi przynoszą — pocieszyć nikt nie potrafi -- Bóg tylko, przymusowe zajęcie się pracą i czas, zbyt nierychły, stają się ulgą w dalekiej przyszłości.

Szymon gdy się już o tyle pokrzepił że mógł z domu wychodzić, wlókł się na cmentarz; niewidziany przez nikogo rozwodził w skrytości żale swoje na grobie Zośki i to sprawiało mu niejaką ulgę. Powtarzało się to codziennie i Halka z Józefem napróżno usiłowali odwieść go od tego.

VII.

Właśnie pod tę porę w Zawiślu rozpoczęły się żniwa. Przy stałej i długotrwającej pogodzie, żyto i pszenica pięknie na pniu dojrzały i kmiecie cieszyli się bogatym plonem. Tu i ówdzie po polach długim szeregiem stają żeńcy do pracy, a choć pot leje się im z czoła, przyśpiewują sobie wesoło.

Świegotliwy skowronek wtoruje im dźwięcznym głosem i wzbijając się pod obłoki coraz wyżej i wyżej, przypominać się zdaje komu za ten chleb święty dzięki składać należy.

Parobcy i dziewki wśód śmiechów i żartów wyprzedzają się na zagonach, sierpy raźno pomykają coraz dalej i dalej, na

polach coraz większe widać pustki a stodoły i brogi coraz się bardziej napełniają: ciężka praca, rolnika wzbogaca.

Gdy się to działo, ksiądz proboszcz i dziedzic Zawiśla dokładali wszelkiego starania aby spalony kościółek mógł być jak najprędzej odbudowany.

Z lasów dworskich zwieziono drzewo, ksiądz proboszcz za własne pieniądze skupował inne rzeczy do budowy potrzebne, a gdy to wszystko nie wystarczyło, cała gromada Zawiśla ze swej strony wedle możności przyczynić się musiała do tego pięknego przedsięwzięcia

Jedni z kmieciów dawali pieniądze, drudzy zobowiązywali się dla chwały boskiej i własnych dusz pożytku darmo pracować przy budowie.

Widząc to Szymon postanowił także ofiarować Bogu pracę rąk swoich Sam stwórca wszech rzeczy natchnął go tą szczęśliwą myślą, która ile była zbawienną wkrótce się pokazało.

Skoro tylko przyszedł do sił o tyle że mógł już robić siekierą, zaraz wziął się do pracy.

Od świtu do zmroku, przez cały dzień Boży pracował przy budowie, nie oszczędzając się bynajmniej i dopiero pod wieczór, gdy inni robotnicy śpieszyli na odpoczynek do gospody, on szedł na chwilę na cmentarz.

Takie życie czynne już dla tego jest najlepszem na wszelki smutek lekarstwem, że myśli człowieka rozrywa, więc też i Szymon, tak ciągle pracując, odzyskiwał po trochu dawną swoją rzeskość i wesołość.

Widząc to Halka, jako dobra siostra nieposiada się z radości i pragnąc szczęścia swego brata, różne zaraz robi układy względem jego dalszego losu i postanowienia o przyszłości, a niechcąc znowu rozstawać się z Szymonem, pragnęła aby się w Zawiślu ożenił. Było tam jak i wszędzie są, wiele dorodnych dziewcząt i Halka rada była aby Szymon pojął którą z nich.

Józef licząc już na to z pewnością, że Szymon na zawsze zostanie w Zawiślu chciał się z nim zawczasu układać o podział albo spłat gruntu i dobytku, on jednak ani słuchać o tem nie chciał, mówiąc że jeszcze na to dość czasu i odwlekał sprawę z dnia na dzień.

Minęło trzy miesiące od czasu jak Szymon tak nagle pojawił się w swojej rodzinnej wiosce. Właśnie w tym czasie skończyło się lato i zaczęły się wyżynki.

W gospodzie brzmi muzyka, młodzież wycina hołubce, krzesze ognia w podkówki i wesoło przyśpiewuje grajkom.

Szymon na to wszystko obojętny, mimo próśb siostry i szwagra nie bierze udziału w pląsach, stroni od śpiewki i grania, pod kościół i na cmentarz ucieka. Ale przecie już tak jak dawniej nie wyrzeka, już się poddaje niedocieczonym wyrokom boskim i na grobie Zośki więcej się modli jak płacze.

Przytem też coraz więcej zastanawia się nad swoją przeszłością, rozważa jakiemi to drogami prowadzi go Pan Bóg i kędy one zmierzają.

Pewnego wieczora, gdy tak znowu według swego zwyczaju siedział i rozmyślał na cmentarzu, zawiał wietrzyk od Wisły, on się popatrzył w tę stronę, popatrzył na brzeg przeciwny, na równiny trzydniowskie.

Tam daleko, daleko, w zielonej kępie drzew bieliła się chata Jakóbów.

Szymon szukał oczyma owego wzgórka z którego dawniej poglądał na swą wioskę rodzinną; dostrzegł go niebawem, dostrzegł nawet i brzozę, z gałęziami smutno ku ziemi zwieszonemi, za którą kryła się Marynka gdy mu swojem natręctwem przykrości zrobić nie chciała; zdało mu się nawet że pod tą brzozą widzi jakiegoś człowieka, białogłowę też ku niemu poglądającą, zdało mu się że i ona go widzi i ręką znać mu o tem daje.

Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Marynką.

Byłażby to ona?

Serce mu się ścisnęło i łza w oku błysnęła Odwrócił się prędko, ukląkł na grobie Zośki i modlił się, a modlił się nie powiem serdeczniej ale znacznie dłużej jak zwykle, bo już dobrze ciemno było gdy klęczek powstał.

Jakby go coś przykuło do tej mogiły, lub jakby ją żegnał po raz ostatni nie mając jej już ujrzeć, oczu nie mógł oderwać od drewnianego krzyża utkwionego na grobie, a co

odszedł kilka kroków to się znowu wracał, patrzał na mogiłę, całował ziemię, łzami ją oblewał i modlił się.

Powstał wreszcie po raz ostatni, nacisnął czapkę na uszy i wyszedł z cmentarza.

Zwrócił się prosto ku domowi. Zbliżając się ku niemu posłyszał z daleka zalatujące go głosy Halki i Józefa którzy snać w trwodze o niego spać się nie kładli, jeno czekali aż powróci. Zdziwili się niezmiernie dostrzegłszy w Szymonie niezwykłą zmianę. Był więcej poważny jak smutny i prosił siostry i szwagra by się jeszcze spać nie kładli bo ma im wiele rzeczy powiedzieć. Zrobili mu to chętnie, ale o czem gadali, i co z tego wynikło, o tem miły czytelniku dowiesz się aż z późniejszego rozdziału.

Właśnie w tym czasie skończyło się trzydzieści dni, które Szymon ofiarował się odrobić przy budowie kościoła.

VIII.

Powiadają że kiedy się człowieka bieda uczepi to zawsze odrazu i rękami i nogami; jakoż prawdę powiadają, bo widzimy między sobą wielu takich, którzy się biedzie na żaden sposób opędzić nie mogą. Snać się ich ona dobrze trzyma. Ale dajmy pokój biedzie, nie budźmy licha kiedy spi, a weźmy się raczej do dalszego ciągu naszego opowiadania.

Czas nam powrócić do Trzydniowa i obaczyć co się dzieje z naszemi dawnemi znajomemi.

Już jesień nastała, liście na drzewach pożółkły i wiatr harce wyprawia na ściernisku. W chacie Jakubów smutno jak i na polu. Odkąd nie stało Szymona, znowu wszystko oporem idzie, roboty leniwo postępują a nim grosz jaki przybędzie do kieszeni gospodarza dziesięć innych pierwej wysypać trzeba. Jakuba znowu i to na dobre czepiła się bieda.

A Marynka?

Zdawało się że po odejściu Szymona wkrótce dostanie męża, ale tak się nie stało, bo młodzież wioskowa postanowiła zemścić się na niej za to że póki miała Szymona ani gadać do nikogo nie chciała i teraz nawzajem żaden z parobków do niej nie zagadał, a tem bardziej nikt nie myślał o wysłaniu

swatów. Owszem wzięli ją ludzie na języki i Bóg nie wie co na nią i na Szymona wygadywali, Bóg nie wie jakim powodom przypisywali jego nagłe zniknięcie z Trzydniowa.

Marynka tak postępowała jakby o to nie dbała, a nawet odzywała się z tem głośno, że nie pójdzie za żadnego trzydniowskiego parobka choćby jej złote góry obiecywał.

Domyślili się rodzice że skoro Marynka nie chce iść w Trzydniowie za mąż, to musi mieć nadzieję, że się z nią ktoś inny ożeni, naprzykład Szymon, tem bardziej gdy na wielkie swoje zmartwienie postrzegli że Marynka tęskni za nim, że się spodziewa jego powrotu, że codzień wybiega na ów pagórek na którym on niegdyś siadywał i ztamtąd za nim czy nie za nim omal oczu nie wypatrzy. Znając w części historyę Szymona, nie spodziewali się aby wrócił, pragnąc więc szczerze jeszcze za swego życia wydać Marynkę za mąż dla jej własnego dobra, martwili się tem że innych odstręcza nie mając o Szymonie żadnej pewności. Dziwiła ich mocno tęsknota Marynki za nim i nie pojmowali zkąd się jej wzięła, nie przypuszczali jednak aby Szymon mógł był dziewczynę bałamucić, skoro im wyraźnie powiedział, że się z nią żenić nie będzie, bo nie może, i skoro ją nareszcie tak niespodziewanie porzucił; nie przypuszczali aby jej robił jakie obietnice i ona sama przyznawała że jej nigdy nic nie obiecywał, że ona i za niego pójść nie myśli, i sama nie wie dla czego spodziewa się jego powrotu.

— Może to źle, albo ja wiem, moi ojcowie drodzy, może to bardzo źle że ja go się spodziewam, tłumaczyła się Marynka; ale ja temu niewinna, dalibóg niewinna; zawsze jakby mi o nim coś do ucha szeptało, co noc śni mi się o nim, a ile razy bryś zaszczeka, czy to we dnie czy w nocy, to we mnie drga wszystko i zrywam się do okna bo mi się zdaje że to on już idzie.

Westchnęła.

Oj smutna moja dola! ja tu tęsknię za nim i wyglądam go bez ustanku a on tam gdzieś daleko między swoimi w szczęściu, może ani pomyśli o powrocie. Nie, nie, to być

nie może, znowu mi coś szepło do ucha że go jeszcze zobaczę. Och on wróci, pewnie wróci.

Słysząc ją tak mówiącą Jakubowie sami nie wiedzieli co począć. Żałowali dziewczyny, litowali się nad nią i podzielali jej cierpienia, więc nie chcieli odbierać jej nadziei; ale z drugiej strony, patrząc na świat trzeźwą myślą i doświadczeńszem okiem, mieli sobie za obowiązek czuwać nad losem ukochanego dziecka, w którem widzieli jedyną swoją na tym świecie pociechę. Ale jakże jedno z drugiem pogodzić? Nie chcieli jej odbierać nadziei aby nie wyrzekała że zamiast ją pocieszyć serce jej rozdzierają, nie chcieli aby ich przestrogi lodem się jej wydały, bo młodym co dopiero żyć zaczynają wszystko jest lodem, każden wyraz rozważny obojętnością zowią, gdy się nie zgadza z ich nadziejami, życzeniami i pragnieniami; więc nie ganili jej tego że tak ni ztąd ni z owąd ciągle o Szymonie myśli ani po niej tego wymagali aby o nim zapomniała, poznali bowiem że to byłoby niepodobieństwem, że Marynka kocha Szymona całem sercem, choć sama o tem nie wie. Ale przestrzegli ją łagodnie i opowiedzieli jako dawniej sami pragnęli wydać ją za Szymona i byliby chętnie wydali gdyby nie to że on sam nie chciał tego.

Rodzicielskie przestrogi były całkiem daremne. Czem człowiek zajęty, czego pragnie, tego mu z pamięci żadna przestroga, żadna uwaga i rada, nie wytrąci. Namiętnością uniesiony, jakby olśniony, nic nie widzi, nie słyszy, nie wierzy. Jestto natura i słabość ludzka. Tak też było z Marynką.

— Albož to ja myślę że on się będzie ze mną żenił? mówiła: Broń Boże! broń Boże! mnie to ani w głowie. Ja nigdy za nikogo nie pójdę, ani nawet za niego. Gdzieżby się też on mógł ze mną żenić! Oj, nie takiej to on żony godzien. Ale dla niego nie ma żony na świecie, żadna go niewarta i on się z żadną żenić nie powinien. Ja go tylko jak brata kocham, jak brata codzień widzieć bym rada, i jak od brata czasem wesołe słówko, czasem pochwałę usłyszeć. Tego ja tylko pragnę, to bym tylko mieć chciała, o! i pewno mieć będę, bo Szymon wróci, obaczycie że wróci.

Tymczasem dnie i tygodnie mijały, a Szymona jak nie było, tak nie było. Nadaremnie tęskni za nim biedna Marynka, nadaremnie codzień wybiega pod wieczór na on wzgórek nad Wisłą i ztamtąd jego powrotu wygląda. Nieraz jej się ściśnie serce z żalu i tęsknoty, nieraz biedaczka omal oczu nie wypłacze — wszystko to nadaremnie, nadaremnie. Ach! cóżby nie dała za to, by się ptaszkiem stać mogła i na skrzydełkach za Wisłę przelecieć. Czasem na drugiej stronie rzeki ujrzy cień jakiś, niby postać ludzką, ku niej zwróconą: długa chwila mija, a postać owa stoi nieruchoma, i jak się Marynce wydaje ciągle na nią pogląda. Marynka się zrywa, wytęża wzrok w tę stronę: nic nie widzi, nic rozpoznać nie może, ale wmawia w siebie że to postać znajoma, że to on! Szle mu dłonią pozdrowienie, prośbę o powrót, nawet pocałunek... postać znika. Znika, lecz po to tylko, aby powrócić następnego wieczoru i znowu jak wczora uwodzić biedne dziewczątko, co już doprawdy rady sobie dać nie mogło.

(Dokończenie nastąpi.)

Dno morskie.

Jakkolwiek woda morska jest jasna i przeźroczysta, nie wszędzie jednak oko dna jego dosięga, z przyczyny niesłychanej gdzieniegdzie głębokości, niepodobnej prawie aż dotąd do zgruntowania. Doświadczenia z ołowianką lub kotwicą na silnej linie utwierdzonemi, nie okazały się odpowiedne zamiarowi, bo konopie jako lżejsze od wody, pływają w niej, albo je woda unosi. Lina bowiem konopna do pewnej głębokości spuszczona w wodę, pływa w głębi wraz z umocowanym do niej ołowiem lub żelazem; przekonano się zaś, że lina 40 do 50 cali obwodu, czyli 12 do 16 cali średnicy mająca, może 70 cetnarów ważącą kotwicę unieść, i z nią w głębi unosić się po wodzie. Chociaż żelazo 7 razy jest cięższe od wody, użyto go jednak na próbę zamiast liny konopnej, biorąc w tym celu drut i kuty łańcuch żelazny, okazało się wszakże, że ten z cienkich nawet ogniwek złożony, jeżliby np. na jeden sążeń ważył tylko funt jeden, to tysiąc sążni takiego łańcucha wy-

nosiłyby 10 cetnarów, którychby wierzchnie na powietrzu nad wodą będące ogniwko, udźwignąć nie zdołało. Na miernej przeto grubości linie z stósunkowym u jej końca ciężarem, udało się nareszcie wymierzyć głębokość morską, jedną milę czyli 4000 sążni wynoszącą; można jednakże nie bez prawdopodobieństwa utrzymywać, że na niektórych miejscach jeszcze jest niższe dno morskie.

Czy w takiej głębi mógłby się człowiek zanurzyć?

Zaledwie może; bo ciśnienie wody nad taką głębokością jest niesłychanie wielkie. Wystawmy sobie słup wody na stopę kwadratową gruby, a 4000 sążni wysokości mający, ten ważyłby przeszło 1300 cetnarów, i takimto ciężarem cisnąłby ów słup na stopę kwadratową; a więc dla zanurzenia się o kilka sążni pod wodą, musiałby człowiek, którego ciało jako lżejsze od wody, w niej się unosi, przywiązywać sobie do nóg kamienie lub żelazo, żeby na dół opadał. Spuszczanie się przeto na dno morskie na 4000 sążni głębokie, z wielu trudnościami jest połączone, bo przymocowane do ciała ludzkiego stósowne, a zatem ogromne ciężary, rozerwałyby je w kawałki; a nadto, jakże wstrzymać oddech w czasie spuszczania się i wypłynięcia na powierzchnię wody? Jak znieść ciśnienie olbrzymiej masy płynnego żywiołu? Dla jaśniejszego poznania tego niepodobieństwa prawie, przypatrzmy się próbom nurków na płytkich miejscach morza poczynionym.

Morze na dnie swojem wielkie ukrywa skarby, które pomimo wszelkich trudności i niebezpieczeństw, wzbudzały w człowieku pragnienie pozyskania bogactw podmorskich. Tu bowiem nęciły do siebie piękne czerwone korale, za ozdobę służące; tu wabiła miłej barwy perła w muszli zawarta, a wyżej od drogich kamieni i złota ceniona. Nierzadko też w czasie rozbicia się wśród burzy okrętu, znaczne skarby i kosztowności w morzu tonęły, a wtedy dla odzyskania ich choć w części, żadne nie zrażały niebezpieczeństwa. Na płytszych miejscach biegli pływacze, zanurzali się odważnie, i nabywali przezto zręczności, ośmielającej ich do puszczania się na większe głębiny. W tym celu brali ze sobą kamienie, z któremi szybko

na dół opadali; poczem bez odetchnienia jak najspieszniej muszle i korale zbierali do kosza, po kilku zaś krótkich chwilach wyciągano ich z dobytym łupem na powierzchnią wody. Nurkowie inne jeszcze odbywają prace; głęboko bowiem w dnie morskiem zagrzęzłe kotwice, wyciągać ułatwiają; używani są także przy zakładaniu fundamentów wodnych budowli itp. ale że dłużej pod wodą zostawać nie mogli, przemyślano więc nad sposobami ułatwienia im wolnego oddechu, przy dłuższem cokolwiek zatrzymaniu się na dnie Oceanu. Wcale proste doświadczenie naprowadziło na sposób oddech ułatwiający. Kiedy dnem do góry przewróconą szklankę do wody wstawimy, to ona się nie zapełni nią zupełnie, bo zawarte w szklance powietrze, ustępuje wprawdzie pod naciskiem płynu do pewnej wysokości, ale już dalej posunąć się mu nie dozwala. Tak więc wielki dzwon szklanny lub blaszany spuszczony do wody, nie mogąc się nią zapełnić, dozwala nurkowi odetchnąć w górze dzwona pozostałem powietrzem, dopóki się to nie zepsuje. Ta myśl naprowadziła do urządzenia dzwonu dla nurków właściwego. Stósownie do ich potrzeby, od góry z boku metalowego dzwonu, umieszczono jak okienko dobrze okitowaną grubą szybę przy krawędzi zaś tegoż dzwonu, utwierdzono ławkę do siedzenia dla nurka, i spuszczano go do wody. Zawarte jednak w dzwonie powietrze psuło się przez dłuższe niem oddychanie, trzeba więc było o wpuszczeniu świeżego do dzwonu powietrza pomyśleć. Na ten koniec przymocowano rurę do dzwonu od góry, połączoną z wężem jak u sikawek aż do okrętu, gdzie ciągle pompowano świeże do dzwonu powietrze, a zepsute poniżej ustępowało.

Później to urządzenie uległo jeszcze ulepszeniu, przez zamianę dzwonu na hełm, który szczelnie przylegający do ciała, wsadza nurek na głowę, i patrzy przez szybki, jak przez szkła okularów. Za pomocą jednej rury pompują powietrze na okręcie do hełmu, drugą zaś wyciągają zepsute; przezto nurek ma ręce i nogi wolne, a pancerz metalowy utrzymuje go na dnie morskiem, w czasie jego zatrudnienia.

Niemiły to pobyt na tym niskim gruncie zbiorowiska wód, wśród gwałtownego ciśnienia zgęszczonego powietrza, którem

nurek oddychać musi i nieswobodniej człowiekowi pod wodą, jak rybie na lądzie; jednakże pomimo tego zanurzający się w morzu, w tem niezmierzonem podwodnem państwie, nie mało różnym napatrzyli się osobliwościom. Nietylko opowiadają nam oni o srebrzystych rybach, o rozliczną barwą lśniących rakach morskich, promieniakach, pławach i mięczakach, o niezliczonej postaci koralach, o różnofarbnych muszlach i ślimakach, ale i o zadziwiającej a właściwej wodnemu żywiołowi roślinności, bo jak mówią nurkowie, niezmierne dna morskiego przestrzenie zalegają mnogie rodzaje traw morskich, porostów wodnych, tu one stanowią pewien rodzaj lasów odwiecznych, puszcz i kniei a tam przedstawiają rozległe łąki i pastwiska. Rośliny morskie po większej części wzbijają się od dna samego, aż nad powierzchnią morza w postaci wstąg już szerokich, już wązkich, i to w najrozmaitszych kolorach. Między temi pływającemi w wodzie nitkami, rurkami, wstęgami, uwijają się igrające ryby tak podobnie, jak tu na lądzie wesołe ptactwo buja po gałęziach drzew zielonych lasów.

Wszędzie aż do głębin morza, świat jest piękny i uroczy!

Rozmaitości.

Staropolska przypowieść.

W Polsce nie braknie żelaza do broni,
Ani rycerstwa do koni;
Nie braknie żyta, ani lnu, pszenicy,
I pełnej wina szklanicy.

Zdanie z dawnego rękopismu.

U konia stawaj z przodu, u armaty stawaj w tyle, u stołu siadaj w pośrodku, a w hałasach i zwadach, jak najdalej. Bo koń z przodu nie uderzy, a armata z tyłu; w pośrodku stołu każdej potrawy dosiężesz, a daleki od zwady guza nie oberwiesz.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski, pierwszy kardynał polski rzekł Władysławowi gardzącemu ubogo ubranym: Miłościwy królu! tak w purpurze jak i w pakłaku, jedna wełna.

To pan, co chciwość utrzyma na wodzy.

Kłamcy i prawdę potem mówiącemu, nikt nie wierzy.

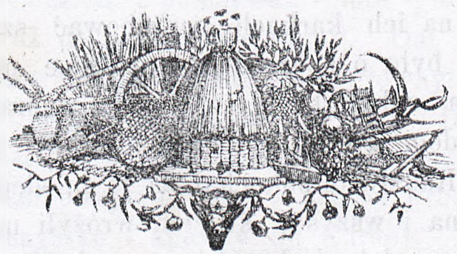
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 14.

11. Maja. 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Przygody Krzysztofa Arciszewskiego.

Po wszystkie czasy żyli w Polsce ludzie wielkich zdolności, którzy czynami swemi wsławiali się nawet daleko poza granicami ojczyzny, i stawali się tam przedmiotem podziwu i uwielbienia. Jednym z tych był Krzysztof Arciszewski którego przygody jednak uczą nas, że na trwałą wdzięczność za zasługi w obczyznie położone, nigdy liczyć nie można; z początku udają że gotowi uczynić wszystko dla cudzoziemca który przychodzi swoje zdolności poświęcić, ale gdy zapał ochłodnie, gdy cudzoziemiec stanie się mniej potrzebnym, stają się dla niego zimni, obojętni, poniżają jego zasługi, a najczęściej czarną wypłacają się mu niewdzięcznością. Wówczas mąż wielki z głębokim żalem w sercu wraca do ojczyzny, radby z duszy przysłużyć się jej jeszcze więcej niż obcym — ale zdrowie i siły, gdzieindziej stargane, nie pozwalają.

Krzysztof Arciszewski żył przed dwieście kilkudziesięciu laty, jeszcze za panowania królów polskich Zygmunta III. i jego syna Władysława IV. Skoro ukończył szkoły, oddano go na dwór księcia Krzysztofa Radziwiłła sławnego wojownika

i pod jego okiem ćwiczył się w sztuce wojskowej, do której wielkie okazywał zdolności. Szlachetny młodzieniec pałający gorącą miłością ojczyzny, pragnął jak najprędzej zmierzyć się z jej wrogami i na ich karkach popróbować szabli swojej i ręki. Nie trudno było o sposobność i wkrótce pod rozkazami księcia Radziwiłła odbył kilka świetnych wypraw przeciwko Tatarom i Szwedom a dał wszędzie dowody niepospolitego męztwa. Książę Radziwiłł pokochał za to młodego Krzysztofa jak rodzonego syna i wszyscy świetną wróżyli mu przyszłość. Wtem zaszedł wypadek nadspodziewany który wywarł stanowczy wpływ na całe dalsze jego życie.

Wróciwszy po wojnie do zagrody domowej, zastał rodzinę swoją pozbawioną całego mienia skutkiem nieszczęśliwego procesu. Tknięty do żywego tą klęską Krzysztof, uniósł się popędliwością i zamordował sprawcę tego nieszczęścia. Po tym czynie nic mu nie pozostawało jak opuścić kraj rodzinny gdzie musiał się lękać sprawiedliwości. I odtąd rozpoczął życie na nowo, daleko od swoich, w tęsknocie i żalu — życie tem boleśniejsze, ponieważ ani nadziei mieć nie mógł aby mu kiedykolwiek jego czyn zapomniano i powrócić dozwolono — a był jeszcze młodym, gdyż liczył zaledwie lat trzydzieści. Nie zginął on wprawdzie między obcymi, ponieważ dawny jego wódz, książę Radziwiłł ciągle się nim opiekował chociaż z oddalenia, ale nazawsze pożegnać się musiał z młodzieńczemi nadziejami, na zawsze wyrzec się musiał myśli służenia własnej ojczyźnie.

Krzysztof Arciszewski udał się najprzód do Holandyi i tu zaciągnął się do wojska. Ale ponieważ król polski domagał się aby go wydano, uszedł do Francyi. I tu także odznaczył się niepospolicie jako dzielny żołnierz. Po skończonej wojnie popłynął znowu z wojskiem holenderskiem do Ameryki i tam cudów waleczności dokazywał na wojnie. Ile razy jego rad usłuchano, zawsze zwyciężono, co mu w krótkim czasie wielką sławę w całym świecie zjednało. Gdy po śmierci króla Zygmunta III. został królem jego syn Władysław IV. sława Arciszewskiego była już tak głośną że i w Polsce o niej mówiono. Król Władysław umiejąc cenić zdolności, postanowił przebaczyć

mu wszystko, jeżeli do kraju powróci i ojczyznie służyć będzie. Arciszewski powrócił natychmiast do Europy ale Holendrzy puścić go nie chcieli i obiecywali złote góry byle pozostał w ich służbie aż do skończenia wojny. Dał się uprosić Arciszewski i mianowany pułkownikiem i głównym wodzem wszystkich wojsk odpłynął znowu do Ameryki. Ile zwycięztw odniósł, ile miast i zamków zdobył, tego prawie niepodobna wyliczyć. W tem otrzymuje nowy list od króla polskiego. Porzuca więc wszystko i spieszy do Europy. Jakże świetnego doznał w Holandyi przyjęcia! Wybito nawet medal na pamiątkę jego świetnych czynów, a jego portrety, opisy jego żywota i czynów, rozchwytywano w całym świecie - wszyscy królowie zapraszali go do siebie, ofiarując najwyższe dostojeństwa; ale Arciszewski trwał ciągle w zamiarze powrócenia do ojczyzny. Holendrzy więc chcąc go koniecznie zatrzymać, zrobili go jenerałem artyleryi z pensyą dwadzieścia tysięcy dukatów i obiecywali zrobić go wkrótce wielkorządcą wszystkich swoich posiadłości w Ameryce. Jeszcze tym razem dał się skusić Arciszewski i znowu popłynął za morze, ale nie na długo. Wielkorządca tamtych krajów przewidując że wkrótce będzie musiał ustąpić Arciszewskiemu swego miejsca — nie tylko mu tysiące wyrządzał przykrości ale co gorsza oczerniał go. Powiodły mu się niecne zabiegi. Arciszewski który zresztą nie był już koniecznie potrzebnym, został odwołany, uwolniony ze służby i bardzo oziemble pożegnany. Ta niesprawiedliwość i niewdzięczność przyprawiła go o kilkoletnią chorobę.

Przyszedłszy do zdrowia już się ani chwili nie ociągał, jeno coprędzej wracał do ojczyzny której lat 23 nie widział. Pomimo tyloletniej nieobecności, nie wygasło w jego sercu przywiązanie do rodzinnej ziemi, to jedno go tylko bolało że mogąc już tak dawno powrócić, nie uczynił tego pierwej. Przebywającemu tak długo pomiędzy obcymi, pod obcem niebem, jakże miłą musiała być woń ojczystego powietrza, jakąż radością musiał serce jego napełnić dźwięk tak dawno niesłyszanej mowy rodzinnej. To też z wezbranem uczuciem witał starożytne grody i piękne wioski nasze a dostrzegając tu i owdzie ślady niedawnej wojny, układał w myśli plany przy-

szłych wypraw na nieprzyjaciół swojej ojczyzny. O! bo Arciszewski nie wracał dla odpoczynku po trudach; o! nie. Ożyły w nim na nowo wszystkie marzenia młodzieńcze i w myśli widział się już naczelnikiem dziarskich hufców, spieszących na Szweda lub Tatara.

Król Władysław przebaczył mu wszystko i powitał go z radością. Arciszewski został mianowany jenerałem artyleryi koronnej z pensyą znaczną a choć nie taką jaką od Holendrów pobierał, była mu ona milszą, stokroć milszą. Służbę swoją w ojczyznie rozpoczął od zaprowadzenia w wojsku ładu i porządku, a była to praca nie lada i tylko taki mąż jak Arciszewski mógł jej podołać. Jego bowiem zadaniem było nietylko całą artyleryę w kraju urządzić ale oraz dochody i wydatki ustanowić, wszystkiego doglądać, nad wszystkiem czuwać co się tylko zbrojowni i armat tyczyło. A wielka zaprowadzenia takiego porządku była potrzeba, w owym czasie bowiem przygasał w Polakach dawny duch rycerski, dawny zapał dla świętej sprawy ojczyzny. Już się zepsucie w narodzie szerzyć poczynało a za zepsuciem idzie obojętność na wszystko i smutna bezsilność.

Po śmierci króla Władysława wybuchły w Polsce straszne zaburzenia którym nowy król Jan Kazimierz nie mógł żadną miarą podołać. Zbuntowani Kozacy w sojuszu z Turkami i Tatarami straszne spustoszenie szerzyli po kraju. Arciszewskiego zdolności nie wiele niestety przydać się mogły, bo jeden nie mógł starczyć za tysiące. Wreszcie Arciszewski, choć najlepszemi ożywiony chęciami, był znękany trudami i cierpieniami, schorzały, stary, a w dodatku, butna młodzież nie chciała słuchać rad jego. Pomimo tego wszystkiego kilkakrotnie jeszcze przysłużył się ojczyznie, zwłaszcza kierując obroną miasta Lwowa gdy je niezliczona ćma Kozaków, Turków i Tatarów obległa. Byłby jeszcze więcej dokazał gdyby go słuchać chciano, ale tak to zwykle bywa na świecie że młodzi nie ufają doświadczeniu starego, i wolą spuszczać się na własne siły.

Widząc to Arciszewski zabolał ciężko i prosił króla aby go od dalszej służby uwolnił. Co gdy się stało, przeniósł się

do krewnych mieszkających pod Gdańskiem i ostatnie kilka lat życia przepędził w domowej zaciszy.

Wspomnę tu jeszcze o jego pogrzebie który był równie osobliwym jak całe życie tego wielkiego męża. Oto gdy go chowano w mieście Lesznie, wybuchł pożar w kościele, właśnie w chwili gdy zwłoki do podziemiów spuszczano. Ratunek był niepodobny, jakoż cały kościół zgorzał a z nim i zwłoki Arciszewskiego.

WDZIĘCZNOŚĆ.

Co to jest wdzięczność? uczucie nie słowa —
To — co się w duszy głęboko odzywa:
Niemy co nie wie, jak brzmi ludzka mowa,
Pamięcią serca tę cnotę nazywa.
Wdzięcznością nie są przysługi wzajemne,
Przez nie się tylko życzliwość obudzi...
Wdzięczność prawdziwa ma drogi tajemne,
Lecz nie od wszystkich dostrzeżone ludzi.
Jeżli po jakim poczciwym uczynku,
Jałmużnie z serca — której nikt nie głosi,
Nikt ani dzięku, ani upominku,
Ani pokłonu tobie nie przynosi —
To znak — że wdzięczność poszła dalej.. wyżej!
Że już pod świętą zostaje opieką —
I w ów czas bywa nas ona najbliżej,
Gdy nam się zdaje — że bardzo daleko!
A nieraz kiedy, modląc się z pokorą,
Uczujesz w duszy jakiś pokój błogi...
I nie wiesz zkąd się te natchnienia biorą?
To ci przez niebo — dziękuje ubogi!...

O! gdzież te czasy pokoju, prostoty,
Kiedy Bóg zapłać — wymówione z wiarą,
Najmilszą było nagrodą dla cnoty,
Najświętszą było ubogich ofiarą!...

G. Puz...na.

Szymon z Zawiśla.

IX.

(Dokończenie.)

Aliści gdy tak pewnego razu Marynka siedziała na onym pagórku z okiem wytężonem ku drugiemu brzegowi Wisły, ujrzała po tamtej stronie łódź wielką i kilku ludzi którzy się koło niej krzątali.

Jeden z nich przyniósł pęk choiny świeżej, drudzy odebrali go od niego i stroili łódź zielonemi gałązkami.

Zdziwiona temi nigdy nie widzianemi przygotowaniami Marynka z szczególniejszą niespokojnością oczekiwała końca.

Nie długo czekała.

Ukazało się na brzegu znowu kilku innych ludzi. Jeden niósł basy, drugi skrzypce, trzeci flet, a tuż za nimi postępowała gromadka mężczyzn i kobiet, młodzieży i dziatwy z wieńcami i bukietami weselnemi.

Marynka zapłoniła się.

— O Boże, szepnęła sama do siebie; może i on jest pomiędzy niemi!

Wytężyła wzrok, wpatrywała się w każdą twarz; nadaremnie. Było zbyt daleko aby mogła rysy rozróżnić.

Czeka więc znowu i niecierpliwi się, aż oto muzykanci wsiadają na łódź i grać zaczynają.

Inni, na brzegu stojący podają sobie ręce jakby się żegnali, pojedyncze słowa wiatr porywa i niesie na tę stronę, ale to słowa bez związku, z szumem wiatru i wody zmieszane, nic zrozumieć nie można.

Wtem rozstępuje się gromadka, kilku ludzi a między nimi kobieta jakby z dziecięciem na ręku, wsiadają na łódź.

Podnoszą się wiosła, jeszcze jedno szczęść Boże zabrzmiało na brzegu, ruszyli i płyną.

A gdzie płyną?

Marynka się zerwała i śledzi łódź oczyma, a uszyma chwyta dźwięki dolatującej ją muzyki. Jakże jej miłe to granie! Przypomina sobie Szymonowe piosnki, cieszy się, sama

nie wie czego, łzy jej gwałtem także niewiedzieć czego, cisną się do oczu.

— Któż to taki? i poco tu płynie? mówi Marynka sama do siebie.

— Może to on? może to on doprawdy?

Przetarła czoło ręką.

— Nie nie, to być nie może. A jeżeli to on jest w istocie o! to nie do nas on płynie. Po cóż tyle ludzi? na co muzyka? na co to zdobienie łodzi? Czyliż my tego warci?

Stoi i czeka jeszcze.

Wiosła pracują żwawo, ale Wisła szeroka, łódź na środku dopiero.

Marynka wpatruje się, bliżej ku wodzie podbiega, szuka oczyma tego którego ujrzeć pragnie.

— To on! to on! wykrzykła wreszcie i klasnęła w dłonie z radości.

Wnet umilkła, jakby oczom własnym nie wierzyła i wpatruje się jeszcze.

Tymczasem łódź się przybliża coraz bardziej i bardziej, coraz wyraźniej słychać wesołe skrzypki i poważne basy. Marynka już pewna że się nie myli, w miejscu dostać nie może, bieży do chaty, jak szalona wpada do izby, rzuca się w matki objęcia.

— Matko droga... tam na łodzi... on jest... muzyka... ludzie z nim jacyś... już tu... już na brzeg wysiedli...

Zerwie się matka zdziwiona:

— Co mówisz? Bóg z tobą dziewczę! czy cię rozum odbiega? Jaka łódź? gdzie on?

Jakób wyjrzy za okno, aż oto pod wrotami odezwie się muzyka i pieśń.

W izbie nastała głęboka, uroczysta cisza. Marynka słuchala pieśni z ustami wpół otwartemi, jakby do uśmiechu, stojąc na środku izby głęboko zamyślona jakby skamieniała.

Słowa i dźwięki pieśni wdzierały się jej do głębi serca, z oczu łzy płynęły.

O jakże pieśń ta była miłą a oraz i smutną dla Marynki. Miłą jej była, bo jej zwiastowała szczęście największe, związek

dozgonny z tym dla którego miała uczucie gorącé choć dotąd sobie nieznane nawet z nazwiska, a smutną, bo zwiastowała jej bliskie zerwanie z szczęśliwą przeszłością, nowe obowiązki i trudy.

Wreszcie pieśń ucichła, skrzypła zapora, wszedł Szymon z Józefem i Halką których przywiódł aby poznali przyszłą jego rodzinę, i z dwoma drużbami.

Powitanie było krótkie, ale i serdeczne. Józef wytłumaczywszy należycie Szymona dla czego dawniej nie przyjął ręki Marynki gdy mu ją dobrowolnie ofiarowano, prosił teraz o nią uroczyście dla Szymona, a gdy i rodzice zezwolili i dziewczyna przeciwną się nie okazała, na wszystkich licach wesołość zabłysła i bez zwłoki odbyły się zaręczyny.

Młodzież trzydniowska domyślając się co zaszło w chacie Jakubów, ciekawością zdjęta gromadziła się w podwórku, i cisnęła koło okien. Parobcy i dziewki niecierpliwie oczekiwali aż rodzice młodą parę pobłogosławią, i zazdrościli Marynce Szymona a Szymonowi Marynki. Panna młoda postrzegła gości, a że w szczęściu zwykle złe zapominamy, i Marynka więc widząc się szczęśliwą, z serca przebaczyła sąsiadom i sąsiadkom doznane od nich przykrości, i mile powitała rówieśników.

Muzyka zabrzmiała krakowiaka, podwórko uprzątnięto czemprędzej i rozpoczęły się ochocze tany które przez całą noc trwały.

Przy wieczerzy do której wszystkich zaproszono, obiegały gęste wiwaty za zdrowie państwa młodych, gospodarstwa, przybyłych gości i całej rodziny.

Wschód słońca przerwał miłą i wesołą zabawę; każdy z biesiadników pospieszył do codziennej pracy, a Halka z Józefem odpłynęli z powrotem do domu. Szymon pozostał już na tej stronie. Wkrótce po zaręczynach wyszły i zapowiedzi a niebawem odbyło się i wesele na które znowu Halka z Józefem przybyli.

Szymon ożeniwszy się z Marynką jeszcze pilniej jak dawniej pracuje na gruncie i jest najrządniejszym gospodarzem w całym Trzydniowie, a Marynka, już teraz jego żona najrządniejszą gospodynią.

*

Ukończywszy moją powieść, w lat parę po tych wypadkach, postanowiłem udać się jeszcze do Trzydniowa, aby się na miejscu przekonać czy mi nie wypadnie dodać co lub odmienić.

Szczególniejszem zrządzeniem losu przybyłem tam w bardzo smutną chwilę bo właśnie wtedy, gdy się odbywał pogrzeb rodziców Marynki, którzy oboje w jednym dniu, ba jednej godziny umarli.

Śmierć, zwykły to koniec wszystkich ludzi, nikt się od niej nie wykupi, każdego z nas po kolei zabierze, pomyślałem sobie i pobożnie zmówiłem Anioł pański za duszę zmarłych. Snać Jakubowie dopełniwszy tu już wszystkich swoich obowiązków, nie mieli co robić na świecie kiedy ich Pan Bóg powołał do swojej chwały. Stało się, jak Bóg chciał.

Gdym sobie tak myślał, nadeszło kilku dobrze mi znanych gospodarzy trzydniowskich którzy właśnie rozmawiali z sobą o Jakubach; przybliżywszy się do nich, usłyszałem wiele dziwnych rzeczy o śmierci tych poczciwych ludzi, co też tutaj dodaję.

Jakubowie wydawszy Marynkę za Szymona, zdali na niego całe gospodarstwo, a nie mając już sił do pracy usunęli się zupełnie od trudów gospodarskich. Tęsknota po jedynym synu Szymku, co zginął w wojsku, już ich tak nie dręczyła. Przykładne pożycie Marynki i Szymona, ich zabiegłość i praca, dobroć ich serca i odbierane dowody przywiązania, wszystko to cieszyło i rozrywało starców, a doczekanie się wnuka i do tego Szymusia, ocuciło ich i zmniejszyło ich boleść i cierpienie z dotkliwej straty pochodzące. Nigdy jednak zupełnie o nim zapomnieć nie mogli i — nie mogąc opłakiwać syna na jego własnym grobie, bo Bóg wie gdzie on tam spoczywał, jeżli w ogóle mają gdzie spoczynek kości biednego żołnierza, w nieprzyjacielskim kraju pogrzebionego — pod kościołem, przy drzwiach zamkniętych siadywali i tam na modlitwie i płaczu spędzali niejeden wieczór; tam też znaleziono ich oboje bez duszy. Gdy ich rozbierano po śmierci, znaleziono u Jakuba na piersiach ukrytą czerwoną rogatywkę, tę samą którą Szymuś nosił nim przywdział mundur wojacki, a u Jakubowej koszulkę z niemowlęcia, prawdopodobnie tę samą

w którą ukochanego Szymusia, wydawszy go na świat, po raz pierwszy odziała.

Musiały to być dla nich bardzo drogie pamiątki kiedy się tak z niemi aż do ostatniego tchu życia nie rozdzielali, więc ich im i po śmierci nie odebrano i wraz z niemi do trumien włożono.

Stanisław Krakowczyk.

Zakład powszechny z hojnie zastawionemi dla wszystkich stołami.

I.

I jakiż to przez ludzi założony, chociażby i najdostatniejszy zakład dla nakarmienia bliźnich, lub uraczenia przybyłych gości, dałby się porównać z wielką zastawą, jaką nasz wszechwładny Twórca wszechświata, dla swoich stworzeń na Ziemi żyjących urządził, i do użycia zgotował? Tu w każdej chwili i we dnie i w nocy, miliony życiem obdarzonych istot poją się i karmią; jedni goście wcześniej, a drudzy później przychodzą, a zawsze tak hojny wszystkiego dostatek, że dla każdego ulubiona potrawa w chwili jego nadejścia, już gotowa czeka na niego. Tu biesiadują wielcy i mali, silni i słabi, a nawet i chorzy znajdują tu wszystko przed sobą zastawione, co do ich wzmocnienia i uleczenia jest pomocne; i nim się potrzeba okaże, już dla nich dawno obmyślana ulga.

I czemże była obfitość na dworze króla Salomona, w porównaniu z nadmiarem dostatków i bogactw w wielkiem gospodarstwie przyrody? a jednak nic się tu nie uroni na próżno, żadna kruszyna, żadna kropelka z jej darów nie zmarnuje się daremnie, najmniejszy jej podarek znajdzie swego stołownika: co wielcy pozostawią, to idzie w pożytek dla małych; co jedni od siebie odrzucą, to drudzy z chciwością zabiorą, a coby tym obrzydzenie sprawiało, lub dla nich było trucizną, to znowu dla innych zbawiennym jest pokarmem.

U Indyan w Azyi aż dotąd wyznających bałwochwalstwo, wzbronione jest nienależącym do stanu kapłańskiego być obecnym w czasie obiadu bramina (kapłana), a tem bardziej nie

wolno jeść i pić obcemu z tego samego naczynia i kubka. Tak i na naszej Ziemi zachowuje się pewien porządek pomiędzy żyjącemi istotami, które tajemnie odbywają swoje biesiady, i nigdy swej misy nie ukażą drugiemu. Ten zwyczaj szczególniej daje się widzieć w królestwie roślinnem. Ani bramin nie ukrywa staranniej swej izby jadalnej, jak drzewo w głębi ziemi rozkładając swoje korzenie, tajemniczo bierze niemi pokarmy, bo i jakież oko człowieka, albo sokoła zdołałoby dostrzedz kwas węglowy, lub parę wodną w powietrzu, którą to przecież karmi się ów kaktus, co na litej skale swe soczyste liście i kwiaty rozwija, i mięsiste wydaje owoce. I samo z siebie wynika, że ani zwierz, ani człowiek nie nasyciliby się przy tej samej, co i wysoka palma zastawie; żadne albowiem z nich nie przestałoby na samem powietrzu, rosie niebieskiej i na zgniłym, wilgotnym gruncie. Stół przy którym macierzyńskie siły i soki ziemi, równie jak i światło słoneczne w tym celu karmią i poją królestwo roślinne, aby winna latorośl, owoce i napój wydała, a kłos zbożowy na mąkę pszeniczną lub żytnią posłużył, jest i będzie dla takich jak my gości, na zawsze niedostępny i tajemniczy.

II.

Pieczołowitość przyrody o zwierzęta, mające utrudnione wyszukanie sobie pokarmów.

Do zastawy większej części zwierząt, badawczemu naszemu oku, dozwolony jest przystęp, i urządzenie wielkiego zakładu ugoszczenia bywa dla nas zrozumialsze. Na pierwszym względzie należy mieć młode i niedołężne, a niezdolne do wyszukania sobie strawy, zwierzątka, którym nietylko pożywienie dostarczać potrzeba, ale nadto karmić je należy. Miłość rodziców wyświadcza tę przysługę młodemu, słabemu i jeszcze nieopierzonemu ptakowi; zwierzęta zaś pozbawione pieczy rodzicielskiej, a przytem bezwładne, doznają opieki daleko dzielniejszej i skuteczniejszej, niżeli wszelka miłość macierzyńska. Ostryga podobnie jak inne mięczaki, silnie przyczepia się do skały; nie ma ona oczów i nic takiego, coby właściwą głowę

stanowiło, ma tylko usta okazujące chęć do jedzenia, a ciało, dla utrzymania życia, wymagające pokarmu; a jednak dosyć jest, żeby tylko swoje skorupy otwarła, a głód swój zaspokoi niebawnie Robaczek w orzechu (strąkowiec orzechowy), zamieniający się następnie w chrząszczyka, z przyczyny nóg pieńkowatych, zbyt krótkich, żleby na tem wyszedł, jeżliby za pożywieniem musiał wychodzić, ale on (jak ów chłopiec w bajce, co to w olbrzymim pączku zamknięty, żywił się i nasycał jego ścianami, dopóki się na dzienne nie wydostał światło), siedzi sobie wygodnie w słodkiem ziarnie, i zajada nie ruszając się z miejsca. Wten sposób większa część poczwarek bezpośrednio mają swój pokarm pod usta podstawiony, lub przynajmniej nie daleko po niego sięgają.

Ale nietylko dla tak zwanych zwierząt niższego rzędu, ułatwiła dobroczynna natura dogodną, bezpośrednią pomoc, ale i dla zwierząt doskonalszego składu, jeżeli dla nieudatnych nóg lub innych przyczyn doznają przeszkody w łatwem wyszukaniu sobie pożywienia, obmyślane są zasobne szpitale i miejsca dobroczynne, ułatwiające im utrzymanie się przy życiu. Leniwiec np. niezdolny do swobodnego chodzenia, nie mało ucierpiałby głodu, nimby go zaspokoił. Tak więc gęsto liściami pokryte drzewa, na których długiemi pazurami wygodnie utrzymać się i wspinać może, są dla niego domem inwalidów, dostarczającym mu dostatnio pokarmu. Mrówkojad znowu nie potrzebuje na swój posiłek liści drzew, ale owadów; jakżeby więc użył swych z długiemi pazurami nóg, jeżliby mu przyszło gonić za drobnym a rączym owadem? Dlatego to więc inwalida, wśród samej pustyni, liczne są i obficie zastawione stoły, i tylko zbliżyć się mu potrzeba, żeby się bez utrudzenia nakarmił. Tym stołem są mrowiska, które ostremi rozkopuje pazurami, a potem swój lipki język między roje małych a zwinnych zwierzątek zapuszcza, a gdy ten po kilku chwilach cały pokryje się mrówkami, wciąga go i żywy połyka przysmaczek.

Nawet i ptaki oprócz nóg i skrzydłami do ruchu opatrzone, według potrzeby doznają ułatwienia w uzyskaniu żywności, a często w najdziwniejszy sposób. W porównaniu

z gęsicą (warzechą), i czapla zbyt mało do chwytania ryb usposobiona, używa przemysłu; rybki albowiem przyrodzony jej odchód za przysmaczek poczytujące, zgromadzają się licznie około jej nóg, i służą gościowi za pokarm do zaspokojenia jego głodu. Nietoperz mało ma czasu do polowania, bo długi czas zimowy przesypia, a w lecie kiedy najwięcej dla siebie i swego potomstwa potrzebuje, noc bywa krótka. Ale połów jego nocny jest zato obfitszy, jak innych zwierząt owadożernych, we dnie polujących. Bo przy zmroku i ciemności nocnej, napotyka na tłuste i mięsiste pieczenie ciemek, maików i wiele innych chrząszczów. Sowa w obwodzie swego pobytu przez inne drapieżne ptaki, pozbawiona łupu, dopiero po odbytej biesiedzie, i rozejściu się nasyconych już gości, przychodzi do stołu; ale i o tym później nadeszłym gościu nie zapomniano, a chociaż jej wzrok nie sięga tak daleko jak sokoła, to przecież po sąsiednich polach i łąkach, wyborne w wielkiej ilości przygotowane dla niej znajdują się przekąski, a krótki nawet czas zmierzchu i nocy dostatecznie ją z jej młodemi nasycić może; bo właśnie przy zapadającym zmroku, przy świetle księżyca i pierwszym dnia brzasku gromady polnych myszy, jako najdelikatniejsza zwierzyna, na rozległe na paszę błonie wychodzą, i łatwą stają się puszczyków zdobyczą, gdy tymczasem wielki puhacz z równem powodzeniem na dzikie króliki i młode zające napada.

Zaiste nie dźwięk donośnego dzwonu wzywa na naznaczoną godzinę do właściwego, stołu i przygotowanej biesiady, ale głos sprowadzający tam zwierzęta, gdzie o ich nasyceniu miano staranie, silniejszy on jest zapewne, niżby go zmysłem dosłyszeć było można; przebiega on bowiem przez morza i kraje, przez wszystkie sfery nadziemskiego stworzenia. I zwierzęta nie dosłyszą tego głosu samym zewnętrznym zmysłem, ale tylko zmysłem wewnętrznym; bo chociaż ptak wędrowny ma oko bystre i w dalekie strony spogląda; choć obdarzony ostrym słuchem i delikatnem powonieniem, za zbliżeniem się jednak zimy pozbawiającej go wszystkiego, co do utrzymania życia jest potrzebne, jego zdrowe zmysły mało, lub wcale mu nie przydatne. Chociaż na szczycie najwyższego drzewa, lub skały nadbrzeżnej usiędzie, i daleko poza morze swój wzrok wytęży,

nie dojrzy przecież kraju na zimową porę przeznaczonego dla siebie. Popęd do wędrówki i ptaka w klatce, gdzie wszakże i chłodne powietrze jesienne i niedostatek pokarmu uczuć się mu nie daje, tak nieprzepartą siłą ogarnia, iż we dnie i w nocy nie doznaje spokoju; młoda kukułka chociaż własnych swych rodziców nie widziała, odlatuje natychmiast jak tylko z ludzkiego uwięzienia wydostać się może, instynktem do wędrówki parta, leci prosto na południe do ciepłego kraju. I bez wątpienia, ten pociąg do zastawnej biesiady w dalekich stronach dla wędrowca przygotowanej, jest niezrównanie silniejszy, niż to okazuje do skały przyczepiona ostryga, przez otwarcie ust dla otrzymania pokarmu; ale równie ptak, jak i ostryga ślepo idą za głosem twórczym, który je do bytu i życia powołał.

III.

Rośliny z szkodliwych nawet pierwiastków, użyteczne dla zwierząt wyrabiają pokarmy.

Co do licznych dań, któremi się w wielkiej gospodarce przyrodzenia, szczególne rodzaje zwierząt ugaszczają, zastawione potrawy co do swej istoty i przyrządu, są tak rozmaite jak jak goście raczący się niemi. Królestwo roślin służy na utrzymanie zwierząt szczególniej na polu żyjących, w braku bowiem roślin, zwierzęta mięsożerne ostaćby się nie mogły. Rośliny lądowe równie jak morskie, przez tajemnicze pobieranie pokarmów, tak zwierzętom na lądzie, jak i w morzu, swoich sił i soków żywotnych hojnie użyczają.

Rośliny są w stosownym dla siebie żywiole, czy to w wodzie, czy na powietrzu, gdy mają właściwy sobie stopień ciepła i światło słoneczne, i gdy wszędzie znajdują to, co im do bytu potrzebne Woda i pierwiastki powietrza i ziemi, za pokarm roślinom służące, wszędzie na północy i na południu, na wschodzie i na zachodzie są zawsze te same, i żadnej więcej nie potrzebują przyprawy, prócz światła słonecznego i ciepła. Królestwo zwierząt znowu wybredniejsze jest; wymaga bowiem rozlicznego w składzie swoim pożywienia. Każdy prawie rodzaj karmi się w różny sposób przyrządzonym pokarmem w naczyniach i

kuchni roślinnej, lub ciała zwierzęcego. Gdyby człowiekowi, psu lub owcy, zamiast właściwego im pokarmu, zastawiono polewkę z wody i pierwiastków znajdujących się w powietrzu i gruncie błotnistym, wtedy wszystko troje: człowiek, pies i owca, nie tknęliby się tej zastawy, i z głoduby poginęli. Lecz gdy te same pierwiastki przerobią się w roślinie na listki i łodygi trawy i koniczyny, na mączkę w ziemniaku, na ziarno pszeniczne lub w owoce drzewa, lub winnej latorośli, i dostatecznie się przyrządzą; albo w dalszem przekształceniu w żołądku zwierzęcia zamienią się w krew i mięso, mleko i ser, wtedy człowiek, pies i owca będą z takiego pokarmu zadowolone.

A jak to niżej jeszcze wydatniej zobaczymy, przekonamy się, że królestwo zwierzęce, kiedy w gościnę do królestwa roślinnego przychodzi, nie stołuje się za darmo, ale hojnie za jadło wypłaca monetą wprawdzie, dla odbierającego tylko, a nic dającego wartość mającą, bo — dla dawcy — nie tylko ta zapłata taniej przychodzi, niż dla Europejczyka perełki szklanne, albo muszelki morskie, któremi murzynom za owoce i drób płaci, ale nadto całe królestwo zwierząt wyginąćby musiało, nie pozbywszy z siebie tego ciężaru. Tym zaś ciężarem jest kwas węglowy, któren zwierz z każdem odetchnieniem wyziewać jest znaglony, jeżeli nie chce wystawić się na uduszenie. I właśnie to, co zwierzę z tym powietrznym oddechem, albo pod inną postacią z siebie wypycha, jest kwas węglowy, który wciąga roślina, jako istotne dla niej pożywienie. Lecz od tego dla naszych postrzeżeń odleglejszego stołu służebnego królestwa roślin, zwracamy się do bliższej nam zastawy pańskiej, jaka dla zwierząt jest zgotowana. (Dok. nast.)

Niedziela w Londynie.

W Londynie największem w Europie, bo do trzech milionów ludności obejmującem mieście, ruch, wrzawa, zgiełk, nieustannie wijące się tłumy najrozmaitszemi czynnościami zajęte, a na każdem spotykane miejscu, przez cały przeciąg dni roboczych całego tygodnia, nie ustają na chwilę, i zaledwie późna noc przerywa to hałaśliwe rojenie się w zabiegłej pracy roboczego ludu, w tej olbrzymiej potężnego państwa stolicy. Ale raz w tygodniu panuje w Londynie zupełny spokój i cisza powszechna. Jest to uroczysty spoczynek niedzielny. Wszelki gwar, wszelkie zabiegi, zachody, w tym uświęconym dniu

ustają; dzień przez Pana na święcenie postanowiony, z najgłębszem odbywa się uszanowaniem Całe niezmierzone miasto uciszone, jakby wymarłe, ulice, rynki próżne, milczące, głuche. Olbrzymie okna w sklepach kupieckich wszędzie zamknięte, i starannie pozasłaniane; wozy nie skrzypią, żadna czynność dnia powszedniego nie zajmuje nikogo, a każden cały tydzień trudem dziennym w pocie czoła uznojony, nie chciałby pozbawić się błogosławieństwa okazującego się w błogiej wypoczynku chwili. Wszelkie zgiełkliwe zabawy jak i wystawniejsze biesiady odkładają się zwykle na dnie powszednie.

Przy rozpoczęciu się nabożeństwa przedpołudniowego, zaczynają się wszystkie ożywiać ulice. Zewsząd jak najtroskliwiej przybrani mieszkańcy spieszą do świątyni. Sta kościołów, między któremi i kaplic nie mało, nie wystarczają dla milionów ludu, a sta tysięcy, choć słyszą wzywania ich do domu Bożego, nie mogą się dla braku miejsca, w świątyni Pańskiej ukorzyć. Od dawnego dość czasu odbywa się w Londynie publiczne pod gołem niebem dla uboższego ludu nabożeństwo, z stosowną w kazaniach nauką, a nie rzadko, tysiące zgromadzonych słuchaczów, korzystają z wykładu świętej nauki.

W pogodnych dniach świątecznych, zwykle po południu cała Tamiza łodziami jest pokryta, które zasiedziałych przy tygodniowej pracy mieszkańców na otwarte miejsca rozwożą, a szczególniej do rozkosznych ogrodów w zachodniej stronie miasta położonych. Znakomici i majętniejsi w powozach udają się do pobliskich wsi, i często przed kościołem wiejskim, liczne dają się widzieć zaprzęgi, zaniedbania bowiem służby Bożej nie dopuszczają się tam lekkomyślnie.

Chrześciański przyjaciel ludzkości przed niedawnym czasem, założył stósowny dla żeglarzy kościół: jestto wielki na Tamizie stojący okręt, którego całe wnętrze urządzone jest na dom Boży, 600 osób pomieścić w sobie mogący. Tu wieczorem w niedzielę i święta dla zajętych służbą okrętową majtków, i dla rodzin nad brzegiem rzeki zamieszkałych, odbywa się stósowne do powołania żeglarza nabożeństwo. I nie jeden w burzach życia zahartowany majtek, czuje swojego serca wzruszenie, gdy ma wskazaną gwiazdę przewodnią go wiary, nadziei i miłości, wiodącą na nieomylną drogę, na wybrzeża do przystani wiecznego pokoju.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 15.

21. Maja. 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szyldwach Moskiewski.

Słońce rzucało ostatnie pożegnawcze promienie na dwór w Ustroniu, a Jacuś którego przyodziana świeżo liberya zmieniła nie do poznania, przechadzał się z założonemi rękami po kawalerskim swego pana pokoju i mówił sam do siebie:

— Już to, że mój pan jest wielki głupiec, to ani słowa; bo jużcić wziąść największego z całej wsi urwisza i złodzieja, ubrać go od stóp do głów i pozwoli mu uwijać się po pokoju gdzie w każdym kącie jest coś do ukradzenia, to przecież nie bardzo rozumnie. Dobry mój pan, to prawda, ale biedaczysko ma zajączki. No, cóż robić? ja go nie będę uczył rozumu... Ale i ja, niedawno psami szczwany w całej wsi, byłbym także wielkim głupcem, gdybym, dostawszy się tutaj, nie okradł tego waryata. Ba. ale tak byle co ukraść i uciec, to nie sztuka; trzeba coś mądrzejszego wymyśleć.

Zbliżył się do komody.

— Tu są pieniądze... ale będzie ich więcej gdy pan powróci z jarmarku.

W tej chwili trzask z bicza przed gankiem oznajmił przyjazd pana. Jacuś wybiegł przed ganek. Z wózka różne rzeczy do pokoju znoszono, a Jacuś, z natury niesłychanie ciekawy, troskliwie każdą rzecz obwąchywał.

Nie długo po wieczerzy pan drogą znużony położył się i wszyscy w całym dworze posnęli. Tylko Jacuś czuwał. Związał starannie wszystkie swoje rzeczy i był już całkiem gotów do drogi, tylko pieniędzy brakowało Skrada się więc po cichu do pokoju w którym stała owa komoda kusicielka, wyciąga rękę uzbrojoną w siekierkę ku szufladzie aby ją podważyć — a wtem...

O mało nie zemdlał ze strachu — nie wiedział co się z nim stało ale czuł, że go coś jak w kleszcze złapało. Długa chwila minęła zanim odzyskał przytomność. Ostrożnie podniósł rękę i namacał żelazo.

— Więc to ta maszyna, którą pan dziś przywiózł... no, patrzcie... ktoby się był spodziewał... Mój pan jak widzę zwąchał pismo nosem; patrzcie się, ma rozum.. no, a ja myślałem że on...

Dalejże teraz próbować czyby nie można jakim sposobem wyskoczyć z tych żelaznych kleszczów które go trzymały. Nadaremnie!

— A żeby cię... cóż ja teraz pocznę? To mądrala!

Po długiem szarpaniu się poznał biedak że wszystko napróżno, stał więc w żelazach do rana nie mogąc się ruszyć, skruszony, drżący.

— A ty niegodziwcze, zawołał pan wchodząc rano do pokoju: tak mi się wypłacasz za moje dobrodziejstwo? Poczekajże teraz, sprawię ja ci bankiet...

Jacuś stał z przymrużonemi oczyma a głowa mu leciała, a twarz ogniem pałała. Widocznie dostał gorączki ze strachu czy z znużenia, on, któremu dawniej całonocna włóczęga po cudzych lamusach do zdrowia służyła; ha! cóż w tem dziwnego, wydelikatniał na dworskim chlebie.

Pan go wydobył z łapki ale widząc co się z nim dzieje przebaczył przynajmniej na teraz, kazał mu się wprawdzie położyć, ale do łóżka; że zaś gorączka coraz się bardziej wzma-

gała, posłał po lekarza, sam mu własną ręką lekarstwa podawał — a gdy Jacuś po kilku dniach zaczął odzyskiwać rumieńce, dalejże prawić mu morały: nie leż między drzwi bo sobie palec przyskrzypisz...

Czy te morały skutkowały, dziedzic Ustronia nie mógł się przekonać, bo Jacuś nie długo już służył po wyzdrowieniu. Właśnie w tym czasie wybierano we wsi rekruta — z innymi wzięto i Jacusia pomimo starań dobrego pana. Że się w służbie sołdackiej wyćwiczył na tęgiego złodzieja któż będzie wątpił, kto tylko zna Moskwę i jej system. Utonął jednak w tem mrowisku które się armią carska nazywa że i słych o nim zaginął. We wsi nikt go nie żałował, bo każdemu dał się we znaki. O! nie przesadzał on wcale gdy się chełpił sam przed sobą, że był w całej wsi największym urwiszem i złodziejem; ale dziedzic wziął go do dworu nie z głupoty, o! nie; spodziewał się on że tym sposobem uczyni go nieszkodliwym, a obchodząc się z nim z szczególniejszą ludzkością, miał nadzieję że go z czasem przywiąże do siebie.

Kilka lat minęło. W królestwie wybuchło powstanie. Dziedzic Ustronia poszedł także na Moskala, ale w pierwszej utarczce padł ciężko ranny obok wielu towarzyszy, co się z kijami zerwali na olbrzyma. Nie pomogło bohaterstwo! Moskale plac boju zdobyli. Żołnierstwo pijane dobijało bez litości rannych bohaterów i obdzierało.

I do naszego znajomego z Ustronia przyskoczył żołnierz, a widząc że jeszcze żywy zamierzył się bagnetem aby go przebić.

— Tylko nie męcz mię długo, zawołał konający gasnącym głosem

O dziwo! żołnierz na ten głos wstrzymał się jakby piorunem rażony i pilnie wpatrywał się w swoją ofiarę, jakby poznawał.

— To pan! A... zawołał po polsku.

Ranny roztworzył oczy, ale je wnet przymknął obojętnie

— Zabij, zabij, rzekł z cicha, tylko od razu.

Żołnierz czeka jakby się namyślał. Łańcuszek u zegarka łechce co w oczy — wyciągnął po niego rękę pożądliwie, ale

ją wnet cofnął. Postrzegł kilka pierścionków na palcu... już nie mógł dłużej wytrzymać. Drugi raz się zamierzył ale wnet znowu opuścił bagnet i stał milczący, zadumany. Długo tak stał, patrzył, milczał, dumał, aż nakoniec łza mu się z oka potoczyła... chciał coś mówić — ale w tej chwili pobudka zabrzmiała. Służba pierwsza — musiał się oddalić; a dziedzic z Ustronia tymczasem dogorywał powoli. Nikt nie przyszedł z pomocą rannemu. W wojsku moskiewskiem nie ma zwyczaju ratować konających na połu bitwy powstańców. Grzebią ich razem z poległymi, ale może to i lepiej, bo krótsza męczarnia.

W chwilę potem słońce zaszło. Na pobojowisku zrobiło się szaro, a niebawem zupełnie ciemno. I nastała cisza przerywana od czasu do czasu jękiem konającego bohatera, chrapaniem dogorywającego konia lub odgłosem hasła moskiewskiego.

Do jednego z poległych czy konających przybliżył się szyldwach, poruszył go ręką i rzekł z cicha:

— Jeszcze ciepły!

Potem obejrzał się w koło, a nie widząc nikogo dobył flaszkę z wódką i przemocą wlał konającemu kilka kropli.

Dziedzic Ustronia otworzył oczy, a żołnierz mówił głosem drżącym od wzruszenia:

— Panie, czy pan nie poznaje Jacka, to ja, dawny lokaj... o mój panie! mój dobry panie.. czy pan pamięta?

Ranny zrobił ruch głową, może na znak że sobie przypomina, ale milczał. Żołnierz mówił dalej:

— O mój dobry panie... ta moskiewska służba... o! przeklęta godzina w której na świat przyszedłem... o! czemu mię nie ukamienowali we wsi! czemuś mię panie w kawałki nie porąbał kiedyś mię złapał na kradzieży!... gdyby to jeszcze...

W tej chwili ranny po długiem mocowaniu się z sobą wyjąkał:

— Dzięki ci bracie... bądź zdrów... i skonał.

Nadaremno żołnierz trząsł nim jeszcze... Widząc że dusza uleciała, ukląkł i przeżegnał się. Chciał mówić pacierz, ale

słowa nie szły... może od wzruszenia nie mógł się modlić, może nie umiał.. po chwili rzucił się na martwe zwłoki dawnego pana i gorącemi oblewał je łzami.

Wtem znowu zabrzmiało hasło — zerwał się prędko.

Stanisław Krakowczyk.

Pierwsze przykazanie Boże *).

Gdzie się tylko wiara szerzy,
Każdy czuje, każdy wierzy,
Że Bóg jeden rządzi w niebie
I zasila nas w potrzebie.
Aby jednak nie pobłądzić,
Dobrze w życiu swem się rządzić,
Dał nam z łaski przykazania,
W których daje do poznania
Jako Jemu służyć trzeba,
By mieć zawsze łaskę z nieba;
Jak szanować wolę Jego —
Jako kochać trza bliźniego;
Co w żywocie mamy czynić,
Aby nigdy nie zawinić,
Jak się sprawiać, jak się ćwiczyć,
Aby niebo odziedziczyć.

* *
*

A więc czyja jest ochota,
Niechaj ucho swe nakłania:
— Jeźli chce wnijść do żywota,
Chowaj zawsze przykazania...
Nic bezemnie nie możecie —
Tak rzekł Jezus, gdy na świecie
Uczył ludzi z swej miłości,
By ich przywieść do światłości.
Pełnij, bracie, przykazania
W ciągu twego tutaj trwania,
Nie dla oka lub honoru,
Nie dla zysku lub pozoru,
Lecz z miłości Pana Boga —
A zasługa będzie błoga.
Nie majątek lub uroda,
Nie znaczenie albo moda,
Nie świecidła na twej szacie
Mają wartość — miły bracie!
Ale piękne, prawe czyny
Zdobić mogą ziemskie syny.
Czyn więc piękny — to ozdoba,
Pewnie Bogu się podoba;
Bądź też zawsze dobry, prawy,
Pan Bóg będzie Ci łaskawy.
Wszystko czyń na jego chwałę
Przez twe życie, bracie, całe,
Aby zawsze był chwalony...
A żeś bracie tak stworzony,
Że masz Bogu być podobnym,
Bądź w uczynkach twych nadobnym.

* *
*

O gdzie wiary duch nie wieje,
To inaczej się tam dzieje;
Bo gdzie Pan Bóg jest nieznany,
Lud tam pewnie czci bałwany,
Jak u dzikich widzim ludów...
Lud tak nie zna Bożych cudów,
Nizko stoi, miły bracie,

---

*) Wyjątek z dziełka, które niebawem wyjdzie z druku p. t.: Dziesięć przykazań Bożych — dla ludu przez Józefa z Bochni.

I w przemyśle i oświacie,
Przed bałwanem czołem bije —
Jak nie człowiek marnie żyje...
I przodkowie w dawnych czasach
Mieli bożków swoich w lasach,
Ich błagali w hołdzie, cześci,
I w radości i boleści,
Lecz kamienne, martwe bogi
W chacie, lesie, pośród drogi
Stały sobie, ot by stały —
Ludzi wspierać nie umiały.
Aż jak mówi powieść stara,
Gdy do przodków przyszła wiara,
Lud w jednego wierzył Boga,
Toż i dola była błoga;
Prysły więzy pęt ciemności,
I lud Boży rósł w zacności,
Bóg na niego łaski leje —
By upiększył swoje dzieje.
Toż z dopustu, łaski nieba,
Stanął dzielny lud jak trzeba.
A świątynia każda stara
Wskaże jaką u nas wiara,
To też wiary takiej przecie
Nie odszukasz w całym świecie.

* * *

Że Bóg jeden nami rządzi,
Każdy wierzy — przecież błądzi,
Przeciw Bogu wtedy wierzy
I nie czci Go jak należy —
Kto ma przedmiot ulubiony:
Plotki wróżek, zabobony;
Wierzy w gusła, w jakieś czary,
Lub gdy ceni coś bez miary;
Gdy rzecz jaka tak mu droga,
Że przenosi ją nad Boga...
Oto jego są bałwany;
Pierwsze niźli Bóg kochany.
Kto nie ufa i rozpacza,
Srogo Bogu tem uwłacza.
Kto swym żądzom czyni wiele,
Rzadko jawi się w kościele,
I modlitwy zaniedbuje,
Grzechów swoich nie żałuje,
Albo chwiejny bywa w wierze —
Ten nie kocha Boga szczerze,
Co z miłości nami rządzi
A po śmierci nas osądzi.

* * *

Choć Bóg bracie nie ma ciała,
Rzecz to przecie zrozumiała —
Że najlepszą ma on wolę,
Patrzy na łzy, na niedolę,
I dobrego chętnie wspiera,
Ciężkie jarzmo mu odbiera.
Więc takiemu włos nie spada,
Nie narzeka i nie biada.
Pan Bóg stworzył niebo, ziemię,
Wszystkie twory, ludzkie plemię,
I rośliny tak nadobne —
Nic u Niego niepodobne.
O najlepszy to Pan w niebie!
On zasila nas w potrzebie,
Daje zdrowie i dostatki,
Błogosławi nasze chatki,
Daje życie a w słabości
Skraca bole, kto ufności
Doń nie traci, lecz Go błaga
On takiemu dopomaga.
A jest wszędzie, koło Ciebie,
I na ziemi i na niebie,
Wszystko widzi, patrzy wszędzie,
Wie co było, jest i będzie,
Wie, co w głowie twej się dzieje,
Czy kto płacze czy się śmieje,
Czy kto zemstę, zdradę knuje,
Czy drugiego oszukuje,
Czy nie cierpi miłej zgody
I dla drugich pragnie szkody;
Co kto robi, jak kto żyje —
Nic się przed Nim nie ukryje.
Czyń więc dobrze mój kochany,

Bo Bóg bracie oszukany
Być nie może; gdy źle czynisz,
Sam się tylko przed Nim winisz.
Pan Bóg dobre chętnie widzi,
Złem się bracie bardzo brzydzi;
On w swych sprawach niepojęty,
Toż śpiewamy: Święty, Święty!
Bóg za dobre los osładza,
Złe karaniem wynagradza,
A choć czasem złe się mnoży —
Bóg je w czasie upokorzy,
Boć on zawsze sprawiedliwy
I dla dobrych litościwy;
On nam zesłał swego Syna,
By zginęła nasza wina;
W sakramencie gładzi grzechy,
Aby sercom dać pociechy,
Łaską swoją nas wzbogacić,
By żywota nie utracić;
I Anioła Stróża daje,
Który zawsze przy nas staje...
Bóg jest wieczny — był i będzie
Jak jest: w niebie, wśród nas, wszę-
Abyśmy Go znali, czcili, [dzie,
I kochali i wielbili.

Myśl więc, bracie, myśl o Panu
Wedle mocy twego stanu,
Dziękuj, módl się szczerze bracie,
I w kościele, w polu, chacie,
Wielbij zawsze Pana Boga,
Bo ztąd korzyść duszy błoga.
A czy zła lub szczęsna dola,
Wołaj: Stań się Twoja wola!
Kto się pieczy Jego poda,
Nie spotka go żadna szkoda.
Wierz więc w Niego, czyń co każe,
A w zasługi twej wymiarze
Życie twoje wypogodzi —
A po śmierci wynagrodzi
Tem, co oko nie widziało
Ani ucho nie słyszało.
Święć się wielki Boże w niebie!
Wszędzie, wszędzie niechaj Ciebie
Każde sławi, czci stworzenie;
Przyjmij od nas uwielbienie,
Niech się święci imię Twoje,
Bo Ty tylko ślesz łask zdroje!
Miej nad nami królowanie —
Ode złego zbaw nas Panie!

Józef z Bochni.

Zakład powszechny z hojnie zastawionemi dla wszystkich stołami.

IV.

Proste i urozmaicone pokarmy, praca dla drugich.

Wiele rodzajów zwierząt przestaje na jednej i tej samej zawsze potrawie, jak np. na liściach lub owocach pewnego gatunku roślin, i tylko potrzebą znaglone, dla zaspokojenia głodu wyszukują innych, podobne soki do ich ulubionego dania mających. Inne znowu zwierząt rodzaje, mają smak wybredniejszy, lubią i przysposabiają dla odmiany rozliczne potrawy, biorąc je z przeróżnych gatunków roślin po polach i

łąkach rosnących, a człowiek oprócz wielu jarzyn, ziarn i soczystych owoców, do orzeźwienia mu służących, potrzebuje jeszcze na dodatek mięsa, mleka, jaj itp.

Dla zaspokojenia tak licznych zachcianek, łatwo sobie człowiek w tym względzie zaradza, bo nietylko do zbierania, gotowania i pieczenia ludzkich rąk używa, ale nawet uobyczajony Europejczyk ze wszystkich części świata, otrzymuje plon pracy i zachodu swych bliźnich, a i zwierzęta muszą mu pomagać do przysposobienia tego, czego do swej kuchni i spiżarni potrzebuje. Dla niego sokoł poluje w powietrzu; kruk morski (kormoran) z metalowym na szyi pierścieniem, żeby sam nie pochłaniał łupu, łowi mu ryby; pies napędza mu zwierzęta i wyszukuje w ziemi ukrytych trufli; pszczoła oddaje część swojego miodu, wiewiórka i skrzeczek dzielą się swoim spichlerzem. Nietylko jednakże człowiek, ale niekiedy i zwierzę uwygodnia sobie życie, znaglając inne do pracy i zbierania pokarmów dla siebie. Tak gromady mszyc obsiadają delikatne liście i pąki niektórych roślin, jak zielone pastwiska, i tak pilnie wyciągają z nich soki, że ich nader pulchne od tylnej części ciało, w miarę pokarmu coraz bardziej nabrzmiewa. Ten nadmiar pełności ich ciała, jest mrówkom do wyżywienia swego potomstwa wielce dogodny, bo po lekkiem ujęciu dwóch rurek czyli sęczków przy końcu ciała umieszczonych, wydobywa się z nich pożywny płyn cukrowy, który skrzętne pracownice pyszczkami zbierają i młode swoje karmią wychowanki. Są wprawdzie między mrówkami takie, co innego rodzaju mrówki, jak gdyby niższego stanu, biorą przemocą do swoich usług, a zdając na nie wszelką pracę, im budowę mrowisk, zbieranie pożywienia, im nawet pielęgnowanie swych młodych polecają. A przecież południowo-afrykańska kukułka ludzkiej nawet wzywa pomocy, żeby się dostać do zamkniętych spichlerzy pszczół dzikich. I z pomiędzy ptaków mięsem ryb żyjących, niektóre mało się połowem zajmują, ale tę pracę na inne zdając ptaki, zdobyty przez nie łup z gardziela im wydzierają.

V.

Przezorność we właściwem miejscu i czasie.

Wyjątkowe korzystanie z dostatku i sił drugiego, i zabór choć w części jego pożywienia, nie nadweręża bynajmniej porządku w wielkim i pięknym zakładzie stołowni przyrodzenia Tu dla każdego gościa osobna zastawa i odmienny czas wyznaczony; bo gdy z długą szyją girafa, obfity pokarm wysoko w liściach i gałązkach akacyi znajduje, delikatna, rącza gazela żywi się roślinami na ziemi wzrosłemi. Dla niej daremnie zielenią się soczyste liście wyniosłych drzew, bo niedostępne są one dla niej; przeciwnie zaś schylanie się po rośliny na ziemi usłane, byłoby dla girafy zbyt uciążliwe. Jej głowa wysoko do góry wzniesiona, łatwo rozłożystych dosięga konarów, a długi język ułatwia jej przyciąganie wyższych na pokarm gałązek. Snieguła odwiedzająca nas niekiedy porą zimową, bez przeszkody od innych gości, spożywa swój obiad; idąc zaś za popędem wewnętrznym, odlatuje na lato na skały morskie w dalekie północy okolice, a obfitujące w krótkiem lecie w prosownicę, jedyną karm tego rodzaju ptaków. Kiedy krzywonos w głębi swej istoty wśród zimy instynktem wiedziony, z dalekich stron do ojczystych sosnowych lasów przybywa, to właśnie wtedy w szyszkach sosien i jodeł dojrzały owoc znajduje, i w tej porze roku jedynie samotnie prawie do swego stołu zasiada.

VI.

Zwierzęta drapieżne i ich przeznaczenie.

Żeby to tylko obok spokojnych gości na wskazanem im do utrzymania królestwie roślinnem przestających, nie było łupiezkich najezdców, którzy nietylko wdzierają się do misy słabszych biesiadników, grabią część ich zastawy, ale nadto pozbawiają ich jaj, potomstwa i godzą na samo ich życie. Śniegułę i jej młode wśród lodów podbiegunowych ściga północny sokoł, krzywonosa kuna, girafę lew; wszędzie mięsożerne zwierzęta roznoszą śmierć i spustoszenie; jednakże i te bezprawia należą do porządku wielkiego gospodarstwa przyrody. Bo po-

mimo wielkiej części raczących się tylko ścierwem, liczne rodziny drapieżnych zwierząt są niejako tamą i murem obronnym, przeciw nadmiarowi zbytecznemu w rozmnażaniu się jednego rodzaju zwierząt. A jako tamy ochraniają niziny od zalewu strumieni i bałwanów morskich, tak i drapieżne zwierzęta są strażą obronną i graniczną błoni, pól i powietrznych przestrzeni. Rozwój coraz liczniejszy tego lub owego rodzaju istot żyjących, powstrzymują zawsze w właściwem miejscu i czasie drapieżne zwierzęta, które jak sowa i jej do tego samego stołu uczęszczający towarzysze polnym np. myszom w zbytniem powiększaniu się ich gromad, skuteczną zaporę stawiają.

Przy założeniu i wzniesieniu jakiej świątyni, wszelki materyał z kamienia i drzewa dokładnie człowiek obrobić i właściwy mu kształt nadać musi, a każden przedmiot wykonany, tak do drugiego zastósowany być powinien, żeby w zetknięciu się z nim przypadał zgodnie na oznaczone miejsce. Ciosy i drzewa pochodzące z różnych skał i lasów, a w różnych okolicach obrobione, ręka ludzka przemysłem i zachodem na jedno miejsce zgromadza i kunsztownie ze sobą spaja i wiąże. Wcale inaczej dzieje się przy budowie wielkiej, wzniosłej, nieogarnionej w widomem stworzeniu świątyni, która w nieustannej swej odnowie okazuje, że wszechmocny jej Twórca od pierwszych początków wszechświata ciągle żyje i w wykonaniu swego dzieła czynnym być nie ustaje. Tak kamień z punktu swego spoczynku poruszony, spada albo toczy się dopóty, dopóki się znowu z gruntem ziemi nie zetknie; tak i ruch wszystkiego co żyje, bieży niewstrzymanie, a każda jednostka znajduje łatwo miejsce, które jej w pośród rzeczy stworzonych do wyżywienia i utrzymania jest wskazane. Przy oznakach szczególniej instynktu prowadzącego zawsze każde zwierzę do gotowego pokarmu we właściwem miejscu i czasie, możemy poznać źródło zamiłowania i uciechę życia. Każda żyjąca istota w chwili zbliżania się do swego celu, zdaje się uczuwać wrażliwą bliskość Stwórcy, który swą dobroczynną rękę otwiera i wszystko życiem udarowane nasyca z hojnością i upodobaniem.

Handel niewolnikami.

Afryka aż dotąd, jak za czasów starożytnych, jest głównem siedliskiem handlu niewolnikami. Przyczyną utraty wolności są szczególniej: nieustanne wojny między ludami murzynów, zemsta, kary za popełnione zbrodnie, głód, długi i zgubna skłonność do gier, itp.

Kiedy zaś po odkryciu Ameryki, liczba pierwotnych mieszkańców w krajach przez Europejczyków w posiadłość zajętych, przez ucisk i okrucieństwo na nich dokazywane, znacznie się zmniejszyła, a w osadach silnych rąk do pracy potrzeba było; wtedy Europejczykowie, i to jeszcze chrześcianie, wpadli na straszliwą myśl kupowania niewolników murzynów, dla użycia ich jako wyrobników w amerykańskich osadach. Wtedy to rozpoczął się formalny, przez rządy cierpiany a nawet ułatwiany handel ludźmi, który wkrótce wielkie przybrał rozmiary tak, że od owej chwili wiele tysięcy murzynów corocznie z swej rodzinnej ziemi, przemocą wyrywani, nigdy prawie do niej nie wracają.

Sprzedaż ludzi w środkowej Afryce odbywa się za pomocą handlarzy niewolnikami. Ci zwiedzają słynne na murzynów targowiska i zakupują nieszczęśliwych po bardzo niskich cenach, i gromadami pędzą na wybrzeża zachodnie. Żeby zaś niewolnikom wszelką do ucieczki odjąć sposobność, krępują im ręce i nogi powrozami i łańcuchami, i tak zestawiają ich w tłumne szeregi; a gdy ich do portów zachodnich wśród trudu, głodu i katowań zapędzą, sprzedają ich Europejczykom, którzy po pilnem obejrzeniu ich ciała, płacą za nich gotowemi pieniądzmi lub wymieniają za towary.

Jakie uczucie tych biednych ludzi na widok niezmierzonego morza przejmuje, które ich wkrótce od ich rodzinnej ziemi na wieki rozdzieli, i jakie ich dalsze czeka przeznaczenie, gdy się w ręce okrutnych panów dostaną, to niech opowiedzą słowa młodego murzynka, tą straszliwą dotkniętego niedolą, ale później wyswobodzonego z niewoli: „Nagle zobaczywszy morze, a na niem wielki europejski okręt, tak opowiada ten nieszczę-

śliwy chłopiec, ze zdumieniem pełnem jakiegoś przykrego przeczucia patrzyłem na niego, ale wkrótce okropny przestrach mię ogarnął, gdy dziwne stworzenia niezwyczajnej postaci ludzkiej, z długiemi żółtawemi na głowie włosami, z dzikiem wejrzeniem a w mowie najmniejszego do mojej podobieństwa nie mającego do mnie się zbliżyli, z największą obojętnością dotykali się członków mojego ciała. Wreszcie zawleczono mię na okręt. Tu ujrzałem wielką ilość moich czarnych braci zakutych w kajdany, zupełnie niemych, strapionych i w rozpaczy pogrążonych. Tuż obok w ogromnym kotle gotowano pożywienie; zabijający zaduch dobywał się z tego więzienia wodnego. Dla pocieszenia dano mi kubek gorzałki, ale zaledwiem ją do warg dotknął, uczułem sparzenie w ustach, a podane mi pożywienie za truciznę poczytałem. Strumieniem łez chciałem ulżyć sercu memu, gdy niespodzianie czyn zgrozą przejmujący przeraził mię do żywego; biali przywiązali do masztu jednego ze swoich, i tak bez litości katowali, że umarł pod ich razami, poczem zwłoki jego do morza wrzucili. Pełen oburzenia, nie chciałem żadnego przyjąć pokarmu, żeby głodem życie zakończyć; biali jednak, tak srodze mię bili, że musiałem mojego odstąpić zamiaru. Chciałem potem rzucić się w morze, ale straż i galerya otaczające pokład okrętowy nie dozwoliły mi tego uczynić; rozpływałem się we łzach z żalu, patrząc na chłostę i zgon męczeński ośmiu czarnych, za podobne a udaremnione przedsięwzięcie“.

Straszliwy los nieszczęśliwych niewolników, jeszcze jest okropniejszy przez natłoczenie ich na spodzie okrętu, jednego przy drugim, w tak małem, ciemnem i niskiem miejscu, że się zupełnie poruszać nie mogą. Według zeznania kapitana Passy okręt z murzynami na 100 stóp długi, a 25 szeroki o 320 beczkach, mieścił w sobie 321 mężczyzn, 157 kobiet, 90 chłopców i 41 dziewczyn, czyli razem 609 niewolników i 45 majtków; gdy przeciwnie okręt powyższych rozmiarów, według postanowienia rządu angielskiego mógł był tylko 400 osób obejmować w sobie. Tak więc okręt powyższy tak był natłoczony, że niewolnicy jeden tylko przy drugim, i to wznak mogli leżeć przy sobie, a to miejsce poczytywano jeszcze za

obszerne dla tych nieszczęśliwych. Niekiedy na innych okrętach biedni murzyni na bok muszą leżeć tuż w zetknięciu się ze sobą, a czasami nawet jeden na drugim spoczywać jest znaglony. Łożem dla nich jest goła podłoga, pokarmem lemieszka z wyki i ryżu, kwaterka wody dwa razy na dzień.

Nędzny pokarm, ciasne więzienie, zepsute w niem powietrze, smutek, tęsknota, przyspieszają zgon nieszczęśliwym, albo stają się do ciężkich chorób powodem. Dla zapobieżenia temu złemu, wyprowadzają murzynów codziennie w czasie pogody na pokład okrętowy, gdzie przy odgłosie bębna znagleni są tańcować, a w razie opierania się, surową odbierają chłostę. Jeżeli się choroby między niemi wywiążą, wtedy położenie tych biednych ludzi jest nader okropne. Chirurdzy okrętowi z przerażającą zgrozą, dają nam o stanie ich zdrowia wiadomość. Upał w tych jaskiniach dla niewolników przeznaczonych, jest tak wielki, że lekarz rozebrany tylko może na chwilę zatrzymać się w tem piekle okrętowem.

Po długich męczarniach biednych murzynów, przybywa nareszcie okręt do Ameryki z całym swoim ładunkiem. Pewien podróżny mający sposobność przypatrzenia się temu bezecnemu frymarczeniu ludźmi, tak opowiada: „Za przybyciem naszem do Jamajki, udaliśmy się na miejsce sprzedaży niewolników; tu zastaliśmy kilkuset tych nieszczęśliwych w budach handlarzy murzynami. Wszyscy prawie byli nadzy, z ostrzyżoną głową, rzędami siedzący na wązkich ławach, albo na gołej ziemi; widok ich był przerażający, każden z nich był piętnowany rozpalonem żelazem. Lichy pokarm, głód i nędza pozbawiły czarną ich skórę delikatności i naturalnego połysku, a wyrzuty na ciele, wrzody, ostrzyżona głowa i gasnący wzrok, czyniły ich wielce opłakanemi istotami. Przy kupnie tak skrzętnie przeglądają niewolników, jak zwierzęta; żeby zaś nie wydawali się smutni i cierpiący, dają im handlarze imbir lub tytoń do żucia, albo uderzeniem w policzek, biciem i kułakami w bok, znaglają ich do okazywania wesołej twarzy.

Przededniem jeszcze i w ciągu dnia można widzieć tłumy niewolników starających się o robotę.; rynek i cały port jest niemi przepełniony, i kroku stąpić nie można bez ich zaga-

bnienia, czy nie potrzeba robotnika? Niewolnicy tu w Jamajce o własne utrzymanie starać się powinni, ale nadto codziennie muszą koniecznie swojemu panu oznaczoną ilość pieniędzy przynieść, inaczej bowiem ulegają surowej karze cielesnej; jeźli zaś więcej zarobią, to im wolno nadwyżkę zatrzymać, żeby ją dodać w dniu następnym, na przypadek mniejszego zarobku. Wielu właścicieli wysełą swoich niewolników do bliskich łomów kamienia, wielu każe im zbierać owady, których najpiękniejsze zbiory nie są wcale kosztowne. Żądza zysku wszelkich środków używa dla dojścia do celu Dzieci wyrywają z łona matek i bez litości sprzedają. Właściciel niewolników postępuje z niemi według swego upodobania; zawiera i rozrywa małżeństwa, zabiera dzieci rodzicom, męża i żonę, każde komu innemu sprzedaje, tak, że nigdy więcej nie zejdą się już ze sobą".

Pomimo wszakże przez wszystkie państwa europejskie zakazu prowadzenia haniebnego handlu niewolnikami, i zobowiązania się do pilnego strzeżenia wybrzeży afrykańskich przez rząd angielski, który handel murzynami na równi z rozbójnictwem morskiem uważając, przedsiębiorców na maszcie wieszać każe, a niewolnikom wolność przywraca; to przecież wiele tysięcy ludzi corocznie tajemnie do amerykańskich osad, jak bydło na sprzedaż wywożą.

Przestrogi i rady gospodarskie.

Klepisko powinno być mocno zbite i jak najgładziej uklepane. Należy więc wykopać ziemię na stopę głębokości i nałożyć na to miejsce gliny zmieszanej z jedną dziesiątą częścią wapna gaszonego; niektórzy dodają jeszcze do tego plewy owsiane lub żytnie, lub czysty bez słomy gnój krowi i koński w czasie przerabiania gliny. Tę warstwę ubija się mocno i daje się jej przeschnąć; nie należy jednak suszyć nagle, żeby nie popękała, i przyrzucić słomą, jeżeli jest mocny przeciąg suchego powietrza, poczem jeszcze nowy daje się pokład, mało dobierając wody. Tak urządzone klepisko trwa lat trzydzieści.

W wielu miejscach za granicą mają klepiska z desek jak podłoga, ale pod nią wykopane jest próżne miejsce Są one przezto sprężyste i zboże wybija się dobrze.

S p o s ó b n a m y s z y. Najpewniejszy sposób wygubienia myszy są łowne koty, których sam widok przeraża te uprzykrzone zwierzątka; niedawno jednak doświadczenie okazało, iż w zboże w spichlerzach i w składy sera lub kaszy, zatknąwszy kilka gałązek ż a b i e j m i ę t y, żadna mysz nie zbliży się w to miejsce.

W y p ę d z e n i e s z c z u r ó w. Liczne doświadczenia okazały, iż szczury tak wielką mają odrazę od rośliny zwanej p s i e j ę z y c z k i, że budowlę w której ona będzie rozrzucona, wszystkie w jednym dniu opuszczają. Roślina ta znajduje się na niektórych łąkach, przy płotach i na podwórzach Zbiera się na początku lata, kiedy ma najwięcej mocy. Łodygi rozgniatają się i rozrzucają po miejscach przez szczury uczęszczanych Tę zadziwiającą moc wypędzania szczurów, a nawet i myszy, ma także mieć i d z i e w a n n a p r a w d z i w a

N a c z y n i a z c i e c z ą jaką mocno nakryte, a do ognia przystawione, pękając, wiele złego zrządzić mogą, jak nas przekonywa wypadek, nie zbyt w dawnych czasach wydarzony. Pewna kobieta w Anglii w Lincolnszir chcąc wyczyścić dzbanek, nalała do niego nieco wody z odrobiną wapna: poczem dobrze zatkany przystawiła do ognia w piecu żelaznym. Niedługo z straszliwym hukiem rozpękł się dzbanek, rozerwał piec w kawałki, z których jeden ugodził w głowę małą dwuletnią dziewczynkę, która nazajutrz z odniesionej rany umarła. Drugie dziecko okropnie sparzone gorącą parą; wyższe zaś skrzydła u okien gwałtownością wybuchu roztrzaskane zostały, a nawet drzwi nagłym zewnętrznego powietrza pędem rołupały się. Tyle zdziałać mogła para w jednym dzbanie, zaledwie półtory kwarty wody mieszczącym w sobie

RÓŻNOŚCI.

Zdanie Jana III. Król Jan III. Sobieski chociaż był walecznym, jednakże brzydził się wojną; raz uniesiony ludzkością rozmawiając ze Stanisławem Jabłonowskim Hetmanem Wielkim koronnym, zawołał: „Gdyby królowie po stoczonej walce zwiedzić chcieli szpitale, nigdyby wojen nie zaczynali.“

Chyżość zwierząt. Konie angielskie przy zakładach przebiegają częstokroć milę niemiecką w 6 lub 8 minut, tj. 60 stóp na sekundę. Dnia 14. marca 1816 koń pana Powly w Westmoreland, przesadził wraz z jeźdzcem przez mur 6 stóp wysoki, bez żadnego szwanku. — Wielbłąd z ciężarem 12 do 15 cetnarów, uchodzi dziennie 12 do 15 mil. Dromedera tylko koń w największym galopie dopędzić może. — Ren zaprzężony do sanek przebiega na dzień mil 21, łoś mil 30. — Pies biegnie milę a czasem i więcej na 20 minut. — Najzwinniejsza ryba nie upłynie więcej jak pół mili na dzień. — Orzeł na minutę ulata ćwierć mili, a więc na godzinę mil 15. Wetrzy minuty wzbiją się tak wysoko, iż go dostrzedz niepodobna. — Utrzymują że sokoł może ulecieć 100 mil w 13 godzinach. — Gołąb ulata w trzech dniach mil 500. Pewien obywatel z kolonii założył się o 50 luidorów, iż w 3 godziny po jego przybyciu do Paryża, listy od niego w Paryżu pisane dojdą do Kolonii, w przeciągu dwóch godzin i 14 minut. Sławna niegdyś stacya pocztowa na gołębie była w Alepie w Turcyi Azyatyckiej, o 30 dni drogi odległa od Babilonu. Gołębie przylatywały tam z listami w przeciągu 48 godzin. — Jaskółka ulatuje 1500 sążni w 15 minut. W miesiącu wrześniu w przeciągu ośmiu dni przybywają z Polski do Senegalu w Afryce. — Slimak będący godłem powolności, uchodzi w 10 minut jedynie 3 stopy, a zatem w przeciągu 3 sążnie na godzinę. — Mrówka ubiega w 10 minut 30, a nawet w godzinę 180 sążni. — Leniwiec zaledwie 50 kroków przez cały dzień uchodzi.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Aleksander król polski spotkał w lasach litewskich leśniczego, który miał mieć półtorasta lat, a król trzydziestoletni zawsze był słabowity. Czy chorowałeś kiedy? spytał król. Nigdy miłościwy panie, nie bawiła się u mnie choroba, bo wygody nie miała.

Radziejowski kardynał, zafrasowanemu królowi Janowi Kazimierzowi powiedział: Miłościwy panie! na świecie jak w łaźni, im kto wyżej siedzi, tem bardziej się poci.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 16.

1. Czerwca 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ś. Jan Chrzciciel.

Prorocy izraelscy mówiąc o przyjściu Zbawiciela oczekiwanego oddawna z takiem upragnieniem, przepowiadali także: że go poprzedzi mąż, który wyjdzie z puszczy aby zgotować drogę Panu i ścieszki dla niego sprostować, przez którego każda dolina będzie zapełniona, a góra i pagórek będą zniżone. Przepowiednia ta ziściła się, a poprzednikiem Chrystusa, którego prorocy zowią mężem od puszczy idącym, był św. Jan Chrzciciel.

Ojcem jego był kapłan imieniem Zacharyasz, matką Elżbieta, bliska krewna Najświętszej Panny. Narodzenie się Jana Bóg objawił Zacharyaszowi przez anioła, który podczas nabożeństwa ukazał się mu pośród wonności kadzidła i uwiadomił że Elżbieta powije syna. Dziecięciu temu, mówił anioł, dasz imię Jan. Ponieważ zaś Zacharyasz z niedowierzaniem słuchał słów zesłania Bożego, który mu błogosławieństwo zwiastował, stał się niemym aż do chwili w której się obietnica ziściła.

Tak przyszedł na świat Jan Święty, prawie w tym samym czasie, gdy nad Betleemską stajenką przyświecała gwiazda

zbawienia. Utrzymuje się podanie, że gdy król Herod powziął zamiar wymordowania dziatek izraelickich, Św. Józef przed ucieczką do Egiptu ostrzegł Św. Elżbietę matkę Sw Jana, o grożącem jej dziecięciu niebezpieczeństwie i przerażona matka schroniła się z maleńkim Janem do niedostępnej groty, gdzie z dziecięciem swojem, będąc już wdową, przeżyła półczwarta roku, to jest do swojej śmierci. Jan w niemowlęctwie zostawszy sierotą, cudem tylko wychował się w bezludnej pustyni, jak mówi podanie, pod opieką aniołów, którzy go strzegli i żywili. Dziś jeszcze pokazują w ziemi świętej tę pustynię i grotę. Leży ona nie dalcko wioski w której mieszkali rodzice Św. Jana. Jest to żyzna i obszerna kotlina, ocieniona drzewami słodkie wydającemi owoce i prześliczny przedstawia widok. W jednej z nadbrzeżnych skał jest owa jaskinia, która Św. Elżbiecie i jej synowi służyła za mieszkanie. Ma zaledwie ośm kroków długości a cztery szerokości. Pod ścianą leżącą naprzeciw wejścia do jaskini znajduje się gładki występ kamienny, który nazywają łożem Św. Jana. Na szczycie skały w której grota jest wydrążona, wytryska źródło wybornej wody, która sącząc się po opoce, tworzy obok wejścia do groty sadzawkę niewielkich rozmiarów. Dawniej stał na tej skale obszerny klasztor z kościołem, lecz pozostały z niego tylko ruiny, przystrojone dziko rosnącym bluszczem i powojem.

Między drzewami otaczającemi jaskinię i rosnącemi po skałach, najwięcej jest drzew rożkowych, wydających owoc podobny do strączków grochu cukrowego, z początku zielony i gorżki, który później czernieje i staje się słodkim. Strączki te znane są u nas pod nazwą chleba świętojańskiego, dla tego że były niegdyś głównem pożywieniem Św. Jana.

Kotlina rozciągająca się naprzeciwko groty, ocieniona jest winogradem, drzewami figowemi, oliwnemi i rożkowemi; opodal ciągną się gaje cytrynowe, pomarańczowe a wszędzie na górach widać ślady wiosek które tu dawniej istniały. Pustynia więc w której Św. Jan wzrastał, wzmacniał się w cnotach i mieszkał aż do dnia w którym ukazał się przed Izraelem, nie była straszną i dziką, otoczoną obnażonemi skałami i tylko dzikim zwierzętom za schronienie służącą; owszem była to rozkoszna

rzec można mlekiem i miodem płynąca dolina, gdzie Prorok pański, wielbiąc dobroć i wszechmocność Stwórcy, mógł swobodnie i bez przeszkody oddawać się pobożnym rozmyślaniom.

Ale to nie mogło trwać wiecznie, nie mógł Jan pozostać na zawsze w tej rozkosznej dolinie. Miał on posłannictwo wskazane sobie przed wieki, posłannictwo wielkie i święte, a głos Boski napominał go aby je spełnił; i zstąpił anioł z nieba, aby objawić Janowi co ma czynić, co ma mówić do ludu. Gdy więc nadszedł czas oznaczony przez Boga a królestwo Zbawienia przybliżyło się, wyszedł Jan z zacisznego pomieszkania swego w gronie pustynnej, z mocą i zapałem szedł między ludzi jako jutrzenka przed wschodem słońca, prorokował i wołał co mu przykazano: „Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się królestwo niebieskie“.

Gromadziły się koło niego tłumy ludzi. Jan głosząc przyjście Zbawiciela, wzywał lud aby się spowiadał grzechów swoich dla oczyszczenia serc na przyjęcie tak wielkiego gościa i chrzcił wiernych w wodach Jordanu. Przychodzili między innymi także Faryzeusze, lecz Jan Św. poznał się na ich obłudzie i udaniu podstępnem. Byli zaś między ludem tacy, co Jana mieli za Chrystusa, lecz wyprowadził ich z błędu, mówiąc: „Ja was chrzczę tylko wodą, ale przyjdzie mocniejszy odemnie, któremu ja nie jestem godzien rozwiązać rzemyk u obuwia, ten was chrzcić będzie Duchem świętym i ogniem. Łopata jest w ręku jego i on wyczyści boisko swoje, pszenicę zabierze do spichlerza swego, a plewy spali ogniem nieugaszonym.“

Tak zapowiadając ciągle światu bliskie ukazanie się Zbawiciela, spełnił wielkie swoje posłannictwo: ogłosił przyjście Chrystusa Pana i ścieszki pańskie sprostował, porównawszy pagórki i doliny. Widział potem Zbawiciela własnemi oczami i słyszał nad nim głos z nieba przy obrzędzie chrztu, widział go idącego z puszczy i wołał o nim do uczniów: „Oto Baranek Boży który gładzi grzechy świata! Ten ci jest o którymem wam powiadał: idzie za mną mąż, który był przedemną, ponieważ pierwej był niż ja, i ja daję świadectwo, że ten jest syn Boży“.

A gdy skończyło się posłannictwo jego, powołany przez Boga na dwór króla Heroda, gdy tam karcił zbrodnie, padł ofiarą złości i przewrotności ludzkiej, ścięty w więzieniu.

Chrystus Pan tak mówił do ludzi o Janie: „Cóżeście wyszli na puszczę widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru? Albo człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto którzy w miękkie szaty przyodziewają się w domach królewskich są; więc cóżeście wyszli widzieć? Proroka? Zaiste powiadam wam, on więcej jest niż prorok“.

Ojcze nasz.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, jak król na stolicy,
Jak słońce wszystko — żywne na nizkiej ziemicy,
W kościele jako Rządca, Tyś nam jest za Ojca:
Jeden w istocie, w liczbie niepodzielna Trójca.
W radzie straszny, niemylny w słowie, w dziełach święty,
W widzeniu nieprzejrzany, we wszem niepojęty!
W wielkości niezmierzony, w dobrem nieprzebrany,
W mądrości niadościgły, w mocy niezrównany,
Litośny w pokutnikach, w grzesznikach cierpliwy,
Straszliwy w zakamiałych, wszędzie sprawiedliwy,
Jeżeli masz co Panie dać mi w mej potrzebie,
Wszystko weź i zatrzymaj, a daj tylko siebie:
Co Cię niepragną, o jak nędzni w każdej dobie!
O jak łakomi! którym mało jest na Tobie.
Ojcze nasz! nasz, boś Ojcem powszechnym jest ziemi,
Równie nad złotogłowem, jak i siermiężnemi:
Równie Ty masz o wszystkich pieczą i staranie;
Wielkiego i małego Tyś uczynił Panie.
Równie wszystkich Ty żywisz Ojcze nasz jedyny,
Równie wszystkie chcesz wynieść i córy i syny.
Wszyscy w Tobie żyjemy, a kto się wydziera
Z życio-dawczej Twej ręki, ten rychło umiera.
Ojcze nasz! któryż bowiem z ojców, albo z matek
Tak pilnie opatruje, i dostrzega dziatek?
Kto tak karmi, jako Ty? kto pieści jako Ty?
Kto tak uczy rozumu? kto tak uczy cnoty?

Ty wszędzie ze mną chodzisz, Ty ścielasz drogi;
Żebym nie obraziła gdzie o kamień nogi:
Ty na Twej Opatrzności rękach nas piastujesz,
Ty nam w dziedzictwo wieczne Niebo zapisujesz.
Ojcze nasz! bo Twój dla nas skarb zawsze bogaty,
Twa miłość ku nam nigdy nie starzeje z laty:
Twe rządy zawsze słodkie, litość niezmierzona,
Z Ciebie wszelki nasz zaszczyt i wszelka obrona!
Bez Twej woli nikogo głowa nie zaboli,
Włosek lichy nie spadnie z głowy bez Twej woli.

K. B—ska.

Zakonnik.

W pewnym klasztorze żył długie lata świątobliwy zakonnik' doznający zawsze wieczorem osłabienia i zupełnego jakby z nadmiaru pracy, opadnięcia z sił. Przełożony zapytał się go raz o przyczynę tej jego niemocy. Ach! odpowiedział zakonnik, każdy dzień w tak ciężkiej i pełnej umęczenia przepędzam pracy, że pewnie bez łaski Boskiej, uległbym pod brzemieniem codziennych utrudzeń. Mam bowiem dwóch sokołów do ugłaskania; dwóch zajęców do powstrzymywania ich w biegu; dwóch krogulców do utresowania; nadto smoka skrzydlatego do poskromienia; lwa do pohamowania jego gwałtowności, a wreszcie i o chorym muszę mieć staranie. — Ależ to są niedorzeczne użalania się, rzecze na to przełożony, niktby przecież tyle czynności na raz jeden nie nakładał na nikogo, a zresztą tu w klasztorze o zajęciu się podobnemi sprawami którego z braci, nigdy nie słyszałem.

— A jednak czcigodny Ojcze, odparł zakonnik, to com powiedział jest istotną prawdą. Dwa sokoły, to są moje oczy; muszę je bardzo starannie pilnować, żeby im się coś nie upodobało, coby dla mojej duszy było szkodliwe. Dwa zające są moje nogi; te muszę bezustannie wstrzymywać, żeby za marnemi nie goniły uciechami i na drogę grzechu nie weszły. Dwoma krogulcami są moje ręce, te trzeba ciągle do użytecznej nawodzić pracy, żeby godnie zarobić na pokarm dla siebie

i dla bliźnich niedostatkiem dotkniętych. Smokiem jest mój język; ten należy mi bez wytchnienia powściągać, żeby nic niepotrzebnego i zdrożnego z ust moich nie wyszło. Groźny lew, to moje serce, z niém bezustanne a zacięte staczam boje, lękam się bowiem, żebym nie popadł w próżność i samolubstwo; dla tego staram się najgorliwiej, żeby dobrotliwy Stwórca w tem mojem sercu łaskawie zamieszkać raczył, i mnie do czynów chwalebnych zawsze naprowadzał. Chorym nareszcie jest moje własne ciało, któremu się to tego, to owego zachciewa, a nie pyta czy rzecz żądana pomocną jest dla zdrowia na tym tu świecie, a zbawienną dla żywota wiecznego... To więc wszystko utrudza mię, osłabia i bezsilnym czyni.

Z pełném podziwienia zajęciem słuchał przełożony tych słów świątobliwego zakonnika, i rzekł z wzruszeniem do niego: Bracie mój, pracujesz bez wytchnienia w winnicy Pańskiej, za twą przeto zabiegliwość w pokonywaniu doczesnych przeciwności otrzymasz w przyszłem życiu chwalebną nagrodę, a u stołu Pańskiego uzyskasz pokrzepienie i szczęśliwość wieczną.

Obraz dobrej Matki.

Obraz dobrej Matki w zwierciedle natury, przedstawia nam woda. Bez niej powierzchnia ziemi zmieniłaby się w pustynię, podobną do afrykańskich puszczy, w suchej porze roku; bez niej wszystkieby uschły rośliny, a zwierzęta wyginęły. Jak troskliwa matka i rządna gospodyni, wszystkie miejsca swego domu zwiedza bez ustanku, to schodzi do piwnicy, to na strych wstępuje, a wszystko to czyni dla opatrzenia swych domowników, co im tylko do utrzymania i uprzyjemnienia życia jest potrzebne; tak i woda w rzekach i strumieniach spływa do morza, zkąd po krótkiej chwili, wznosi się w postaci pary w powietrze, ztąd znowu w kropelkach rosy spada na ziemię, wylewa się w postaci deszczu na spragnione łany, zbiera się na chłodnych górach lub lasami zarosłych pagórkach w źródła i strumyki, albo użyczając wszędzie w około swego pożywnego

pokarmu, ścieka napowrót do morskiej głębiny. Woda postępuje za górnikiem do jego kopalni, i za dobywającym kryształy na obnażone wyżyny; bo jak powietrze wciska się wszędzie w wodę i z nią się łączy, tak i woda w postaci powietrznej rozpływa się w atmosferze i napawa rośliny alpejskie i mchy na wszystkich górach w tak wielkiej obfitości, że zaledwie południowe słońce zabiera z nich perłowe krople. Tylko tam, gdzie już żadne ziółko nie znajdzie dla siebie pokarmu, gdzie istota żywotna pragnienia ugasić nie zdoła, w zimnych wysokościach przystępnych tylko dla wznoszących się balonem i śmiałych na góry podróżników, tam dopiero woda uważa się za uwolnioną od macierzyńskiej troskliwości, tam już w nieznacznej tylko ilości dochodzi, i powietrze mniej zawiera w tych górnych przestrzeniach cząstek wodnych, niż gdziekolwiek indziej.

Najdelikatniejsze i najsubtelniejsze rodzaje zwierząt, jak na łonie matki, ukrywają się w morzu; polipy np. zakładające budowle koralowe, lub rozlicznej postaci galaretowate pławy. W ogólności w łonie macierzyńskiem dają się widzieć najprostsze co do składu zawiązki królestwa zwierząt, a z nich dopiero wyradzają się doskonałe postacie zwierząt lądowych.

Wiele zaiste jest wody na ziemi, bo przeszło trzy czwarte jej powierzchni morze pokrywa, a wielkie rzeki, strumienie, jeziora i bagna we wszystkich częściach świata i ich krajach w niezliczonej są ilości. Pomimo tego jednak tak dobroczynny żywioł nie nastręcza się tak łatwo zwierzętom lądowym, jak powietrze do oddychania; złaknione bowiem chcąc ugasić pragnienie, często koniecznego im napoju daleko i z wielkiem utrudzeniem wyszukiwać są znaglone. Woda unosząca się w postaci pary w powietrze, nie napoi spragnionych, a woda morska, jako słona i gorzka jest dla nich po większej części nie do użycia. Dla uniknienia jednak tej niedogodności, ptak skrzydła, a doskonalsze zwierzęta lądowe silne otrzymały nogi; za ich więc pomocą mogą sobie wyszukać czego im brakuje i tak jaskółka gnieżdżąca się w rozpadlinach skalistej Arabii, a spragniona, w niewielu minutach przybywa do kałuży, w której jeszcze cokolwiek wody z pory deszczowej zostało; szybkie w biegu gazele afrykańskie, z jednych do drugich okolic podą-

żają niestrudzone za chmurą deszczową, która wszędzie swym błogosławionym napojem pokrzepia złaknionych, i każdego poranku i wieczora z odległych swych pastwisk, gromadzą się na jedno miejsce do wyszukanej przez siebie wody.

Daleko odmienniej dzieje się z roślinami Te niemogąc ruszyć się z miejsca za wodą, muszą czekać dopóki sama do nich nie przyjdzie; a przecież nierównie więcej potrzebują jej, niżeli zwierzęta, które w samych już pokarmach znajdują soki, ich pragnienie zaspokoić mogące, tak drapieżne ptaki w świeżem mięsie i krwi rozbojem zdobytych, lub krowa albo dzika koza w łodygach i liściach ziół rozmaitych, mniej potrzebują napoju. U roślin zaś woda nietylko jest przydatkową do pożywienia przyprawą, ale jest głównym pokarmem, jak mleko dla niemowlęcia. Cóżby się z niem stało, gdyby mu przyszło samemu starać się o pożywienie w zupełnem niedołęztwie, kiedy ani chodzić nie może, ale czekać musi w pieluchy otulone, dopóki je matka nie napoi. I na tę pomoc spiesznie mu matka choć niewezwana, przybywa, i jej miłość silniej ją do niego skłania, niż głód jego przygarniał go do matki.

Co z niemowlęciem, to samo dzieje się z królestwem roślinnem. Nietylko płynna woda w ziemi przeciska się przez delikatne włókienka korzeni, lecz jak mleko nowonarodzonemu, tak i woda wystarcza nawet i w postaci pary, która przy innym powietrznym pokarmie unosi się w atmosferze. A jak matka niewołana do swego dziecięcia przychodzi, tak woda z powietrza spuszcza się do roślin dowolnie i gdzie las i obfita zieloność, tam są pospolicie źródła i strumienie, a chmury deszczowe najczęściej się zwracają ku okolicom w roślinność bogatym; lecz gdy człowiek przez nierozważną gorliwość w uprawie, lub barbarzyństwo, pagórki i doliny z lasów i krzaków ogołoci, tam wysychają źródła i strumyki, a cała okolica staje się pustynią.

Chociaż roślina nie widzi, nie słyszy, choć niema zmysłu do poznania zbliżającej się do niej matki, choć niczego dokonać nie zdoła, prócz silnie wciągać pożywienie w siebie, to przecież i w niej niepodobna nie dostrzegać miłości macierzyńskiej, owej dobroczynnej Opieki, która o wszem stworzeniu

pamięta. Jak orzeł swym pisklętom, dopóki są nieupierzone, i bezsilne w gnieździe zostają, pokarm przynosi, tak i Ten, co wszystkim istotom byt nadał, zniskąd niemającym pomocy stworzeniom, udziela tego w swym czasie, co im jest potrzebne. Słusznie więc można powiedzieć:

Silny sam sobie obronę gotuje,
Słabym zaś zawsze Bóg się opiekuje.

Święty Marcin.

W dzień obchodu św. Marcina na 11. Listopada przypadający, zachował się zwyczaj spożywania gęsi; niekażdemu jednak wiadomo, w jakim to związku zostają gęsi z imieniem św. Marcina. Mąż ten urodził się w dzisiejszych Węgrzech, za czasów Rzymian Panonią zwanych, a stanowiących prowincyę Rzymską, i to w czasie, kiedy jeszcze w większej części Europy samo prawie pogaństwo panowało. Marcin początkowo równie jak i jego ojciec, nic nie wiedzieli o Chrześciaństwie, obaj zaś służyli wojskowo. Ale Marcin sprzykrzył sobie stan wojskowy, i jak mu tylko zdarzyła się sposobność obeznania się z nauką świętej naszej wiary, tak zupełnie odtąd stał się innym człowiekiem. Musiał on wprawdzie towarzyszyć jeszcze ojcu w wyprawach wojennych, ale pomimo tego, tak ciche i pobożne wiódł życie, że go każden raczej za zakonnika, niż żołnierza poczytywał.

Pewnego razu zdarzyło się, że w jednej wyprawie wojennej w czasie dość chłodnym, spotkał człowieka na w pół obnażonego prawie, który go o wsparcie upraszał. Ale ponieważ Marcin nic nie miał przy sobie, prócz odzieży na ciele, mieczem rozciął płaszcz na dwie połowy, a sobie jedną zostawiwszy, dał drugą żebrakowi Tej samej zaraz nocy miał się mu Chrystus objawić i rzec do niego: „Co dałeś temu biednemu, mnie dałeś.“ Marcin w skutek tego objawienia przyjął chrzest, i jako chrześcianin tak się odznaczał pobożnością, świątobliwem życiem i nauką, że później w Tur (Tours) we Francyi obrany był biskupem. Przez skromność nie chciał przyjąć tak wysokiej godności, i ukrył się nawet przed ludzkiem okiem; dziwnem

jednak losu zdarzeniem, w tem samem miejscu były i gęsi, te zaś tak donośny krzyk podniosły, że sprowadziły tam ciekawych, a nawet i szukających Marcina, którego tam istotnie w ukryciu zastali. Marcin 26 lat sprawował godność Biskupa, umarł zaś 11. Listopada r 402 a w 81. r. życia swego, w r. zaś 650 w poczet świętych był policzony. Odtąd nabożnie święcono jego imię, poruczano mu swoje modły, i gęś pożywano na jego pamiątkę. Rzemieślnicy niemieccy przynieśli ten zwyczaj do Polski, gdzie się oddawna upowszechnił.

Dąb.

Jak słusznie lwa królem zwierząt zowią, kiedy z wyrazem siły na czole, powagą i okazałością wszystkie inne przewyższa, tak i z pomiędzy wszystkich naszych drzew leśnych, dąb królewską okazuje wspaniałość, przed którą wszelkim innym drzewom, czoło uchylić należy. Dąb odznacza się pięknością i mocą, a przez długowieczną trwałość swoją, nie ulega prawie zniszczeniu; w nim mieści się siła olbrzymia, która powoli wprawdzie, ale ciągle rozwija się należycie z największą okazałością. Idąc w zawody co do wysokości, z wyniosłą sosną i wysmukłą jodłą, przewyższa potęgą swej mocy, a wszelkie drzewo w porównaniu z nim jest słabe. Niektóre dęby mają 30 stóp obwodu, a 130 stóp wysokości. Sławny dąb w angielskiem hrabstwie Essex miał na łokieć od ziemi 36 stóp średnicy, a pod cieniem jego konarów 150 stóp promienia w około mającym, przez długi czas corocznie odbywał się jarmark, podczas którego nie wolno było poza jego obrębem żadnej budy wystawiać. Dąb 30 lat mający, niewielki chłopiec ręką obejmie, po dwóchset zaś dopiero latach drzewo to zupełnie wyrasta; ale za to życie jego pięć wieków i więcej przetrwać może. Stary dąb ze swoją szorstką, popękaną, mchem zaległą korą, stoi w pośrodku młodego, prędko wzrastającego świata leśnego, jak zgrzybiały starzec między swemi dziećmi, wnukami i prawnukami. Pokolenia powstawały jedne po drugich, i ginęły jak kwiaty na łące, ale stary lasu mieszkaniec,

pomimo burz w tylu wiekach niezachwiany pozostał; cudowna potęga Boska zatrzymała go na żywe świadectwo dawno upłynionej przeszłości, w podaniu tylko żyjącej.

Jak waleczny wojownik nie ustępuje z pola boju, tak i dąb spoczywa nienaruszony, silnemi będąc korzeniami wstrzymywany, które równie są potężnemi jak konary i gałęzie olbrzymiego drzewa. Dla tego choć sroży się burza i wichrzy nad miarę, dąb zawsze stawia jej śmiało groźne swe czoło, i nie ruszy się z miejsca. I kora jego jak żelazo silna i twarda, najdzielniejszym uderzeniom siekiery długo się opiera. Jak twarde i zbite jest jego drzewo, tak i piękna jego ozdoba wydaje się w wielkich falisto ząbkowanych a połyskujących zielonością liściach, które przewyższają wszelkich innych barwę, trwałością i mocą, bo chociaż i zawiędłe, przez całą jednak zimę aż do wiosny wytrwają, dopóki je świeże uliścienie z dawnego nie wysadzi miejsca. Są dęby, co i w zimie zachowują zieloność swych liści, zasadzają je też zwykle w gaikach na przechadzkę przeznaczonych.

Piękne uliścienie dębu jest prawdziwie jego królewską ozdobą, do wysokiego, okazałego drzewa, właściwie zastósowaną. W swoim rozkwicie nie zachwyca on różnobarwnością i cudnym kształtem kielicha tulipanów, nie upaja miłą wonią skromnego fiołka; jednakże i z drobnych jego kwiateczków powstaje silna żołądź, w której Wszechmocność Boska, cały ogrom tego olbrzyma ukryła. Żołądź nie jest wybornym jak wiśnia owocem, lub jak żyto pożywnym pokarmem; z upalonej wszakże i umielonej żołędzi, sporządzają wzmacniającą kawę, a wielce użyteczną, jako środek leczniczy w pewnych słabościach bardzo pomocną. Wiadomo także jak wyborna jest żołądź do tuczenia trzody chlewnej; we Włoszech zaś i w Hiszpanii rośnie gatunek dębu, którego owoce mają smak kasztanów jadalnych.

Kora dębowa, szczególniej kiedy się ją przejętą sokami obdziera, mieści w sobie ostre, gorzkie i ściągające soki, które wybornego dębnika do garbowania skór dostarczają. Całe drzewo zamyka w sobie te ściągające soki, dla tego młode gałązki i liście, a nawet niezwilżone wióra i trzaski równy pożytek

przynoszą; przez obdzieranie zaś kory, dąb pospolity łatwo ulega właściwej sobie chorobie, a nawet i w skutek niej usycha. Wybornego dostarczać drzewa jest jego głównem przeznaczeniem, w czem dowolnie nie powinien mu człowiek być na przeszkodzie. Dobrotliwa Opatrzność inny znowu rodzaj dębu obdarzyła korą, wielce dla człowieka przydatną, i ta wymaga żeby ją pilnie z drzewa zdejmować, bo jeżli tego uczynić zaniedbamy, to wtedy dębczak nie zwrasta swobodnie i późnego nie doczeka wieku. Takim jest dąb korkowy, służy on nietylko do wyrabiania znanych powszechnie korków do zatykania flaszek, ale i na podeszwy do obuwia, dla uchronienia się od zimna i wilgoci, służy także do sieci rybackich, na kaftany do pływania itp.; ze spalonej zaś kory korkowej otrzymuje się delikatną czarną farbę, hiszpańską zwaną.

Dąb korkowy równie jak wyżej wspomniany zawsze zieleniejący się, ciągle świeżem ubarwiony liściem, udaje się tylko w cieplejszych okolicach południowej Europy, i dorównywa co do wysokości i mocy naszym pospolitym dębom, wydaje nadto owoc jadalny, i ma gąbczastą, lekką, miękawą korę, główny stanowiącą użytek tego drzewa. Kora korkowa odejmuje się ostrożnie przez 8 do 10 lat, bez naruszenia pod nią leżącej, delikatnej skóreczki. Kora ta zwykle na starszych drzewach po kilka razy już obłupywanych jest lepsza od tej, którą dopiero pierwszy raz z młodej drzewiny otrzymujemy. Dąb korkowy dochodzi do 150 lat życia, kiedy się regularnie kory pozbywa, w przeciwnym zaś razie, obumiera już po 50. lub 60 roku swego żywota.

W naszym północno-umiarkowanym klimacie, dwa gatunki dębów rozróżniamy: dąb zimowy i letni; pierwszy ma brunatną, bruzdowaną korę, na gałązkach tylko białawą i gładką, czerwieńszy ma także kolor drzewa; jest cokolwiek niższy od letniego, ale za to jest najtwardszy, i temi przymiotami wszystkie Europejskie drzewa przewyższa. Węższe jego cokolwiek liście później się rozwijają jak u dębu letniego, zakwita zaś dopiero przy końcu Maja. Żołądź jego rośnie w gronach na krótkich szypułkach, od 4 do 12 główek obok siebie, są mniejsze, a dojrzewają w Listopadzie. Dąb letni o kilka ty-

godni wcześniej okrywa się liściem i kwiatem, dojrzałe swoje owoce na długich unosi ogonkach, aż do Września i Października; drzewo zaś jego jest bielsze i bladsze, ale w starości czernieje, i często białawą powleka się pleśnią.

Jeżeli dąb zaraz po ścięciu przez trzy lata będzie w wodzie zanurzony, wtedy na jakikolwiek przedmiot użyty, nie pęka. Jest on najwłaściwszem drzewem do budowy okrętów, i ten król lasu dostępuje zaszczytu w żegludze, jako potężny okręt po niezmierzonym Oceanie. Żaden sprzęt domowy z innego drzewa zrobiony, nie przetrwa tak długiego czasu, jak gdy mu król lasu swego materyału dostarczy. Samo nawet ciężkie i nabite drzewo machoniowe nie wyrówna wszystkim przymiotom dębowego drzewa.

Wnętrze ziemi.

Nikt z pewnością wiedzieć nie może, jakie jest wnętrze naszej Ziemi, bo nikt dotąd dosyć głęboko nie zapuścił się ku jej środkowi. Najgłębsze kopalnie w Tyrolu i Czechach zaledwie tysiąc łokci wynoszą, co czyni kilkanaście razy wziętą wysokość wieży kościoła Panny Maryi w Krakowie. To wszakże niczem jest w porównaniu z grubością naszej kuli ziemskiej; odległość bowiem od jej powierzchni, aż do środka tego olbrzymiego ciała wynosi około 10 milionów łokci.

Nierównie znaczniejsza jest wysokość gór, których szczytu stopa ludzka dosięgnąć zdołała. Wysokie są góry w Europie, wyższe jeszcze w Ameryce; najwyższe jednak są w pasmach gór Himalai odgraniczających południową od środkowej Azyi, gdzie najwyższy szczyt 26,344 stóp wynosi.

Zebrawszy w jedno wszelkie postrzeżenia przy zejściu w głąb kopalni i wyjściu na wysokie gór wierzchołki, otrzymamy niezbyt liczny zapas wiadomości o składzie naszej ziemi, na której mieszkamy. Głęboko pod jej powierzchnią rozległe znajdują się jaskinie, po części może wodą napełnione: niektóre z nich dokładnie zbadano, ale to zbyt mało jest znaczące w porównaniu z temi, których człowiek nie odważył się, lub nie mógł zgruntować i przejrzeć dostatecznie. W Norwegii dochodzono

głębokości jednej jaskini, przez wrzucanie do niej kamieni; sądząc więc z długości czasu, jakiego one potrzebowały do spadnięcia na sam spód, oceniono jej głębię na kilkanaście tysięcy łokci. Inna jaskinia w tymże samym kraju zapada poniżej morza; w miejscu zaś, do którego śmiała ciekawość zapuścić się mogła, wyraźnie huk burzącego się morza słyszeć się dawał. Takich ogromnych we wnętrzu ziemi jaskiń pewnie bardzo wielka znajduje się liczba, i niewątpliwie nie jedna z obok przyległą. Ten niejaki związek ze sobą pieczar podziemnych, chociażby i częściowy nawet, ułatwia nam pojęcie trzęsienia ziemi na tysiąc mil przeszło uczuć się dającego, jak tego mieliśmy przykład w czasie zburzenia Lizbony w 1755 r.

W wielkiej głębi pod ziemią musi być w niektórych miejscach ciągły ogień, albo jaka inna przyczyna niezmiernego niekiedy na powierzchni ziemi jawiącego się gorąca. Bo schodząc do niektórych kopalni napotykamy tu szczególniejsze ciepło, a nie jednostajne, jak zwykle w głębokich piwnicach, ale odmienne, które przeciwnie w miarę coraz to niższego zapuszczania się we wnętrze ziemi, powiększa się jednostajnie i regularnie. Istotna przyczyna tego w stósunku głębokości zwiększającego się gorąca, niezawodnie od stanu wewnętrznego ziemi zależy.

I lawa także, to jest, ognista stopiona massa, którą góra ogniem ziejąca z siebie wyrzuca, zapewne z wielkiej wydziera się głębokości, gdzie coraz to bardziej zwiększające się gorąco we wnętrzu ziemi ma swój początek.

Jeden z najsławniejszych tegoczesnych wędrowników spuściwszy się pewnego razu, w czasie spoczynku góry ogień wyrzucającej, w jej otchłań przepaścistą, dostrzegł w niej trzy podziemne szczyty gór, z których ogień i dym wybuchał. W Europie trzy są góry wulkanicznemi zwane: Hekla w Islandyi, Wezuwiusz w pobliżu miasta Neapolu, i wysoka Etna na wyspie Sycylii. W zupełnym nawet spoczynku wspomnionej tu w końcu góry, od czasu do czasu z głębi czeluści otchłani, dobywają się gwałtowne płomienie, a lawa jako wrząca massa podnosi się do góry i znowu opada.

Wiele źródeł a szczególniej gorących, zapewne także z wielkiej głębi pochodzą, może one powstają i z wznoszącej się w górę pary, która po ostudzeniu znowu się w wodę zamienia. Największa część źródeł w górach powstaje, i ich tworzenie się tamże, naocznie prawie widzimy. Góry wciągają w siebie chmury i pary wodne z powietrza, i zgęszczają je w wodę, zupełnie tak, jak zwierciadło ze zimna do ciepłego przyniesione pokoju, parę wodną przyciąga ku sobie, i natychmiast wilgotną pokrywa się powłoką. Woda ścieka po ścianach góry szczelinkami w jej wnętrze, a zebrawszy się na jednem miejscu w wielkiej ilości, jako źródło poniżej z jej boku wypływa.

Przestrogi dla ludu wiejskiego.

Do zachowania zdrowia najwięcej przyczyniają się:

Czyste ciało, odzież, sprzęty, również i czystość w domu i na podwórku.

Zdrowe pokarmy w mierze, a nigdy do zbytku używane; zbytek w jadle jeszcze szkodliwszy od braku pożywienia.

Strzedz się pracy i spania w słońcu z odkrytą głową; w czasie upałów najdogodniejsze kapelusze słomiane.

Nie spoczywać w miejscu chłodnem, wilgotnem, na przeciągu powietrza, zwłaszcza gdy się jest zgrzanym.

Nie pić nagle i dużo zimnej wody po zbytniem utrudzeniu; wypocząć pierwej, dopóki się cokolwiek nie ochłódnie, do zimnej wody dolać trochę octu lub kwasu.

Szczególniej nie pić osobliwie w czasie żniwa, nader szkodliwej wody stojącej z kałuż, rowów itp. z przyczyny znajdującego się w niej robactwa, którego gołem okiem dojrzeć nie można.

Unikać dźwigania zbytnich ciężarów, aby uniknąć oberwania się, różnych kalectw i słabości

Strzedz się przerwania potów, dla uniknienia kataru, kolek i wiele innego złego.

Po pracy obmywać ręce zimną wodą i dobrze je obetrzeć.

W początkach słabości wstrzymywać się od jedzenia, a gdy to nie pomoże, zawezwać lekarza, a nie przesądnej kobiety, które najmniejszego o sztuce lekarskiej nie mając wyobrażenia, swem zabobonnem leczeniem, najczęściej o zgubę przyprawiają chorego.

RÓŻNOŚCI.

Gatunki sera. Różne gatunki sera podzielić można, na kwaśne i słodkie; kwaśno robią się z mleka, które skwaśniawszy samo przez się ścięło się w twaróg, słodkie zaś z mleka, którego twaróg utworzył się sztuką i bez skwaśnienia. Pierwsze mogą być chude lub tłuste, podług tego czy z użytego na ich zrobienie zebraną została śmietana lub nie; drugie zaś, czyli słodkie, zawsze mniej więcej bywają tłuste, bo wyrabiane ze słodkiego mleka, z którego nic, albo mało tylko śmietany zebrać można było, dlatego to powszechnie zowią je serami tłustemi. Od sposobu wyrabiania i okolic, zowią je szwajcarskiemi, holenderskiemi, angielskiemi, żuławskiemi, cieszyńskiemi itp.

Stłuczenie lub *odgniecenie* jeżeli jest świeże, to najskuteczniejszym będzie na nie środkiem długie trzymanie zbolałej części ciała w zimnej wodzie, a następnie obwinienie chustą omoczoną w słonej wodzie, którą często odmieniać trzeba. Przestrzegać należy żeby nie dopuścić zapuchnienia.

Guzy pochodzące z uderzenia głowy, piersi lub delikatnych części ciała są niebezpieczne; lżejsze okładać trzeba mocno osoloną wodą z octem, maścią mydlaną, rozciekiem ammoniackim. Sinej nabrzękłości nigdy otwierać nie trzeba, ale zostawić dopóki się sama krew nie rozejdzie. W wątpliwym razie wezwać rady lekarza.

Zadraśnienie się, *zakłócie*, choć na pozór, zdaje się być mało znaczącą rzeczą, to jednakże bardzo szkodliwe niekiedy może za sobą pociągnąć skutki; należy więc wyjąć co uwięzło w ciele, ranę zalać oliwą, albo obwinąć ranę szmatą w oliwie lub żółci wieprzowej zmaczaną; można także użyć i błonki z jaja. W każdym przypadku starać się trzeba, choćby za pomocą nacięcia ciała, wydobyć koniecznie drzazgę lub cierń uwięzły, a jeźli się uformowała ropa, to ją wycisnąć, wymyć i przyłożyć młodą słoniną.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Mikołaj Radziwił mawiał: Jestem pan, zniewoliłem sobie wielu serca i czapką i papką. Niech mię nie nazywają Radziwił, ale Radżywił.

Kalinowski Hetman koronny mawiał: Wolę bóty żółte jak czerwone; bo wojenne ptaki, jako jastrzębie, krogulce, orly, żółte nogi mają. Czerwone zaś nogi u wszystkich pieczonych ptaków.

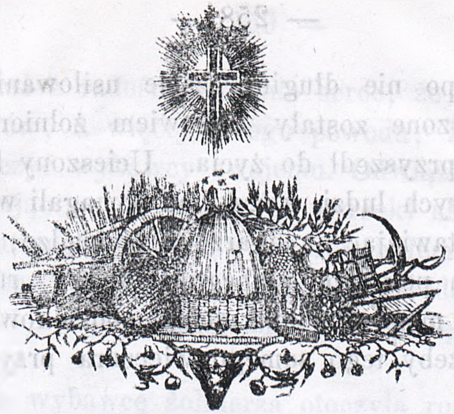
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 17.

11. Czerwca 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wdzięczny żołnierz.

Było to wieczorem prawie przed świętami Bożego Narodzenia 1840 roku. Jechał ksiądz Trawik, dziekan obrządku grecko katolickiego, ze swojej podróży do domu, a mróz był niezmiernie wielki, jednakże nie wiele dokuczył on księdzu dziekanowi, bo miał na sobie płaszcz dobrze podbity mołdawskiem futrem. Gdy się zbliżał do Roguszny, co leży o dwie mile od pięknego miasta Czerniowiec we wschodniej części Galicyi — obaczył na śniegu coś czarnego. Przygląda się lepiej i poznaje, że to jest jakiś żołnierz, który od wielkiego zimna przewrócił się na ziemię i leży prawie już bez ducha.

Skoczył czemprędzej z wozu, wziął przy pomocy parobka ciało nieszczęśliwego żołnierza na sanie, kazał podciąć konie i wieźć do najbliższego domu Po półgodzinnej drodze stanęły huculskie koniki przed karczmą, która tuż była przy drodze. Dobroczynny kapłan kazał natychmiast wnieść do izby zmarzłego żołnierza, który już ani śladu życia nie okazywał, i wszelkich użył sposobów, aby go koniecznie przyprowadzić do przytomności. Tarto go bez ustanku śniegiem, i czyniono wszystko co tylko

kto poradził, i po nie długim czasie usiłowania pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały, albowiem żołnierz począł się ruszać i powoli przyszedł do życia. Ucieszony ksiądz dziekan wynagrodził dobrych ludzi, którzy mu pomagali w dziele miłości bliźniego, a zostawiając szynkarzowi pieniądze, ażeby za nie posilnym rosołem pokrzepił słabego żołnierza, ruszył spiesznie w dalszą drogę, może dla uniknienia podziękowania a więcej może dla tego, żeby tego samego wieczora przybyć do swojej chorej małżonki.

Gdy się żołnierz posilił dobrą wieczerzą, chciał natychmiast puścić się w drogę. Odradzali mu ludzie, żeby tego nie czynił, bo na dwudziesto stopniowym mrozie może go spotkać jeszcze raz podobna przygoda, jednakże w żaden sposób nie można go było nakłonić do zostania na noclegu w karczmie. Był on bowiem z załogi czerniowieckiej a niósł ze sobą pilne listy i ważne rozporządzenia. Spytał się tylko w której wiosce mieszka wybawca jego życia, zabrał rzeczy i śmiało ruszył w drogę. Dążył więc prosto do tej wioski, aby zacnemu mężowi osobiście złożyć swoje podziękowanie. Gdy przybył do onej wioski, serce zapukało mu w piersi, bo w mieszkaniu księdza dziekana obaczył jeszcze światło Ale im więcej zbliżał się do plebanii, tem wyraźniej słyszał męzkie głosy. Nagle powstał krzyk okropny. Zbliża się do drzwi, chce je otworzyć, ale były zamknięte. Biegnie więc pod okno, by widzieć co się dzieje w pokoju. Zdziwienie ogarnęło go wielkie. Ksiądz dziekan leżał na ziemi skrępowany tak, że ani nogą ani ręką nie mógł ruszyć. Czterech w pałki uzbrojonych ludzi stało przy nim. Okropnym głosem wrzeszczeli o wskazanie im pieniędzy. Aby tem prędzej wymódz słowo na strwożonej ofiarze, chcieli w tym celu rozpalonych użyć węgli, by jej wsypać na piersi.

Żołnierz przekonał się teraz, że to zbójcy. Naciągnął tedy kurek od swojego karabina, wymierzył oknem i od razu położył trupem jednego zbójcę. Wyjął potem bagnet i tylnemi drzwiami, które na szczęście były otwarte, wpadł do pokoju i nadludzką ożywiony siłą, pierwszego, co biegł przeciw niemu, pchnął w piersi, następnie ranił ciężko drugiego, aż się powalił na ziemię, co widząc ostatni umknął oknem.

Żołnierzowi z radości zatętniło serce, że został zwycięzcą czterech zbójców, a więcej z tego powodu, że się tak godnie mógł odwdzięczyć wybawcy swojemu. Odwiązał mu ręce i nogi a on przyciskając go do piersi, te wyrzekł słowa: — Dziwne zrządzenie Opatrzności! Przed wieczorem byłem twoim wybawcą, tyś teraz wybawił całą rodzinę moją! Widać w tem palec Boży — dzięki więc wszechmocnemu, dzięki najdobrotliwszemu Bogu!

Niebawem wybawcę żołnierza otoczyła rodzina, wszystkim stanęły łzy w oczach, a ku niebu najgorętsza wybiegła modlitwa.

Józef z Bochni.

Pierwszy deszcz wiosenny.

Deszczu wiosenny! rosą, manną z nieba,
Padaj — ach padaj — przepowiednią chleba —
Zrywam się ze snu na odgłos rzęsistych
I dźwięcznych kropel — i już serce nuci
Wdzięczność ku Bogu — a potok łez czystych,
Łez uniesienia z oczu mi się rzuci!
Widziałam sama niedawno ze strachem,
Trawę bez barwy na łąkach bez rosy,
Głodne bydełko ryczące pod dachem,
Ruń wprawdzie świeżą — lecz czy będą kłosy?
Kwiat co wystrzeli — to znów w ziemi znika:
I gaje stoją bez pieśni i cienia,
Ni tam kukułki — ani tam słowika,
Ni nawet żabek dla przerwy milczenia.
Bóg się zlitował — już nam leje deszcze,
Padaj, ach padaj! i jeszcze — i jeszcze!
Padaj na łąki — na pola — na lasy,
Krop biedną ziemię za jej głodne czasy!..
Parzcie! jak hojnie bez różnicy pada
Nawet na miasto gdzie go mniej potrzeba,
Może to z góry przestroga i rada
By równie czynić doczekawszy chleba. —
Byle nam jego na cały rok stało,
Dla kmiotków naszych — dla naszej czeladzi,
By trochę ziarna na zasiew zostało,
Zbiorów nie trzeba — i Bóg sam nie radzi,
I w owej mannie na puszczy — ostrzega
Że to co schowasz — zepsuciu podlega...
Deszcz — to rozmowa jest ziemi i nieba,
Bóg wszystkich jedną obdarza szczodrotą;
Biedny w tych kroplach — liczy kromki chleba,
O! nie zmieniajmy tych kropel na złoto!

Przywiodę ślepe na drogę, której nie widzą i ścieżkami
których nie znali uczynię, że chodzić będą.

Izajasz R. 42 w. 16.

Przed niezbyt wielu latami, przebywałem*) czas niejaki w małej wiosce nad Delawarą w wyższej części Hrabstwa Nowy-Jersey; gdy jednego dnia o wschodzie słońca wyjrzałem z okna mojego pokoju, i postrzegłem zadziwiony, w niewielkiej odemnie odległości, jakiś ruch niezwykły: liczne gromady mężczyzn, kobiet i dzieci, widocznie okazywały szczególne jakieś zaniepokojenie umysłów, i żywe ważną sprawą zajęcie. Zeszedłem na dół i dowiedziałem się, że mała pięcioletnia dziewczynka, córka ubogiej wdowy o godzinę drogi, od miejsca mego pobytu przebywająca, od czwartej godziny popołudniowej dnia poprzedniego, gdzieś zaginęła. Domniewywano się, że najpodobniej poszła do lasu, w bliskości którego jej matka mieszkała i tam zabłąkała się zapewne. Niepocieszona kobieta z kilku najbliższemi sąsiadami, tego samego jeszcze wieczora, dopóki tylko widzieć można było, szukała zbłąkanej dzieciny; z zapadającym zaś zmrokiem, przybył do wsi posłaniec z prośbą, o udanie się równo ze dniem z pomocą do lasu, dla wyśledzenia biednego dziecięcia, do czego większa część ludności okazywała gotowość. I ja natychmiast postanowiłem być uczestnikiem ich wyprawy; a w pół godziny prawie, byliśmy już na drodze do lasu, gdzieśmy do stu osób obojej płci zgromadzonych zastali.

Według ogólnego porozumienia, podzieliliśmy się na małe oddziały, i każden z nich z osobna pewną część lasu do przeszukania miał sobie wyznaczoną, a wszyscy mieli się zejść na nieodległym, a wiadomym sobie pagórku; na przypadek zaś znalezienia dziecięcia przed zbliżeniem się do oznaczonego miejsca, miano wystrzałem zwiastować pomyślny dla wszystkich wypadek.

Przy rozchodzeniu się po lesie oddziałów, ujrzałem kobietę zrozpaczoną, pędem przez pole ku nam biegnącą; zatrzymaliśmy

*) Opowiadający niniejsze zdarzenie, jest sam jego uczestnikiem, późniejszy wódz -zelny siły zbrojnej w Stanach Zjednoczonych Amerykańskich, a obecnie (1869) pre- w temże państwie.

na

zyden

się aż do jej do nas przybycia; nigdy w mém życiu nie widziałem tak głęboko wyrytej boleści, jaka się na jej bladej twarzy okazywała. Była to około 30 lat mająca, przystojna kobieta, ale nadmiar cierpienia, przestrach, żal, rozpacz o wiele jej wieku przyczyniały — to matka zabłąkanego dziecięcia: czerwone od łez oczy, dziko na wszystkie zwracały się strony, usta zsiniałe, włosy na głowie w nieładzie rozrzucone, suknia podarta, jasnym były dowodem pilnego jej w każdym krzaku i ciernisku szukania. Z złożonemi rękami, a serce rozdzierającym głosem błagała nas o wyśledzenie jej dziecięcia. Upewniałem ją, że się to stanie niezawodnie, jeżeli nasze usiłowania będą w ludzkiej mocy.

— O wynajdźcie mi panie, moje dziecię, bo ja oszaleję.

— Bez wątpienia znajdziemy je jeszcze przed upływem dnia, odrzekłem, ale trzeba wam być spokojną, bo te gwałtowne wasze wzruszenia, nic wam nie sprawią dobrego.

— Spokojną! zawołała z dzikiem spojrzeniem, kto to każe mi być spokojną, kiedy moja biedna Ada błąka się po manowcach i z głodu umiera? O ja sama będę jej szukać, choćby mi i zginąć przyszło.

To mówiąc biegła w najbliższe zarośle, niezważając na ciernie rozdzierające jej odzież i ciało. Wraz z dwoma towarzyszami poskoczyliśmy za obłąkaną prawie, i zaledwie się nam udało, pochwycić ją, kiedy jak zwierz dziki rzuciła się w gęstwinę. Z wielkiem wysileniem pochwyciłem ją przecie, i stanowczym rzekłem do niej głosem: Na tak nierozważne wasze postępowanie, nie możemy wcale zezwolić, i jeźli pragniecie odzyskać swe dziecię, to trzeba się wam zachować spokojnie i zostać pod opieką obecnych tu kobiet. Z razu nie zważała na nasze napomnienia, ale z uniesieniem powiedziała nam, że jako matka wie dobrze, co czynić powinna; lecz gdy jej z rąk nie wypuszczamy, za przyjściem cokolwiek do przytomności, upewniała nas o wypełnieniu wszelkich naszych poleceń, byle tylko odzyskała ukochane swe dziecię.

Teraz już bez żadnej odwłoki wzięliśmy się do dzieła: każdy oddział w jednej linii o 10 do 15 kroków od siebie oddalony, posuwał się w głąb lasu. Zbyt gęste w niektórych

miejscach krzaczyska wstrzymywały nas w pochodzie; a chociaż sami sobą nie mało czyniliśmy wrzawy, i przynajmniej co minuta wołaliśmy „Ada!“ to przecież nie byliśmy pewni, czy dziecię wylęknione, nieprzytomne, odezwie się na głos sobie nieznany; tak więc najmniejszej nigdzie zarośli nie można było bez przeszukania pominąć. Gdzie zaś las był otwartszy, tam spieszniej postępowaliśmy w naszej wyprawie, aż nareszcie przy ostatniem zapadaniu promieni słonecznych, zbliżyliśmy się do umówionego pagórka, gdzieśmy już zastali jednych, gdy drudzy niebawnie nadchodzili. To zejście się jednak nasze, nie było pocieszające, bo nikt najmniejszego śladu dziecięcia nie dostrzegł. Okropne położenie matki i jej dziewczęcia, powszechną obudzało litość, a tak szczerym i silnym był udział niektórych mieszkańców, że jeden z nich obiecywał dać 100 dolarów *) nagrody za dostawienie żywego dziecięcia, po czem dziewięciu innych z tą samą oświadczało się gotowością, przezco dla szczęśliwego znalazcy zebrała się summa 1000 dolarów wynosząca. Słusznie można się było teraz spodziewać wielkiej gorliwości w poszukiwaniu, między obojętnymi nawet. I w rzeczy samej wiadomość o wyznaczonej nagrodzie rozbiegła się z nadzwyczajną szybkością i sprawiła skutek uroczy. Wielu umordowanych przed chwilą, pospieszyło do domu po latarnie, dla ułatwienia sobie poszukiwań, w ciągu całej nocy, a powab znacznej sumy pieniędzy zwabił i tych, którzy dnia jednego miłosierdziu poświęcić nie chcieli.

Ja sam uznojony a pragnący wzmocnienia sił na dzień jutrzejszy, wróciłem do domu, i wcześnie udałem się na spoczynek. Pomimo wielkiego utrudzenia, długi czas zasnąć nie mogłem; niespokojnie rzucałem się z boku na bok na łożu, smutny obraz dziecięcia i nieszczęśliwej matki ciągle mi stał na myśli, i niczem go z pamięci usunąć niepodobna było. Wreszcie znużony wpadłem z wolna w ten stan, w którym wszystko miesza się w naszym umyśle, wiemy że marzymy, rozbudzić się jednak nie życzymy sobie.

W takiem to rozmarzeniu nareszcie zdaje mi się, że z temi samemi co i wczoraj osobami, jestem znowu na dalszej w lesie

*) Dolar ma 2 złr. 15 centów.

wyprawie; w tem obok siebie postrzegam nieznanego mi zupełnie człowieka o bladej, poważnej twarzy, a ubiorze kapłańskim, ten ciemne, pełne wyrazu oczy na mnie zwracając, miłym, łagodnym głosem a ujmującym uśmiechem, rzecze: Widać, że zbłąkane dziecię niespokojnością i obawą waszą duszę napełnia, ale za to zaszczyt sercu przynosi; ja tu przybyłem wskazać wam miejsce pobytu dzieciny.

— O jeżeli to wiecie mój panie, odparłem, powiedzcie łaskawie, nie ze względu na mnie, ale dla dobra biednego stworzenia i jego zrozpaczonej matki.

— Idźcie ze mną, dodał nieznajomy, i odprowadził mię od pilnie zajętej szukaniem drużyny.

Potem zdawało mi się, żeśmy przybyli do wspomnianego już kilkokrotnie pagórka, lecz zamiast wejść na niego nieznajomy zwrócił się na prawo, i przeprowadził mnie przez pewien rodzaj wyschłego bagniska, na łąkę jasnym przeciętą strumyczkiem, ten przekroczywszy przybyliśmy do innego, obok parowu i krzaków pagórka, na któren z łatwością wyszedłszy, ujrzeliśmy tam rzewnie płaczącą dziewczynkę...

W tej chwili raptem ze snu się porwałem; całe to jednak łudzące wydarzenie w tak żywym teraz przed memi oczami stawało obrazie, iż długi czas upłynął nim się przekonałem, że to był sen tylko, a ja rzeczywiście nie widziałem dziecięcia. Ale i wtedy wrażenie przez sen sprawione tak było silne, że nie traciłem nadziei, znalezienia nazajutrz za łaską Boską, zbłąkanego dziewczęcia.

Z pierwszym brzaskiem poranku powstałem czemprędzej, opowiedziałem mój sen rozbudzonej przezemnie rodzinie, a pełen ufności w dobroć litościwego Ojca Niebieskiego, udałem się w drogę. Wielka ilość mieszkańców wsi w tym samym czasie wychodziła na umówioną wyprawę, gdy drudzy unużeni z nocnej a daremnej wracali z lasu wycieczki Ja nikomu o mojej tajemnicy nie wspomniałem, bo zwodniczemi najczęściej okazują się senne widziadła; nieznacznie jednak oddaliłem się od moich towarzyszów, i pospieszyłem na miejsce, do którego mnie nieznajomy we śnie prowadził. Z wielką radością i niemałem zdziwieniem zobaczyłem rzeczywiście podeschłe bagno a po

jego przejściu, łąkę z maleńkim strumyczkiem. Serce biło mi gwałtownie. Mógłżem ja tu być z wyższego natchnienia? Mojemże to było przeznaczeniem ocalić życie drobnej istocie, i zrozpaczonej matce przynieść pociechę i uspokojenie? Gorące, serdeczne zanosiłem modły do Niebios Pana, żeby się łaskawie spełniły moje życzenia.

Pospieszając dalej, na wszystko to samo, co we śnie napotykałem; zbliżyłem się ku wzgórkowi i postrzegłem parów i krzaki, a więc byłem już przy końcu zamierzonej drogi. Czyliż mnie słuch nie zwodzi, nie jest że to płacz dziecięcia? W tęsknem oczekiwaniu gwałtownego doznałem wzruszenia. Wcisnąłem się między gęstwinę krzaków, i pobiegłem czemprędzej na wzgórek, a zaledwie na nim stanąłem, ujrzałem dziecię na ziemi siedzące; poskoczyłem do niego z okrzykiem radości.

Tak, w rzeczy samej, było to małe dziewczę ze złotemi włoskami, z opartą na rączkach główką, a rzewnie płaczące. Na mój głos podniosła swoją miluchną twarzyczkę z niebieskiemi oczami, i rzuciła na mnie tak przenikające wejrzenie, jakiego nigdy w życiu zapomniećbym niezdołał. W jednej chwili była już w mojem ręku; przycisnąłem ją do serca; ze łzami dziękowałem Bogu.

— Mamo! Mamo! zaprowadź mię do mojej mamy! słabym głosem szeptała biedna dziecina.

— Tak, mój luby aniołku, odrzekłem wzruszony, zaprowadzę cię do twojej mamy; niechaj Bóg zsieła na ciebie wszelkie błogosławieństwo!

Otóż i koniec tego smutnego z razu, a teraz pełnego radości w końcu wydarzenia. Dwie godziny drogi niosłem osłabione dziewczę do domu. Posłaniec na drodze spotkany pospieszył czem prędzej do matki z pocieszającą wiadomością, nim do jej domu przybędę. Wybiegła naprzeciw nas uradowana, ale nim się zbliżyła do swego dziecięcia, padła zemdlona.

Tysiąc dolarów obiecane w nagrodę przyznano mi jednomyślnie.

Wziąłem je, i dałem w całości ubogiej, a teraz uszczęśliwionej swem dziecięciem wdowy, której błogosławieństwa szczęśliwszym mnie uczyniły, niż marny dźwięk złota.

Budownictwo ptaków.

I.

Niezmierna rozmaitość okazująca się w zakładaniu gniazd wszystkich prawie ptaków, każdego wprawia w zadziwienie; one bowiem do nieskończoności urozmaicają kształty, sposoby wykonania i materyały do budowy użyte; tak więc można w nich rozróżnić tyle odmiennych robotników, ile jest szczególnych rzemiosł w towarzystwie ludzkiem. I tak niektóre ptaki są cieślami, inne tkaczami, te znowu krawcami, tamte wznoszą budowle, a między niemi są szańcownicy, murarze i rzeczywiście górnicy itp. jednych im tylko niedostaje kowali.

Wprawdzie obok naszych olbrzymich pomników, jak kościół św. Piotra w Rzymie, lub piramid Faraonów egipskich, gniazdo ptaka jest tylko punktem w przestrzeni, lecz ta znikoma drobnych stworzeń praca, łatwo się wzniesie przed naszemi oczami, gdy ją porównamy z słabemi siłami robotnika do obszerności wykonanego dzieła; bo niektórzy z naszych budowników powietrznych, w stosunku swej wielkości, więcej znoszą ziemi w jednej porze roku, przy stawianiu dla siebie mieszkania, niżby jej nagromadził człowiek przez całe swoje życie!

Miłość macierzyńska u ptaków, w najwyższym objawia się stopniu. Jeżeli przepiórka lub kuropatwa składając swoje potomstwo w otwartem na ziemi miejscu, wystawia je na żarłoczność mięsożernych zwierząt, to znowu inne rodzaje, nieskończenie różnych do obrony swych dzieci używają ostrożności. Zimorodek np. wykopuje głębokie i kręte podziemia, dla ochrony swej drobnej rodziny. Sroka dla tem pewniejszego swych młodych ubezpieczenia, buduje prawdziwą cytadelę z stósownem podwalem, zkąd bardzo szczupłe ma do wchodu i wychodu miejsce. Jednakże zamiast użycia ciesiołki, lub ziemi do wzniesienia swojej budowli, wykonywa swą pracę za pomocą gałązek gęsto przeplatanych, a zakrywających gniazdo, i będących pewną obroną od orłów i sokołów, tych prawdziwych rozbójników powietrznych.

Pomiędzy rozlicznemi plemionami latawców powietrznych, jed n tylko rodzaj, pod każdym względem osobliwy, mający przymioty ptaka i ryby, stanowi wyjątek od prawa powszechnego, i dla swego potomstwa żadnego nie zakłada gniazda; takim jest bezlotek patagoński w Ameryce, przebywa on tylko między lodami, skałami i falami morskiemi, skrzydła zaś ma zupełnie do lotu niezdatne. Miłość jednak macierzyńska tych ptaków ku swemu płodowi, znagla nas do uwzględnienia ich ociężałości i głupoty.

Samica bezlotek, jak niektóre zwierzęta w Australii, swe młode w worku podbrzusznym ukrywające, bezustannie nosi swe jajo jedyne, jak gdyby w kieszeni, powstałej z fałdu skóry na brzuchu, a tak ściągającej się, że ani skakaniem, ani staczaniem się ze skał, nie uszkadza go wcale I dobrze robi, bo w przypadku jakiej nieszczęśliwej przygody, samiec skarałby nielitościwie swoją towarzyszkę. To jajo tak skrzętnie sama matka ukrywa, że dla zdobycia go, potrzeba z nią uporczywą staczać walkę; na jej zaś krzyki przybiega samiec i rzuca się z taką na chciwego łupieżcę zaciętością, że nie ustąpi, dopóki nie polegnie pod jego razami.

II.

Olbrzymy i karły.

Natura stawia nam wszędzie do ostateczności posunięte przeciwieństwa I ptaki mają także pomiędzy sobą karłów i olbrzymów, opieszałych i niestrudzonych pracowników; a ich obyczaje przedstawiają tuż obok siebie niedołężność i pojętność, życie odosobnione i towarzyskie.

Często w okolicach zwrotnikowych, gdzie słońce rzuca swoje najgorętsze promienie, można widzieć unoszące się po kwiatach jaśniejące maleńkie ptaszęta, które w locie migają iskrami światła topazu albo rubinu; to są kolibry, prawdziwe diamenty żywotne, a wątlejsze od niektórych owadów, i częstokroć stające się łupem pająków. Najmniejszy tych ptasząt gatunek mało co większy od szerszenia.

Gdybyśmy porównali wzrost ptaków pomiędzy niemi, przyszlibyśmy do liczb ogromnych. Pewien uczony badacz francuski,

bez ścisłości zapewne dokładnej wyrachował, że potrzeba było tysiąc milionów myszy polnych, dla wyrównania ciężarowi wieloryba. Jeżliby to było prawdą, to takąż liczbę kolibrów należałoby na wadze położyć, dla zrównoważenia olbrzymiego strusia; ale ten ptak słabą jest tylko istotą w porównaniu z olbrzymami, o których niedawno dwaj znakomici badacze natury donosili, lubo wprawdzie jako o zaginionych prawie. Jeden z tych ptaków Dinornis w Nowej Zelandyi wynosił około 17 stóp wysokości; kość goleniowa u mężczyzny cienkiem jest wrzecionkiem w porównaniu z taką samą kością tego ogromu skrzydlatego. Drugi Epiornis na wyspie Madagaskar w Afryce miał być jeszcze wyższy wzrostem od poprzedniego; jajo tego ptaka jest 6 razy większej objętości od jaja strusia, skorupa zaś jego gruba, młotem tylko rozbićby się dała. Jakże potężny musiałby być dziób pisklęcia, żeby się z niej wydobyć zdołał! Tego ptaka jajo jest w gabinecie Paryzkim.

A jaka rozmaitość sił w tych powietrznych mieszkańcach! Gdy koliber wyciąga sok z kwiatu bez nadwerężenia prawie onego, to przeciwnie żórawiosęp wężojad ciągle się połowem płazów zajmuje, a jednem uderzeniem skrzydła ogłusza żółwia albo węża groźnego. Orłosęp na strzelca napada niekiedy, w niebezpiecznych przez Alpy wyprawach; a orzeł w śmiałym locie i dzieci czasem porywa, i unosząc je w rozległe powietrza przestrzenie, gruchocze je w przepaściach gór i pożera

W roku 1838 zdarzył się w Valais (Wale) we Francyi podobny przypadek. Dziewczynka pięcioletnia bawiła się ze swoją towarzyszką na trawniku górnym, gdy nagle spuścil się orzeł i uniósł ją w pośród krzyku jej przyjaciółki. Wieśniacy spiesznie na ratunek przybiegli, ale daremnie Szukali dziewczęcia, ale znaleźli tylko jej trzewiczek nad przepaścią; w gnieździe zaś orła śladu jej nawet nie było, tylko dwoje piskląt i kości z kóz i owiec. We dwa dopiero miesiące odkrył pasterz na skale zwłoki dziecięcia, okropnie uszkodzonego, o pół mili od miejsca z którego było uniesione

Wielu utrzymuje że orłosęp, najśmielszy z sępów i najsilniejszy w locie, rzuca się nawet na śpiących ludzi

III.

Praca i rodzina, opieszałość i niewdzięczność.

Cały rodzaj mysikrólików i sikor, jakkolwiek dobrego wzrostu, zadziwia przemyślnem wykończeniem prac swoich, i miłością ku swej rodzinie; zaiste, są one zachwycającym dla nas widokiem.

Pomiędzy miłemi naszych gajów gośćmi, godna wspomnienia sikora, budująca sobie gniazdo jak podziemne legowisko, a potem sikora ogoniasta zadziwia nas zakładaniem swojego gniazdeczka, które z mchu nie większe od pięści, w kształcie kulistym uściela. Samica wchodzi weń bardzo wąziuchnym otworem, i karmi od 10 do 12 piskląt; pomieszczenie się w tak małej komnatce, jest prawdziwie nie do pojęcia. Wytwornością budowy jeszcze bardziej wprawia nas w zadziwienie sikora wąsatka, która „w najgęstszych zaroślach trzciny robi sobie sztuczne, jajowo-podługowate, workowate gniazdo, wierzchem przytwierdzone do krzyżujących się badylów trzciny, z boków zaś i spodem zostawia je zupełnie wolne, kołyszące się, z dwoma okrągłemi otworami;“ te zaś jak najstaranniej są wykonane, żadne włókienko nie wystaje nad drugie.

Chata u wielu dzikich ludów zawsze stoi otworem, nieupadły one jeszcze na pomysł sporządzenia sobie opiekuńczych drzwi. Pająki daleko sprytniejsze, niektóre z ich rodzajów umieją się zamykać w swojem podziemiu, za pomocą drzwi zręcznie wykonanych, i pomiędzy ptakami są takie, co używają przy swoich gniazdach podobnej ostrożności.

Pewien podróżny do Indyi Wschodnich, wspomina o szczególnym rodzaju sikory zasługującej na uwagę z przyczyny gniazda z bawełny w kształcie butelki utkanego. Gdy samica wewnątrz siedzi na jajach, samiec tym czasem, jako czujny strażnik, zostaje po za gniazdem w osobnej torebce umieszczonej z boku wydłużonego gniazda; a kiedy za oddaleniem się swej towarzyszki i on sam chce z nią odlecieć, wtedy uderza gwałtownie skrzydłami w otwór do gniazda, i zatyka je tym sposobem dla obrony potomstwa przed nieprzyjacielem.

Przemyślnie i sztucznie wykonana na gniazdo budowa, miłość rodzinna i zamiłowanie w pracy, najszczególniej okazuje się w dziele wikłacza towarzyskiego. Ta mała na przylądku Dobrej Nadziei w Afryce ptaszyna, mało różniąca się wielkością i postacią od naszego wróbla, żyje w licznem towarzystwie jednoczącem się dla zakładania rozległego grodu, w kształcie

ogromnego parasola, który otacza w około pień wielkiego z konarami drzewa. W tem zabudowaniu mieści się przeszło 300 komórek, a zatem więcej niż 600 ptaków razem zamieszkałych.

Wspomnieliśmy już, że w pokoleniu skrzydlatem, wszelkiego powołania dają się widzieć pracownicy. Niktby się nie spodziewał napotkać między niemi prawdziwe szwaczki, bo przecież dziób ptasi niezdolny do pracy igłą wykonywanej; a jednakże niektóre z nich rodzaje rzeczywiście zręcznie szyć umieją. Nie mówimy tu o tych ptakach których gniazda z traw cienkich znane powszechnie, przedstawiają siatkę nierozwikłaną, ale o gajówce krawczyku, która bierze dwa wielkie podłużne, włóczniowate listki z drzewa, zszywa dokładnie ich brzegi w obszywkę, używając zamiast nici zdziebełka giętkiego trawy; poczem samica napełnia ten rodzaj worka bawełną, a na tem miękiem posłaniu, składa jaja do wylężenia. To gniazdo jest prawdziwem arcydziełem pojęcia zwierzęcego.

Wilga w naszym klimacie buduje także bardzo sztuczne gniazdo, między widełkami gałęzi poziomo leżącemi, zawieszone, w kształcie woreczka z dwoma uszkami, któremi są silnie około gałęzi okręcone; są zaś te gniazda uplecione z włókien, przędzy, trawy, wełny itp. tak mocno, iż i gwałtowny wiatr w niczem ich nie uszkodzi. Zawieszone u gałęzi wraz z nią kołyszą się bezpiecznie. Wnętrze gniazda wysłane puchem, drobnym zdziebłem trawy, mchem itp.

A teraz naprzeciw tej wytrwałej pracy i ciągłej działalności latawców powietrznych, postawmy instynktową niejako gnuśność i okrucieństwo kukułki. Ten dziki mieszkaniec naszych lasów, nie zakłada gniazda, nie wysiada młodych i nie karmi swych piskląt. Podstępem przelewa ten obowiązek na inne ptaki, i to zwykle na najmniejszej postaci rodzaje, uwalniając się sama od wszelkiego starania o swoje potomstwo.

Teraz nastręcza się ciekawe do rozwiązania pytanie: kiedy gniazdka miluchnych gości naszych gajów są tak szczupłe, że ptak rozmiarów kukułki w nichby się nie zmieścił, dla zniesienia tam swojego jaja, jakimże więc sposobem złożyła je samica kukułka w maleńkiem drobnych ptasząt gniazdeczku? Uczony badacz francuzki rozwiązuje nam tę trudność; widział bowiem naocznie samicę znoszącą jajo na trawie, które potem brała w dziób, umieszczała je w gardle, i nareszcie wkładała do wybranego przez siebie gniazdka ptasząt owadożernych. Wiekopomnej zaś pamięci Jener Anglik wynalazca szczepienia ospy, z własnych spostrzeżeń tak mówi: kukułka w kilka go-

dzin po swem wylęgnięciu, za pomocą tylnej części ciała i skrzydeł, wpycha się pod małego ptaszka, z którym podziela kolebkę, unosi go na swoim grzbiecie, i podniesieniem swych skrzydeł wstrzymuje. Poczem posuwa się w tył na brzeg gniazda, podnosi się na chwilę, a potem po niejakiem usiłowaniu, zrzuca swoje brzemię po za domek gościnny. Po dokonaniu tego czynu, zatrzymuje się kilka chwil, jakby dla zapewnienia się o pomyślnym skutku swego przedsięwzięcia. Rozbójnik ten straszliwą okazuje wytrwałość w wykonaniu swego dzieła wytępienia, pracuje on w tej mierze bez wytchnienia, i wszystkie pisklęta wyrzuca z gniazdka na ziemię.

Ztąd to kukułka powszechną wszystkich na siebie ściąga naganę, i zwykle uważaną jest zwłaszcza w Niemczech za godło niewdzięczności.

Miasto nadmorskie.

Hamburg przy ujściu rzeki Alster do Elby, o 18 mil od morza niemieckiego, a 10 mil od Baltyckiego położony, ze swoim obwodem blisko 7 mil kwadratowych wynoszącym, zbyt maleńki wydaje się na karcie geograficznej; ludność jego nawet dwakroć sto tysięcy przeszło wynosząca, nie wiele znaczy, ale położenie uczyniło to miasto jednem z najznaczniejszych stanowisk handlowych całego świata.

Już Karol Wielki cesarz rzymski w 9tym wieku żyjący, z korzystnego położenia wioski rybackiej, na której miejscu dzisiejszy Hamburg był założony, wielką przyszłość przepowiadając, gród tu i kościół wystawić kazał. W 13tym zaś wieku do takiej Hamburg doszedł już potęgi, że jako miasto hanzeatyckie wraz z Lubeką utrzymywał okręty wojenne i wojsko, dla bezpieczeństwa handlu w owe czasy nader potrzebne.

Za zbliżeniem się do miasta, daje się widzieć nieprzejrzany las masztów, bandery okrętowe wszelkiego koloru, i wszystkich prawie narodów, powiewają w powietrzu. Pomiędzy niemi za każdym wiatru podmuchem, wydymają się ogromnej wielkości żagle, a czarne kłęby dymu z wysokich kominów na okrętach parowych wzbijają się pod obłoki. Tuż na wybrzeżu wznoszą się olbrzymiej rozległości spichlerze, na składy towarów przeznaczone. Około murów otaczających brzegi, tłumnie tam i na powrót uwijają się ludzie wszelkiego koloru, składu ciała, w najrozmaitszym, a właściwym swej narodowości stroju. Tu

wozy ładowne z trudem postępują w górę ulicy nadbrzeżnej; wpośród nich pędzą dorożki, i konno jadący, krzyczą drążniki, majtkowie śpiewają, sprzedający drobne towary, wywołują je donośnym okrzykiem, a niczem niezajętych widzów wszystko to na każdem miejscu bawi i rozrywa. Co tylko jest pięknego i kosztownego gdziekolwiek na świecie, to wszystko jest tu wystawione w ogromnych pakach, beczkach, żelazem okutych skrzyniach, na blokach i w koszach. Towary sta tysięcy wartające, zdają się tu być na ulicy porzucone.

Nie tylko ludzie, ale wszelkiego rodziaju statki i okręty nad brzegami Elby, w ciągłym są ruchu i zgiełku. Jedni w zamiarze odbicia od lądu, i puszczenia się na środek strumienia odkładają silne łańcuchy; drudzy cisną się do brzegów, albo do kanałów wiodących do miasta; inni upatrują dogodne stanowiska dla siebie, albo zmierzają do urzędu celnego. Pomiędzy wielkich rozmiarów okrętami, przesuwają się różnobarwne lekkie czołenka rybackie w rozlicznych kierunkach; wtedyto nieobeznany z żeglugą mieszkaniec lądowy, rzuca na nie z brzegu swój wzrok niespokojny; trudno słabej łodzi zetknięcia się ze statkiem, lub wywrotu uniknąć, te jednak zręcznie kierowane, umieją się uchronić od grożącego im niebezpieczeństwa.

Całemi dniami możnaby stać na brzegu, przypatrując się pełnemu zajęcia ruchowi, i coraz to odmienniejszych doznawać wrażeń. Tam to zbliża się ciężki o trzech masztach okręt ze skarbami z Brazylii; tu pędzi wysmukły parowiec do przylądka Dobrej Nadziei, obok stojącego z powrotem statku z połowu wielorybów; tam znowu spoczął na kotwicy okazały Wschodnio-Indyjski żaglownik, a około amerykańskiego kupieckiego okrętu, w chyżym biegu przesuwa się pocztowy angielski parowiec. Ileż tu głosów słyszeć się daje, to ruchem lin, to trzepotaniem się żagli sprawionych; jaka mieszanina wszelkich języków, narodowości i strojów; dodajmy jeszcze głośne wydawanie komend kapitanów okrętowych, przeciągłe spiewy pracą zajętych przy windach czeladzi okrętowej itp. a przekonamy się, że coraz to nowsze przedstawiające się przedmioty, zajmą nas swoją rozmaitością, i najżywszą w nas wzniecą uwagę.

Do Hamburga zawija corocznie do 4.500 i więcej okrętów z których kilkaset na zaeuropejskie kraje przypada; przeszło 500 kupców zajmuje się handlem z całym światem mających stosunki; miliony w obieg wprowadza za pomocą towarów składających się z kawy, tytoniu, cukru, ryżu, indygo, pieprzu, bawełny, wina, skór, piór, korków, świec, także żelaznych,

miedzianych, bawełnianych i jedwabnych wyrobów, płócien, mydła, nici i t. p Corocznie wprowadzają tu przeszło za 150 milionów talarów, a za więcej niż 130 milionów wywożą za granicę. Ileż to rąk jest tu zajętych!

Przepływająca przez Hamburg rzeka Alster, dzieli go na dwie połowy, a prócz niej i liczne kanały przecinają to miasto. Płyną niemi statki przewozowe, aż do wielkich składów kupieckich, a 84 mosty na kanałach postawione, służą do użytku dla pieszych i wszelkiego rodzaju pociągów do przewozu towarów zwykle używanych.

W nowszym czasie w rozlicznym kierunku pozakładano podziemne odchodowe kanały, w które zwykle w chwilach przybytu morskiego, dwa razy dziennie woda słona wchodzi, a z odpływem zabiera wszelkie nieczystości z sobą, i prowadzi do Elby, a z nią do morza.

Na miejscu wielkiej zgorzałej części miasta w roku 1842, powstały teraz nowe ulice z najokazalszemi domami; mieszkają w nich majętni kupcy i senatorowie; tu także daje się widzieć wielka ilość najpiękniejszych sklepów z towarami, handel zaś cząstkowy w tych tu ulicach, nigdzie niema miejsca dla siebie.

Wcale odmienna jest postać starego miasta. Tu w ulicach są domy z wysokiemi szczytami, od poddasza aż do piwnic, na mieszkanie zajęte. Pieszo idący, wózki tragarzy, wozy i wszelkiego rodzaju zaprzęgi, w zgiełku i nieustannym gwarze wymijają się bezustannie. Skrzypienie kół, trzask biczów i wywoływania sprzedających drobniejsze towary, zbyt przykre są dla ucha. Długie, różnokolorowe, a liczne na wszystkich domach szyldy, przedstawiają morskie ryby, ostrygi, czapki, buty, stołki itp., za wysokiemi zaś oknami wystawione są południowe owoce, suknie, obrazy, zegarki, wyroby złotnicze i jubilerskie i t. p. Płody wszystkich krajów, są tu, jak na okaz wystawione.

Jeszcze większy jest zgiełk w ulicach, w których na dwukolnych wózkach trudniący się sprzedażą drobnych przedmiotów, nie czekają na przybycie kupującego, ale od rana do wieczora wywołują swoje towary. Po za temi wózkami, okazują się ciemne sklepy i przechody w kamienicach, gdzie tandeciarze starzyznę zakupują i sprzedają. Tu zużyte suknie czyszczą, przerabiają, i znowu stają się one do pozbycia gotowe. Nic nie ma tak zniszczonego, czegoby po przerobieniu nie dało się spieniężyć.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XX. Nr. 18.

21. Czerwca 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Matka Boska cudowna w Skępiu.

Kilkanaście mil z tamtej strony Warszawy, leży starodawne miasto Płock, które było fundowane jeszcze nim Polacy zostali ochrzczeni i nawróceni do nauki p. Jezusa. Pierwszy ochrzczony i nawrócony król polski Mieczysław I. fundował w tem mieście najdawniejszy kościół polski chrześciański, a król Bolesław Chrobry ustanowił tu pierwszego biskupa na te okolice dla Polaków. Niektórzy królowie polscy siedzieli i pomarli w tem mieście, które było stolicą na całą tę okolicę polską, nazwaną Mazowsze. Był tu zamek stary drewniany, w którym przesiadywał król Łokietek, kiedy ciągnął od Krakowa na wojnę z Krzyżakami. Król Kazimierz wielki wymurował zamek na miejscu drewnianego, a król Jagiełło z Jadwigą przebywał w tym zamku, kiedy jechał z Krakowa z księżami i panami nawracać Litwinów. Poźniej zaś spalili ten stary zamek Szwedzi.

Otoż koło tego miasta Płocka leżała wieś Wymyśliny, która nie miała swego kościoła z początku, ale należała do parafii dalekiej w Płocku.

Była w tej wsi studzienka z wodą uzdrawiającą, którą nazwali Polacy pobożni wodą cudowną, bo pomagała ludziom na bolenie głowy i oczu, goiła różne krosty po ciele, kto jeno obmył się nią kilka razy. Król polski pobożny, Kazimierz Jagielończyk, ojciec św. Kazimierza naszego patrona, przejeżdżał często z Krakowa na Litwę, toż przesiadywał on w mieście Płocku i sam poszedł obaczyć cudowną studzienkę w pobliskiej wsi Wymyśliny, a gdy widział tam dużo chorych, kazał postawić kaplicę drewnianą koło studzienki a tę cudowną studzienkę kazał ocymbrować i daszkiem pokryć, aby woda była zawsze czystą i do picia i do mycia dla chorych przydatną. Już to temu do 400 lat, jak ta kaplica stanęła. W kaplicy był ołtarzyk z Matką Boską, która ni trzymała p. Jezusa na rękach, jak to w Częstochowie, ani nie miała rąk złożonych na piersi, jak to w Wilnie Matka Boska Ostrobramska, ale była jako małe i niewinne dziecię, jako święta młodzienka panienka na obrazie. Widać dlatego był taki obraz tej Matki Boskiej, bo ta woda najwięcej była pomocną na różne bolączki i guzy dla małych dzieci. Była więc ta Matka Boska Wymyślińska szczególną opiekunką i lekarką dla dzieci na całą okolicę i nawet na cały kraj polski. Matki szły tu zewsząd z choremi dziećmi.

W kaplicy było zawsze nabożeństwo, gdzie matki płakały i radowały się, gdy Bóg powracał zdrowie chorym dziatkom za przyczyną tej Matki Najświętszej.

Ale dawni Polacy począwszy od króla aż do ubogiego dziadka, byli zarówno bardzo pobożni; bogaci fundowali kościoły, szpitale, szkoły, a wszystkie cudowne miejsca mieli w opiece ojcowskiej. Otoż, taki bogaty pan polski, Kościelecki, który miał wielkie dobra, a był razem i kasztelanem w mieście Płocku, fundował na miejscu starej kaplicy, wielki kościół z ołtarzami wszystkiemi, a w wielkim ołtarzu zamiast obrazu kazał postawić statuę Matki Boskiej, zupełnie podobną do tej, jaka była wymalowana na obrazie. Byli tu i xięża na usługę chorych, był także szpital dla tych, którzy na dłuższy czas przychodzili do tej cudownej studzienki, były tu odpusty pozwolone od biskupów i Ojca św. a z całej okolicy z tamtej strony Warszawy aż od Krakowa i Wilna, szły albo jechały matki z choremi

dziećmi do tego cudownego miejsca tak, że Matka Boska w Wymyślinach była tak głośną w polskim kraju, jak Matka Boska Częstochowska albo Ostrobramska.

Dla wielkich odpustów w Wymyślinach, na które przybywało tysiące tysięcy matek i ojców z dziećmi, osobliwie na uroczystość narodzenia, czyli w dzień Matki Boskiej siewnej, zaczęły się koło kościoła budować różne domy, tak że wieś miała bielone i gątami pokryte domy i wyglądała jak miasteczko. Otoż biskup jeden pobożny zrobił ofiarę i wymurował kościół bardzo wielki, w którym ów drewniany został z ołtarzami w samym środku, potem ściany z drzewa rozebrano a ołtarze zostały na miejscu, osobliwie ołtarz wielki z statuą Matki Boskiej, jako dzieciątka świętego, został nietknięty. Na prośbę zaś biskupów i panów kazał jeden król polski nazwać tę wieś miastem. Wieś starodawna została nazwaną jednako jak pierwej, a nowe miasto z kościołem murowanym, nazwane było od króla, biskupów i panów, miasto Skępe. To miasteczko Skępe, koło Płocka było głośne cudami Matki Boskiej Wymyślińskiej, na całe Mazowsze, jak głośną jest Częstochowa dla Krakowa i Poznania, jak głośne Wilno dla Litwy.

Z naszej polskiej Galicyi znają Polacy najlepiej Częstochowę, a najmniej Wilno i Skępe miasteczko. Jak widzicie, od południa i zachodu szli Polacy na odpusty wielkie do Częstochowy, od wschodu szli znowu do Wilna do Matki Boskiej Ostrobramskiej, a od północy szli znowu wszyscy do miasteczka Skępe do matki Boskiej Wymyślińskiej albo Skępskiej. Każdy mógł się bez najmniejszej przeszkody pomodlić tam gdzie chciał i jak długo chciał, każdy mógł szukać ratunku i pomocy Boga czy to w Częstochowie, czy w Wilnie, czy w Skępiu

Było wszystkim katolikom, Polakom bardzo dobrze z takiemi cudownemi miejscami!

Ale dziś wszystko się zmieniło! Do Częstochowy nie puszczają Moskale, ofiary dawne kościoła po prostu zrabowali, składki pobożne Polaków dla siebie zabrali i zamyślają Częstochowski cudowny stary kościół zamienić na swój moskiewski. To samo zrobili z kościołem Ostrobramskim w Wilnie, a katolików Litwinów karami i strasznem prześladowaniem

przymuszają do wyrzekania się św. wiary katolickiej i do przyjęcia wiary moskiewskiej. Na Litwie jest płacz katolików straszny, a cała nadzieja w Bogu i w pomocy drugich katolików.

Tak samo zrobili Moskale i z tym cudownym kościołem w dawnej wsi polskiej Wymyśliny a dziś w miasteczku polskiem Skępe; bogate ofiary z odpustów zabrali, odpusty pokasowali, szpitalne fundusze zabrali, dziadków i babki rozpędzili na umorzenie pod płotem, grunta plebańskie sprzedali, księży powyganiali, a za ofiary katolickie stawiają swoje cerkwie moskiewskie. Biskupa z miasta Płocka, ks. Popiela, zabrali z kościoła i wywieźli gdzieś na koniec świata za to, że im bronił zabierać ofiar pobożnych katolików z cudownego kościoła, że nie pozwolił znieważać odpustów i ołtarzów, że nie chciał porzucić Ojca św. a przejść na Moskala. I tak dziś nie ma biskupów katolickich pod Moskalem, nie ma odpustów, nie ma cudownych kościołów Matki Boskiej.

A wy, co to czytacie, bierzcie sobie dobrze do serca to nasze pisanie i pamiętajcie o tem, że Moskal czatuje na katolika każdego, jak wilk głodny na owce lub baranka, aby go zdusić, wygnać albo pożreć a potem wszystko dla siebie zabrać.

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Jałmużna św. Izydora.

Siła spłynęła do morza wody,
Dawno Izydor przeżył wiek młody,
Włos niegdyś kruczy siwizną pruszy,
Lecz żar młodzieńczy tli w jego duszy.
Snać dni żywota płyną mu błogo,
Pod starych ojców strzechą ubogą.
Miła małżonka dziateczek strzeże,
Chowa w miłości, pracy i wierze,
A łaska Boża jak rosa płynie
Z błogosławieństwem w cichej rodzinie.
Toć Izydora praca niemarna,
Kłos się na polu zgina od ziarna,
W ogródku siła grusz i jabłoni
Owoc na drzewach cudnie się płoni.
Brzęczących pszczółek pełna pasieka,
A krowy dają dostatkiem mleka.
Pełniuchne zboża, stogi i brogi,
Głód i pomorek omija progi,
I dni się wiją istnie jak z płatka,
Chwali też Boga wierna czeladka.
Czy w dzień świąteczny, czy to w Niedzielę,
Izydor z żoną pierwszy w kościele,
I nigdy żebrak, nigdy sierota,
Nie zakołace próżno wo wrota,
Bo rad gospodarz ilekroć w chacie
Wita Chrystusa w ubogim bracie.

Raz nadchodziło Maryi święto,
Kiedy jesienne siewy poczęto,
Izydor z żoną radzą jak trzeba
Uczcić Maryę królowę Nieba:
— Wszystkie z ogródka zerwijmy kwiaty
I z nich poniesmy wianek bogaty.
— Ej miła żono jest ci już wiele,
Kwiatków i ziółek w Maryi kościele
— Chcesz, to korale czerwone z szyi,
Przypnę na obraz panny Maryi?
— Miła małżonko i to za mało
Inaczej świętą uczcić przystało.
— Ha, to zaniesiem pobożnie woła
Kupim serduszko z szczerego złota;
Lub sukieneczkę z złocistej lamy,
Naszej Panience w ofierze damy?
Izydor podniósł rękę do czoła
I duma chwilkę, a głos anioła
Inną do serca szepnął mu radę,
Lica rumieńcem spłonęły blade:
— Żono! zawoła, wiem co uczynię,
Do dna wypróżnię dębową skrzynię,
A ty zapasy wynoś z komory,
Chleb, sól, mięsiwo – ze zbożem wory,
Niech się ubóstwo do chaty zbierze,
Marya jałmużnę przyjmie w ofierze.
Bo czyż jej miłe dary ze złota,
Gdy tu na ziemi łaknie sierota?
Ledwie Izydor wyrzekł te słowa,
Żona chęć świętą spełnić gotowa,
A biedni ciągną z pobliskich włości.
Hojnie Izydor obdarza gości,
Pcha im do sakwy chleb, sól i zboże
Póki zapasów starczy w komorze;
Hojną jałmużnę ubóstwu czyni
Dopóki grosza nie brakło w skrzyni.
Z radością w sercu ludek ubogi,
Błogosławione opuszcza progi.
Oj rzewną serca biją pociechą,
Pod Izydora poczciwą strzechą.
Głód się zapewne — czuć da rodzinie
Dopóki zboża nie zmielą w młynie,
Jednak się dziatwa szczerze weseli,
A z nią się w niebie cieszą anieli.
Aż tu niewiasta w drzwi zakołacze,
Na niej łachmany wiszą żebracze:
Litości woła, idę w pół żywa —
Dajcie kęs chleba — dajcie grosiwa!
Westchnął Izydor—„Mój mocny Boże,
Ani ziarneczka w pustej komorze,
I skrzynia moja próżniutka do dna,
A ta biedaczka chora i głodna!
Ej miła żono nie trać otuchy,
Zgarnij w komorze chleba okruchy.
Nic nie zostało — nic Izydorze,
Sama okruchy zmiotłam w komorze!
A jednak idzie i myśli w duszy,
Czem ulży biednej — czem łzy osuszy.
Smutno odmyka drzwi od komory,
Aż tu w około pełniuchne wory,
Gną się pod chlebem półki dębowe...
Kto to zgromadził zapasy nowe?
Człek nie docieczе! cud, cud to Boży!
Pan miłosiernym chudobę mnoży,
Jeżli nie skąpisz biednym jałmużny
Składasz u Boga – On tobie dłużny,
On wróci z lichwą skromny twój datek
Da twoim dziatkom chleba dostatek;
Gdy do jałmużny ręka twa skora,
Bóg spełni w tobie cud Izydora.

S. Pruszakowa.

Tęsknota za rodzinnem miejscem.

Jeżeli kamień, albo martwe jakie ciało z jego spoczynku, na inne odleglejsze nawet zaniesiemy miejsce i w ruch wprawimy, to ów przedmiot dopóty nie ustanie spadać, dopóki jaka

przeszkoda nie wstrzyma go w biegu, i nie uczyni bezwładnym. Dla ciężkości w przebiegu jest obojętną rzeczą, czyli punkt spoczynku jest bliższy lub dalszy od skały, z której kamień był odłamany, czyli on spocznie na dnie jeziora, czyli go ujmie przemyślna ręka człowieka, czy bezpośrednio na stałym gruncie powierzchni ziemi osiędzie; nigdy on przecież własną siłą na swe dawne stanowisko nie wróci.

Zupełnie przeciwnie dzieje się z żyjącemi istotami; te bowiem jakiś tajemniczy w nich popęd i własna siła wypiera z miejsca ich pochodzenia, i w dalekie prowadzi strony. Łosoś np. z daleka od ujścia wielkich strumieni, i wybrzeży morskich, wykłuwa się z ikry w bliskości źródeł wód słodkich, mniejszych rzek i strumyków. Tu znajduje on, na pierwszy czas swego życia, dogodny żywioł i najwłaściwsze dla siebie pożywienie. Skoro tylko podrośnie i sił nabierze, opuszcza miejsca rodzinne, płynie za wodą, a przybywszy do wybrzeży nadmorskich, równie tam, jak i w głębiach morza wierny swemu rozbójniczemu rzemiosłu, żyje z wodnych zwierząt obłowu. Ale gdy znowu czas ikrzenia się nadejdzie, popęd do miejsc rodzinnych, w pośród nawet obfitości pożywienia w bezmiernych przestrzeniach morskich, nie zostawia już łososiom spokojnej chwili, i dla tego w tłumnych gromadach wpływając w strumienie i poboczne rzeki, posuwają się w górę, aby w tych samych miejscach, gdzie odebrały życie, równie i swojemu potomstwu byt młodociany zabezpieczyły. A jeźli samicy na miejscu, gdzie swą ikrę złożyła schwytanej, znak jaki na pletwie zrobimy, to przekonamy się, że popęd do wedrówki, corocznie ją, do tej samej okolicy przywiedzie; a jeźli jej ikrę z rzeki wyjmiemy, i w naczyniu napełnionem wodą, do innej nieuczęszczanej przez łososie rzeki przeniesiemy, to wtedy nadspodziewanie zobaczymy że powstanie tu nowa osada, zaludniająca się coraz to większą mnogością łososi. Bo chociaż te ryby, w miarę swego wzrastania, opuszczają miejsce swego urodzenia, i dalekie strony są ich zwyczajnym pobytem; to jednak znowu z nadejściem pory rozmnażania swojego rodu, widzimy je corocznie do tych miejsc wracające, gdzie same rozpoczęły życie i pierwszą swą młodość przebyły. To samo okazuje się u wszyst-

kich ryb, które w czasie ikrzenia się, wyszukują sobie dogodnej nad brzegiem płynących wód okolicy, i tam niezmiennie, jako do miejsca rodzinnego rok w rok zawsze wracają.

W takich przypadkach popęd do wędrówek do miejsc urodzenia, zdaje się być punktem oparcia i nicią przewodnią w przypomnieniu, że tak powiem duszy zwierzęcej; bo starszy łosoś tą samą drogą powraca, do miejsc rodzinnych, z których się wydalił. Ale i bez tej przewodniej nici, pielgrzymka ta obydwa końce kierunku życia łącząca, i wybieżenie w świat daleki, do tegoż samego wiedzie początku, i do oznaczonego doprowadza celu I tak morskiego żółwia przy wyspie Wniebowstąpienia schwytanego, na okręt wniesiono, i rozpalonem żelazem na jego tarczy piersiowej wybito głoski i liczby; miał on być do Europy sprowadzony. Gdy jednak w drodze zachorował, i bliskim był utraty życia, wrzucono go do morza w kanale angielskim. We dwa lata później tego samego piętnowanego żółwia a już zdrowego, w pobliżu jego rodzinnego miejsca, przy wyspie Wniebowstąpienia znowu schwytano. Ten widocznie tęsknotą za swoją ojczystą siedzibą wiedziony, odbył drogę wodną przeszło 800 mil wynoszącą. Przez tak wielkie po części, lub mało co mniejsze odległości, odbywają i ptaki swoje wędrówki, a jednak wszystkie wracają do tych samych okolic, w których życie poczęły, i znowu w miejscach gdzie się wylęgły, nowe dla swego potomstwa zakładają gniazda.

Nie tylko z dalekich okolic, i różnych stref naszej ziemi, ale nawet z zupełnie odmiennych żywiołów wraca się rozległy zakres zwierzęcego życia do swego początku. Ważka i komar z jajka wylęgnięte na wodzie, w niej część życia swego przebyły; później stawszy się mieszkańcami powietrza, doznawały wszelkich uciech istot obdarzonych skrzydłami. Przy zniesieniu jednak jaj, każda z nich wraca nad wodę tak, jak i maik samica, schodzi z wierzchołka wysokiego dębu, na grunt tego samego pola, gdzie sama pierwiastki swego życia przepędziła, i żabka drzewna, porzuca swój zielony domek, i spieszy nad wodę dla umieszczenia swojego potomstwa, na tem samem miejscu, gdzie światło dzienne najpierwej ujrzała. Przeciwnie niedołężny żółw wychodzi na ląd, i w gorącym od słońca piasku,

składa swe jaja, gdżie został ożywiony. Motyl w swych złotych chwilach z kwiatka na kwiatek przenosi się swobodnie, i słodkie z nich miody wypija, ale gdy czas nadejdzie, wyszukuje niepozornej częstokroć rośliny, i znosi jaja na listkach, które pierwszym niegdyś dla niego były pokarmem.

W cokolwiek odmiennym sposobie okazuje się pociąg do pewnego, oznaczonego zamieszkania przywiązujący, u tych szczególniej zwierząt, które człowiek skrzętnie wychowuje, i ma o nie pilne staranie. I te często tak nawykły do zwyczajnego pastwiska, albo obory, że z daleka nawet do nich wracają, równie też bydło z letniego pobytu na górach na dół do wsi rodzinnej schodzące, za zbliżaniem się do swej obory, ryczy z radości i skacze uweselone. Niekiedy i nazwyczajenie się zwierzęcia do towarzystwa z innemi, choć odmiennego rodzaju, tak silny wpływ na niego wywiera, że koza zbiegła z pod pieczy człowieka, po kilku nawet latach swobodnego na wolności życia z dzikiemi towarzyszkami, nie zdołała stłumić dawnych wrażeń, gdy postrzegła znaną sobie trzodę z dzwoneczkami na szyi, blisko siebie przechodzącą. W wielu jednakże innych przypadkach u doskonałych zwierząt ssących, głębszy daje się widzieć powód tęsknoty za miejscem rodzinnem; bo nie tylko do żłobu, ale do domu swego pana, szlachetny rumak zbliżyć się pragnie; a wierny pies, uszedłszy z niewoli, kilka dni nawet drogi wynoszącej, biegnie wycieńczony na siłach, nie do mieszkania, ale do samego pana, z którym go przywiązanie i wdzięczność jednoczy. Ten pociąg wszystkich stworzeń do swej ojcowizny, lub do miejsc gdzie się nawet bez udziału swoich rodziców wychowały, spowinowacony jest zapewne z temi uczuciami, które się w duszy ludzkiej na wdzięczność i miłość wyrabiają.

Człowiek może nawet doznawać tęsknoty w pewnych razach, za miejscem rodzinnem, lub pobytem swoich lat dziecinnych; mniej jednakże temu pociągowi podlega, niż wszelkie inne zwierzęta. Owszem najczęściej idzie on za swoją skłonnością, i podobnie jak gołąb wędrowny, zdąża do okolic, gdzie najłatwiej i najobficiej swoje potrzeby zaspokoić może; ale duchowej człowieka istocie, te tylko miejsca najmilsze, gdzie

najdroższe jego sercu przebywają osoby. Dla tego to z lodowatych okolic północy mieszkaniec, choć w pośród ziemskiego raju na przylądek Dobrej Nadziei przeniesiony, ciągłej doznawał tęsknoty za ubogą, zimną Grenlandyą, swoją ojczyzną, bo tam przyjaznego i życzliwego ze swoimi kosztował pożycia, co mu milszem i droższem było, niż miłe wonie najpiękniejszych kwiatów, i najwyborniejsze owoce uroczego klimatu. Najbardziej wreszcie na człowieku, jakkolwiek jego dom rodzinny, i duchowa jego ojczyzna nie na doczesnym istnieje świecie, pokazuje się widocznie: że popęd u wszystkich stworzeń żywotnych do miejsc rodzinnych stanowi skłonność do bezwiednej lub świadomej wdzięczności dla Twórcy początku, źródła życia i wszelkich uciech doczesnych. Do grożącej chorobą tęsknoty, która zwykle wychodźców z zimnej Laponii i Szwajcaryi, w zgiełkliwym Paryżu ogarnia, z pragnieniem uroczystej ciszy, jakiej się w dziecinnym wieku doznawało, łączy się także wspomnienie, na pierwszą miłość przy wejściu na świat, w objęciu matki doznaną.

Choć w niczem dom rodzinny, nigdy się nie zmienia,
W nim jednak urok senny, najmilsze wspomnienia.

Złoto.

Złoto dla pięknego koloru, świetnego połysku i łatwości przyjmowania jakiejkolwiek formy, za najszlachetniejszy metal jest poczytywane. Może nadto przez długi czas zostawać na powietrzu, w wodzie lub nieczystościach wszelkiego rodzaju; a jednak nie zmieni się, nie straci ani farby, ani blasku, ani wartości. Funt złota tyle prawie znaczy, co 400 talarów (2,400 Złp.) a 14 razy prawie tak drogie, jak srebro. Widocznie cena złota od rzadkości jego zależy, ale chociażby i najpospolitszém było, dla swoich powyższych przymiotów, wysokiej zawsze byłoby wartości. Jest bardzo ciężkie, przeszło 19 razy cięższe od wody. Czyste złoto miększe jest od srebra, ale twardsze od cyny, i daje się nożem krajać, bez wydania dźwięku; jeżeli z niego mają się wyrabiać monety, strojne ozdoby itp., wtedy potrzeba mu nadać więcej twardości,

co się otrzymuje przez mieszanie go z innemi metalami, a szczególnie z miedzią i srebrem. Pod młotem cokolwiek twardnieje, ale znacznej sprężystości nigdy nie nabędzie. Ze wszystkich ciał stałych jest najrozciągliwsze; można je rozciągać na tak cieniuchne listeczki, że na jeden cal grubości, trzebaby ich 20 tysięcy jeden na drugim położyć. Tak i dukat mało co większy od grosza, tak się da rozciągnąć, że jezdcę wraz z koniem możnaby nim pozłocić.

W niektórych krajach europejskich wypłókują złoto z piasku rzecznego, nigdzie jednak dość obficie; za to gdzieniegdzie w Afryce, w południowej Ameryce, Kalifornii i Australii, znajdują je w ziarnkach, bryłkach, a niekiedy nawet i w dużych bryłach; pomimo tego wszakże, niema czego pragnąć, żeby tam być, gdzie wiele złota i srebra wydobywają. Bo chociaż możnaby się uchronić od wężów, dzikich zwierząt i złych ludzi, to przecież najczęściej tam, gdzie najwięcej znajduje się złota, tak wielka bywa drożyzna, że za kawałek chleba, którego u nas za parę groszy dostanie, tam 30 i więcej dać potrzeba. Tego też doświadczyli biedni górnicy; wysoką, dawniejszemi czasy zapłatą za pracę znęceni, z różnych stron z Europy udawali się tłumnie do Ameryki, zawiedzani jednak, nic z zapracowanych pieniędzy rodzinom swoim posłać nie mogli, bo zarobek zaledwie im na zaspokojenie głodu na miejscu wystarczał. A wszakże i Filip II król Hiszpański, pomimo że corocznie prawie obładowane złotem i srebrem okręty z południowej Ameryki, do niego wtedy należącej, przybywały do portów hiszpańskich, przecież w końcu tak zubożał, że duchowni od domu do domu chodząc, na utrzymanie jego dodatki do podatków wybierali. Bo mówiąc w ogólności, nie idzie tu na tej ziemi o liczne dochody, ale o błogosławieństwo Boskie, i wytrwałą staranność zachowania się w całem życiu, jak na cnotliwego człowieka przystoi, który wszelkie swoje potrzeby uczciwie opędza. Zacnemu człowiekowi tysiąc razy milsze czyste sumienie, niż wszystkie góry całego świata, chociażby były ze szczerego złota.

Zdarza się niekiedy, że przy oraniu, lub gdzie przypadkowo, znajdzie kto bryłkę w drobniuchne żyłki żółto błyszczącą,

i myśli że znalazł złoto. Ale ten mniemany jego skarb, nie wart i szeląga, pomimo kamienia koloru żółtego i lśniącego się jak złoto; bo nie wszystko złoto, co się świeci.

Ponieważ wiele ludzi, ze wszystkich darów przyrodzenia, złoto za najpożądańszą rzecz poczytywało, i wyżej je niż zdrowie i bojaźń Bożą ceniło, to nie brakło na usiłowaniach, otrzymania go w sposób nierozważny i bezbożny. Niektórzy mniemali, że jeżliby się udało pewne rodzaje ziemi stopić w tygielku, i wyrzec przytem czarodziejskie zaklęcie, to złoto okazałoby się oczom zdziwionym. Ale podobni szaleńcy tracili czas, pieniądze i zapominali o Bogu; częstokroć cały ich majątek z dymem ulatał: inni pragnęli złote pieniądze zachowane w garnkach lub w skrzynkach z ziemi wykopywać. Z pomocą więc trudniącego się odszukiwaniem ukrytych skarbów i wieszczej rózgi, spodziewano się od podziemnych duchów zagrzebane te skarby wyzyskać; lecz wszelkie usiłowania, koszta i bezbożne zaklęcia, zawsze się okazywały daremne Przez niedorzeczne czary nikt się nie zbogaci, a oszukaństwo rzadko sprowadza pomyślne skutki, oszczędność tylko, wytrwała praca, w każdym zawodzie, złotem zbogaca.

Chmielnik.

Chmiel jest rośliną, bez której, jak wiecie, dobrego piwa zrobić nie można. Przed laty hodowano ją prawie w każdej wiosce, ale od czasu jak wódka, a z nią pijaństwo zagnieździło się po wsiach, zaprzestano robić piwa i wyginęły chmielniki. Dałby Bóg, żeby cały lud wrócił do piwa i miodu, a porzucił wódkę. Spodziewając się że to rychło nastąpi, napiszę wam o uprawie chmielu i o pożytkach z niego

Jeżeli kto chmielu nie widział, to mu powiem, że jest rośliną wijącą się; w stanie dzikim czepia się krzaków przy jakich rośnie, obwija się w koło nich i wydaje kwiaty żółtawe, na których, gdy dojrzeją, jest pyłek pachnący i gorzki. Pyłek ten stanowi przyprawę do piwa, nadaje mu smak przyjemny i chroni go od rychłego kwasu. Do chmielu hodowanego w ogrodzie, trzeba tyczek z młodego drzewa, w pierwszym

roku po zasadzeniu trzyłokciowych, a potem wyższych, aż do pięciu lub sześciu łokci. Wysokie tyczki, jakich używano dawniej, nie tylko są kosztowne, ale niepotrzebne, i chmiel więcej wydaje kwiatu na tyczkach średnich pięć do sześć łokci wysokich. Takich używają tam, gdzie są wielkie chmielniki, a które znaczne pieniądze przynoszą właścicielom. Obdzieranie tyczek ze skóry jest niepotrzebne. Takich tyczek łatwo dostanie przy przecinaniu zagajników leśnych, a przytem trzeba je porządnie zachować przez zimę, żeby ich nie spalono. Chmiel nie potrzebuje bardzo tłustego gruntu, rozmnaża się z porozdzielanych korzonków, a to następującym sposobem. Ziemię trzeba przeorać i przekopać na łokieć głęboko na jesień, a potem na wiosnę robią się dołki na półtrzecia łokcia w kwadrat, pięć ćwierci szerokie, na trzy ćwierci łokcia głębokie; w nie kładzie się świńskiego gnoju, na sześć cali przysypuje się ziemię i udeptuje, potem bierze się trzy lub cztery korzonki chmielu, sadzi się w dziurki zrobione kijem, tak, aby rozchodziły się na bok; resztę ziemi nasypuje się na wierzch i robi się mały pagórek. Na gruntach wyższych i suchszych, takie pagórki są niepotrzebne; bez nich lepiej utrzymuje się wilgoć Dobrze jest na wierzch posypać gnój koński lub owczy, jeżeliby ziemia była zbyt chuda. Gdy chmiel wypuści z ziemi łodygi, przywiązać je trzeba do tyczek, najwięcej trzy lub cztery najmocniejsze, słabsze zaś przycinają się u spodu. To się robi na początku maja; w połowie czerwca, trzeba w około tyki ziemię poruszyć motyką i wyniszczyć chwasty, a tę samę robotę powtórzyć przed samemi żniwami; bardzo to pomaga do wzrostu i obfitości chmielu.

Chmiel dojrzewa w miesiącu sierpniu, zaraz po żniwach; ma wtedy główki szarawe, kruche i mocny zapach. Trzeba go niezwłocznie zebrać na płachty, zanieść pod dach, główki obrać i położyć na płachtach dosyć cienko, żeby się nie zagrzały. Suszy się w spichrzu albo na poddaszu. Ususzone główki pakują się w fasy albo skrzynki, ubijają się mocno i szczelnie zamykają, żeby nie zwietrzały.

Żeby zabezpieczyć chmiel od mszyc i pcheł ziemnych, trzeba karpy posypać popiołem, albo plewami konopnemi, a liście oberwać na sążeń od ziemi.

Chmieliny, powiada Kluk, nasz stary naturalista, można moczyć tak samo jak konopie i robić z nich powrozy i liny.

Na morgu mo na mieć około 4800 flanców, a że z niemi jest dosyć roboty i tyczki także kosztują, radzę więc każdemu włościaninowi, aby na chmielniki przeznaczył czwartą, a choćby i szóstą część morga.

Chmiel nie zawsze się obrodzi: można rachować że w ciągu trzech lat jeden jest dobry urodzaj, jeden lichy, jeden mierny. Gospodarze niemieccy, którzy wszystko biorą pod rachubę, obliczyli, że średnio jeden morg chmielu przyniesie na rok dochodu złr. 75, a więc piąta część morgu w ogrodzie na chmielnik przeznaczona, przyniosłaby złr. 15.

Ponieważ do roboty około chmielu przydać się mogą dzieci, do cięższej pracy w polu jeszcze nie zdatne, więc każda rodzina gospodarska może go hodować, bez uszczerbku innych robót.

Zakończenie.

Dziesięć lat mija, jak „Dzwonek“ po raz pierwszy zadzwonił, zapraszając się w gościnę pod strzechę wieśniaczą, a nie tyle domagał się „chleba i soli, ile życzliwej chęci, i wiernej pamięci i ucha bacznego i serca miłego.“ Inne to były wtedy czasy; nikt jeszcze nie myślał o oświacie ludu, nikt nie uznawał potrzeby pracowania na tem polu, nikt, prócz kilku ludzi gorącego serca i silnej wiary którzy to pisemko wydawać zamierzyli.

Jak każda nowość, doznawał i „Dzwonek“ z początku nie małych przeszkód. Mieszkańcy wiosek i małych miasteczek, nie byli jeszcze wzwyczajeni do regularnego czytania, a tem mniej do regularnego przysyłania przedpłaty, do regularnego odbierania pisma z poczty. Co większa, nie wszyscy ufali „Dzwonkowi“, nie wszędzie byli mu radzi. Zaledwie zaś ustalił się i rozpowszechnił, śmierć założyciela jego i redaktora Brunona Bielawskiego wstrzęsła silnie jego bytem, a gdy przetrwał ten cios i podźwignął się pod nową redakcyą Grzesia z Mogiły, który duchem swego poprzednika ogrzany prowadził go dalej tym sa-

mym torem, smutne wypadki 1862 i 1863 r. o połowę uszczupliły znakomitą liczbę jego czytelników i odcięły mu odbyt do królestwa polskiego, który był tak znaczny, że dla wystarczenia potrzebie pierwsze trzy tomy przedrukować musiano. Pomimo tych wszystkich przeszkód „Dzwonek" ciągle po swojemu dzwonił, jednym na pociechę, drugim dla nauki, innym na upamiętanie, i uzbierało się z tego dwadzieścia tomów, zawierających rzeczy, które każdemu człowiekowi oświeconemu wiadome być powinny, przyczem starano się zawsze treścią zająć a rozmaitością zabawić, i dobierano przedmioty któreby zarówno młodszym jak starszym podobać się mogły, usiłowano zgłębić potrzeby czytelników i one uwzględniano. Obok żywotów wszystkich Św. patronów naszych, opisów miejsc cudownych i zasad nauki moralności, zawiera „Dzwonek" całą historyę polską, od początku aż do rozbioru i od rozbioru aż prawie do dni dzisiejszych, opowiedzianą w obrazkach, jasno i przystępnie, i osobno jeszcze życiorysy znakomitych w Polsce mężów, zwłaszcza tych którzy wyszli z pod słomianej strzechy, lub byli szczególniejszymi opiekunami i dobroczyńcami ludu wiejskiego, opisy rozmaitych miejsc i pamiątek ojczystych, tudzież opowiadania o niektórych odleglejszych krajach, piękne przykłady cnót i poświęcenia z rzeczywistości wzięte, zasady rządu gminnego które w obec zaprowadzonej u nas autonomii, każdemu obywatelowi znane być powinny, wiadomości z gospodarstwa i nauki o chowie bydła, nauki przyrodnicze w całem tego słowa znaczeniu, zwłaszcza o ile znajdują zastosowanie w życiu codziennem, nauki o zachowaniu zdrowia i ratowaniu życia w wypadkach nagłych, dalej powieści z życia ludu wiejskiego i małomiejskiego, wiersze i pieśni, zdania i myśli, przysłowia i przypowieści polskie, anegdoty, — tak, że dzisiaj „Dzwonek" stanowić może sam bibliotekę, i, jak nam to niejednokrotnie powiedziano, co tu z chlubą powtarzamy, ozdobę każdej biblioteczki.

Nie szukając rozgłosu, nie wdzierając się tam, gdzie mu nie byli radzi, lecz postępując ciągle tą samą, z góry wytkniętą drogą, „Dzwonek" wyrobił sobie niepoślednie stanowisko i pozyskał wziętość taką że dzisiaj mało jest wiosek gdzieby go nie znano, gdzieby o zaprenumerowaniu go przynajmniej nie my-

ślano. Nadto dał on popęd do dalszej pracy w tym kierunku, zachęcił obojętnych a rozbudził wszystkich, i że dzisiaj lud wiejski i małomieszczański prenumeruje i czyta pisma, zasługę tego w znacznej części „Dzwonek“ sobie przypisać może, bo on ich do czytania przyzwyczaił, on ich prenumerować nauczył.

Zamykając dwudziesty swój tom, „Dzwonek“ winien wyrazić podziękowanie tym wszystkim którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do utrzymania go przez lat tyle. Najpierwsze podziękowanie należy się temu, który pod tym względem największą położył zasługę a jest nim Szanowny Wydawca, do niego więc najpierwej się zwracamy. Nie w nadziei zysku, bo przy tak bezprzykładnie niskiej cenie ani mowy o nim być mogło, lecz jedynie w chęci przysłużenia się krajowi podjęte dzieło, i przy boskiej pomocy dokonane szczęśliwie, świadczy chlubnie o jego szlachetnych chęciach, gdy pomimo rozlicznych przeszkód, a często nawet strat materyalnych, wytrwał do ostatka w zamierzonem przedsięwzięciu. Myśl że się dobrze zasłużył krajowi jest dla niego jedyną, ale też godną zazdrości nagrodą i oby się stała przykładem i zachętą dla innych wydawców.

Równie zasłużyli się i ci którzy pracą swoją popierali „Dzwonek“ i złote ziarna wiedzy swojej i doświadczenia wrzucali do tej skarbnicy. Najprzód wypada nam tu wspomnieć pierwszego redaktora Brunona Bielawskiego który w pierwsze tomy nowego pisma tyle tchnął ducha że go starczyło do końca, wszyscy bowiem jego następcy starali się myśl jego odgadnąć i utrzymać. Dziś patrzy on z góry na dzieło swoje dokończone przez innych, i gdy ci jemu dziękować mają, on im dziękuje że go pojęli, że w jego ślady wstąpili. Z chlubą przychodzi nam także zapisać tutaj imiona innych współpracowników „Dzwonka“ podobnie już nie żyjących, mianowicie Walerego Łozińskiego który zgasł przedwcześnie z taką szkodą dla całej literatury, tudzież poety żołnierza Mieczysława Romanowskiego który poległ w powstaniu.

Po Brunonie Bielawskim, redaktorami „Dzwonka“ byli: Juliusz Starkel, Bernard Kalicki, Władysław Łoziński, Stanisław Nowiński. Zresztą nazwiska pisarzów których prace weszły

w skład pisma naszego, wymieniamy z wyrazem wdzięczności w porządku abecadłowym:

Bielawski Bruno.
Chociszewski Józef.
Chmielewski Józef.
Cz. W. z Brz.
Eminowiczowa B.
Godebski Xawery.
Gregorowicz J. K.
Grajnert Józef.
Janicki Edmund.
Janota E. Dr.
Kalicki Bernard.
Kostecki Plato.
Laskownicki Józef
Lenartowicz Teofil.
Leśniowska Ludwika.
Łoziński Walery.
Łoziński Władysław.
Łoziński Bronisław.
Mierzeński Henryk.
Michna Wojciech ks.
Nowiński Stanisław.
Ostaszewski Teofil.
Romanowski Mieczysław.
Ryczak Marceli.
Skoczek Alojzy.
Smólski.
Stobiecki Jan.
Szujski Józef.
Stroka Wincenty.
Syrokomla Władysław
Turski J. K.
Wolski L.
Wilkońska z L. Paulina.
Wielogłowski W.
Zacharyasiewicz Jan.
i t. d.

Nareszcie i wam kochani czytelnicy dziękujemy za tyloletnią gościnę i żegnamy się z wami chociaż nie na długo. Kończąc to wydawnictwo, które stanowi mniej więcej zamkniętą całość, zamierzamy wydawać, w najbliższym czasie inne pismo, w nieco większym formacie i z obrazkami. Spodziewamy się że wy co nas znacie, nie poskąpicie nam nadal chleba, soli i dobrej woli i w tej nadziei żegnamy się z wami

do widzenia

Redakcja.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.